

Aby rozpocząć lekturę,
kliknij na taki przycisk ,
który da ci pełny dostęp do spisu treści książki.

Jeśli chcesz połączyć się z Portem Wydawniczym
LITERATURA.NET.PL
kliknij na logo poniżej.



Helena Mniszkówna
TREĐOWATA

POWIEŚĆ
Tom drugi

Tower Press 2000

Copyright by Tower Press, Gdańsk 2000

I

Lato, wystawa, złota jesień, polowania w Głębowiczach należały do przeszłości. Słotne, zamglone dni zastąpił mroźny podmuch z północy i siał na obnażoną ziemię wielkie białe płaty. Śnieg sypał, kłębił się, otulał białą puchów nagie gałązki drzew i wysokie ciemnozielone świerki. Rozścielał na ziemi olbrzymią białą oponę. Zakrywał pola, żółtą, przegniłą trawę, przemieniając świat w grootę z cukrów i kryształu. Słońce oczyściło się z chmur, rozpedziło mgły. Otoczone nieskończoną przestrzenią błękitów, uniosło tarczę wysoko, sypiąc na mleczną ziemię złote blaski. W śniegu krzeszło iskry, pełne barw drogich kamieni. Pogoda lśniła cudowną zimową szatą, mróz nadawał jej energię i tęgość, orzeźwiająca ludzi. Ptaki kręciły się wśród zamrożonych drzew z kwileniem radosnym. Czerwone gile odbijały rażąco od białej dekoracji, jak wielkie maki wśród łąnow dojrzalej gryki.

W Słodkowcach park, ogród, rozłożyste i smukłe krzewy otulają zwoje śniegu. Jezioro, stężale w uścisku lodowego powiewu, bieli się gładką przestrzenią. Filary ganku i schody pokrywa mroźna powłoka. Zamiast kwitnących róż widać pagórki pokryte śniegiem. Kuliste lipy przed pałacem, oblepione sadzą, wyglądają jak wielkich rozmiarów dmuchawce, tak ich gałązki są delikatne i przezrocze. Z niezmiernie białych przestrzeni płynie martwota, skrzepły spokój i wielka potęga skryzalizowanej natury. Wszystko jest nieruchome, milczące, niepokalanie czyste, zimne w swej piękności, jak posagowe.

Na końcu wielkiej alei grabowej, jak w korytarzu z alabastru, stoi pod ciężkimi splotami gałęzi wiotka postać, prawie mała wśród mroźnych olbrzymów.

Stefcia opiera się plecami o skostniały pień grabu. Spod czapeczki patrzy na śnieżną przestrzeń i ciemniejszą taśmę drogi. Stoi na wzgórk. Mur okalający park nie zasłania jej widoku.

Wzrok leci i leci w sinawą dal, jaskółczym skrzydłem przebija szafirowy wał lasu i pędzi dalej, bez końca. Jest punkt, gdzie się zatrzymuje, dokąd właściwie dąży, punkt świetny, rdzeń wielkiego koła ziemi, co go otacza. Dziewczyna stoi bez poruszenia. Pomyśleć by można, że szron spadający z drzew i ją ścina w posąg, ziębi ostrym tchnieniem.

W oczach jej błyszczy tęskna myśl, śle ją na drogę, wysyła daleko... tam, gdzie i dusza rwie się z niepowstrzymaną siłą... Wielkie oczekiwanie czegoś, co napęlnia rozkoszą, ale tak subtelną, że ledwo wyczuła, jest niepokojące jak oczekiwanie katastrofy. W takiej chwili wzrok, słuch skupia się w sobie, wysyła do naprężenia i męczy. Żal odwrócić oczy, aby nie stracić jednego momentu, żal się poruszyć, aby nie spłoszyć najlżejszego szelestu. Cała istota ludzka zamienia się w posąg, pod którym można by napisać: „Czy nadejdzie”... szczęście lub rozpacz.

W taki posąg oczekiwania zaklętą była Stefcia. Oczy wpiła w drogę, bojąc się ruszyć. Powstrzymywała oddech w piersi, chwyciła uchem każdy szmer. Przyszła tu wiedziona przecuciem, że on ma przyjechać i czeka cierpliwie. Nikt jej nie mówił, nikt się go nie spodziewa, ale ona wie, że już jest w Głębowiczach... jakiś głos jej szepce: „Dziś tu będzie”.

Wyjeżdżał daleko, na polowania. Długo nie wracał. Musiał odbyć kampanię zaprosin.

Jak się ten czas włócił sennie, bezbarwnie!... Szare, dżdżyste dni zdawały się płakać, szlochały drzewa. Wichry jękiem zwabiały wcześniej czarne noce, nieskończone, pełne łkań, skargi, ponurej grozy. Wielka melancholia, ociążałość tych dni bez jaśniejszego promyka dławiała serce. Rwało się wszystko głuchą rozpaczą na widok przegniłych liści, szarpanych wicherą, oślizgłych gałęzi, z łopotem bijących o siebie. Ale natura jest usposobienia wesołego, nie znosi długich łkań, nawet po pięknym lecie nie potrafi płakać bez przerwy. Następuje przesytność smutku: wówczas nabiera hartu, zamraża łyzy, chce gwałtem przykryć swą zgniliznę, lecz jej brakuje barw. Nie stać ją już na zieleń i kwiaty. Otacza ją blada złość. Teżeje, tworzy

zwoje bieli, sypie na drzewa delikatną sadź, na szerokie konary rzuca wielkie szmaty puchów. Jest biała jak panna młoda, ale nie odpowiada tej nazwie. Szpeci ją chłód. Pragnie okrasić się złotem. Rozsuwa ciężkie granatowe zasłony chmur, wypuszczając słońce z uwięzi. Radosny, rozweselony, wyspany, wygląda złocisty krąg na świat Boży i staje w osłupieniu. Blednie z przerażenia, cofając się wysoko w górę. Gdzie są łąki pełne kwiatów? Gdzie owoce, gdzie drzewa zielone, które zmieniły się pod jego tchnieniem w śliczne, jaskrawożółte lub krwawe jak pożar? Rozpanoszyła się biel oślepiająca i pokryła wszystko grubą warstwą. Jakby na urągowisko wywołuje słońce, by spoglądało na jej martwość. Złoty krąg cola się w górę, rzuca słabe ukośne promienie. Jest nieufne, oburzone. Tyle wieków patrzy ono na kaprysy ziemi i zawsze się zdumiewa. Przez ciąg wiosny i lata zapomina o przyszłych szarzyznach.

Szczęście zagłusza wszystko, co nie ma złota w blaskach. Gdyby się działo przeciwnie, rozkosz w szczęściu nie byłaby całkowitą. Słońce wyrzuca sobie własną opieszałość, przygotowuje się do walki z ziemią. Przeczuwa wiele pracy, zanim ten pancerz lodowy rozkruszy, zanim spruje pyszną szatę ze srebrnej lamy, ciężko strojącą świat. Ze wzgardą spogląda na groźne szańce śniegu i systematycznie rozpoczyna pracę. Wypatruje ciekawie, aby znaleźć najsłabsze miejsce, uderzyć i przebić zaporę. Wszędzie napotyka ostre uzbrojenie: chłód, marmur bieli, mróz. Zniechęcone przeglądem zaczyna się zasuwać do snu. Jest gniewne, płonie gorącą falą, stacza się niżej i niżej, zalewając ziemię potopem czerwieni. Ciska na błady koloryt nieba snopy jaskrawych obłoczków – swych paziów. One zapowiadają niewdzięcznej ziemi następującą noc – jako karę słońca.

Stefcia stoi w łunie pożarów, rozświetlona, rozbłysła ogniem. Mruży oczy, różowe płomyki ślizgają się po jej twarzy. Dla niej ta biała szata nie przyniosła zmiany. Dnie wloką się tak samo nieskończenie mętne, bezświetlne, jak wówczas gdy mroki i wichry panoszyły się wszechwładnie. Piękna, chłodna biel trwała już czas jakiś, ale srebrna droga pusta. Głucho było w duszy Stefcia. I teraz łuny się palą na niebie, idzie mroźna, długa noc. Przeczucia zawiodyły: coś, co ją pchało na ten wzgórek, skryło się, pozostało bez nazwy. Droga błyszcząca, wysłizgana złociła się do najdalszych granic zachodem słońca. Białe pola przybrały ton delikatnej barwy różowej. Wierzbki strojące drogę miały fioletowe odcienie; im dalej w głąb, tym stawały się bardziej fioletowymi. Małe stadka szafirowych kawek spadały z głośnym krzykiem na zamrożone łąny, błyszcząc niby dzęty na pluszach. Czasem zrywały się, jakby przestraszone.

Nagle w uparcie wpatrzonych oczach Stefcia coś zamajaczyło. Na różach pól, w oddali, wśród fioletowych wierzb, ukazał się punkcik drobniutki, zaledwo widoczny. Ale pojawivszy się, nie zniknął. Rósł w oczach, wyraźniał, potężniał i sunął naprzód. Jak błyskawica, ukazując się, zatamowuje oddech w piersi w oczekiwaniu gromu, tak Stefcia, wpatrzona w płynący punkt, znieruchomiała. W ciszy krwawego zachodu zadźwięczało w oddali i rozlewało się brzmieniem coraz głośniejszym.

Dziewczyna, niby rażona gromem, zadrżała. Ramiona jej podniosły się do ucieczki, ale nogi miała jak z ołowiu. Chciała się zerwać, biec w głąb parku i nie mogła. Przestrach, radość, burza wzruszeń odbiła się na jej twarzy. Poznała janczary z Głębowicz.

Nie omyliło przecucie.

Z wysiłkiem zdołała się cofnąć głębiej. Oparta o oszroniały pień, z szalonym wirem w pulsach słuchała brzęku janczarów i parskania kłusujących rażno koni. Łowiła uchem lekki skrzyp płóz i delikatne dźwięczenie uprzęży. Spod przymkniętych oczu widziała eleganckie sanki i parę tegich koni, przykrytych szafirową siatką. Widziała ich wygięte głowy, rozwarte chrapy i oczy czerwone w zachodzie słońca jak pochodnie. Widziała koło uszu końskich powiewające ogony lisie, futrzaną liberię stangreta i lokaja, złote guzy, błyszczące jak świece. Serce jej tłukło w piersi, miała wrażenie, że pęknie i że zajdzie coś złego. Wrażenie rosło, stało się strasznym. Sanki przed murem skręciły w bok. Stefcia zdrętwiała, rozkołatanie serce zamarło. Siedzący w sankach mężczyzna zrobił nagły ruch, jakby chciał wyskoczyć. Lecz się

wstrzymał, tylko drżącą ręką uniósł czapkę, pochylając nisko wytworną głowę. Sanki pomknęły, dźwięcząc już niewidocznymi janczarami.

Stefcia schwyciła się za głowę.

– Przyjechał! – krzyknęła w oblakaniu – widział mnie!

Szczęście bezmierne wrzało w jej duszy, kipiało we krwi. Porwała się z miejsca i lekka jak ptak pobiegła śnieżną aleją w stronę pałacu. Na zakręcie, koło zamrożonego basenu fontanny, stanęła. Krew zastygła w jej żyłach. Naprzeciw szedł Waldemar.

Zbliżał się pędkiem, w rozpiętym futrze, z oczyma utkwionymi w niej. Obok biegł w sushach Pandur, dopadł do Stefci i wesoło poszczekując wspinał się łapami na jej żakiecik. Dziewczyna oniemiała. W głowie jej huczało. On!...on!...

Michorowski stanął przy niej, w milczeniu wziął w swe dłonie jej zlodowaciałe ręce. Wpatrzni w siebie, nie mogli przemówić. Jego oczy były granatowe, fale przelatowały mu przez twarz. A Stefcia, choć niewyraźnie, czuła, że to przełom, że mgły błękitne pierzchają, otwierając złote wrota, aby ukazać jej prawdę niesłychaną a cudowną. Czuła, że jej marzenia, sny niepochwytne ubierają się w formy prawdziwe, przeczucie mówiło, że ta nowa szata będzie jeszcze drogocenniejszą od dawnej. Stefcia przeżywała jedną z chwil, w których dusza ulatuje z człowieka w tęczowej aureoli niezmiernego szczęścia.

On cisnął jej ręce w dłoniach, siłą oczu wdzierając się w głąb jej duszy. Stał poważny z męskim dreszczem rozkoszy, z nie znanym dotąd, już rozkwitłym uczuciem. Stał pewny swej siły, świadomy celu, trochę dumny z uroku, jaki wywierał. Pochylił głowę i długo a serdecznie ucałował ręce drżącej Stefci. Oczy jego mówiły: „Czekałaś na mnie... tęskniłaś... oto jestem i... i...” Stefcia zrozumiała, oblał ją gorący war. Powoli, z dygotem szczęścia, wysunęła dłonie z jego rąk i zaczęła iść szybko do pałacu.

On postępował obok.

Nie mówili do siebie nic. Pandur wyprzedził ich, stanął na marmurowych schodach werandy i patrzył na zbliżającą się parę z podniesioną głową i powagą w swych rozumnych, psich oczach. Dziwił się, że nie uważają na niego.

Byli już koło werandy. Nikt nie wychodził.

Otwierając drzwi, Waldemar rzekł pierwsze słowa:

– Pani odgadła, że dziś przybędę. Czy to przeczucie?

– Tak.

– Więc sugestia! Jadąc myślałem, że zastanę panią w parku, i... ujrzałem cię w tych zorzach wieczornych. Odesłałem konie od bramy, by cię powitać pierwszą.

Słowa jego sprawiały Stefci niewysłowioną rozkosz. Na odgłos otwieranych drzwi zjawił się Jacenty z całym zastępem lokai.

Ruch powstał w cichym przed chwilą pałacu.

– Ordynat przyjechał – brzmiało wszędzie, wywołując radość ogólną.

Do wieczery zasiedli wszyscy w wybornych humorach. Pan Maciej, rozczulony przyjazdem wnuka, patrzył na niego jak w obraz. Pani Elzonowska wypytywała Waldemara o polowania i znajomych. Pomimo częstych sprzeczek witała go mile: jego wytworność i trochę sarkastyczny dowcip działały na nią ożywczo. Waldemar odpowiadał na zapytania uprzejmie, ale męczyły go te wywiady. Głównie pani Idalia i pan Ksawery nie dawali mu spokoju. Lucia i Stefcia siedziały najcichsze, tylko dziewczynka bez przerwy wpatrywała się w Waldemara, a Stefcia wyraźnie unikała jego wzroku. Bała się, aby z jej źrenic nie wyczytał tego, co powiedziały jego oczy w zaśnieżonym parku. Nie domyśliła się, że i on odgadł wszystko, że zajrzał do głębi jej duszy, wyczuł tętno jej serca...

Ogarniał ją niepokój. Miała wrażenie, że coś wisi w powietrzu i spadnie na jej głowę. Czuła gorączkę, jakiej się doznaje przed odjazdem w daleką podróż, w ostatniej chwili pożegnania z najdroższymi. Męczyła się, nie pojmując, skąd pochodziła ta niepojęta trwoga, coraz bardziej wzrastająca. Lekką bladość na jej twarzy zauważył pierwszy ordynat, dostrzegł po-

mieszanie dziewczyny, lecz nie chciał jej dręczyć pytaniami wobec wszystkich. Jej niepokój udzielił się jemu...

Pan Maciej popatrzał na nią przeciągle. Zachowanie się Stefci zastanowiło go.

– Co ci jest, dziecko?

– Boję się... – odparła szczerze.

Spojrzeni po sobie. Mgła przeleciała po twarzach.

– Ale czego?

Zapytana uśmiechnęła się blado.

– Proszę nie uważać na mnie. To minie...

Rozmowa przycichła. Wszyscy byli zwarzeni.

Herbatę podano w małym salonie. Przy płonącym kominku, rozmowa ożywiła się.

Nagle wszedł służący, niosąc srebrną tackę. Zbliżał się wprost do Stefci. Ona wpiła w niego oczy.

– Co to? – spytał ordynat.

– Telegram, proszę jaśnie pana, do...

– Do mnie! – zawołała Stefcia.

Lokaj skłonił się twierdząco.

Wszystkich oczy spoczęły na niej, potem na twarzy ordynata.

– Tak, do pani – rzekł ten ostatni powstając i oddał jej kopertę.

Rozerwała opaskę. Na policzkach miała gorące wypieki.

Obecni zataili oddech w piersi. Niepokój nauczycielki przy obiedzie i ten telegram do niej przeraził ich.

Stefcia przeczytała i opuszczając papier na kolana, rzekła bezdźwięcznym głosem:

– Babcia umarła. Wzywają mię na pogrzeb.

Odetchnęli. Spodziewano się czegoś gorszego.

Tylko pan Maciej zadrzał, jakby mu widmo zajrzało w oczy.

– Czy to zmarła babcia Rembowska? – spytała Lucia.

Stefcia wybuchnęła płaczem.

– Tak. Biedna babcia! Tak ją kochałam!... Boże! Boże!...

– Długo chorowała?

– Zmarła nagle w Ruczajewie... Nic nie rozumiem. Babcia bawiła ciągle za granicą. Muszę zaraz jechać, inaczej nie zdążę: telegram spóźniony.

Zerwała się z miejsca. Młody Michorowski spojrział na zegarek.

– Czy pani stanowczo chce dziś jechać?

– Muszę. Abym tylko zdążyła na pociąg.

– Na pociąg pani zdąży, ale trzeba jechać zaraz, a teraz noc.

Złożyła ręce błagalnie.

– Ja muszę jechać prędko.

– Ha, w takim razie każę zaprzęgać.

Przeszli do sali jadalnej. Waldemar wydał odpowiednie polecenia.

Pani Idalia wzięła Stefcię za rękę.

– Musi się pani pakować. Tylko proszę nie płakać. Biedna Stenia! – rzekła całując dziewczynę w czoło.

Lucia płakała na dobre.

Razem wyszły, udając się do swych pokoi.

W sali został pan Maciej w obszernym fotelu. Waldemar chodził nerwowym krokiem ze zmarszczoną brwią i płomieniem w oczach. Pan Ksawery kręcił się sennie. Trwało milczenie. Kroki Waldemara rozlegały się jednostajnie w sali. Wielki zegar tykał poważnie.

Pan Maciej siedział zasepiony. Spod brwi rzucał szybkie spojrzenia na chodzącego wnuka. Naraz zapytał:

– Czy nie wiesz, jak się nazywała z domu jej babka?
Zagadnięty potrząsnął głową przecząco. Starzec dotknął ręką czoła.
– Dziwnie mię wzruszył wyjazd Stefci i... ta śmierć.

Wszedł lokaj, oznajmiając, że konie gotowe. Za nim weszły panie. Stefcia już w czapeczce na głowie i w ciepłej sukni. Oczy miała zaczerwienione, usta pałające i jasne kolory na twarzy. Wzruszona zbliżyła się z pożegnaniem do pana Macieja. Staruszek bez ceremonii przyciągnął ją do swej piersi. Przemawiał do niej jak ojciec. Lucia płakała rzewnymi łzami.

– Stefcia, powrócisz prędko do nas, prawda?
– Będę się o to starała.

Gdy podeszła do Waldemara, cichy spazm zatkał w jej piersi. Jemu drżały usta. Pierwszy raz wobec wszystkich ucałował jej rękę.

Pan Maciej drgnął. Pani Idalia zacięła wargi, zwięzając oczy w typowe szpareczki. Lucia spojrzała z rodzajem tryumfu, jakby mówiąc: „Ja o tym dawno wiem”.

Wychodzili do przedpokoju. Pan Maciej zatrzymał Stefcię za rękę.

– Moje dziecko... twoja babka nazywała się Rembowska. Czy tak?

– Stefania Rembowska – odrzekła Stefcia i pociągnięta przez Lucię, wyszła z sali. Dziewczynka coś jej szeptała do ucha.

Pan Maciej został sam. Drzwi do przedpokoju były otwarte. Oparł się ciężko o ścianę i drżący zwrócił zdumione oczy na żyrandol, jakby liczył w nim pojedyncze światelka.

– Co to jest?... Stefania? Co to jest?... Ach, przewidzenie!

Postąpił krok i zawołał głośno:

– Waldemarze!

Stefcia, już ubrana, schodziła do dolnej sieni. Otwierano wielkie drzwi na ganek. Lucia i ordynat szli z nią razem. Pani Idalia, oparta o poręcz schodów, usłyszawszy okrzyk ojca, zawołała:

– Waldy, dziadek cię prosi!

Trochę niecierpliwie spojrzał na ciotkę i szybko wpadł na górę. W roztargnieniu nie zauważył niepokoju pana Macieja.

– Zapytaj Stefci, jak z domu jej babka... Prędzej!...

– Co się stało?

– Prędzej!

Waldemar wybiegł z powrotem. Stefcię zastał na ganku. Lokaj otwierał karetkę na sianach. Noc była jasna, księżycowa, skrząca od mrozu i śniegu. Konie parskały, słupy skrzepłej pary wychodziły z ich nozdrzy. Na koźle siedział Benedykt i lokaj kareciany z Głębowicz. Ordynat umieścił Stefcię w karecie. Sam otulał jej nogi wilczura.

– Przepraszam. Jak nazywała się babka pani?

Stefcia spojrzała zdziwiona.

– Rembowska.

– To wiem, ale z domu?

– Stefania Korwiczówna.

Michorowski wstrząsnął się. Krew uderzyła mu do głowy.

– Co panu jest? – spytała przerażona Stefcia.

– Nic, nic! Do widzenia! Niech pani oszczędza się i... jak najprędzej do nas wraca. Czy dobrze?...

Stefcię chwycił płacz.

– Nie wiem – wyjąknęła.

– Proszę o to bardzo.

Ucałował gorączkowo jej ręce i zatrzasnął drzwi.

– Benedykt! uważnie jechać. Wawrzyniec niech na dworcu wszystko pani ułatwi – krzyknął.

Niecierpliwe konie ruszyły z miejsca.

Waldemar patrzył za oddalającą się kareta, po czym odwrócił głowę w stronę, gdzie stały inne sanki.

– Pan ordynat jedzie? – spytał Jacenty.

– Nie wiem. Pewno nie. Czy aby szczęśliwie dojadą?

– Jasna noc, jak dzień. Droga jak po stole i przecie Benedykt na koźle – rzekł uspokajająco Jacenty.

Waldemar wszedł do sieni i wstępował na schody ciężkimi krokami. W głowie mu hucało, był blady. Wchodząc na ostatnią kondygnację schodów, zobaczył stojącego u ich szczytu pana Macieja.

Starzec wyglądał jak posąg. Nieruchomy, zmartwiał, opierał się ciężko o aksamitną poręcz. Oczy wpił we wnuka. Patrzyli na siebie w milczeniu, z przerażeniem... i zrozumieli się.

– Ona?... – jęknął starzec.

– Jest wnuczką tamtej – dokończył Waldemar.

Pan Maciej chwycił się za piersi. Twarz mu zsiniała. Ordynat poskoczył do niego.

– Dziadziu! Na Boga!

Starzec zwiśł mu bezwładnie w ramionach.

W kwadrans potem młody Michorowski wyszedł z sypialni dziadka do wylekłej służby blady, ale spokojny.

– Konie, którymi miałem udać się na kolej, niech natychmiast jadą po doktora. Pan zachorował.

Służba rozchodziła się w milczeniu.

II

W Ruczajewie zapadł cichy wieczór zimowy. Śnieg sypał gęsty, rozpylając się w białe tumany. Od ganku obszernego dworu odjechały sanki, które przywiozły Stefcie. Weszła witana przez rodziców, rodzinę i służbę. Twarze rozjaśniły się na jej widok. Stefcia w objęciach matki zapomniała o istotnym powodzie przyjazdu. Tuliła się do niej z cichym łkaniem. Pani Rudecka odgadła, że to coś innego niż żal po babce.

– Spóźniłaś się trochę, dziecko – mówił ojciec – już jest po eksportacji. Jutro pogrzeb.

– Ja, ojcusiu, wyjechałam natychmiast, ale telegram był spóźniony.

Wszyscy przyglądali się Stefcie z ciekawością, matka z rozczuleniem. Od czasu wyjazdu z domu dziewczyna wyładniała i nabrała powagi, zwłaszcza dystynkcji, potęgującej naturalny wdzięk. Ojciec znalazł w niej różnicę nawet od jesieni: w jego oczach Stefcia zwątląła. Jej śliczna cera nabrała tonów bledszych, stała się podobną do konchy perłowej. Różowe, kształtne usta uśmiechały się mniej wesoło. Oczy mogły zastanawiać. Fiolet ich wzmocnił się, delikatne brązowe obwódki i długie rzęsy ocieniały je w sposób nieco tragiczny. Wszystkie wrażenia jej duszy odzwierciedlały się w nich. Błyszczące iskry krasily je, nadawały wyraz bujności temperamentu i lekkiej egzaltacji. Odgadywało się w ich głębiach uczucia jeszcze inne: tęsknoty, smutku, może nawet żalu nie wypowiedzianego jasno... Jeden z jej młodych kuzynów, Narnicki, wyraził się o niej, że jest tak natchniona, że dawne diabliki w jej oczach wprawdzie nie zginęły, lecz stały się innymi, mniej błyszczącymi, ale więcej przykuwającymi. Nastrój całego domu był poważny, więc niezwykła powaga Stefcie nie raziła. Ją zastanawiał ojciec i matka. Widziała w nich zmianę, spoglądali na nią z obawą. Troska malowała się zwłaszcza na czole ojca. Gdy dziewczyna wspomniała rodzicom coś o panu Macieju, oboje przybledli i zamienili z sobą szybkie spojrzenia. Stefcie to zaniepokoiło. O Waldemarze starała się nie mówić. Nikt zresztą o niego nie pytał.

Tylko raz kuzyn Narnicki zagadnął ją zniecka:

– Czy Słodkowce to prywatny majątek, czy jedno z dóbr ordynackich?

– Prywatny majątek.

– A w jakim wieku jest ordynat?

Stefcia zaróżowiła się najniepotrzebniej.

– Ma lat trzydzieści dwa.

– Ach, to zupełnie młody człowiek! – zauważył Narnicki, patrząc na nią badawczo.

Pan Rudecki podchwycił:

– Widziałeś jego portrety w dziennikach, gdy obejmował ordynację po śmierci Janusza i po wyprawie do Afryki.

– Tego nie pamiętam. Ale przypominam sobie, że podobizny jego podawały pisma po wystawie. Przystojny człowiek, a nade wszystko...

– Wspaniały... czy tak? – rzekł pan Rudecki.

– I typowy wielki pan. Można to poznać od razu. To nie jakiś dorobkiewicz udający pana, ale karmazyn rodowy. Widać to nawet z twarzy. Ma przy tym wiele pewności siebie i dumy, ale w dobrym rodzaju.

Stefcia miała ochotę wypowiedzieć, jakim jest Waldemar, ale czuła, że nie potrafi mówić o nim obojętnie. Ograniczyła się do krótkiej uwagi:

– Kuzyn ma słusność. Prawdziwa arystokracja różni się pod każdym względem od swych naśladowców. Szczególnie przy bliższym poznaniu różnica występuje znamienne i bardzo na jej korzyść.

Pan Rudecki spojrział z ukosa na córkę.

– Byle nie przy najbliższym – szepnął do siebie, a głośno dodał: – O tym najczęściej decydują fakty.

Nie bardzo rozumiano, co chciał przez to powiedzieć. Późno w nocy, gdy się wszyscy rozeszli, Narnicki swe uwagi o Stefci sformułował w jeden pewnik:

– Jest pod wpływem arystokracji, zwłaszcza ordynata – może nawet...

Nie chciał dokończyć myśli, gdyż Stefcię widział od dawna w swym programie życiowym – teraz punkt ten podkreślił jako stanowczy.

Pogrzeb na drugi dzień odbył się z licznym udziałem okolicznego obywatelstwa, chociaż zmarła nic była stałą mieszkanką Ruczajewa. Zwłoki złożono tymczasowo w rodzinnym grobie Rudeckich, skąd potem miano je przewieźć do majątku Rembowskiich.

Stefcia w orszaku żałobnym odmówiła ramienia Narnickiemu. Szła sama, trochę z boku, brnąc w śniegu zmiecionym ze środka drogi. Czarne ubranie i welon krepowy dodawały smukłości jej zręcznej postaci. Szła smutna i zamyślona. Zmarłą babkę widziała przed rokiem, wówczas gdy Prątnicki bywał w Ruczajewie jako starający się.

Siwa staruszka wzbudzała poszanowanie, przy wielkiej słodyczy obejścia. Rysy twarzy, jakkolwiek zwiędłe, zachowały do końca regularność linii. Zastygła w nich tragedia, przeżyta w zaraniu życia. Stefcia była żywym portretem babki, co stwierdzały stare jej fotografie.

Od wczesnego dzieciństwa, słysząc o jakiejś smutnej historii w młodości babki, Stefcia interesowała się nią niezmiernie. Ale jakiego rodzaju mogły być te smutki, nikt nie chciał jej objaśnić. Staruszka, zapytana wręcz, zbladła, zalecając wnuczce, aby na przyszłość nie zadawała podobnych pytań.

Babka Stefci od dawna cierpiała na serce, uważano bardzo, aby jej nie rozdrażniać. Z tego powodu nic nie wiedziała długi czas, że Stefcia nie jest w domu. Wiadomość o zerwaniu z Prątnickim staruszka przyjęła ze wzruszeniem, nie chciano tego ponawiać.

Śmierć staruszki była dla Stefci zagadką. Na wszelkie jej pytania ojciec odpowiadał:

– Dowiesz się potem.

– Może ja gram tu jaką rolę? – pytała siebie Stefcia.

Ciekawość dręczyła ją, zachowanie się ojca niepokoiło. Gniewał ją także Narnicki. Stefcia łatwo odgadła, że on ma względem niej zamiary. To ją zirytowało, postanowiła zaraz po pogrzebie wyjechać z powrotem do Słodkowic.

Zadrzała na tę myśl, oczy zaćmił obraz Waldemara widziany ostatni raz, krótko, lecz pamiętnie. Powitanie ich w parku nic schodziło jej z myśli. Wówczas wyraźnie odczuła, że jest kochaną. We własnej duszy odkryła tę prawdę już dawno. W czasie jego długiej nieobecności utwierdziła ją w tym tęsknota tak silna jak sama miłość. Kiedy przy pożegnaniu pocałował ją w rękę, żar jego pocałunku wstrząsnął nią, biorąc górę nad zmieszaniem z powodu obecności wszystkich. Widziała jego sanki, oczekujące przed gankiem. Jacenty wyjawiał ich cel. Waldemar miał ją odprowadzić na stację. Coś jednak zaszło, że tego nie skutecznili. Może pani Idalia przeszkodziła? Na nią by nie uważał. Więc pan Maciej?

Ostry ból przeszył serce Stefci, ale rozumiała, że trudno wymagać od starego magnata, aby tolerował postępowanie wnuka idące w takim kierunku. Ta pewność spotęgowała jej żal i trzeźwiła ją.

– Nie wolno, nie wolno mi myśleć o nim! – powtarzała sobie z uporem.

Idąc po kopnym śniegu zmęczyła się, rozmyślania o Waldemarze zaciężyły jej. Ogarnęło ją znużenie. Gdy podszedł Narnicki podając jej ramię, tym razem nie odrzuciła go. Oparła się na nim ciężko. Nic mówili do siebie nic. Stefcia pochyliła głowę i przyknęła oczy. Chciała sobie uprzytomnić, że idzie w ten sposób z Waldemarem, lecz nic potrafiła, czując, że tego z tamtym nie można porównać. Wstrząsnęła się. Narnicki pochylił się do niej.

– Czy ci nie zimno, kuzynko? Może jesteś zmęczona? Zaprowadzę cię do sanek.

– O nie, wolę iść piechotą.

Narnicki patrzył z boku na jej śliczny profil, widział jej poruszenie, lecz składał to na wrażenia wyłącznie pogrzebowe. Szary, mglisty dzień i długi kondukt, wijący się pod górę z czarnym wozem i krzyżem, nasuwał posępne myśli. Na szczycie pagórka czerniały wysokie

świerki cmentarne, gąszcz krzyżów tulił się pod masą drzew. Zimowe ptactwo świergotało, mieszając swe głosy z monotonna, urywaną nutą śpiewu. Ciężki żal owiewał idących ludzi. Za żałobnym orszakiem płynęły przejmujące głosy dzwonów, na spotkanie szumiały tęsknie świerki. Kondukt sunął wolno, poważnie, wiodąc pomiędzy drzewa i krzyże jedną z dusz ludzkich, skolataną życiem.

W ceremonii pogrzebowej jest zawsze ponury i groźny nastrój. Bezmierny smutek, beznadziejność skłania do głębszych rozmyślań. Nigdy nie rozwiązane zagadnienie tajemnicy pozagrobowego bytu, nieprzenikniona abstrakcja przyszłego istnienia muszą oddziaływać poważnie, nawet przerażać. Odczuwa się niepokój i dreszcz obawy, a jednocześnie budzi się zaciekawienie, jak tam jest i co się roztacza przed ludzkim duchem. Stefcia, zwykle bardzo wrażliwa, odczuwała to głęboko. Śmierć wydała się jej pierwszy raz straszną. Czuła, że kocha życie, kocha świat. Nie ukrywała już swych uczuć przed sobą, kochała Waldemara całą potęgą młodej duszy. Dawna skłonność do Prątnickiego przy nowych uczuciach była kroplą mgły wobec oceanu, sam Prątnicki karykaturą, robaczkiem. Bo każda rzecz wzniosła zagłusza nędzną. Kłosa zawsze zaćmią kąkole, choćby te były najbarwniejsze.

Z uczuciem smutku wsiadła Stefcia do sanek po skończonym pogrzebie. Śpiewy, dzwony, woń kadzidła – rozdrażniły ją. Nerwy miała poruszone, bujna jej wyobraźnia przedstawiała wizje męczące. Ocknęła się w domu, zgodziła się nawet na ciągłą obecność Narnickiego, byle zapomnieć, byle zrzucić z siebie nieznośny ciężar.

W parę godzin po powrocie z cmentarza nadszedł telegram kondolencyjny do państwa Rudeckich ze Słodkowic, z podpisami obu Michorowskich, pani Idalii i Luci. Drugi był do Stefcii od Waldemara, w mniej ceremonialnym, serdecznym tonie. Waldemar wzmiankował o nagłym zasłabnięciu pana Macieja. Na Stefcie wieść ta podziałała piorunująco. Nie potrafiła ukryć wzruszenia. Na twarzy wykwitły ogniste wypieki.

– Co się mogło stać tak nagle? – rzekła pokazując telegram ojcu. Ale gdy Narnicki chciał wziąć, odebrała mu prawie z ręki. Zdziwiony wzruszył ramionami, lecz w domysłach swych posunął się naprzód. Nie czytana depesza Waldemara zaintrygowała go w dziwny sposób.

Pod wieczór mało osób pozostało w Ruczajewie, ale Narnicki nie wyjechał. Stefcia na wyraźną wolę rodziców musiała przebyć w domu jakiś czas.

Gdy znalazła się sama z ojcem w jego gabinecie, spytał ją ciekawie:

– Czy pan Maciej wiedział, jak się nazywała babcia?

– Wiedział i powiedziałam mu to jeszcze przed samym odjazdem, bo się pytał – odrzekła, blednąc z nieznaną trwogi.

– Czy wiedział również, jak z domu? To niemożliwe!

– Nie, o tym nie mówiłam nigdy, dopiero na końcu ordynatowi, gdy się zapytał.

– Ach! więc jednak pytał?

– Gdy wsiadałam już do karety.

– Ach tak! A czy pan Maciej był zupełnie zdrow, jak wyjeżdżałaś?

– Nie narzekał na nic.

– Musiał się od ordynata dowiedzieć i zachorował – szepnął pan Rudecki jakby do siebie.

– Co ojczuś mówi? Czego się miał dowiedzieć?

– Czekać, dziecko. Za chwilę zrozumiesz.

Otworzył biurko i wyjął spory pakiecik, starannie zawinięty w poźółkły papier, obwiązany czarną wstążeczką. Oddał go Stefcie, mówiąc drżącym głosem:

– To dla ciebie, dziecko, od babci. Poleciała mi to oddać tobie po pogrzebie. Babcia, umierając, troszczyła się o ciebie bardzo i oddała w twe ręce najdroższą swą pamiątkę. Była to jej świętość... uszanuj to, dziecko moje, i... niech cię Bóg strzeże! Dobranoc!

Poruszony, ze łzami w oczach, pan Rudecki ucałował oniemiałą Stefcie i prędko wyszedł z pokoju.

Stała na miejscu jak przykuta, obracając w ręku poźółkły, dość ciężki pakiecik. Ulaty-

wała z niego woń starych papierów. Stefcie ogarnął niepokój, strach paniczny i ciekawość, co się znajduje pod czarną wstążeczką związaną na krzyż. Palcami chciała wyczuć zawartość paczki, zrozumiała, że jest w niej książka. Pobiegła do siebie, szepcząc jak nieprzytomna:

– Najdroższa pamiątka babci... jej świętość... Przeznaczyła dla mnie... Dlaczego?...

Głucha obawa przyspieszyła bicie jej serca. Stefcia wpadła do swego pokoju i zatrzasnęła drzwi.

– Czy oddałeś jej? – spytała pani Rudecka wchodzącego męża.

– Tak. Poszła do siebie. Biedne dziecko!

Pani Rudecka miała pełne oczy łez.

– Zmieniła się bardzo... Ale co sądzisz o niej?

– Kocha ordynata na pewno.

– I znowu Michorowski!... Boże! Boże!...

– Wina twej matki, że tak mało znając jej historię, nie znaleźliśmy wcale nazwiska.

III

Stefcia w swym pokoju, przy biurczku, odwiązywała paczkę. Przedtem paliła ją ciekawość, teraz umyślnie zwlekała.

Odwinęła jeden papier, drugi. Gorączka zaczęła ją opanowywać, na twarzy miała wypieki, oczy płonęły. Nerwowym ruchem zerwała ostatni papier. Leżał teraz przed nią dość gruby zeszyt, ładnie oprawiony w ciemnopąsową skórę. Na środku widniał złoty, nieco poczerwiał napis: „Nasz pamiętnik”. Na dole zeszytu stały obok siebie pojedyncze duże litery: S.K. M.M. Stefcia długo patrzyła na pąsową książkę, nim ją wreszcie otworzyła. Wypadł z niej mały przedmiot, owinięty w bibułkę, i brzęknął na podłodze. Podniosła go, rozwinęła i z piersi jej wydarł się krzyk. Trzymała w rękę miniaturę pana Macieja... taką samą, jaką jej dał na imieniny...

Dziewczyna stała jak ogłuszona, ściskając oburącz skronie.

– Co to jest? On... tu? Co to znaczy?...

Z pośpiechem, trzęsąc się jak w febrze, otworzyła książkę. Szalone przecucia targały nią rozpaczliwie. Na drugiej kartce, na welinie, czerniał wyraźny, ładny charakter kobiecej ręki.

Stefcia czytała gorączkowo:

„Pamiętnik ten poświęcam naszej głębokiej miłości, jako dokument wieczny nigdy niewygasłych uczuć, stałej i obopólnej względem siebie wiary, bezgranicznej ufności i przywiązania...”

Pismo kobiece urywało się, tuż pod nim stały litery kreślone męską ręką:

„...by z czasem przyszłe pokolenia miały żywe świadectwo, że miłość jest potęgą kruszącą wszystko, że gorące uczucia zdolne są iść przebojem, łamać zapory i paść sobie w ramiona z okrzykiem niezmiernego szczęścia. Aureola otaczająca szczęśliwą miłość błyszczy tak jasno, jak nad głowami świętych. Aureola taka zajaśniała nad nami i dozogonną miłość naszą opromieniać będzie wiecznie”.

Pod tym następowały podpisy:

Stefania Korwiczówna.

Maciej, ordynat Michorowski.

– Jezus Maria!... – jęknęła Stefcia, padając ciężko na kolana.

Była jak martwa. Krew jej skrzepla w żyłach. Opanowało ją znieczulenie. Serce biło słabo z przerażenia i grozy. Klęczała z twarzą ukrytą w dłoniach. Głuche łkania wydzierały się jej z piersi przemocą, ale więzły w ściśniętej kurczowo krtani.

Wreszcie płacz wielki, rozdzierający, brzemienny bólem niewysłowionym, zatargał jej postacią. Zrozumiała wszystko, co było dla niej tajemnicą. Stała w jej myśli sala portretowa w Głębowiczach i opowiadanie Waldemara. Więc tamta nieszczęsna narzeczona pana Macieja, którą kochał i porzucił, to jest jej babka?!... Więc ta wyniosła pani na portrecie, księżniczka de Bourbon, zajęła miejsce jej babki? Ona zabrała wszystko, co się tej należało, i miłość ukochanego człowieka... Miłości nie wzięła – to jedno pozostało własnością skrzywdzonej. Ale... może nawet o tym nie wiedziała?... Ona czuła się nieszczęsną, lecz i tamta kobieta miała ciężkie życie, i tamta cierpiała... Tu i tam sfera, fanatyzm, przesady zagroziły drogę do szczęścia.

A jednak on myślał inaczej. On mówił na pierwszej stronie pamiętnika, że gorące uczucia łamią wszystkie zapory. Stało się inaczej. Uległ fanatyzmowi własnej sfery, porzucił kochaną i kochającą kobietę dlatego tylko, że nie pochodziła z arystokratycznego domu. Nie wytrwał w zasadach, jakie głosił, jakie ją upajały. Zerwał zobowiązania, poszedł nie za głosem serca, lecz tam, gdzie wiodła go sfera i pyszny ród magnacki. Mitra dążyła do drugiej mitry, nie troszcząc się, że zdruzgotала serce, zbyt skromne, by się na nie oglądać. Dobry herb szlache-

ki, dobre nazwisko, lecz nie wpisane do złotej księgi magnatów, nie mogło łączyć się z błyszczącym herbem i nazwiskiem Michorowskich. Taka sobie pięciopalkowa korona może być chwilową zabawką dla mitry, ale nigdy zespolić się z nią. Na to istnieją odpowiednie przepisy i paragrafy. Przekroczenie ich uważane jest za zdradę stanu, za zbrodnię sferową. Takie przekroczenia karane są wydziedziczeniem, usunięciem z wyżyn sfery. Maciej zląkł się kary, poświęcił serce dla Molocha i całe życie nie zaznał szczęścia.

– Straszne! straszne!

Stefcię, wnuczkę tamtej, los zaprowadził w te same progi, rzucił prawie w te same warunki. Ona tego człowieka pokochała jak ojca...

Los nie tylko się na tym ograniczył, złe fatum poszło dalej. W tych samych progach jest znowu młody ordynat, noszący to samo nazwisko, i jest równie świetny.

Powtórzenie przeszłości.

Straszna ironia losu!

Stefcia zerwała się z klęczek; rozpaloną twarz przyciskając rękoma, przebiegła kilka razy pokój.

– Muszę to przerwać, muszę skończyć, choćby mi serce miało pęknąć – szeptała w gorączce. – A teraz czytać, czytać!

Oparła głowę na dłoniach, wpiła się palcami w skronie i czytała z bolesną chciwością.

Stefcia Korwiczówna opisywała krótko swe życie, rodzinę, warunki, wśród których wzrastała, wreszcie następował rozdział zatytułowany *Królewicz z bajki*.

Stefcia Rudecka czytała:

„Marzyłam o nim, nie znając... byłam pewna, że przyjdzie taki i od razu mię weźmie. Miałam już przecucie szczęścia. Śmiał się ze mnie ojciec, nakładając długi cybuch fajki, i zwykł był mawiać: «Marzycielka, marzycielka!»

Jakoż była to prawda. Może pod wpływem starej niani, która mię karmiła bajkami, lubiłam marzyć i snuć złote sny. Kochałam piękne wieczory majowe i zachody słońca, bo wówczas, bujając w przestworzach rojeń, widziałam jego – królewicza z bajki. Lubiłam słuchać śpiewu słowika i rechotania żab, nasuwało mi to słodkie myśli. I zdarzył się dzień przepiękny. Pozostanie on dla mnie pamiętnym. Ujrzałam jego – królewicza z bajki...

Było to na wielkim festynie w bogatym pałacu szambelana Łosiatyńskiego. Mój ojciec jest jego kolegą szkolnym i serdecznym przyjacielem. Zjechaliśmy na bal całym domem. I kiedy w gronie panien wchodziłam z ogrodu na taras, w różowej tarlatanowej sukni i kwieciu we włosach, ujrzałam jego w stroju ułańskim. Od razu poznałam swój wymarzony ideał. Przystojny, zgrabny, z niedbałą elegancją, wytwornym obejściem i z wielkopańskim tonem w całej postaci, zachwycił mię, przykuł do miejsca. Zbliżył się do nas prędko i przedstawiony przez szambelana, pierwszy raz uścisnął mi rękę. Ach! te jego ciemnoszare oczy! Miały trochę szyderstwa, ale tyle przy tym ognia i siły...”

Stefcia podniosła głowę, ręce spłotła kurczowo i szeptała:

– Zupełnie jak ten... zupełnie!... Przystojny, z niedbałą wielkopańską elegancją, z szarymi oczyma, z szyderstwem i siłą w wyrazie. Zupełnie jak ten... Dalej!... co dalej?

„Pokochaliśmy się od razu, dusze nasze leciały ku sobie bez słowa. Ze mną tańczył najwięcej i tak umiał mówić, tak porywać!... Wyjechałam z balu oczarowana. Przestrasza mię jego wielkość. Przyjaciółki mówią mi, że on magnat, ordynat na Głębowiczach. Michorowski, z mitrą księcia w herbie, milioner. Nie chcę o tym słyszeć, mając w oczach jego obraz. Przyjaciółki ostrzegają mię, że taki magnat nie dla mnie, że nie powinnam o nim nawet śnić”.

– Boże! Boże! – jęknęła Stefcia.

„Ale nie wierzyłam, czując, że i on mię pokochał. Jakoż wiara mię nie zawiodła. W kilka dni po balu był u nas w Sniżewie i już widuję go prawie co dzień. Najpierw przyjeżdżał od

Łosiatyńskich, potem parę razy prosto z Głębowicz rozstawnymi końmi, choć to szalony kawał drogi. Ach! co za szczęście, gdy usłyszysz trąbkę strzelca głębowickiego! Znam już ją tak dobrze jak dzwonek naszego kościółka. Tymczasem Maciej kupił w naszej okolicy nieduży majątek (zdziwił tym wszystkich weteranów) i tam zamieszkał, odwiedzając nas stale. Wszyscy zrozumieli powód dziwnego kupna. Ojciec mój z początku krzywo patrzył na te konkury, ale już nie bronił. Jemu zaimponowało świetne nazwisko i ordynacja. Polubił Macieja za jego dzielność i za prawe, szlachetne zasady. Bardzo prędko wyznaliśmy sobie naszą miłość. Teraz Maciej deklarował rodzicom. Ojciec mój z początku gniewał się, mówił, że powinien najpierw otrzymać pozwolenie własnej rodziny, ale Maciej za to ręczy swoim honorem. A ponieważ jego matka i stryj, najbliżsi krewni, nie są w kraju, więc zaręczyny nasze już się odbyły. Jakże go kocham i jak on mię kocha! Odtąd życie płynie nam w blaskach promiennej zorzy i chyba przetrwa wieki, bo tak wielkie szczęście nie może mieć kresu”.

Trochę dalej był jego dopisek:

„...Szczęście nasze wzmocni się, ukochana, gdy się połączymy węzłem nierozzerwalnym... gdy wsparta na mej dłoni przejdiesz przez życie zawsze taka czysta, biała i urocza. Nie trwóż się, nie obawiaj, zawierz memu słowu: będziesz moją, ty albo żadna!... I nie myśl, że szczęście nasze natrafi na jakoweś przeszkody stawiane przez mój świat. On stanie się i twoim: nie ma różnic sferowych tam, gdzie jest miłość. Muszą się na to zgodzić wszyscy moi i pokochają cię, jedyna, boś godna tego”.

Stefcia oddychała szybko, płacz ją chwycił na nowo. Tłumiąc łzy, siłą woli uspokoiła się i czytała. Następowaly rozdziały tchnące szczęściem, bezmierną radością młodych, gorących dusz. On dopisywał się w wielu miejscach. W jednym rozdziale ona pisała:

„Boję się, czy ta wielkość jego nie zaćmi nam promiennej drogi... czy sfera, do której on należy, nie skuje go kajdanami. To jak chmura plami moją zorzę”.

Po tym urywku był znowu jego dopisek, już w drugim rozdziale:

„Gdyby nawet nastąpiła walka, jak przypuszczasz, moja najdroższa Steniu, pamiętaj, że twój Maciej zaręczył honorem; zanadto cię kocha, żeby pozwolił sobie wydrzeć największe szczęście. Zwalczę wszelkie przesady, gdyby istniały, chcę iść przebojem, a nie dam się skuć w kajdany. Proszę cię, jedyna, ufaj mi bezgranicznie. Zobaczysz, ile szczęścia oczekuje nas!”

Widocznie on odczytywał pamiętnik narzeczonej i dodawał własne myśli. Razem opowiadali cudną epopeję swej miłości, razem nurzali się w szczęściu. Były w pamiętniku opisy wspólnie przeżytych dni i opisy rozmów. Potem obraz zaczął się zaciemniać. On wyjechał do rodziny po pozwolenie i błogosławieństwo, ona miała się przygotowywać do ślubu. Rozdział ten był wstrząsający. Babka Stefcia pisała:

„Straszną miałam chwilę, gdy ujrzała kocz jego zaprzężony do drogi. Staliśmy oboje w ogrodzie. Bzy kwitły, śpiewały słowiki i tak było cudownie na świecie!... Maciej, wzruszony bardzo, całował mię, tuląc w objęciach. Prosił, bym się nie obawiała, mówił, że wkrótce powróci z pozwoleniem matki i zawiezie mię do niej po błogosławieństwo. Boję się tej dumnej pani. Jest podobno bardzo piękna i pochodzi ze znakomitej rodziny hrabiowskiej na Węgrzech, Esterhazych. Wierzę Maciejowi i ufam głęboko, ale gdy wyjeżdżał, serce pękało mi z bólu, rozpływałam się we łzach. Nareszcie wybiła godzina rozstania: musiał jechać. Po długich pożegnaniach i zaklęciach, gdy kocz ruszył z miejsca, krzyknęłam przeraźliwie: «Ma-

cieju, nie odjeżdżaj!» – Ogarnęła mię rozpacz. On zatrzymał się, wyskoczył z pojazdu i udało mu się mię utulić. Tyle wzbudził we mnie wiary, że ostatecznie pożegnałam go z uśmiechem. Ojciec mój błogosławił go krzyżem. W miarę jak się oddalał, głucha rozpacz wzbierała w moim sercu, czarna zasłona spadła mi na oczy. Gdy kocz jego zniknął na zakręcie drogi, padłam bez czucia!”

Stefcia Rudecka potarła czoło.

– To było pewno... ostatnie ich widzenie się – szepnęła zbladłymi ustami.

Dalsze stronicie miały w sobie pełno smutku. Osobno powklejane listy od niego, bardzo czułe, świadczyły, że kochał ją stale. Długim szeregiem kart rozwozowały się żale i tęsknota młodej narzeczonej. Rozdziały szły coraz krótsze, coraz smutniejsze. Miejscami plamiły welin wyraźne ślady łez, nie zatarte przez lata. Listy od niego urwały się. Jeszcze kilka smutnych stronic i Stefcia zobaczyła wklejony krótki list, zapisany obcym pismem, oprowadzony czarną obwódka z atramentu, widocznie zrobioną przez jej babkę. Był to list od stryja, Cezara Michorowskiego, opiekuna ordynata Macieja. W zimnych słowach oznajmił on Stefci Korwiczównie o zerwaniu zaręczyn z Maciejem – z jego wiadomością i zgodą. Stawiał za główny powód nierówność partii i różnice sferowe. Zresztą nie tłumaczył się bardzo. Dopisek Macieja zdradzał pewien wstyd, nawet smutek, ale nic więcej. Młody Michorowski odsyłał pierścionek dodając, że los dzieli ich nieodwołalnie. Życzeń na przyszłość nie składał, nie nazywał przeznaczenia głównym winowajcą. Musiał pojmować, że rani jej serce, i nie chciał takimi wykrętami dobijać jej.

Stefcia powstała oburzona.

– Więc tak?... Więc gdzież są jego zapewnienia, które czytałam na początku pamiętnika... Gdzież miłość krusząca wszelkie przesady? Więc ta sfera jest aż tak silną, że łamie najświętsze zobowiązania? Ze pozbawia honoru z taką łatwością, z jaką ściąga się pierścionek z palca?... Gdzież są jego słowa wobec czynów?... Więc blask tej sfery jest tak wielki, że potrafi wchłaniać w siebie ciemne i brudne plamy bezkarnie? Więc będąc magnatem można deptać serca ludzkie? zabijać je niemiłosierną doktryną swych przesądów? poświęcać je dla milionów i blichtrów? Gdzież sumienie?!... gdzie serce?! gdzie uczciwość?! gdzie wreszcie własne pragnienie szczęścia, wkorzenione w duszy każdego człowieka? Czy to wszystko dąży za sferą – dla zasady?...

Stefcia biegła gorączkowo, mówiąc do siebie urywane słowa jak w malignie. Pierś jej falowała szybko, pełna niewysłowionej goryczy.

– A Waldemar?... i ten tak samo mówił w sali portretowej. On winił dziadka, zarzucał mu brak energii i stanowczości. Ale czy sam potrafiłby postąpić inaczej? Czy zdołałby złamać przekonania, zdruzgotać fanatyzm swego świata? Czy tytuł, sfera, miliony nie są jego wyłącznym dogmatem, wpojonym w krew? Czy dla niego miłość ukochanej kobiety mogłaby być absolutną i czy dla niej położyłby wszystko na szali? Czy jego słowa nie są równie puste i beztreściwe, jak były tamtego?...

Pytania cisnęły się Stefci na usta z bolesną ironią. Serce broniło Waldemara, dodawało mu skrzydeł, apoteozowało go niemal. Lecz rozum zimną i szorstką dłonią tłumiał idealne porwy, nasuwając krytyczniejsze myśli. Stefcia wołała w uniesieniu:

– I ten postąpiłby tak samo! Boże! Boże!... dodaj mi sił do wycofania się z tego błędnego koła. Całe szczęście, że on może nie kocha mnie tak, jak tamten babkę. Jak ona to zniosła, jak przeżyła?

Stefcia, mówiąc do siebie, chwilami głośno, często nie rozumiała się. Ostatnie pytanie wznowiło jej ciekawość, rzuciła się do książki.

Już tylko kilka kartek, pisanych nierównym pismem.

Czytała:

„Wszystko kłamstwo: i jego miłość, i jego zapewnienia, i ta wiara, którą mnie poił – wszystko! Sam zbudował nasze krótkotrwałe szczęście i sam zakopał je w grobie, by sadzić na nim kwiaty swej przyszłej chwały. Nikczemny! podły!... Nie, nie – zawsze kochany, na wieki, na życie całe! To tamci podli... ci, co go obezwładnili, co mu nałożyli pęta. A jednak dał słowo honoru, uległ im, więc któż on jest?... Słaby, bezsilny. A może nie kochał mię? Niechby pozostała choć ta nadzieja, jako jedyny kwiat z cudnej łąki, jako jeden promyczek tęczy z świetlistej zorzy! Czy on mię kocha jeszcze, czy cierpi nad zerwaniem? – to pytanie poniosę do grobu. Zgniótł mię, zdruzgotał, strącił z wyżyn szczęścia. Kilka nielitościwych słów wystarczyło do zabicia duszy, żyjącej dla niego, i serca, które sam obudził. Przeklęty świat! przeklęta sfera! ona mi go zabrała!... Nie! bo on jest z niej, on wśród niej żyje. To tylko przeklęty los! Kocham go – nienawidząc, kocham – pogardzając! Jak mi ciemno, jak głucho, jak bezgranicznie głucho! Znikąd światła! nic, nic!...”

Pismo kończyło się. Kilka kartek nie zapisanych, pustych jak dusza, co w nich zamarła... Na ostatnich stronicach Stefcia czytała ze ściśniętym sercem:

„...Ożenił się w Paryżu... z księżniczką de Bourbon, córką znakomitego rodu, spokrewnionego z królami. Gazety roznoszą ich podobizny: piękni oboje; nie wyglądają jednak na szczęśliwych, ale to może tylko moje oczy tak coś ćmi. Pobrali się i będą szczęśliwi... A ja? a ja?... Wobec księżniczki de Bourbon cóż znacze? Nic dla niego, nic dla świata. Złamane mam serce, złamaną duszę, ale wobec miły księżęcej i to nie znaczy nic. Dwie korony, świetne, błyszczące, i ja... z krwawą raną. Ach! jakaż nędza!...”

Długa przerwa, potem kilka gorzkich słów i znowu ślady łez.

„...Taka wielkość... i taka podłość! Jak on mógł tak postąpić? I dlaczego ręczył? Czyż i on rozczarował się, czy wierzył w nasze połączenie?... Och! on wierzył! Niepodobna, aby był tak niesłuchanie obłudnym. On szlachetny, tylko słaby, a ta sfera to potęga, tytaniczna siła... porwała go, chwycił go prąd bez ratunku. Gdyby już nie pisał, nie odsyłał pierścionka... Ale taki lód w jego słowach! O Boże!

Przyjechał z Głębowicz jakiś urzędnik, podobno sekretarz. Sprzedaje Wołkszę, jego majątek w naszym sąsiedztwie. Pewno! już mu teraz niepotrzebny. Wołksza. Wołksza!... jakie to dla mnie było drogie imię. Stracone wszystko! pustka, pustka... zabijająca, okropna! i czarne robactwo rozpaczy. Mrowie... mrowie... robactwa!

Taka ironia! Kochałam świat, teraz go nienawidzę. Napoił mię goryczą. To już moja Golgota.

A żyć trzeba. Nie dano mi umrzeć: odratowali mię, wydarli truciznę z mego organizmu... Rozpacz! rozpacz! Nasz kapelan mówi mi wiele o Bogu i obowiązkach względem Niego. Czy to ratunek?...”

Znowu przerwa – po czym kilka słów:

„Ojciec mój miał atak sercowy. Maciej i jego zabił. Jestem jedynaczką, kocha mię bardzo i cierpi, strasznie cierpi”.

Szereg czystych kart, na ostatniej zakończenie:

„...Rok po śmierci ojca... Wychodzę za mąż. Musiałam to przysiąc umierającemu ojcu, spełniam ostatnią jego wolę. Wychodzę za człowieka, którego mi sam wybrał, i na łożu śmierci, w ostatniej chwili złączył nam ręce, kazał przysięgać. I już jutro mój ślub. Mój ślub!

Czy to możliwe? Boże, jaka męka! Tak się kończy na świecie wszystko, na tym okrutnym, kłamliwym świecie. Rana moja nie zagojona i pozostanie otwartą. Powiedziałam Rembowskiemu wszystko, jednak zgodził się wziąć mnie za żonę.

Podziwiam jego odwagę! On mnie kocha... Gdyby było inaczej, gdyby nie kochał, wobec mego wyznania mógłby mnie rozwiązać z przysięgi. Znalazłabym spokój może za kratą! Ale ja się nie boję nowego życia. Nic mnie już gorszego nie czeka. Tylko dziś, dziś w wilię ślubu, gdy zamykam na zawsze ten nieszczęsny pamiętnik, dziś przeklinam minione szczęście! Nie zaznam go już więcej. A on, jeśli zapomniał i jest szczęśliwy... niech nim pozostanie. Ja go nie przeklinam, ale to się mści, to się zemścić musi!”

Koniec.

Stefcia zamknęła gwałtownie książkę. Przerazenie, ból niezmierny, żal i ostatnie słowa pamiętnika: „To się mści, to się zemścić musi!” – porwały ją z miejsca.

– Straszne! Straszne!

Dziewczyna, rozdrażniona wrażeniami i długim czuwaniem, nie panowała już nad nerwami. Stanęła przed nią wizja bladej mary, mścicielki, rodowej Nemezys i wyciągała do struchlałej ramiona.

Stefcia krzyknęła głośno.

Drzwi się otworzyły, weszła jej matka.

Stefcia przypadła do niej z okrzykiem trwogi, kolana się pod nią gięły, uklęknęła.

– Mamo! mammo! wiem wszystko, czytałam... Straszne! To się mści, to się mści!

Pani Rudecka pochyliła się nad córką.

Blady zimowy świt, wpełzający przez okna, uwypuklał zboląłą grupę, nad którą zawisła groza.

IV

Długi czas Stefcia nie mogła się uspokoić. Odkryta prawda była dla niej tym boleśniej-sza, że i sama kochała Waldemara. Dramat babki zdawał się w niej powtarzać.

– Jak to się stało, mamó? Jak to było z babcią? – pytała Stefcia.

Pani Rudecka tuliła zażawioną córkę, razem z nią przerażona.

– Słyszałaś, moje dziecko, że babcia nic nie wiedziała, gdzie się właściwie znajdujesz. Nie wymieniałam nazwiska pani Elzonowskiej: to by ją od razu uświadomiło, że jesteś w domu arystokratycznym. Ona obawiała się dla nas arystokracji. Napisałam, że jesteś w rodzinie obywatelskiej, u naszych znajomych. Pytała się o ciebie często, wyrzucając nam, żeśmy cię oddali do obcego domu. I nas to gryzło, tęskniliśmy za tobą. Ale czekaliśmy cierpliwie do roku. Tak się tobą cieszyłam, kiedy ojciec powrócił z wystawy i opowiadał, żeś jeszcze wyładniała, że masz wielkie powodzenie. Te kwiaty przysłane mówiły o tym. Byłam szczęśliwą, tylko... – zresztą mówmy o babci.

Stefcia zrozumiała, co matka chciała powiedzieć.

– Mówmy o babce – ciągnęła pani Rudecka. – Jak wiesz, była ona patriotką, interesowało ją, co się dzieje w kraju i u nas. Na jej żądanie ojciec opisał wystawę dość obszernie i dużo wspominał o tobie. Stało się to niedawno. W liście wymienił nieostrożnie nazwisko pani Elzonowskiej jako matki twej uczennicy; dodał, że jest z domu Michorowska. Nie pojmuję, co się ojcu stało. Same nazwiska świadczyły, że przebywałeś u magnatów. Ale biedny ojciec nie wiedział, co wstrząśnie najbardziej babcią. Przy tym chcąc jej zrobić przyjemność, posłał kilka ilustrowanych pism z czasu wystawy, gdzie były szczegółowe informacje dotyczące wystawców, ekspertów oraz opisy zabaw. Między portretami znajdował się wizerunek młodego ordynata, Waldemara. W liczbie pań ekspertek wymieniono panią Elzonowską, z domu ordynatównę Michorowską, córkę Macieja i księżniczki de Bourbon. Wszystko to zrobiło na biednej babci nagle i straszne wrażenie. Nastąpił silny atak sercowy i pomimo przedstawiań doktora i panny Elwiry natychmiast wyjechała do nas. Musieliśmy powiedzieć prawdę. Słuchając opowiadań ojca, zresztą dość oględnych, patrzyła mu w oczy badawczo, ciągle pytając nie o Macieja, lecz o Waldemara. Musiał go jej ojciec opisać szczegółowo. Była bardzo zmieniona, nie mogliśmy pojąć, co ją tak przeraża. Gdy ojciec mówił o wielkiej sympatii pana Macieja do ciebie, że nazywałeś go dziadkiem i że jesteś do niego bardzo przywiązana, babcia niespodziewanie rozplakała się. Byliśmy przestraszeni, nic nie rozumiejąc. Ale babcia nie objaśniała nas, mówiła tylko, że chce, abyś jak najprędzej powróciła. Ojciec do ciebie napisał nawet list i pokazał babci. Pod wieczór zastałam babcię w salonie. Oglądała chciwie fotografie z Głębowicz. Gdy weszłam, pokazała waszą grupę w kostiumach. Ordynat stoi tam tuż obok ciebie, ma pochyloną głowę i patrzy na twój profil z wyrazem istotnie zastanawiającym. Ty jesteś także jak natchniona. Nas to również uderzyło. Ale babcia, jak się okazało, znała dobrze ten wyraz i te rysy. On podobny do swego dziadka, a ty do niej. Grupa ta wstrząsnęła nią... „I wy to widzicie? i wy na to pozwalacie? przecie to jasne jak dzień, że oni się kochają” – mówiła wzburzona, gniotąc moją rękę. Zaczęła bardzo nalegać, żeby cię stamtąd zabrać. Całą noc spędziła w niezwykłym podnieceniu. Czuwaliśmy przy niej. Majaczyła. Nad ranem nastąpił gwałtowny atak. Już zdawała się konać. Szczęściem, przeczuwając to, sprowadziliśmy lekarza. Atak minął, zażądała księdza. Po olejach świętych, wezwawszy nas oboje do siebie, powiedziała wszystko. Straszną przeżyliśmy chwilę! Ten człowiek, który złamał jej życie i uczynił ją nieszczęśliwą, to Maciej Michorowski – dziadzio, o którym tyle i tak serdecznie pisałaś. Ogarnęła nas straszna obawa o ciebie, dziecko, bo gdyby nie młody ordynat... ale ten szczegół i babcię najwięcej przeraził. Ciągle mówiła o tobie z miłością i lękiem. Oddała ojcu paczkę z pamiętnikiem, oglądała fotografię, szepcząc sobie różne uwagi. Na ciebie mówiła: „Biedna śliczna”. Patrząc na niego szeptała: „Taki sam, taki sam”, albo „Widzenie z młodo-

ści, moje fatum”. Przeczynała śmierć, bo poleciła ojcu, aby oddał ci pamiętnik po pogrzebie. Nazywała tę książkę skarbem, nie mogła się z nią rozstać. Przyszedł nowy atak i odebrał jej życie.

Pani Rudecka podniosła chustkę do oczu.

Stefcia, oparta o jej kolana, trzęsła się. Łkania rozrywały jej piersi.

– Dlaczego, mamó, nie wezwaliście mnie wcześniej?

– Nie było czasu, dziecko, wszystko to stało się tak nagle.

Pani Rudecka gładziła włosy Stefci, ze łzami w oczach patrząc na jej śliczną, złamaną bólem postać. Tuląc ją do siebie, spytała cicho:

– Stefciu, dziecko moje, bądź ze mną szczerą, powiedz prawdę: ty... kochasz ordynata?

Dziewczyna załkała głośnie.

– Tak, tak!

– Jak ona odgadła, jak zrozumiała! – szepnęła pani Rudecka o zmarłej matce. – Stefciu, ty powinnaś wyjechać stamtąd.

– Wyjadę, mamó, powrócę do was, ale – tak mi ciężko...

Państwo Rudeccy zatrzymali Stefcię na parę tygodni. Była rozstrojoną, bali się o jej zdrowie. Matka starała się łagodzić żal córki. Ojciec oddziaływał na Stefcię zawsze jak najlepiej. Dziewczyna uspokajała się powoli, tęskniąc za Słodkowcami. Odwracała uparcie myśli od Waldemara, lecz daremnie: stał ciągle w jej oczach, świetny, wspaniały, zwycięski. Takim samym był niegdyś i Maciej. Stefcia czytała pamiętnik babki, coraz nowe odnajdując podobieństwo Waldemara do Macieja. Tylko Waldemar posiadał więcej energii w życiu codziennym i więcej ironii. A także posiadał słabszą wiarę w ludzi i większą niezłomność charakteru.

– Czy i on postąpiłby tak samo?

Chciała zagłuszyć w sobie tęsknotę, ale nie mogła. Przywykła do innego życia. Bez komfortu żyć łatwo, gdy się go nie zasnęło, ale odzwyczaić się trudno. Stefcia nie okazywała tego, jednak brakło jej czegoś. Zabawy z ósmioletnią Zosią, zawsze bardzo kochaną, nie mogły jej teraz rozruszać. Brat Jurek, wesoły czternastoletni urwis, uczący się w domu, drażnił Stefcię hałasami. Dziewczyna nie poznawała samej siebie; przed rokiem i ona bawiła się w konie z bratem i siostrą, nie mniej od nich sprawiając hałas. Teraz Zosia spoglądała na nią z pewną obawą, a w obejściu jej przebijał wielki dla siostry szacunek. Nie ciągała jej jak dawniej za suknie. Ale pieczyoty Stefci robiły na małej wrażenie.

– Co tam Jurek mówi, że Stefcia się zmieniła! On kłamie. Stefcia taka sama dobra jak przedtem.

I wyciągając różaną buzię w długi ciup, dodawała zaraz:

– Stefciu, mów mi o Luci, ja ją tak lubię.

Zaczynało się opowiadanie, które i Stefcia lubiła, bo ją przenosiło do Słodkowic.

Z Jerzykiem sprawa była trudniejsza. Chłopak zerkał na starszą siostrę oburzony i wszystkim po kolei powtarzał:

– Stefa to już całkiem dorosła panna. Nawet w konie nie chce się bawić, tylko tak coś myśli i myśli. Jej już trzeba tren dodać do sukni.

Stefcia zjednała go sobie, opowiadaniem o stajni, zwierzyńcu i psiarni w Głębowiczach. Za to nie miała już spokoju, domagał się ciągle nowych szczegółów. Raz podczas lekcji zapytał swego nauczyciela, młodego studenta prawa, wielkiego demokraty:

– Jak się panu podoba Stefa?

– Bardzo ładna panna i bardzo miła.

– E! pan tak mówi dlatego, że ja jej brat. Ale niech pan mi powie jak swemu koledze, w zaufaniu.

– Mówię prawdę: ładna i miła, tylko... wielka dama.

Jurek otworzył szeroko oczy i usta.

– Jak to? – Stefa to jest Stefa, nie żadna wielka dama.

– Ty tego nie rozumiesz. Panna Stefania jest przesiąknięta arystokracją. Jest sympatyczna i niedumna, bo jej nie zdążyli jeszcze zmienić, ale i to przyjdzie z czasem. Oni ją przerobią na swój sposób.

Jerzyk ujął się za siostrą:

– Wcale nie! Stefa będzie zawsze naszą, nie jakąś tam arystokratką. Szkoda, że tak spoważniała, ale to pewno tylko teraz, bo babcia umarła. Ona się potem poprawi.

Zamyślił się i spytał znowu:

– A czy arystokracja to co złego?

Student skrzywił usta z lekceważeniem.

– Nic mądrego, w społeczeństwie to zero. Ale powtarzam, ty tego nie rozumiesz.

– Ale takich koni, jakie są w Słodkowcach i Głębowiczach, to nawet u nas nie ma. Oho! ja wiem, Stefcia mi opowiadała. A jakie zwierzęta, a jakie psy! a najładniejszy wielki dog Pandur, co biega zawsze za ordynatem. Pan go widział na fotografii głębowickiej ze zwierzynca.

Student wzruszył ramionami. Nie lubił, gdy mu ktoś wspominał Głębowicze, bo ordynat, którego znał ze słyszenia, dziwnie jakoś paczył jego pojęcia, jakie sobie urobił o arystokracji, a młody prawnik wyjątków w swej regule nie uznawał.

Śledził także Stefcie Narnicki. Z prowadzonych z nią rozmów doszedł do wniosku, że ordynat Michorowski nie jest jej obojętnym. I to go drażniło. Czy Stefcia ma wzajemność, nie mógł dociec. Ale Narnicki niedługo pozostawał w niepewności.

Klucza do rozwiązania tej zagadki dostarczyły mu fotografie głębowickie. Zresztą wiedział, że taka Stefcia musiała się podobać i że grozi jej niebezpieczeństwo ze strony ordynata, zwłaszcza jeśli on dostrzegł jej skłonność ku sobie. Narnicki nie znał dokładnie smutnej historii zmarłej ciotki Rembowskiej, prócz mętnej legendy, krążącej w rodzinie. Nie wiedział o rzeczy najważniejszej, polegającej na zbiegu okoliczności – o owym złym fatum, które zawisło teraz nad Stefcia. Nie rozumiał, co się z nią dzieje. Nie chciał wierzyć, że Stefcia kocha się bez wzajemności: miał na to za wiele dowodów przeciwnych. Ale w jego mniemaniu to jedynie mogłoby ją ocalić. Tymczasem otaczał Stefcie opieką, chcąc ją najdłużej zatrzymać w Ruczajewie. Nie narzucał się jej, ale czuwał bez przerwy. Stefcia zawsze go miała przy sobie. Któregoś dnia poprosił ją o fotografie z Głębowicz. Poszli razem oglądać. Stefcia rozłożyła wielkie kartony zbiorowych grup i przyglądała się z takim namaszczeniem, jakby je widziała po raz pierwszy. Narnicki patrzył na nią uważnie.

– Czy was tu kto pozował, kuzynko? – spytał wskazując na grupę w kostiumach.

– Naturalnie. Fotograf.

– Ordynat nie wygląda na upozowanego.

– Tak, on stanął sam.

– A widać to.

– Podoba ci się? – spytała Stefcia, udając obojętną minę.

– Kto, ordynat?

– No, tak...

Narnicki chciał powiedzieć: “wymuskany lalusz”, ale spostrzegł się w porę, że byłoby to kłamstwo zbyt rażące i że Stefcia odgadłaby jego intencję. Zazdrość wyrażona w ten sposób wydała mu się niską i Narnicki odpowiedział szczerze:

– Przystojny i bardzo elegancki, a nade wszystko wybitnie typowy.

Stefcia spojrzała na kuzyna z wdzięcznością.

– Tak, dobrześ powiedział. To jego cecha główna.

Narnicki zauważył jej nagłe ożywienie i postanowił mówić dalej, nie spuszczać z niej oczu.

– Wśród nich wszystkich on wygląda na luminarza. Ma rozumny wyraz twarzy i znać w nim lwią energię. Tacy ludzie idą do celu śmiało, depcąc wszelkie przeszkody, i dlatego nie

są bezpieczni. A przeszłość ordynata, bardzo zresztą świeża, znana jest ze swej burzliwości.

– Dlaczego to mówisz? – spytała sucho Stefcia.

Narnicki wzruszył ramionami.

– Mówię o nim jako o typie, a dodaję uwagę, że ludzie z taką energią i swobodną przeszłością, zwłaszcza gdy mają miliony, potrafią nie przebierać w środkach dla zadowolenia swych kaprysów, nawet chwilowych. Ordynat jest wytwornym, tym gorzej. Taki aksamitny płaszczyk pokrywający feudalizm – bo u niego i ten rys jest widocznym – ułatwia mu zaspokojenie jego fantazji.

– Nie powinieneś o nim mówić z taką pewnością, bo go nie znasz.

– Czy określiłem go fałszywie?

– Nie, ale źle go sądzisz.

– Przepraszam cię, kuzynko! Jeśli ja nie mam podstawy sądzić go w ten sposób, tym bardziej ty nie możesz za niego ręczyć.

– Ja go znam bliżej.

– Z salonu! jako wielkiego pana i wytwornego człowieka, jeszcze jako sportsmena, *causeur*¹, tancerza. Ale to niczego nie dowodzi. To jest właśnie ten aksamitny płaszczyk, o jakim mówiłem.

Stefci zaiskrzyły się oczy.

– Znam go jeszcze jako obywatela kraju, jako właściciela wielkich obszarów ziemi, dobrego patriotę i...bardzo kulturalnego człowieka. Jest wybitnie inteligentny i zupełnie liberalnych pojęć – rzekła.

Narnicki patrzył na rozgnioną Stefcię spod oka. Wargi mu drżały z tajonego gniewu. Głos miał syczący, gdy odpowiedział:

– Słowem, doskonały! Jednak widocznie sam sobie tego nie przyznaje, bo ma dziwnie bajroniczny grymas na ustach i satyrę w oczach, naturalnie wyłączając grupę w kostiumach.

– Doskonałym nie jest, wady posiada jak każdy człowiek, ale nie jest zarozumiałym...

– W to nie wierzę. Człowiek na takim stanowisku, bogaty jak nabab, pełen powodzenia w świecie, nie wiedziałby o tym?

– Wie, lecz posiada przy tym rozum, wcale niepospolicity. Jest pewny siebie, ale to co innego.

– To samo, tylko inna nazwa. Główna rzecz wiedzieć, czym się jest i co można mieć na skinienie.

Stefcia umilkła, rozumiejąc już, do czego Narnicki zmierzał. Nie okazała przykrości. Zaczęła mu opowiadać o polowaniach w Głębowiczach, wymieniając osoby na grupach, z krótką biografią każdej. Wreszcie wzięła swe pojedyncze fotografie na długich kartonach, jedną w kostiumie i drugą w codziennej sukni.

– Jaką wolisz? – spytała.

Fotografia w kostiumie była lekko kolorowana i nadzwyczaj efektowna – przede wszystkim niesłychanie podobna; druga również dobra, lecz skromniejsza, robiła wrażenie codziennej.

Narnicki spoglądał to na jedną, to na drugą, porównywając je z sobą. W końcu rzekł:

– Wolę tę: korale przypominają mi cię taką, jak przed rokiem, i dlatego jest mi drogą. Ta w stroju z czasów Dyrektoriatu jest śliczna, ale już nie nasza. Wyglądasz jak księżniczka, tchniesz atmosferą pałacową. Ja cię nie lubię w tej roli. Wolę, jak jesteś swojska – taka nasza i niepodzielna.

Stefcia poruszyła się.

– Nie lubisz arystokracji?

– Jest mi obojętną, ale nie lubię cię wśród nich.

¹ *causeur* (fr.) – interesujący rozmówca

– Mówisz tak, bo ich nie znasz. Zresztą czyż jestem zmienioną?

Narnicki popatrzał na nią niemal groźnie.

– Tak, jesteś – rzekł z przyciskiem.

– Ja?!

– Jesteś pod ich wpływem. Daj Boże, aby się to zmieniło.

Stefcia zamyśliła się. Zrozumiał ją. Odgadł jej uczucia i ostrzegął. Przypomniały się jej Głębowicze, ich historia, wspaniałość magnacka, świetne towarzystwa. Istotnie wsiąkła w tamtą sferę, polubiła ich wszystkich. I oni mają wielkie wady, wśród nich są osobniki bez wartości, nawet częste. Ale są wyjątki, skoro można spotkać takiego Waldemara, taką księżnę Podhorecką jedną i drugą lub Macieja. A kto ich nie zna bliżej, sądzi ogólnie i często niesprawiedliwie.

Tak myślała Stefcia.

V

W zamku w Głębowiczach panowała wielka, przygnębiająca cisza. Ordynat przesiadywał w swym gabinecie albo w bibliotece lub też snuł się po zamku zamyślony, poważny.

Administracja i służba nie widziała go jeszcze takim. Stał się drażliwym, prędkim. Po wyzdrowieniu pana Macieja, który miał ataki nerwowe, Waldemar był na wyborach prezesa towarzystwa rolniczego, ponieważ hrabia Mortęski ustąpił dobrowolnie, znękany starością i złym stanem zdrowia. Wybrano jednogłośnie ordynata, lecz wybór ten nie zachwyił go. Odbył kilka posiedzeń, po czym powrócił do Głębowicz i zamknął się w nich. Co się działo w jego duszy, nikt nie odgadywał. Kamerdyner Andrzej widział go często w sali portretowej, na kanapce, wprost portretu babki. Czasem, obłożony papierami, starymi księgami o żółtych stronicach, zagłębiał się w nie do nieskończoności, nie jedząc i nie śpiąc. W stajniach dziwił się koniuszy, bo ordynat nie zaglądał do koni. Wyjeżdżał na polowania z licznym zastępem służby, lecz po pierwszych kniejach wracał znudzony. Albo odprawiał służbę i sam, ze strzelbą na ramieniu, włóczył się po lesie, nie strzelając wcale.

Jakiś zmierzch padł na cały majątek. Służba zamkowa, zwierzyniecka, sztab ogrodnicy, wszyscy stajenni, robotnicy fabryk – szeptali tylko o dziwnym humorze ordynata. Na folwarkach ekonomowie dopytywali się Ostrożęckiego, co się stało. Ale i on nie wiedział. Tylko młody hrabia praktykant, ogromnie zaintrygowany, wdał się w rozmowę z Kleczem ze Słodkowic i dowiedział się trochę drobnych szczegółów, tyjących się choroby pana Macieja i wyjazdu Stefci, lecz nic z tego wynioskować nie mógł. A ordynat z każdym dniem pochmuriał więcej, stawał się groźniejszym. Do Słodkowic jeździł rzadko i na krótko, tylko w celu odwiedzenia pana Macieja.

Wszelkie narady gospodarcze odbywał przez telefon, ze swego gabinetu. Dyrektorzy fabryk, gorzelni, wszyscy rządcowie i nadleśni porozumiewali się z nim nie inaczej, zdając raporty, otrzymując polecenia. Przez telefon rozmawiał z dzierżawcami, lekarzem ordynackim, ze szpitalem, ochronką i szkołą. Z zamku wychodził rzadko. Czasem bywał na mszy w kościele głębowickim i odwiedzał proboszcza, który także nie poznawał „swego chłopca”, jak go nazywał. Tylko raz w nocy, kiedy paliła się sąsiednia wieś, ordynat wystąpił z dawną energią. Pojechał na czele straży ogniowej i zastępując chorego naczelnika, dyrygował oddziałem błyszczących kasków i skórzanych kurt i z narażeniem siebie uratował wieś od rozszalałego ognia, wyciągając ze swymi ludźmi chłopstwo z płonących domów. Nikt nie padł ofiarą pożogi. Ogień został szczęśliwie umiejscowiony i opanowany. Ale gdy na drugi dzień ludzie przyszli dziękować ordynatowi, kazał im rozdać znaczną sumę pieniędzy na zapomogę, sam jednak tym razem nie wyszedł. Przesiadywał w bibliotece zatopiony w starych foliach. Tak przeszły tygodnie.

Pewnego dnia przed wieczorem Waldemar jak zwykle siedział przy głównym stole w bibliotece, założonym tomami porozrzucanymi w nieładzie.

Rozpostarty na fotelu, palił cygara i myślał.

Przeczytał już wszystkie te książki i nie zajmowały go teraz. Obecnie wołał się zagłębiać w historii własnego życia i w jego psychologii. Działo się w nim coś szczególnego, czego nie odczuwał nigdy. Przebiegał myślą swe burzliwe lata, spędzone za granicą, i czasy studenckie. Było w tych wiele zdarzeń ciekawych i takich, które w jego duszy pozostawiły ślady. Tamtym czasom zawdzięczał pesymizm, ironię i gorycz, z jakimi teraz nie mógł sobie dać rady. Zachodziło wiele przeróżnych kolizji w jego dzisiejszej istocie, dziwna abstrakcja w myślach i uczuciach. Jeden tylko miał pewnik niezbity, jasny jak słońce, w który musiał uwierzyć: kochał Stefcię.

To uczucie występowało zbyt wyraźnie, aby mógł o nim wątpić.

A wątpił długo.

Za wiele miał w życiu powodzenia i na tym tle za wiele miłostek. Nie wierzył, że potrafi kiedy inaczej patrzeć na ładną kobietę, jak na klejnot mniej lub więcej cenny, którym się może zabawiać do woli. Klejnoty takie zmieniał bardzo często, odrzucając bez skrupułu te, co już dla niego straciły blask nowości. Miał wieczne pragnienie szukania, ale nigdy długo nie czuł się zadowolonym. Często, goniąc za nową namiętnością, miał pewność, że gdy cel jej osiągnie, znajdzie uspokojenie. Bywały wypadki, że z niesłychaną odwagą drwił z wszelkich niebezpieczeństw. W tych pogoniach zahaczał o sfery i warunki, gdzie każdy inny znalazłby drzwi zamknięte. On zamkniętych podwoi nie obawiał się; wiedział, że gdy zechce, otworzą się przed nim, nie udawał się do podstępów. Takie walki podniecały go. Ale gdy był u kresu swych pożądań, rozczarowywał się zawsze. Nie czuł nawet dumy z powodu własnych zwycięstw. Pesymizm jego względem kobiet rósł i potężniał. Tylko dwie z nich cenił wyjątkowo: babkę Podhorecką i zmarłą matkę. Nie pamiętał jej prawie, ale czcił za pamięć, jaką po sobie zostawiła w Głębowiczach. Teraz ma cześć dla Stefci. Ona zdruzgotała jego złe pojęcia o kobietach siłą kontrastu. Znał jej uczucia względem siebie i zrozumiał, że ona jest dogmatem jego życia. Różnica sferowa nie przerażała go, zastanawiał się jedynie nad pytaniem, czy na barki Stefci nie okaże się za ciężkim stanowisko, które ją tak wysoko wyniesie. Lecz nie wątpił. Inteligencja jej pozwalała wierzyć, że podoła obowiązkom, wymaganiom i etykietce sfery, do jakiej wejdzie. Doświadczał lekkiej ciekawości, jak ona przyjmie jego wyznanie. Ogarniał go dreszcz na myśl, że będzie ją nareszcie miał w swych ramionach – Stefcię, taką pożądaną, upragnioną... Czasem wyobrażał ją sobie swą kochanką, oddaną mu zupełnie. Czy mogłaby się nią stać? Kochała go bardzo wiedział o tym. Więc gdyby chciał, mógłby ją może doprowadzić do dania najwyższych dowodów miłości. Miał do tego wypróbowany talent... lecz, co mu się nigdy nie zdarzyło, brakło mu odwagi. Stefcia była jak biały kwiat, nieskalany i dziwnie przezroczysty, uważałby za świętokradztwo dotknąć jej brudną ręką. Ona musiała pozostać czystą pomimo namiętności, jakie potrafiła wzbudzać, jak obłok biały pozostaje białym, choć płynie przez chmury. Ona poniekąd już należała do niego, ale takie oddanie się nie skala nawet anioła. Właśnie z powodu, że ona już jest jego, on jej nie zbruka, nie ściągnie do poziomu swych namiętności, pozostawi na wyżynach i tam będzie szukał rozkoszy. I on, który w stosunkach z kobietami wzdygał się na wszelkie zobowiązania sakramentalne, teraz pieścił się myślą o Stefci jako swej żonie.

Sam siebie nie poznawał. Najpiękniejsze panie i panny z arystokracji francuskiej w Paryżu, gdzie jako wnuk księżniczki de Bourbon miał wyłączne i wielkie fory, nie zdołały go natchnąć podobnie. Szalał za demoniczną pięknoscią Węgerek, pociągał go szyk wiedeński, w Rzymie wirował wśród panien i mężatek z magnaterii włoskiej, wybierając zawsze klejnoty, ale szaleńcze te kończyły się jednakowo, oprawione w mniejsze lub większe zachody, poprzedzające zwycięstwo. Nigdy nie myślał o żadnych zobowiązaniach i śmiał się z rodziny własnej, która albo z obawą spoglądała na jego wybryki, lub też namawiała go do stanowczych kroków. Był cyniczny, sceptyczny i sam sobie wydawał się niezdolnym do innych wrażeń. Widział w sobie tylko namiętność, do bardziej uduchowionych uczuć nie miał przekonania ani ochoty. Teraz wykrył coś nowego. Za Stefcię dla jej urody szalałby zawsze, stałaby się jedną z jego namiętności, gdyby nie była Stefcią. Ale ona działała na niego w sposób całkiem odmienny.

– Co to jest, jakim to się stało sposobem? – zapytywał sam siebie.

Słońce zaszło, w bibliotece zapanował mrok, szare macki włóczyły się mętnie po oszklonych szafach, wciskały się w każdy kąt, potęgując ciemności. Waldemar wstał, przeszedł się kilka razy wzdłuż biblioteki i zadzwonił. Kamerdyner wszedł cicho jak duch.

– Światła! – rzucił krótko ordynat.

Andrzej nacisnął guziki elektryczne w ścianach. Białe światło opromieniło bibliotekę. Z kryształowego pajaka sypnęło mnóstwo tęczyowych iskerek.

– Mogłem to sam zrobić – pomyślał ordynat po wyjściu kamerdynera. – Co on kombi-

nuje widząc mnie takim?

Wszedł do czytelnicy i otworzył fortepian. Spod adamaszkowej kapy instrument błysnął palisandrem i słoniową kością klawiszy. Waldemar uderzył parę akordów. Zabrzmiała w nich nuta ulubionej sonaty Beethovena, granej przez Stefcię. Urwał, oparł rękę na pulpicie i wykręcił się z taburetem w stronę salonu. Spojrzał dokoła krytycznym wzrokiem.

– Czy do twarzy będzie Stefci w tej oprawie? – pomyślał.

Zmrużył oczy, wywołując wizję: Stefcia siedzi przy fortepianie, gra sonatę, jest ubrana, w eleganckiej sukni wizytowej – nie, lepiej w codziennej. Włosy ma upięte na tyle głowy i taki ładny profil... On wtulony w kąt kanapki, pod palmami, patrzy na nią, na swą żonę. Jest szczęśliwy i ona również. Kocha go. On ją otacza swą miłością i przepychem, na jaki zdobyć się mogą jego miliony.

– Stefcia moją żoną? Ja będę miał żonę?

Waldemar uprzytomnia ją sobie.

– Jaka ona młoda! O całe dwanaście lat młodsza od niego: ma zaledwo dwudziesty rok.

– Ale co na to powie jego rodzina, jego sfera?

Waldemar gwałtownie powstał i zatrzasnął fortepian.

– O tym już tylko ja decyduję – rzekł do siebie głośno.

– Czy masz prawo? – szepnęło mu coś w duszy, jakiś opiekuńczy duch zamku.

Waldemar zatrzymał się w swej przechadzce.

– Czy mam prawo? Wyrobię je sobie!

Ale duch szeptał znowu:

– Ostatnie panie tego zamku, ostatnie ordynatowe, były księżniczkami znakomitych rodów.

– A ona będzie moim szczęściem – odpowiedział twardo.

Szybkim krokiem poszedł w głąb zamku, zapalając elektryczność w każdej sali, w każdym pokoju i korytarzu.

Zamek rozbłysnął światłem. Ordynat przeszedł halę spacerową, galerię obrazów i wszedł do sali portretowej. Ciemna i ponura, zajaśniała blaskiem żyrandoli. Ożywiły się portrety, rozbłysły martwe twarze. Purpura i złote blachy strojów, jasne wycięcia staników kobiet wyrzuciły się z wypukłą wyrazistością.

Waldemar robił przegląd swych antenatów.

Spoglądał w groźne, posępne twarze najwybitniejszych członków rodzinnych, prawdziwych klejnotów. Czytał ich tytuły głośne nazwiska kobiet, z którymi się żenił. Przechodził od portretu do portretu, nie odnajdywał tylko szczęścia w tych obliczach raczej ponurych. Zatrzymał się dłużej przed pradziadem Andrzejem, generałem wojsk polskich, ożenionym z hrabianką Esterhazy. Wyrazista, typowa twarz, ale jakieś dramatyczne linie skaziły czystość rysów. W oczach przebijał apatyczny wyraz. Waldemar uśmiechnął się.

– Może portretowany w czasie, kiedy miał się rozwodzić z żoną sławną z piękności, bogactw i paranteli – szepnął z sarkazmem.

Portret ojca miał te same cechy smutku, to samo obojętne spojrzenie.

Matka, bardzo podobna do księżny Podhoreckiej, piękna i młoda, nie nosiła w swej twarzy śladów szczęścia.

Waldemar obszedł dokoła całą salę. Był podniecony, ironiczny wyraz na jego ustach potęgował się. Nareszcie stanął przed portretem babki. Patrzył długo, uważnie.

– I tu to samo – szepnął osuwając się na kanapkę.

Patrzył na tragiczne oczy, z których wiała rozpacz, na zgnębiony wyraz całej postaci. Smutek wylał się z każdego szczegółu, nawet, zda się, z fałd ciężkiej sukni. Waldemar siedział pogrążony w zamyśleniu. Nagle powstał, rzucił dokoła ironiczne spojrzenie i zawołał głośno tonem pełnym gorczy:

– Mają tytuły, stanowiska, parantele, miliony, ale gdzież szczęście? Nie widzę tego.

Roześmiał się gorzko i wzruszywszy ramionami rzekł ciszej:

– Nie znam szczęścia w historii naszej.

Portret Gabrieli Michorowskiej, naturalnej wielkości, umieszczony blisko drzwi, po obu stronach miał ciężkie aksamitne opony, zwieszające się od sufitu. Waldemar podniósł jedną z lewej strony. Ujrzał puste miejsce na ścianie, wyłożonej dębem. Nie zapuszczając aksamitu, spojrzął na drugą stronę portretu i pomyślał:

– Tam miejsce dla dziadka Macieja, a tu?...

Gładka, błyszcząca słojami dębu ściana wydała mu się zagadką, lecz nie pojmował, dlaczego przejmuje go lekkie jak cień uczucie trwogi. Dziwny niepokój wiał z tej pustej ściany, wciskał się do duszy.

Ordynat zadrżał.

– Co to jest? – spytał sam siebie, marszcząc brwi.

Zapucił oponę stanowczym ruchem...

Znowu usiadł na kanapce i ścisnął rękoma skronie.

– Strasznie jestem znerwowany, strasznie!

Tęsknił za Stefcią w czasie długich polowań, potem ujrzał ją na krótko i tęsknota do niej wzmogła się, nie dając mu spokoju.

Kiedy powrócił do gabinetu, zobaczył na biurku list, zaadresowany ręką Luci Elzonowskiej.

Szybko rozerwał kopertę.

Dziewczynka pisała:

„Przyjeżdż Waldy, dziś, jeśli chcesz powitać Stefcie: wraca jutro rano. Bardzo bym chciała pojechać na jej spotkanie, ale boję się mamy. Nikt nie wie, że do Ciebie piszę. Chciałam telefonować, ale jak wiesz, telefon znajduje się blisko mamy, a do pawilonu do Klecza przecie nie pójdę. Dopomógł mi poczciwy Jacenty do wysłania posłańca. Przyjeżdżaj koniecznie. Lucia”.

Waldemar uczył przyływu krwi do mózgu.

– Wraca, ona wraca!

Dziki, gwałtowny szal radości zawrzał w nim. Ordynat zadzwonił gorączkowo.

– Kto przyniósł ten list? – spytał służącego nienaturalnym głosem.

– Paweł, stajenny ze Słodkowic, przed kwadransem. Nie śmiałem przeszkadzać jaśnie panu, położyłem na biurku.

– To źle. Czasem list jest pilny. Czy posłaniec czeka?

– Już pojechał. Spieszył bardzo. Panienska nie kazała czekać na odpowiedź.

– Możesz odejść.

Andrzej ruszył do drzwi.

– Zaczekaj... Która godzina? – zawołał Waldemar, patrząc jednocześnie na zegarek.

– Pół do ósmej.

– Dobrze! Niech natychmiast Brunon zaprzęga siwe ogiery do większej karety na saniach. Jur na kozle. Przygotować dla mnie wszystko na dobę.

Andrzej wypadł z gabinetu. Odczuł w głosie swego pana jakieś tony, które go zastanowiły i zatrwożyły.

– Czy się tam co stało, czy pan ordynat chory? – myślał biegnąc do kredensu.

Waldemar chodził prędko i rozmyślał:

– Czy ona wie wszystko o zmarłej babce, czy zna jej historię? To możliwe! a w takim razie wraca tylko po to, by się pożegnać. Nie zostanie tu dłużej, bo mię kocha. Przyszłość ją przerazi ze względu na przeszłość. My w niej budzimy trwogę, skoro już świadoma przeszłości. Czy we mnie jest litość dla niej, czy miłość?... Kocham ją, kochałem przedtem, nim się wszystko wyjaśniło. I ona kocha, może teraz nienawidzi? A sfera? a rodzina? Oni nie dopuszczają... niechże spróbują. Będą stawiali trudności zwalczę je! Nie zdepczą, nie sponiewierają

mych uczuć, na to nie pozwolę!...

Waldemar zatrzymał się, podniósł rękę do czoła.

– Chcę, pragnę jej... czuję głód szczęścia! Znalazłem je i nie dam sobie wyrwać. Walka zmoże ich... ulegną mi... muszą!... chcę tego... pragnę... i dopnę.

Ktoś zastukał.

– Można.

Wszedł marszałek dworu.

– Czego pan sobie życzy?

Stary człowiek zgiął się w powitalnym ukłonie.

– Przepraszam, że ośmieliłem się przeszkadzać, ale pan ordynat wyjeżdża, a za parę dni ma być w zamku obiad proszony *in gratiam* wyborów. Czy dostanę jakieś wyłączenie rozporządzenie?

– Nie – rzekł Waldemar trochę niecierpliwie – jutro wracam. Niech pan przygotowania robi jak zwykle. Zjazd będzie duży, ale oprócz obiadu żadnych zabaw.

Marszałek ukłonił się i wyszedł.

Waldemar znowu zaczął chodzić. Tysiące myśli szumiało mu w głowie, nawał uczuć rozsadał pierś, krew w nim wrzała. Był tak podrażniony ostateczną rozmową z duszą i sumieniem, tak przeczulony, że zdawał się słyszeć każdą kroplę krwi, jak sączyła się przez żyły i wpływała do mózgu rozpalona niby kropla ognia. Cały ferment wahań, zagadnień, przez który przeszedł w ostatnich czasach, skryzalizował się jasno, z wypukłą wyrazistością. Wiedział już, do czego dąży, czuł, że już jest na pewnym gruncie. Teraz nie zachwieje się, pójdzie naprzód z podniesioną głową. Doda mu ciężny krew rozkipiała, która w swym warze już ma bunt, opór przeciw spodziewanemu oporowi. Doda mu energii niezmiernie pragnienie osiągnięcia celu. Gorące pulsa rozsadzają mu żyły, kołaczą w mózgu i woła – tytaniczna woła!

Z nią wspólnie dokona wszystkiego, ona złamie przeszkody, zmiążdży je.

Czuł w sobie wulkan siły.

– Karetka czeka – rzekł wchodząc kamerdyner.

W kwadrans potem siwe ogiery ostrym klusem niosły karetkę na saniach. Ordynat jechał już spokojny, zimny, pewny siebie. Zamek otaczał się białą zaćmą śniegu. Oświetlone okna gasły jedno po drugim.

VI

Przez wielkie przestrzenie białych pól, przez ciemne lasy biegł z szumem i łoskotem krótki pociąg osobowy, rozwiewając potężną kitę szarego dymu. Dwie latarnie na parowozie świeciły jak oczy cyklopów. Wyprostowana lokomotywa z wysuniętą zwycięsko piersią sunęła równo; mechanicznym ruchem poruszały się potężne śruby kół, niby płetwy olbrzyma. Wilgotny plant i dwie linie szyn błyszczały krwawo przed pędzącym potworem.

W jednym z okien drugiej klasy rysowała się bladawa twarzyczka Stefcia. Oparta na dłoniach, spoglądała przez podwójne szyby na niknące pagórki i drzewa pokryte szarym od wieczornego mroku śniegiem. Świetliste pasemka iskier przelatywały jak złote nitki, rozplývając się w mętnej szarzyźnie. Jedne zastępowały drugie i w miarę jak się ściemniało, coraz więcej szło tego złota, aż okna rozbłysły niby zorzą, niby gradem ognistym. Już nie pasma, ale potoki, powódź złota falowała, mieniła się, powłóczytą szatą zalewała pociąg. Migały w tej błyszczącej masie ognistoczerwone gzygzaki, leciały pioruny, ostre dzidy i roje krwawych żadelek. A wszystko w szalonym wirze, skręcone, chybkie, palące.

Stefcia przyłgnęła czołem do szyby. W ciemnych oczach dziewczyny płonące iskry odbijały się złotą luną, na włosy rzucały miedziane refleksy, różowiły ściągłe, delikatne rysy. Ale w nich nie było już dawnej pogody: bujna, pełna życia i wesela twarz Stefcia zmierzchła, zblękitniała w swym wyrazie.

Można by myśleć, że artysta snycerz wybrał ją sobie na pierwowzór i rzeźbił kameę z jej rysów. Wycieniował z finezją, wlał w nią tyle duszy, tyle uczuć, aby twarz ta mogła czarować czymś więcej niż przepyszną urodą młodej, ładnej panny. Teraz przede wszystkim wiał z niej smutek i przejmujący żal. Po trzytygodniowym pobycie w domu jechała do Słodkowic ostatni raz. Miała niezłomne postanowienie zerwać zobowiązania z panią Elzonowską, pożegnać ich wszystkich na zawsze i wracać do domu, do dawnego życia.

Pożegnać ich na zawsze!

Stefcia powtarzała to sobie z bolesną jakąś rozkoszą i czuła, że każde z tych słów rani ją jak sztylety, że sama wlewa do duszy własnej truciznę. Bo. czymże będzie dla niej to rozstanie?

Straszną, nieskończoną męką...

A jednak trzeba, powinna przewyciężyć siebie, powinna wyrwać się z tego czaru, który już ją boli zbyt silnie.

Biedne, złamane, zranione życie!...

Nadeszła noc czarna, przepaścista. Stefcie zabolowały oczy od patrzenia na iskry płonące za oknem. Osunęła się na ławkę. Była sama. Zaczęła ją ogarniać senność. Obrazy mieszały się w myślach. Tylko jeden uparcie stał jej przed oczyma, sama go sobie rysowała.

Pełny, zielony ogród, kwitnące bzy, świergot ptactwa i śpiew słowików, a wpośród tego mają zgrabny ułan, przy nim młoda dziewczyna o złotawych włosach i fiołkowych oczach. Stoją wpatrzeni w siebie. On trzyma w dłoniach jej ręce i pieści je, obiecuje szczęście bez granic i upaja, i czaruje nadzieją. Rozkoszą tchną oboje.

Obraz zmienia się.

...Teraz zaśnieżony park, cały jak z cukru. Zachód maluje drzewa na różowo. W powietrzu czuć zbliżający się mrok. Kawki plamią niebo czarnymi punktami. Na białej od śniegu ścieżynce stoi młody pan wykwinny w futrze fokowym, oczy jego ciemnoszare, rozpalone, pochłaniają stojącą przed nim dziewczynę o złotych włosach i fiołkowych oczach. Trzyma silnie jej dłonie w swoich i słów nie wypowiada żadnych, ale tyle jej mówi oczyma, tyle obiecuje! Dreszcze dziwne a rozkoszne przebiegają po nich prądem. Szczęście roztacza nad nimi swe skrzydła...

A pociąg rwie naprzód niepowstrzymanie, monotonnie turkoczą koła stukają łańcuchy,

wagon chwieje się lekkim chybotem, a za oknami płynie i płynie złota rzeka.

Stefcia senną głowę oparła o miękką poręcz ławki i majaczy coraz słabiej, coraz mniej wyraźnie. Obrazy zacierają się, nikną w jakiejś mętnej otchłani. Sen zaszuwa je dalej i dalej... i Stefcia znieruchomiała, zasnęła twardo silnym, młody snem. Wrażenia, nerwy umilkły przed tą potężną wolą natury.

Ocknęła się na jakiejś większej stacji. Do jej przedziału weszło kilka osób. Niemłoda, okazała dama z córką i synem. Panna miała szumny kapelusz, świecące grzebienie we włosach i mocno wymalowaną twarz. Młodzieniec nosił binokle, widocznie tylko dla szyku, bo je ciągle zdejmował i przecierał zbolące od szkieł, ale zdrowe, pozbawione wyrazu oczy. Rozsiedli się wygodnie, usuwając energicznie na bok ręczną walizkę Stefci.

Młodzieniec usiadł przy niej i impertynencko zajrzał jej w twarz. Stefcia oparła się znowu o poręcz i chciała zasnąć. Ale okropna rozmowa francuska, prowadzona półgłosem, nie pozwoliła jej na to. Te panie dokładnie obejrzały czarną angielską suknię, pysznie opinającą smukłą postać Stefci, rzuciły okiem na wiszący krepowy kapelusz z welonem i uznały, że dobry, lecz za mało fantazyjny. Zbadały oczyma futrzany żakiet z dużym kołnierzem ze skunksów i wreszcie po obejrzeniu toalety przeniosły wzrok na jej właścicielkę. W świetle latarni włosy Stefci, okalające czoło miękką falą, mieniły się jak stare złoto. Ciężki ich węzeł rozluźniony, opadał na kark, ciemne sztykretowe grzebienie i szpilki połyskiwały dyskretnie wśród złotomiedzianych jedwabistych zwojów. Delikatny, ładnie zaokrąglony owal jej twarzy, śliczny rysunek nosa i drobnych różowych ust mniej zwracał ich uwagę – patrzyli głównie na sposób jej czesania się i na ubranie. Młodzieniec jednak śledził z uporem długie rzęsy Stefci leżące na twarzy i cienie, które szły od nich na białą, prześlicznie zaróżowioną skórę. Obejrzał jej ręce białe, wąskie i drobne, o długich i cienkich palcach, ozdobionych jednym pierścieniem z dużą perłą uriańską. Zbadawszy to wszystko, młodzieniec zaczął półgłosem wykladać matce i siostrze swe spostrzeżenia o Stefci; dowodził, że jest „niczego”, tylko strasznie „chuchrowata”, on zaś woli takie panny, co to jest na co spojrzeć pod względem objętości. Wykonał przy tym odpowiedni ruch, którym dosadnie objaśnił towarzyszące mu damy, że lubi kształty niepośledniej miary. Wszyscy razem zaczęli robić o Stefci różne uwagi, usiłując odgadnąć, kto to być może.

– Jakaś arystokratka – zgodzili się na jedno.

Stefcia, znerwowana tym, nie chcąc się zdradzać, że słyszy, siedziała cicho i wkrótce znowu zasnęła.

Dzień już był, gdy do przedziału wszedł konduktor. Przemówił grzecznie do Stefci:

– Proszę pani, Rudowa już blisko, pozostaje jedna stacja.

Stefcia zerwała się i otworzyła oczy.

– Rudowa?... Już? Dobrze, dziękuję.

Zaczęła spieszenie wyjmować z torebki swe przybory toaletowe, a widząc, że jest przedmiotem nieustannej uwagi ze strony dwóch pań i młodego człowieka, wyszła z przedziału. Gdy w kilka minut potem powróciła już uczesana i umyta, wyglądała świeżo, przypominając jakiś biały, smukły kwiat.

Młodzieniec czym prędzej ściągnął binokle, by się lepiej przyjrzeć, obie panie patrzyły na nią z podziwem. Świst lokomotywy oznajmił bliskość Rudowy. Stefcia trochę drżała. Włożyła żakiet, kapelusz i zaczęła zapinać rękawiczki. Pociąg zwalniał biegu, a jej stanął w myśli pierwszy przyjazd z panią Elzonowską. Wówczas, jadąc od kolei, na granicy Słodkowic poznała Waldemara. Jechał amerykańcem, sam powożąc karą czwórka. Od pierwszego wejrzenia podobał jej się bardzo, głównie z niedbałej a wytwornej elegancji, ale już witając się spojrzął na nią oczyma, w których dojrzała szyderstwo, i to ją zmroziło.

Jego silny, męski uścisk dłoni pamięta doskonale. Jednak zanim dojechali do Słodkowic, już czuła do niego dziwną niechęć.

A teraz?... a teraz?...

– Boże! czy tamte czasy istniały? – pytała siebie.

– Mamo, mammo! jakie śliczne konie na stacji i kareta! – zawołała młoda panna, stojąc przy oknie.

– Bardzo ładne czyjeś araby, cała czwórka siwych – potwierdził jej brat.

Stefcia zadrżała.

Czyżby z Głębowicz?... – przemknęło jej przez głowę.

Przeciągły gwizd, dzwonek, stuk hamulców – i pociąg stanął.

Stefci serce biło zdwojonym tempem.

Do przedziału wpadł tragarz.

– Czy są konie ze Słodkowic?

– Jest, proszę jasnej pani, „karyta” z Głębowicz i sam jaśnie pan ordynat. Ze Słodkowic jest tylko panienka baronówna. A ot idzie... pan strzelec.

Posługacz, najwidoczniej z nadmiaru zadowolenia, sadził się na tytuły.

Ustał z pośpiechem przed olbrzymią postacią strzelca Jura, który wyglądał jak generał na paradzie.

Olbrzym uśmiechnął się do Stefci, zdjął stosowany kapelusz i skłonił się nisko, z uszanowaniem.

– Co pani rozkaże zabrać?

Stefcia podała mu ręczną torbę. Walizkę porwał tragarz.

W tej chwili wszedł Waldemar.

Przywitali się w milczeniu, ale z nie dającym się ukryć wzruszeniem.

Stefcia poczerwieniała.

On pocałował jej rękę gorąco, unosząc czapkę nad głowę. Było tyle wyłącznej nuty w ich powitaniu, pozornie chłodnym, że odczuły ją nawet obecne panie i pewny siebie młodzieniec.

Zamienili z sobą bystre spojrzenie: „Narzeczeni” – mówili sobie oczyma.

Olśniły ich konie, kareta. Jur, tytuły, wreszcie pańska postawa ordynata.

Waldemar zwrócił się do strzelca:

– Niech kareta podjeżdża.

– Jedziemy natychmiast. Pani wydaje mi się zmęczona – rzekł do Stefci.

– Jak pan chce – odrzekła cicho.

Wychodzili z przedziału. Stefcia z uśmiechem skłoniła się towarzyszom podróży. Widząc to ordynat uniósł z lekka czapkę.

Panie odkloniły się nadzwyczaj uprzejmie, młodzieniec hałaśliwie zaszurgął nogami. Zdziwiła ich grzeczność młodej pary, zwłaszcza tak wspaniałej.

Wbiegła Lucia.

– Ależ marudzicie państwo! – zawołała rzucając się na szyję Stefci. – Waldy kazał mi tam czekać w sali... nie mogłam wytrzymać. Stefa! kochana! miła! jak dobrze, że już jesteś...

Ucałowały się serdecznie.

Wyszli z wagonu. Na peronie oczekiwał Jur i Jan, lokaj ze Słodkowic.

– Jechaliśmy z jakąś arystokratką, nie ulega wątpliwości – rzekła starsza dama, gdy zostali sami.

– To są narzeczeni. Jakiś widać bardzo bogaty pan. Ładna para!

Stanęli w oknie.

Kareta odjechała pierwsza, za nią potoczyły się sanie z Janem i rzeczami.

Lucia opowiedziała Stefci o chorobie pana Macieja i o swej tęsknocie.

– Jak się ma obecnie pan Michorowski? – pytała Stefcia.

Lucia się zaperzyła.

– Dlaczego nie mówisz dziadzio, jak dawniej?

– No więc dziadzio, czy już zdrowszy?...

– O tak, i ciągle panią wspomina. – Waldemar odrzekł, patrząc na Stefcię palącym wzrokiem.

Jego spojrzenie dziwnie miękko ogarniało jej postać. Tylko na krepowy welon spoglądał z marsem. Przykro go dotknął jej strój żałobny.

Lucia zawołała, jakby odgadując jego myśli:

– Stefa, po co tobie ta krepa? Ładnie wyglądasz w niej, ale to straszne! Po babce nie nosi się welonu.

– Ja ją bardzo kochałam. Zresztą niedługo będę nosiła.

Chciała powiedzieć: „Niedługo będziesz mię już widziała” – ale wstrzymała się. Na samo wspomnienie łzy jej napłynęły do oczu.

Nie wyobrażała sobie chwili rozstania.

Waldemar był milczący, Stefcia również. Oboje czuli, że coś stało między nimi, i odgadywali co. Tylko Lucia rozgadała się jak nigdy.

W Słodkowcach zaledwie wysiedli z karety i Jacenty uradowany ucałował ręce Stefcii, ukazał się stary kamerdyner pana Macieja, podszedł wprost do niej i nachylając się, szepnął:

– Starszy pan prosi panią do siebie. Jest w swoim gabinecie.

Dziewczyna zbladła, lecz odważnie poszła naprzód, nie rozbierając się wcale. Waldemar ją dogonił.

Byli sami w małym, stylowym saloniku. Wziął jej ręce i przytulił do ust.

– Panno Stefanio, czy pani wie wszystko?...

– Wiem – odparła ze drżeniem.

Popatrzał w jej oczy długo, przeciągle.

– Poznałem to od razu w wagonie. Biedactwo!... Ale niech się pani nie rozdrażnia, bo i dziadzio jest niesłychanie wstrząśnięty. Proszę to zrobić... dla niego i być spokojną.

Odprowadził ją aż do drzwi gabinetu.

Pan Maciej siedział w fotelu. Trzy tygodnie sprawiły na nim różnicę wielką: zbladł i włosy zbieleły mu jeszcze więcej; pochylił się, zgarbił, miał wygląd bardzo stary. Stefcia na jego widok nie wytrzymała. Łzy zalały jej oczy, pędem podbiegła do staruszka, uklękła przy jego kolanach i twarz schowała w dłoniach, chcąc stłumić płacz.

Pan Maciej trzęsący się otoczył ją ramionami.

Po tym wybuchu Stefcii zrozumiał, że ona już wie wszystko.

Coś jakby łkanie jęknęło w jego starej piersi.

– Dziecko, ty płaczesz? Więc ty wiesz? Od kogo? Skąd?...

– Z jej... pamiętnika.

Zapanowało milczenie – ciężki, głuche. On znał ten pamiętnik!

– Pisałaś.. do Luci, że zmarła nagle na serce... Czy była przyczyna? – spytał zmienionym głosem.

Stefcia zawahała się.

– Mów, dziecko... mów wszystko... chcę wiedzieć, widzisz – jestem spokojny.

Stefcia opowiedziała, że babka, bawiąc za granicą, nie miała dokładnych wiadomości, gdzie się ona znajduje, i dopiero list ojca, w którym wymienił nazwisko Michorowskich...

Umilkła, nie chcąc wyjawic, że to właśnie przeraziło babkę. Nie chciała wymieniać szczegółów, gdyż występował w nich Waldemar.

Ale pan Maciej dopowiedział sobie resztę, pochylił głowę i ciężko oddychał, po czym mówił z ogromną goryczą:

– Więc nie przebaczyła... pamiętała zawsze... samo nazwisko przeraziło... bała się o wnuczkę, że jest wśród nas.

Stefcia przyłgnęła ustami do jego ręki. Czuła, że kocha tego starca.

– Nie, dziadziu, ona przebaczyła wszystko... sama cierpiała, nawet rodzone dzieci nie wiedziały nazwiska do końca.

– Jednak bała się nas... bała się o ciebie. Dlaczego?

Stefcią wstrząsnął dreszcz.

– Czyżby?... – szepnął pan Maciej.

Starzec nagle zrozumiał, przed oczyma jego stanęła postać Waldemara.

Zadrzał.

– Tak, to być musiało główną przyczyną jej obawy. Prawda! prawda!... sam fakt istnienia młodego ordynata Michorowskiego obok jej wnuczki musiał ją przerazić.

Starzec wyprostował się. W zapadłych oczach palił się ponury ogień ciężkiej zgryzoty.

Położył rękę na ramieniu Stefci.

– Wstań, dziecko, idź do Idalki. A nie zapomnij o starym dziadziu, masz do mnie zawsze wstęp.

Stefcia ucałowała jego rękę i cicho wyszła z gabinetu. Pan Maciej ścisnął głowę rękoma.

– Znowu to samo... powtórzenie minionych lat, pogrzebane chwile wróciły. To ją zabiło! pamiętnik... nieszczęsny... został! moje świadectwo! Stefcia go czytała... Chryste! – jęczał chrapliwie.

Po długiej minucie nacisnął guzik elektrycznego dzwonka, umieszczonego na poręczy fotela.

Stary kamerdyner wsunął się bez szelestu.

– Co robią państwo? – spytał pan Maciej.

– Panienki są u pani baronowej na górze, a pan ordynat w swoim gabinecie; polecił mi zawiadomić, jak wyjdzie panienka. Czy mam prosić?

– Nie, nie trzeba! Obiad prędko?

– Zaraz podają.

– Niech Franciszek przeprosi panią baronową – nie będę dziś na obiedzie.

– Jaśnie pan nie zażywał jeszcze bromu.

– Dobrze, dobrze, podaj.

Kiedy służący wychodził, pan Maciej zatrzymał go jeszcze.

– Chcę być sam. Proszę powiedzieć panu ordynatowi, żeby po obiedzie... i... po czarnej kawie był łaskaw przyjść. Teraz nie.

Franciszek wyszedł mocno zgorzony i zdziwiony, że jego pan nie chce widzieć nawet ukochanego wnuka. Nie mogło mu się to w głowie pomieścić.

Wzruszył ramionami i mruknął do siebie:

– Tu się jakieś niedobre rzeczy dzieją.

VII

Działo się istotnie źle. Wieczorem tego samego dnia Stefcia z Lucią, siedząc przytulone do siebie na małej kanapce w pokoju Stefci, obie płakały. Lucia wyrzekła:

– Ach, Stefa! nigdy nie myślałam, że mię tak nagle opuścisz. Więc nie kochasz już? Skąd ten nagły projekt wyjazdu?

Stefcia płakała. Serce jej się krajało na myśl opuszczenia Słodkowic. Ale jednocześnie bała się pozostać dłużej. Sam widok Waldemara wstrząsnął nią. Rozmowa z panią Idalią zmęczyła Stefcię. Baronowa nie chciała słuchać o jej wyjeździe, a widząc stanowczość dziewczyny, postanowiła zbadać prawdę. Stefcia jednakże prawdy wyjawić nie mogła i podawała za powód to, że rodzice żądają jej powrotu. Pod wpływem córki baronowa stała się niewzruszona.

– Stefciu, powiedz, że tylko żartowałaś, powiedz, że zostaniesz z nami – błagała Lucia.

– Nie, nie mogę ci obiecywać. Nie żartuję. Muszę jechać, muszę!

– Więc tak ci źle u nas?

Stefcia okryła dziewczynkę pocałunkami.

– Nie mów tak, Luciu, bo mię to rani. Dobrze mi u was, bardzo dobrze i nigdy was nie zapomnę, ale muszę wracać do rodziny.

Lucia wybuchnęła:

– Ależ my cię kochamy jak swoją! Stefa, czyż nie jesteś jak w rodzinie? I ja cię kocham, i dziadzio, i mama cię często wspominała. Tęskniłam do ciebie jak do siostry. Stefciu, rzuć te myśli! Widzisz, zaraz po świętach Bożego Narodzenia wyjeżdżamy na Riwierę do Nizzy, do Włoch, do Rzymu, do Wenecji, będziemy i w Paryżu, i w Wiedniu, i w Szwajcarii. Stefciu, bój się Boga! i ty byś miała z nami nie jechać? Ja tak o tym marzyłam. Nie widziałam jeszcze tamtych krajów, a z tobą tak by nam było przyjemnie. Stefa! zastanów się! Nie tylko my jedziemy, ale jedzie i dziadzio, i Waldy, a już jak on będzie z nami, możemy być pewne świetnej zabawy. Będziemy używały, Stefa! Ale... jak nie pojedziesz, to i Waldy zostanie.

Stefcia drgnęła.

– Co ty pleciesz, moja Luciu!

– Wcale nie plotę, mówię prawdę. Jak ty pojedziesz, pojedzie i Waldy. W przeciwnym razie nie – już ja to wiem.

Stefcia spojrzała ukradkiem na zapłakaną twarzyczkę Luci: ujrzała na niej smutek i zamyslenie.

Więc już i to dziecko czegoś się domyśla? Stefcię ogarnęła rozpacz.

– Muszę uciekać, muszę!...

Ale stanęły jej w myśli nieznane kraje, morza, góry, wielkie miasta, centra cywilizacji, o których tyle marzyła. I ona byłaby wśród tych cudów i... z nim! Tyle szczęścia, takie niesłychane spełnienie marzeń, i wszystko od niej zależy, od jej postanowienia, od jej woli. Usta Stefci uśmiechnęły się, już chciały wypowiedzieć: „zostanę”. Lecz nagle jak na jawie ujrzała przed sobą Waldemara. Jego spojrzenie oblało ją warem. W uszach słyszała słowa Luci: „Jak ty pojedziesz – pojedzie i Waldy”. Chwila wahania minęła. Stefcia podniosła hardo głowę i rzekła z mocą:

– Nie mogę. Muszę wracać! Będę z tobą, dziecko, korespondowała. Bądź ze mną szczerą, wszystko mi zwierzaj, co cię boli i cieszy. Smutno mi opuszczać twoją młodą duszyczkę, która się tak ładnie budzi do życia, ale muszę, Luciu, muszę!

W parę dni potem był wielki obiad proszony w Głębowiczach z powodu wyboru Waldemara na prezesa towarzystwa rolniczego. Ze Słodkowic pojechał pan Maciej, baronowa i pan Ksawery, Stefcia z Lucią zostały.

Pod wieczór kazały sobie zaprząć do małych sanek i pojechały na spacer. Stefcia powo-

ziła parą siwych kuców. Jechały ostro po wybornej sannie, śnieg skrzypiał pod płozami, spod kopyt koni wylatywały zbite grudki śniegu, rozsypując się na szafirowej haftowanej siatce. Dzień był jasny, mroźny, pełen bieli, błękitów i przestworzy powietrznych. Stefcia zapomniała na chwilę o swych zmartwieniach i dała się porwać urokowi ślicznej pogody zimowej, rozmawiając dość wesoło. Lucia, zasepiona, rzucała ponure spojrzenia na towarzyszkę. Nagle wybuchnęła głośnym płaczem;

– Luciu, co ci to? – pytała Stefcia – czego płaczesz?

– Bo ja nie mogę myśleć, że ty chcesz wyjechać, i tak mi smutno, a tyś wesoła – nic ja ciebie nie obchodzi.

– Ależ, dziecko, i mnie ciężko... oj! jak ciężko! Rozweseliłam się, bo tak ładnie na świecie. Czy myślisz, że mi wesoło was porzucać? oj, Lucia! Lucia!...

Tyle prawdziwego żalu brzmiało w jej głosie, że dziewczynka spojrzała na nią ciekawie.

– Więc czemu jedziesz?

Stefcia zacięła kuce i nic nie odpowiedziała.

Lucia pokręciła głową.

– Ty coś przede mną ukrywasz, Stefa, nie chcesz być szczerą, a ja... ja może lepiej zgaduję, niż sądzisz, powody twej ucieczki. I tak mi żal! Ja już wiem, jak tu smutno bez ciebie. Żebyś wiedziała, jak tu było ponuro przez te trzy tygodnie twej nieobecności! Ach Boże! dziwię się, że nie zwariowałam.

– Luciu, przesadzasz! – zawołała Stefcia, udając swobodę. Wstrząsnęło ją słowo „ucieczka”.

– Przesadzasz – powtórzyła.

– Ani trochę! Nie masz pojęcia, co za smutek! Najpierw zaraz po twym odjeździe, może zaledwo wyjechałaś za bramę, zachorował dziadzio. Miał jakiś straszny atak nerwowy. Waldy go na rękach przyniósł do sypialni. Mama się przestraszyła, dostała spazmów i także zachorowała. Waldy chodził ponury, zły, bałam się do niego przemówić. Przez cały czas choroby dziadzia prawie go nie odstępował. Odwiedzał i mamę, ale rzadko. Raz przemówili się z mamą dość ostro. Słyszałam, jak mama mówiła: „To dzieciństwo, niewarte pamięci”, a Waldy, bardzo widać oburzony, odrzekł: „Trzeba nie mieć sumienia, żeby tak sądzić jak ciocia”. Ja wiem, o co się sprzeczali, bo ja wiele rzeczy odgadłam i usłyszałam. Wiem, co spowodowało chorobę dziadzia, ale nic nie mówię, bo ciągle i ty przede mną milczysz. Potem, kiedy już dziadzio wyzdrowiał, ciągle był smutny. Waldy przyjeżdżał rzadko i zawsze zły. Tylko przez telefon dowiadywał się o zdrowie dziadzia. Pewnego dnia przyjechał po obiedzie, kiedy wszyscy spali. Zobaczywszy sanki, obszukałam cały pałac, nie znajdując go nigdzie. Zastałam go niechcący... w twoim pokoju. Siedział na kanapce pod oknem i trzymał w ręku... zgadnij, co?...

Stefcię przebiegały dreszcze. Opowiadanie dziewczynki obudziło w niej wszystkie wrażenia i bóle jej duszy.

– Nie wiem – odrzekła.

– Twoje korale.

– Korale?...

– Tak, wyjeżdżając spieszyłaś się bardzo i nie schowałaś ich: leżały na konsolce pod lustrem. Waldy siedział z głową opartą na jednej ręce, w drugiej trzymał korale i przewijał je sobie przez palce, pieścił się nimi. Był tak zamyślony, że ledwo mię spostrzegł. Widziałam, że się rozgniewał na mnie za to, że weszłam, ale nie okazał mi tego. Wstał, położył korale na stoliku, ucałował mię, a potem rozejrzał się po pokoju i powiedział: „Trzeba ten pokoić ubrać kwiatami na przyjazd panny Stefanii”. Te kamelie i białe rododendrony, co u ciebie stoją, to on kazał przynieść. Tę palmę przy lustrze sam ustawiał. Oglądał ciekawie twoje malowidła pastelowe i kredkowe szkice, a ten duży karton, który szkicowałaś w Głębowiczach, fragment z parku z widokiem na rzekę, zabrał ze sobą. Bardzo mu się podobał. Widzisz, Stefa, i Waldy tęsknił za tobą.

Lucia umilkła. Stefcia siedziała cicho, wzruszona i przygnębiona zarazem.

Więc on się nawet nie ukrywał? Więc on tęsknił za nią, był w jej pokoju, trzymał w ręku jej korale, pokój ozdobił kwiatami?...

Stefcia musiała użyć całego panowania nad sobą, żeby nie zapłakać z radości, z goryczy, z tysiąca uczuć pomieszanych razem.

Wtem Lucia odezwała się niespodziewanie:

– Stefa, powiedz szczerze, który przystojniejszy: Waldy czy Prątnicki?...

Stefcia zatrzęsa się.

– Ach! Luciu, nie porównywaj Prątnickiego z panem Waldemarem!

– Jednak tamten przystojniejszy! Edmund jest piękny jak obrazek, ale powiem ci szczerze, Stefa, że teraz, kiedy już o nim zapomniałam, wolę Waldemara. Ten ma urodę bardziej męską i pańską, nieprawdaż? Prątnicki przy nim jak ładna lalka. Gdyby Waldy był mi obcym, szalałabym za nim. On ma w sobie coś takiego, *je ne sais quoi!*² Dziwnie umie porywać.

Stefcia bała się spojrzeć na Lucię. Czowała tylko, że luna uderza jej na twarz.

Dziewczynka po chwilowym milczeniu rzekła znowu:

– Waldy ogromnie może się podobać. Są dowody. Kocha się w nim panna Rita i ta oślica Barska, której się zdawało, że na jej skinienie on padnie przed nią plackiem. Ale się nie udało. Podobno kocha go i hrabina Wizembergowa, i księżna Krysta Turyńska, i wiele innych. Są takie, co liczą na jego miliony, ale Waldy ma dobre oko, od razu takie pozna. Barska może go i kocha, ale właśnie chciała być głównie ordynatową i panią Głębowicz, a Waldy to zwęszył i dał kosza.

– Źle się wyrażasz, Luciu. Zresztą skąd wiesz? Przecie się tobie nie chwalił.

– On nie, ale to każdy zrozumiał w Głębowiczach. Łapała go do obrzydliwości, kokietowała, a potem chodziła jak struta. Słyszałam raz, jak Trestka mówił do Rity: „W Barską strzelił ordynacki piorun”. Aha! do czegoż by się to stosowało więcej?

Stefcia uśmiechnęła się.

– Hrabiego Trestkę poznałabym tylko po jego dowcipie.

– Lubisz go?

– Owszem, bardzo, chociaż mi czasem dokuczał.

– I on ciebie lubi. Przyjeżdżał odwiedzać dziadzia. Pytał się o ciebie, kiedy wracasz, nawet jak na niego bardzo serdecznie. Ale go teraz nie ma w domu. Pojechał do Berlina. Mówił, że po zaręczynowy pierścionek.

– Doprawdy?

– Ale co znowu! Rita go nie chce. Może wtedy za niego wyjdzie, jak się Waldy ożeni. A że to prędko nie nastąpi...

– Dlaczego?

– Bo on niełatwo znajdzie sobie żonę, choć każda chętnie by nią została. A szczególnie teraz Waldy...

Lucia słodkim, cichym ruchem przygarnęła się do Stefcia i rzekła niespodziewanie:

– Stefa, bądź ze mną szczerza, jak cię tak kocham... bądź szczerza.

– Czego chcesz Luciu? – spytała Stefcia łagodnie.

– Powiedz... ty wiesz, że Waldy się w tobie kocha?

– Luciu, na Boga! nie mów tego nigdy! daj mi słowo, że podobnych rzeczy nie będziesz mówiła.

– Nikomu więcej, ale tobie. Zresztą dużo osób o tym wie. Podobasz mu się bardzo od dawna i kocha cię. A ty, Stefa?... To niemożliwe, żebyś była obojętna! Kochasz go również... prawda?...

Stefcia zrozumiała, że jej tajemnica została odgadnięta, że Lucia pyta umyślnie, ale że wie wszystko... Co począć? Dusił ją łzy, dusił żal do Luci i do siebie samej. Milczała, wie-

² *je ne sais quoi!* (fr.) – nie wiem co!

dząc, że tym potwierdza prawdę.

Nagle zabrzęczały brzozy uprząży, zaskrzypiał śnieg, zaparskały konie i zrównał się z ich saneczkami strojny zaprzęg panny Rity. Stangret wstrzymał rozpedzone konie.

Stefcia ściągnęła lejce kuców z wielką wewnętrzną radością. Pannę Szeliżankę uważała w tej chwili za swą wybawicielkę.

– Jak się macie? jak się macie? – wołała Rita, wychylona z sanek, podając rękę Stefcii i Lucii. – Jadę właśnie do Słodkowic. Dobrze, że was spotkałam. Naturalnie wracamy razem, bo ja mam dość spaceru.

– Myślałyśmy, że pani w Głębowiczach.

– Miałam tam być z cicią, ale przyjechali Franiowie Podhoreccy i oni mię zastąpią.

– Waldy będzie zmartwiony – rzekła Lucia.

Panna Rita zmarszczyła brwi.

– Obejdzie się! – odparła z irytacją.

Stefcia potrząsnęła lejcami.

– Więc wracamy. Pani nas wyprzedza, bo nasze kuce nie wygrają wyścigu z jej końmi.

– Ja mam inny projekt: wy obie siadacie ze mną, a waszego pająka odprowadzi Karol.

Lokaj natychmiast zeskoczył z kozła.

Stefcia usiadła obok panny Rity, Lucia na kozle, zwrócona do nich twarzą.

Rozmawiały niby wesoło, ale przymus jakiś tamował zwykłą swobodę. Panna Rita była kwaśna, Stefcia roztargniona, Lucia smutnie zwiesiła główkę. Kiedy na pytanie Rity Stefcia mówiła jej o bytności w Ruczajewie, młoda panna nie spuszczała z niej oczu, jakby chcąc wyczytać wszystkie jej myśli. Ale gdy Lucia z żalem opowiedziała o projekcie wyjazdu Stefcii, panna Rita drgnęła.

– Jak to, pani jedzie?... ależ dlaczego?...

– Rodzice tego żądają i ja sama postanowiłam nieodwołalnie.

Powiedziała to w ten sposób, że panna Rita i Lucia umilkły. Dziewczynce łzy zakręciły się w oczach.

W Słodkowcach panna Szeliżanka została na noc. Wieczorem obie ze Stefcii grały w bilard. Lucia przy kominku w sąsiednim salonie siedziała s płakana.

O wyjeździe Stefcii nie było już mowy. Panna Rita odgadła powód. Od pani Idalii wiedziała, że Stefcia jest wnuczką Korwiczówny.

– Czy wie pani, dlaczego głównie do Głębowicz nie pojechałam? – mówiła Rita – oto dlatego, że będą tam wygłaszane różne pompatyczne mowy na cześć ordynata, że będą mu kadzić, a on tego nie lubi i zawsze jest wówczas zły. Tym wszystkim panom zdaje się, że mu koronę na głowę włożyli wybierając go na prezesa. Postąpili mądrze i sprawiedliwie, ale to nie łaska, to mu się należało. Jest najlepiej myślący z nich wszystkich, a stanowiskiem jeden z najwyższych. Ten wybór nie był dla niego niespodzianką i dla nikogo. Tymczasem posypią się mowy, toasty wielce wzruszające, wielce podniosłe i szumne, a ten, który będzie najgłośniej krzyczał, z pewnością po cichu zgrzyta zębami z gniewu, że ordynat znowu wypłynął na widownię, a on siedzi w kącie. Ba! nawet gotów wymyślać na sprawiedliwość, nazywać ją ślepą, wygadywać na poparcie milionów, tylko sobie nie przyzna, że jest filistrem. I ordynat przez prostą światową grzeczność musi takiemu panu dziękować za jego tyradę. Całe szczęście, że się z tym prędko załatwia: jego mowy, zwłaszcza dziękczynne, są zawsze krótkie i zwięzłe.

– Ależ prócz podobnych mówców są zapewne i poważni, jak ksiązę Giersztorf, młody hrabia Mortęski. Ich mowy muszą być ciekawe i bez pochlebstw. Takie miło usłyszeć, zwłaszcza że pani ordynatowi... sprzyja...

Stefcia zacięła się.

Panna Rita wpiła w nią oczy.

– Niech pani się nie żenuje swych słów i mnie. Ja nie tylko sprzyjam ordynatowi, ale ko-

cham go, nie umiem patrzeć obojętnie na niego i na to, co go otacza. A jeszcze jeden powód, że nie jestem na obiedzie, to nieobecność Trestki.

Stefcia mierzyła właśnie młotkiem do kuli – stanęła zdumiona.

– Trestki?...

– A tak: niech pani nie sądzi, że mam połowiczność uczuć, nie. Trestka niekiedy bywa koniecznym, przywykłam, do jego asysty, innej nie znoszę. Jak on jest ze mną, zabezpiecza mię już od wszelkiej. Wyjątek robię jedynie dla ordynata, lecz... tu zmieniają się role: ordynat nie dba o mnie.

– Bardzo panią lubi i ceni – rzekła Stefcia z żywością. Zrobiło jej się przykro, bo w głosie panny Rity odczuła smutek i żal.

Młoda panna wybuchnęła śmiechem.

– Czy to ma być pociecha dla mnie? Jakaż marna! mętna woda zamiast wina! Lubi mię, nie przeczę, ale woli swoje konie, nawet Pandura. A że ceni? zapewne, tym więcej że zna moje uczucia. Jest bardzo delikatny i nigdy mi nie da poznać, że wie o nich. Powtarzam to, co już kiedyś mówiłam. Ten człowiek wybierze sobie kobietę zupełnie swoją, dla niego stworzoną, która mu będzie odpowiadała urodą, typem, temperamentem, słowem, wszystkim. Będzie to wyłącznie jego kobieta. Wszystkie najpiękniejsze świata całego mogą się o niego ocierać – mówię trywialnie, mniejsza o to! – i żadna nie wzbudzi jego uczuć, prócz może chwilowego zapachu krwi, ale to inna rzecz. On wybierze sobie kobietę, którą zechce nazwać żoną, nie wśród głośnych nazwisk i partii, nie wśród tytułów, ale tam... gdzie się nikt nie spodziewa, i... pierwsza przed tą kobietą gotowam zniżyć głowę.

Rita umilkła. W ciszy rozlegał się tylko stuk młotków o kule, bo panny grały zawzięcie.

Nadeszła Lucia. Po jakimś czasie, Rita, nachylona nad zielonym sukniem, rzekła jakby do siebie:

– A ja taki typ znam... jego typ. I jeśli się sprawdzi...

Nie dokończyła. Zaczęła mówić o czym innym. Lucia popatrzyła uważnie na Ritę, potem na Stefcie i wolno, ze zwieszoną główką odeszła znowu do kominka.

Pan Maciej i pani Idalia nocowali w Głębowiczach. Powrócili na drugi dzień rano.

Baronowa, rozbawiona, opowiadała z ożywieniem szczegóły obiadu. Pan Ksawery przytaczał niektóre mowy, kiwał przy tym łysiną, powtarzając:

– Tak, tak, ordynat ma zasługi. O! to dzielny pan, hojny, energiczny! Tylko wczoraj nie był w dobrym usposobieniu.

– A tak, jego humor nawet raził – potwierdziła pani Elzonowska.

Panna Szeliżanka zagryzła wargi i bokiem nieznacznie spojrzała na Stefcie.

Pan Ksawery mówił dalej:

– W ostatnich czasach ordynatowi trafia się to często. Wczoraj odgrywał rolę uprzejmego gospodarza, chociaż z przymusem.

Spod krzaczastych brwi spojrzał w posępną twarz pana Macieja i dodał:

– I pan dobrodziej niewesoły. Może jaka zła wieść?...

Pan Maciej uśmiechnął się.

– Zaraziłem się od wnuka – odparł.

Obiad przeszedł sennie. Tylko pani Idalia i pan Ksawery rozmawiali ciągle o Głębowiczach.

Po obiedzie panna Rita odjeżdżała.

– My już chyba zupełnie pożegnamy się – rzekła do niej Stefcia z bolesnym uśmiechem.

– A niechże Bóg broni! Przede wszystkim sądzę, że Idalka pani nie puści. Zresztą ja tu wpadnę jeszcze i... w razie czego, pani chyba pożegna osobiście moją ciocię w Obronnem.

– A prawda! księżna była dla mnie zawsze tak łaskawą.

– Bardzo panią lubi – odrzekła Rita, całując Stefcie serdecznie.

VIII

Przeszedł jeden dzień, smutny i posepny.

Stefcia pakowała rzeczy. Ostatnia jej rozmowa z panią Elzonowską była bardzo stanowcza.

– Niech mi pani wyjawi właściwy powód – mówiła baronowa, szczerze zmartwiona. – Ja nie pojmuję tego uporu. Czy może z Luci pani jest niezadowolona?

Stefcia zachnęła się.

– Luci mi bardzo żal. Pokochałam ją. Żal mi opuszczać państwa, ale ja muszę, muszę koniecznie.

Pani Idalia spojrzała na nią uważnie.

– Mamy jechać na Południe. Liczyłam na to, że pani Luci nie opuści.

– Znajdzie pani inną nauczycielkę.

– *Comme vous êtes ridicule!*³ pani nie uważamy za nauczycielkę, ale za towarzyszkę Luci, za jej przyjaciółkę. Ona do pani niesłychanie przywiązana. Brak jej wszelkiego towarzystwa. Pani jest dla nas jedyną. W Luci widzę wielką różnicę, znać dobry wpływ. Jej umysł rozwinął się lepiej niż przez te wszystkie lata, dzięki pani inteligencji. Nie! pani nas nie powinna opuszczać!

Baronowa objęła Stefcię i z miłym uśmiechem pocałowała ją w czoło.

– Niech się Stenia nie upiera, bo ją tu bardzo lubimy i smutno nam byłoby bez niej.

Stefcia odczuła jej chwilową serdeczność, chciała się do niej przytulić, ale nie miała odwagi. Pani Idalia zawsze ją mroziła.

Rzekła więc tylko:

– Nie zapomnę państwa nigdy, będę z Lucią korespondowała, ale... jechać muszę! Pani mi wybaczy, że zrywam przed rokiem jednak... to już konieczne.

Pani Elzonowską spochmurniała.

– A może pani ma jakie skrupuły ze względu na tę... dziwną historię mego ojca i zmarłej babki pani? Niechże się pani tym nie przejmuję. To są rzeczy zapomniane, pogrzebane! Śmierć pani Rembowskiej podziałała na ojca dosyć żywo, nie przeczę – głównie bytność pani, jej wnuczki, w naszym domu. Ale teraz ojciec już jest uspokojony, będzie mu przykro, skoro pani odjedzie. Przecie pani nie ma racji uciekać od nas dla jakiejś przestarzałej historii.

Stefcia uśmiechnęła się gorzko. Ogromna przykrość zgłuszyła w niej wszelkie inne uczucia. Pani Idalia spostrzegła ten wyraz na jej twarzy, patrzyła na nią badawczo.

Stefcia spuściła oczy. Mocny rumieniec opływał ją z zwołna, usta jej drżały. Całą postacią i tym rumieńcem zdawała się mówić:

– Ta przestarzała historia właśnie mię wypędza, ona jest powodem mej obawy, boję się, by nie zmartwychwstała.

Długi czas siedziały naprzeciw siebie bez słowa. Duże piwne oczy pani Idalii, wpatrzone w Stefcię, zwęzły się coraz bardziej i na twarzy pozostały tylko wąskie, brązowe szpareczki. Jedna brew drgała nerwowo. Baronowa białą ręką bawiła się złotym łańcuszkiem od zegarka, głęboko coś rozważając.

Stefcia wolno i poważnie podniosła na nią oczy, błyszczące wilgocią łzawej powłoki.

Pani Elzonowska powstała.

– Stanowczą odpowiedź dam pani jutro. Tak od razu nie mogę... pani pojmuję?...

Dziewczyna zrozumiała, że jest odgadniętą. Krew jej buchnęła do mózgu.

Matka Luci podała jej rękę już chłodniej niż przedtem.

Stefcia schodziła z wielkich schodów chwiejnym krokiem. W głowie jej szumiało.

³ *Comme vous êtes ridicule!* (fr.) – Jaka pani śmieszna!

Oparła się ciężko na aksamitnej poręczy.
– Trzeba jechać... jechać... na zawsze. Boże! Boże! daj mi siłę!...
Jej postać odbiła się w wielkim lustrze wiszącym na zakręcie schodów. Stefcia ujrzała swą twarz zmienioną do niepoznania, bladą, z podkrążonymi oczyma i wyrazem bólu w tragicznych zrenicach.
Wtem dały się słyszeć za nią czyjeś kroki.
Obejrzała się. Młodszy lokaj zbiegł szybko ze schodów, przeskakując po kilka naraz. Za nim szedł Jacenty.
– Co się stało?
– Pan ordynat przyjechał.
Dziewczyna zadrżała. Zrobiła ruch jakby do ucieczki, ale nogi jej zaciężyły.
Na dole szwajcar otwierał już drzwi.
Była na ostatnich stopniach, kiedy wszedł Waldemar.
Twarz mu zajaśniała, prędko zdjął czapkę i ściągnął rękawiczkę.
Podawała mu rękę.
On bez słowa przycisnął ją do ust, przy czym spojrzał na zmienioną twarz Stefci i brwi zbiegły mu się na czole.
Ona znikła w przyległych drzwiach. Wpadła do swego pokoju i cisnąc w dłoniach rozpalone skronie, zawołała z wybuchem płaczu:
– Boże! Boże! ratuj mnie!...
Ogarnęła ją gorączka, działo się z nią coś niezwykłego. Na kanapce pod oknem, wtulona w kącik, siedziała płacząc i rozmyślając na przemiany, rada, że Lucię zatrzymała matka i że mogła być zupełnie samą.
Obudziło ją pukanie do drzwi.
– Kto tam?
– Ja, Jacenty.
Kamerdyner wszedł.
– Pan ordynat pragnie się widzieć z panią. Jest w białym salonie.
Stefcia uczuła bolesny kurcz w krtani.
– Dobrze, idę zaraz.
Chwilę siedziała nieruchomo. Potem zbliżyła się do okna, przyciskając rozpalone czoło do szyby, otarła oczy i podbiegła do drzwi.
– Czego on chce ode mnie?
Cofnęła się, policzki ją paliły jak ogniem. Parę razy przeszła pokój, załamując dłonie.
– Boże! Boże! spokoju!
Otworzyła drzwi i nie oglądając się już, nie zatrzymując, biegła w stronę białego salonu. Na progu, w cieniu adamszkowych zasłon stanęła zdyszana, z bijącym sercem.
Waldemar zbliżył się do niej, wziął rękę i gorąco je uściskał. Wymowne oczy wpił w jej spuszczone powieki. Rzekł pewnym głosem:
– Przejdźmy do oranżerii, tu obok. Tam spokojnie. Chcę panią o coś zapytać.
Puścił jedną jej rękę, drugą delikatnie wsunął sobie pod ramię i z pieśczołą przykrył ją dłonią. Stefcia, oniemiała, drżąca, dała się prowadzić bez oporu.
Czuła, że traci przytomność. Jego bliskość i uścisk upajały ją aż do zawrotu głowy. Wyszli do strojnej oranżerii, przytykającej do salonu.
Kwitnące kamelie, rododendrony, wspaniałe mirty i cedry rzucały ruchome siatki na terakotowe uliczki. Słońce oświetlało szyby okien jaskrawym blaskiem.
Waldemar zamknął drzwi salonowe i wszedł w boczną uliczkę, obsadzoną kameliami. Szli w milczeniu, po czym on przemówił serdecznym, pieściwym tonem, pochylając do niej głowę:
– Czy pani istotnie chce wyjechać? Czy to zamiar prawdziwy, stanowczy?

Stefcia odzyskała mowę.

- Najzupełniej stanowczy.
- Kiedy powzięty?
- Powróciłam już z tą myślą.
- Więc w domu zamiar powstał, w Ruczajewie?

Silniej przycisnął jej rękę.

- Domyślałem się, że wypadki ostatnie źle na panią wpłyną, ale... czy pani sądziła, że ja pozwolę na jej wyjazd?... na taki wyjazd?...

Stefcia osłupiała. Odrzekła drżącym głosem:

- Wzbronić mogłaby mi pani Elzonowska, pan... nie.

Waldemar zwołał kroku.

- Ciotka? Zapewne z innych względów. Aleja panią kocham... i wyjechać stąd może pani tylko... moją narzeczoną.

Powiedział to z energią, w sposób trochę nerwowy. Stefcia zmartwiała. Płomień gorący ogarnął jej mózg. Ukwiecone kamelie zaczęły jej wirować w oczach. Rękę przesunęła po skroni.

- Jak to... pan... mnie?

On pochylił się nad nią. Jego niski głos brzmiał teraz miękko, tkliwie.

- Kocham cię, jedyna. Czyś ty tego nie wiedziała? Chcę cię mieć, zostaniesz moją żoną... I ty mnie kochasz, dlatego uciekasz... ale tyś moja, moja!...

Wielkie szczęście bywa czasem tak potężne, że staje się cierpieniem. Uczucie Stefci w tej chwili było niemal bólem. Odurzenie trwało. Niespodziewane słowa Waldemara wlały do jej duszy tyle bezmiernej szczęśliwości, tyle światła, że dziewczyna straciła władzę nad sobą. Stała ogłuszona, jak wykuta z alabastru, tak białą powłoką zastygła jej twarz. Tylko oczy wielkie, pysznie ocienione, mieniające się ciemnym fioletem, patrzyły w rozognione źrenice Waldemara z niemą prośbą, z bolesnym błaganiem, jakby mówiła nimi:

- Nie męcz mię! Nie wódz na pokuszenie!...

Pałający wzrok Waldemara pochłaniał ją, pieścił, całował. Ordynat mocno ścisnął jej rękę i nachylony szeptał rozpalonymi ustami:

- Szaleję za tobą!... słyszysz? Musisz być moją i będziesz... Kochasz mię, ja wiem!...

Stefcia nagłym ruchem wyrwała rękę z jego dłoni. Olbrzymia fala szczęścia, szalony wir radości porwał ją huraganem.

Ognisty rumieniec oblał policzki. Chwyciła się za skronie i łapiąc szybko powietrze w rozchylone wargi, wyrzuciła z piersi wielki, potężny krzyk serca, niby hejnał dziękczynny:

- Boże! Boże! Boże!...

Waldemar porwał ją w ramiona, z ogniem w oczach, oszalały, wściekły.

Lecz w tej samej chwili błyskawicą stanęła w oczach Stefci biała postać jej babki w objęciach ułana, w ogrodzie śnieżewskim, przed laty. Rozpaczliwa siła oderwała ją od piersi Waldemara, zanim zdążyła złożyć na niej głowę zwichrzoną szczęściem, bezmiarem radości.

Wyrwała mu się, cofnęła gwałtownie, przerażona, osłepła z nagłej trwogi. Wsunęła naprzód ramiona, jakby się broniąc przed nimi.

Waldemar, zdumiony, znowu chwycił jej rękę i ścisnął jak w kajdanach.

- Co tobie?
- Ja pana... nie kocham... nie kochałam nigdy... nie! nie! – krzyknęła Stefcia głuchym, zmienionym głosem.
- Co tobie?... uspokój się!... co mówisz?...
- Nie kocham pana!... nie chcę!...
- To kłamstwo! – wybuchnął Waldemar. – Kochasz mnie i będziesz moja!
- Nigdy! nigdy!...

Drżała wzburzona bez granic, piersi jej gwałtownie falowały, oczy ciskały iskry.

Waldemar był straszny. Gniótł jej ręce powyżej dłoni, aż kurczyły się z bólu. Żrenice prawie czarne, pałające jak wulkan wpił w jej oczy i mówił chrapliwie:

– Musisz! musisz... bo ja tak chcę!

Nerwowy, podniecony śmiech wybiegł z ust Stefci niby jęk męczeński. Spojrzała mu w oczy jak zraniona i zawołała:

– Teraz... tak... a potem?

W pytaniu jej był cały dramat zmarłej babki.

Stefcia gwałtownym szarpnięciem wyrwała ręce z rąk ordynata i odskoczyła od niego. Zatrzymała się dumna, pewna swego zwycięstwa, ale wstrząśnięta do głębi duszy. Szalonym wysiłkiem woli uspokoiła głos i wyraz twarzy. Poważnie, wolno i dobitnie rzekła, nie patrząc na Waldemara:

– Nie kocham pana i... proszę zapomnieć o mnie.

Odwróciła się, podążając w stronę drzwi, zmieniona, ze zroszonym czołem od męki jaką sobie zadała, ale z dumnie podniesioną głową. Dopiero w białym salonie załamała ręce strasznym ruchem rozpaczy i pędem pobiegła do siebie. Przed łóżkiem runęła na kolana. Przerażliwy płacz buchnął z jej piersi.

– Skończone! skończone – jęknęła wśród łkań.

Waldemar pozostał jak wbity w ziemię. Jej okrzyk wypowiedział mu wszystko. Miała na myśli babkę i Macieja. Ostatnim słowom Stefci nie uwierzył. Przeciwnie – sposób, w jaki były wypowiedziane, utwierdził go w pewności, że ona go kocha. Ale patrzył na nią osłupiały z podziwu, gdy odchodziła. W oczach błysnął mu tryumf.

– Dzielna i dumna! – szepnął z uznaniem.

Stał, patrząc na rozhuśtane gałęzie kamelii, poruszone przez Stefcię, i z wolna twarz jego uspokoiła się, wzburzenie minęło.

Łagodny wyraz okolił jego wydatne usta, w oczach zadrgała tkliwość.

– Kocham ją nad wszystko... zostanie moją...

Przeszedł się parę razy po uliczce, mając pełne oczy, pełną duszę obrazu Stefci.

– A gdyby?...

Przyszła mu na myśl rodzina. Odmówią mu stanowczo. Co wówczas?...

Dziki ogień błysnął mu w oczach. Brwi ściągnął groźnie.

– Zobaczymy! – syknął z wściekłością.

IX

Po straszliwym wybuchu płaczu Stefcia z klęczek osunęła się na podłogę i skulona wlepiła oczy w jasny, drgający promień, co jak rakieta wypadł z okna i szerokim pasem przerznął pokój, rozświetlając delikatne pyły. Oczy Stefcii pomimo łzawej mętni gorzały. Buchała z nich szalona miłością dusza, obudzony a palący żar młodej natury. Na ustach jej zakrzepły ból zmalął; rozchyłał je teraz dziki krzyk wewnętrznej nawałnicy. Wrzała w niej męka i krew rozkipiała, bijąca ogniem na twarz. Dłonie łamały się w żywiołowej walce. Wszystkie siły duchowe Stefcia wezwała na pomoc. Za słabe były, nie mogły zwyciężyć. Miłość jej tragiczna, głęboka a poważna przez swą ciszę, gwałtownie, jak pożar od iskry piorunu, targnęła jej sercem, porywając w bezkresny wir zmysły i duszę. Pożoga olbrzymich uczuć zatrzęsła istotą Stefcii, waląc w mózg niezmierną potęgą, płomieniem, niosąc z rozpędem huraganu gorące zarzewia do jej żył.

Krótką chwilą uścisku Waldemara pozostała w nerwach. Stefcia czuła się opasaną żelaznymi okowami jego namiętych ramion, czuła rozpalony oddech jego ust obok swej skroni przez jeden błysk oka.

Skąd przysłała ta siła, ta moc nieludzka, co ją wyrwała z tytanicznej władzy ukochanego? To rozpacz, to wizja przeszłości.

Stefcia wyjęczała rozdzierającą serce skargę:

– Kocham go do szaleństwa, bez pamięci! Jego być chcę, jego niewolnicą!

Wpychała chusteczkę w usta, aby nie skowyczeć z bólu, z pragnień słodkich, niosących ją w zawrotną przepaść tęsknoty.

– Kocham go! Waldy! Waldy! mój panie!

Dygotała leżąc na ziemi, ale obuch groźnej prawdy uderzył w jej umysł brutalnie i otrzeźwił. Z rękoma przy skroniach dzwignęła się, uklękła. Oparta na krawędzi łóżka, odczuwała, jak wielka konieczność miażdży w niej wybuch szału, jak lodem ścina gotującą się krew i wolno, boleśnie, niby gradem ostrych kamyków pada jej na mózg.

Nie mogę, nie wolno mi!... muszę stąd jechać!...

– Muszę! – krzyknęła, powstając. Ale zachwiała się i padła na łóżko, twarz zanurzyła w poduszce.

– A on? On kocha... on szaleje! A on?! Uciec, uciec!... on zapomni!... wszystko runie!...

Wiedziała, że nie, znając już potęgę jego miłości, nosiła ją w sobie, dopełniała własną. Ale uciekać trzeba, zejść z oczu tych ludzi, zatrzeć ślad po sobie, uciec przed ukochanym, byle go więcej nie widzieć, byle nie czuć go blisko siebie. On ją chce mieć za żonę, ofiarował jej nazwisko z zupełną świadomością swych pragnień i uczuć, ale ona przyjąć go nie może.

Stefcia rozumiała, że piękny gmach szczęścia z Waldemarem nie dla niej, że powinna go odsunąć dobrowolnie, choćby duszę swą miała rozszarpać na strzępy. Bała się ponownej rozmowy z nim, jego oczu, głosu, słów, dotknięcia ręki. Samo wspomnienie jego zmysłowych ust parzyło ją. Zamykała oczy, by odpędzić rozkoszną wizję jego drapieżnych źrenic. Stefcia miała wrażenie, że gdyby on zatrzymał ją w swych ramionach, byłaby już jego... że gdyby usta dotknęły jej ust, omdlałaby ze słodkiej, upajającej niemocy...

I ten błękitny sen własnoręcznie rozproszy – wszystko się skończy bezpowrotnie, zatara-sowane barbarzyńskim murem niemożebności.

Potworne macki nieszczęścia wypełzały do Stefcii groźne i nieubłagane, zabijając w niej życie. Sfera ordynata jak hydra złośliwa wciągnęła ją w siebie i piła jej krew ssawkami czaru aż do zatracenia. Uratuje się, wyrwie z tej przemocy, lecz poraniona, prawie martwa, ociekła potem gorzkiej niedoli, w zupełnej nędzy duchowej, z zanikiem wszelkich sił do życia. Drewnem zostanie, materią bez ducha i zmysłów; hydra zniweczyła w niej najistotniejsze atomy bytu, wchłaniając samoistne popędy i młodą moc natury. Wyznanie Waldemara było

ostatnią macką hydry, wypijającą krew z serca. Odejdzie stąd włóknem, moralną ofiarą, w tragiczną otchłań tęsknot, w grzęzawiska rozpacz. Byle od tych blasków, byle od uroków, które zabijają! W świat! w świat czarny, okropny... Rzucić tę Ikarię świetlistą, bo się stała piekłem, bo rozbrzmiewa szatańskim chichotem ironii. Zamknąć oczy i gnać na przepadłe bez oglądania się, bez myśli, bez westchnień.

– Czy potrafię?...

Dziewczyna wiła się jak na torturach, ale szare oczy Waldemara patrzyły na nią przejmująco, usta piekły żarem, budząc dreszcz namiętny, głos jego, nabrzmiaty miłością, chrapliwe rzucał słowa:

– Szaleję za tobą!... Słyszysz?... Musisz być moją i będziesz. Kochasz mnie, ja wiem.

Och, wiedział! wiedział wszystko i nie puści jej: straszny jest; orzeł! lew! gromy miał w oczach, sztylety na ustach, gdy mówił ostatnie słowa:

– Musisz, musisz, bo ja tak chcę!

To potęga, cyklon rwący, wszechmocny.

– Jego być do niego należeć! Boże, zabij mię za te pragnienia! – skarżyła się Stefcia.

Chwilami słabła. Wówczas ciche pasemka nadziei wsuwały się w jej dramat, słodko szemrząc. Jakby we śnie, doznawała złudzenia nad wyraz błogiego, że on jest obok niej, że kładzie dłoń na jej skroni i przemawia łagodnie. Ona opiera głowę na jego piersiach z ufnością, z nieziemskim uczuciem szczęścia; uczuwa na ustach pocałunek; palące dotknięcie jego pożądliwych warg niby słodka trucizna odurzają... W upojeniu bez granic mdleje, pada w promienisty krąg niewysłowionej błogości.

Czy to już śmierć?... Stefcia drży, nie śmie podnieść głowy, otworzyć oczu, trwa w niepamięci, owiana wonią zaczarowanych kwiatów marzeń.

Ciche pukanie do drzwi.

Świat! świat ją woła.

– Nie otworzę! – myśli Stefcia – nikt nie ma prawa deptać złotych rojeń o nim, nikt!

Cicha nuta w jej duszy wpada znowu w szloch. Dziewczyna spazmatycznie łka. Rozkłębia się na nowo piekielny gad nędzy i przesuwają przed Stefcią ohydne cielsko. Przyciszony muzyką anielskich harf odżył nikczemny, jak upiór straszny.

Zdruzgotał marzenia.

Płacz, płacz... popiół w duszy... pogorzel nadziei... klęska!

Pukanie do drzwi powtarza się. Rzeczywistość czuwa i nadchodzi, by wyrwać ofiarę. Zaslona cudnych widoków zapada ze złowrogim szelestem. Ginie czar.

Stefcia nie otwiera drzwi.

– Boże! Boże! daj siły, daj wytrwanie! – szepnęła gniotąc konwulsyjnie czoło w dłoniach.

I zapadła w odrętwienie, z załamanymi rękoma skamieniała. Łzy się w niej zapiekły cierpieniem, przenikliwy mróz ścinał krew w jej arteriach, pokrywał szronem zapalne wyskoki krwi, dusił ją chłodną, bezwzględną prawdą. Jakby muśnięte powiewem śmierci, stężały w niej uczucia, zlodowaciał mózg. Stefcia była głazem.

Oczy Waldemara, uporczywe, silne woła, niemiłosierne w wyrazie, stały wciąż przed nią, jak zaporę odgradzająca zmałowane przestrzenie i ponure groby, dokąd bezwiednie szła jej dusza.

Postać Waldemara olbrzymiała w jej podnieconej wyobraźni, głos jego grzmiał niby wzburzone wody oceanu. Ramiona potężne, ramiona mogące skruszyć wulkan otwierały się do niej, aby ją unieść z ziemi do wyżyn rozświetlonych, do apoteozy boskiej szczęśliwości.

Stefcia majaczyła z jego ideałem w całej swej istocie.

Po paru godzinach stukanie do drzwi ponowiło się i cichy, łzawy głos szeptał błagalnie. Gdy w półprzytomna Stefcia otworzyła, Lucia wpadła, z głośnym spazmem rzucając się w jej objęcia.

X

Co się stało w pałacu, nikt nie wiedział, ale nawet służba czuła, że coś jest. Wieczery nikt nie jadł. Pan Maciej po krótkiej rozmowie z ordynatem zamknął się w gabinecie. Ordynat przyjął wprawdzie rządcę Klęcza, ale narada niedługo trwała. Rządca, wychodząc, spytał szeptem strzelca Jura:

– Co się stało ordynatowi? Zapytany szeroko rozłożył ręce.

– Ja tu jestem głupi, ale coś się stało, i to wszystkim.

Cicho, z tajemniczą miną zaczął opowiadać, że ze starszym panem jeszcze gorzej, że pani baronowa podobno biega wciąż po swoim buduarze – tak mówiła Anetka, panna służąca – a baronówna ledwo się dostała do pokoju panny Stefanii i teraz obie płaczą, ale że drzwi zamknięte, więc Anetka nie może wiedzieć, czego. Klęcz poruszył głową.

– Tu się coś święci.

I odszedł rozmyślając. Zastanawiał go fakt, że od pierwszego wyjazdu panny Rudeckiej w pałac jakby uderzył grom.

Na drugi dzień Stefcia oznaczyła swój wyjazd: miał nastąpić wieczorem.

Nikt się temu nie sprzeciwiał, ale Lucia zapuchła od płaczu, nie wychodząc z pokoju przyjaciółki. Stefcia napisała krótki serdeczny list do panny Rity, żegnając ją i prosząc o pożegnanie w jej imieniu księżnej. Sama obiegła park, ogród, zaszła nawet do borku. Przed obrazkiem Bogarodzicy, który jeszcze w maju zawiesiła na potężnym grabie, modliła się teraz długo, klęcząc w śniegu. Chciała go zabrać z sobą, lecz zaniechała tej myśli.

– Niech on tu zostanie jako pamiątka po mnie.

Wieczery, jak poprzedniego dnia, nikt nie tknął. Wszyscy byli przygnębieni. Nawet pan Ksawery nie miał apetytu.

Waldemar odsuwał półmiski ruchem stanowczym, wypił tylko parę kieliszków burgunda. Zimny, spokojny, na Stefcie nawet nie patrzył.

Ona siedziała jak martwa. Wodząc oczyma po sali, żegnała portrety, freski i rzeźby ścian. Dreszcz przebiegał jej członki, dreszcz chłodny, wstrząsający. Była blada, tylko oczy gorzały jakimś ogniem tragicznym, palącym się w duszy, tylko usta rozpalone piekły ją żarem. W piersi czuła prędkie, suche uderzenia serca, szum w głowie ogłuszał ją.

– Jadę, jadę na zawsze! – powtarzała sobie w myśli z dzikim uporem.

– Straszne to, okrutne!...

I przedstawiły się jej, oczom szeregi dni w Słodkowcach spędzone, pierwsze chwile dość przykre, wesołe lato i jesień pełna czaru.

– Głębowicze! Głębowicze! – huczało jej w myśli. – Nie ujrzę ich już nigdy!...

Wystawa, polowania, bal kostiumowy, wszystkie drogie wspomnienia stawały teraz przed nią jakby na urągowisko.

I znów zobaczyła szeregi dni, które tu płynąć będą po jej odejździe. Te same osoby siądą jutro do stołu, tylko już bez niej. Nic się nie zmieni. Waldemar będzie tu bywał, jak zwykle. Na wiosnę zakwitną bzy, narcyzy i mnóstwo irysów na trawnikach. W borku zaśpiewa słowik. Nad jeziorem zakwila mewy, krzyk wesołej kukułki rozlegnie się echem po parku. Ale już ona tego nie usłyszy, chyba tam, w Ruczajewie.

I nagle rodzinna wieś wydała się Stefcie czymś ogromnie oddalonym, za szarą mgłą, gdzieś w nieskończoności.

Słodkowce i Głębowicze, przeciwnie, były dla niej złotą smugą, gasnącą na zawsze.

W sercu dziewczyny obudził się żal: dlaczego odmówiła Waldemarowi? On ją kochał! Więc sama dobrowolnie zniszczyła swe szczęście? Dlaczego?... Z powodu minionej, przebrzmiałej historii babki?... Rozum w samą porę zniewolił rzut jej serca.

– Co to jest rozsądek, co to jest zimny rozum – zastanowiła się. – Czy to skrzydlaty duch,

unoszący się nad nami? Nie widząc go odczuwamy jego tchnienie i kierującą dłoń.

W rozbujalej wyobraźni swej ujrzała Stefcia rozum w postaci staruszka z siwą brodą, trzymającego tablicę z prawami dla ludzi. I kiedy piękny bożek czaru, bożek upojeń i pokus wabi urokiem swych uśmiechów, staruszek-rozum przed oczyma ludzi przesuwając tablicę obowiązków i plan właściwej drogi, patrząc łagodnie, lecz stanowczo. I zwycięża, tłumi nawet porwy serca.

Staruszek ten ma siłę magnesu, trudno mu się oprzeć – on nieczęsto zachwyca, on magnetyzuje i pociąga odruchowo. Jest bardzo szanowny, ale idąc za nim zrzuca się jasną, wygodną szatę, wkładając tę którą on przeznaczy, i każdy obejrzy się za siebie mówiąc: „Jak tam pięknie!” Stefcia zdrzała.

– I ja się obejrzę, i ja tak powiem!

Łkanie porwało ją nagle. Chcąc je ukryć, zaczęła kaszleć, ale łzy zaszklily się w jej oczach.

Waldemar błyskawicznie spojrział na nią, twarz mu się skurczyła jakąś walką. Pierwszy dał znak powstania. Pani Idalia tym razem nie skrzywiła się na ten brak etykiety.

Pożegnanie trwało niedługo. Waldemar naglił do wyjazdu. Baronowa czule ucałowała Stefcię.

– Pisuj, Steniu, do Luci jak najczęściej. Ty ją prawdziwie osierocas. Do widzenia! Mam dla ciebie wiele serca, wierz mi.

Stefcia z wybuchem żalu rzuciła się do rąk pana Macieja, gdy starzec siwą, skołataną głowę pochylił nad włosami dziewczyny. Waldemar odwrócił oczy. Wzruszenie zatamowało mu oddech. Z ironią patrzył na czułości pani Idalii, lecz pożegnanie Stefci z dziadkiem dziwnie go przejęło.

– Powrócisz tu moją albo ja zginę – powtarzał sobie w duchu.

Lucia z rozdzierającym krzykiem padła w ramiona Stefci. Obie płakały gorzko, tylko Stefcia cicho, Lucia rozpaczliwie. Pan Ksawery, ocierał chustką nos i chrząkał rozczulony.

– Smutno nam będzie bez pani – rzekła całując Stefcię w rękę.

– Stefa!... jedyna, złota! – wołała, szlochając, Lucia.

Waldemar przerwał wybuch dziewczynki dosyć szorstko, oznajmił, że wielki czas jechać. Stefcia uczuła dotkliwą przykrość.

– Po co on mię tak wygania?...

W bocznym przejściowym saloniku oczekiwał rządca Klęcz. Pożegnał Stefcię z wielkim uszanowaniem. Waldemar bardzo życzliwie spojrział na niego.

W obszernej sieni pałacowej czekała niespodzianka, która wzruszyła Waldemara, nawet panią Idalię. Stał tam szereg lokajów, młodszych pokojowców, z Jacentym i Franciszkim na czele, ochmistrzyni pałacowa, panna służąca Anetka, pokojówki i kucharz w swym białym rynsztunku. Wszyscy na wyścigi rzucili się żegnać Stefcię, całowali ją po rękach. Stary Jacenty mruzczał coś, co u niego oznaczało żal i wzruszenie. Stefcia wobec służby wstrzymywała łzy, żegnała wszystkich uprzejmie, tylko usta jej drżały.

Waldemar włożył na nią futerko. Gdy przypinała do włosów czapeczkę, ze zdziwieniem zobaczyła, że i Waldemar nakłada futrzany płaszcz.

Ogarnął ją niepokój.

– Po co się ubierasz? – spytała pani Idalia ordynata.

– Odprowadzam panią na kolej – odrzekł sucho.

Wszyscy zrobili wielkie oczy. Pani Idalia zacięła usta, pan Maciej cofnął się za próg.

Stefcia z żywością rzekła do Waldemara po francusku:

– Proszę pana nie robić tego. Dojadę sama bezpiecznie. Sprawi mi pan wielką przykrość!

Było w niej tyle szczerości, taka wyraźna prośba widniała w jej oczach, że pan Maciej i pani Elzonowska aż się zdziwili.

Ale Waldemar najspokojniej, lecz stanowczo podał jej ramię.

- Proszę panią prędzej, bo się spóźnimy.
- Niech pan zostanie!... błagam pana!... ja... nie chcę, aby pan jechał!
- Niechże pani nie robi sceny, służba patrzy – rzekł podrażniony.

Stefcia rzuciła dokoła rozpaczliwym wzrokiem. Jechać z nim razem wydało jej się strasznym.

Pan Maciej dostrzegł jej niepokój. Wyciągnął do niej rękę.

- Nie upieraj się, Steniu... owszem, niech cię Waldy odprowadzi, będzie bezpieczniej.

Staruszek w razach koniecznych umiał być dyplomata.

Jeszcze trochę przykrych pożegnań, spazmatycznego płaczu Luci – i Waldemar wypro-
wadził Stefcie na ganek. Tam żegnał ją stangret Benedykt i stajenni. Stary ogrodnik z żalem
kiwał głową, ocierając siwe wąsy.

Wszyscy jej żalowali, każdy po swojemu.

Przed filarami ganku stała karetka i czwórka z Głębowicz. Brunon zdziwiony patrzył na
uroczysty wyjazd. Jur wynurzał się z liberyjnych futer jak zawsze pompatycznie, ale miał
tajemniczą minę.

Waldemar umieścił Stefcie w karecie, bardzo uprzejmie podał rękę Kleczowi i sam sia-
dając zawołał do stangreta:

- Ruszaj żywo!

Jur zamknął drzwiczki i prędko wygramolił się na kozioł.

Karetka cicho pomknęła po białej, wyslizganej drodze, janczary dzwoniły raźnie, znacząc
sobą ślad odjeżdżającej Stefcie.

Ona w kącie karety siedziała cicho, tamując oddech w piersi. Minęli bramę, zawrócili na
bok i Stefcia ujrziała pałac, biały, wyniosły, błyszczący w księżycu blaszanym dachem i rzę-
dem oświetlonych okien.

Ostatni raz!

Łzy spływały z jej oczu. Nie uważając już na obecność Waldemara, załkała żałośnie.

Waldemar delikatnie wziął jej rękę, bez słowa, tulił ją w swych dłoniach i wolno zdej-
mował rękawiczkę.

Stefcia szarpnęła się, ale nie wyrwała ręki. Zatrzymał ją mocno.

- Spokojnie... spokojnie... proszę – przemówił miękko głosem.

– Dlaczego pan ze mną jedzie?... dlaczego zrobił mi pan taką przykrość! po co to? – wy-
buchnęła Stefcia z żalem.

– Nie mówmy już o tym, droga moja. Czyż ja mogłem cię puścić bez rozmówienia się in-
aczej jak tam w oranżerii? Chcę przekonać cię, najdroższa.

Stefcia poruszyła się. Jego serdeczny, łagodny głos, jego słowa i sposób mówienia dzia-
łały na nią zabójczo. Zrozumiała, że on zaczyna mieć władzę nad nią. Dłoń jej pieścił, całow-
wał; to ją onieśmieliło, ale chciała się jeszcze bronić. Szepnęła błagalnie:

– Niech mi pan zostawi w spokoju. Ja wyjadę i wszystko się skończy. Tak być powinno.
Niech mi pan zrobi tę łaskę.

– Stefcie, mówmy poważnie, a nade wszystko spokojnie. Ja wiem, o co głównie idzie. Ty
zawsze masz na myśli zmarłą babkę i jej dramat. Nie przeczę, to może nasuwać bardzo bole-
sne porównania. Ale nie masz jeszcze do nich prawa, gdyż dramat miniony w naszych rodzi-
nach nie może się powtórzyć. Ja cię kocham od dawna i głęboko. Nie jest to chwilowy szal
ani kaprys – znam swe uczucia. Nie mam lat dwudziestu, żeby się unosić chwilą. Poważnie
analizowałem siebie i doszedłem do wniosku, że kocham cię uczuciem prawdziwym i bardzo
potężnym. Kochałem się wiele razy, lecz to co innego! tamto właśnie były chwilowe szale,
zrodzone z lekkich romansów, jakie każdy z nas liczy na tuziny. Ale nie spotkałem kobiety,
której typ nosiłem w sobie, ani jedna nie weszła mi do duszy. W uprawianych przeze mnie
flirtach głównym czynnikiem były zawsze zmysły. Ty pierwsza wzbudziłaś we mnie uczucia
inne. Ciebie nie tylko pragnę, ale cię kocham niezmiernie. Z początku miałem złe myśli. Za-

chwyciłaś mnie od pierwszej chwili spotkania, bo w samej powierzchowności odnalazłem mój typ, i chciałem cię mieć, ale – inaczej. Chciałem cię rozkochać, chciałem, abyś mi się oddała sama. Byłem niegodziwy, rozbałamucony życiem. Widziałem, że mi się nie udaje, i jakiś czas mściłem się na tobie, nawet arogancko. Chwilami nienawidziłem cię, doprowadzałaś mię do wściekłości. Widzisz! widzisz, jedyna!...

Wziął drugą jej rękę i gorąco przycisnął obie do ust. Stefcia siedziała jakby śniąc. On mówił dalej cichym, przepojonym namiętnością głosem:

– I uspiłaś we mnie lamparta, zacząłem patrzeć na ciebie inaczej. Ogarniało mię zdumienie, widząc twą nieprzystępność i taką szlachetną dumę. Szanowałem cię, czcilem. A przy tym byłaś zawsze taka śliczna, taka wdzięczna w każdym ruchu, tyle odnajdywałem w tobie ponęt, umiałaś mię porwać nieświadomie, a tak uroczo. I pokochałem cię nad wszystko, zdobyłem! nareszcie jesteś moją, bo i ty mię kochasz. Nie broń się, nie zapieraj! wiem wszystko... Walczyłaś! ale to się zwalczyć nie da, to silniejsze, zwycięża zawsze! Podziwiałem twój hart, z jakim rzuciłaś mi wczoraj zaprzeczenie swych uczuć, ale tym bardziej wiem, że mię kochasz. I ja miałem poprzestać na twej wczorajszej odpowiedzi? Więc zdobyłem cię po to, by pożegnać?... po jednym słowie, które podyktowała ci duma, obawa, gorycz, wywołana obrazem przeszłości? Gdybym ci był zupełnie obojętnym, jeszcze szedłbym do celu z nadzieją, że cię zdobędę. Ale wiedząc, że posiadam twą wzajemność, ja miałbym ustąpić?... Nie znasz mię, jedyna. Będiesz moją żoną, bo mam pragnienie szczęścia, bo tobie chcę je ofiarować.

Stefcia słuchała z upojeniem, z nie znaną dotąd rozkoszą. On ją kochał i mówił to nie w jakimś szale, ale spokojnie, poważnie. Patrzył na nią tak przejmująco. Czują ten wzrok, przepalał jej krew, niweczył wolę. Ordynat przyciągnął ją do siebie i pochylony szeptał nagłaco:

– Jedyna moja, złota, najdroższa, nie zaprzeczaj, nie wypieraj się... kochasz mię... powiedz, chcę, byś mi to powiedziała!...

Stefcia osłabła. Nazbyt silnie kochała, by móc się oprzeć. Świadomość jego uczuć, niski, nabrzmiący miłością głos odurzył ją. Przymknęła powieki oczarowana, uniesiona szczęściem w jakieś nieznane krainy. Otaczała ją przestrzeń jasna, ze złotych gwiazd utkana, pełna woni i cichej a świetnej muzyki. Nie umiała się bronić nawet wtedy, gdy on energicznym ramieniem otaczał ją delikatnie, pieszczące. Przygarnął ją do siebie i cicho złożył jej głowę na swej pierśsi.

Stefcia trwała w odrętwieniu.

Waldemar odsunął jej czapeczkę z czoła i zanurzył usta w jej włosach.

– Szczęście moje! ptaszyno moja! – mówił w uniesieniu – powiedz, że kochasz.

Nagłym ruchem przytuliła się do niego, szczęśliwa, niemal nieprzytomna z rozkoszy.

– Kocham!... tak... kocham! – wyszeptała z głębi udręczonej duszy.

– Moja ty! moja!...

Cisnął ją do siebie, jej usta, oczy, włosy okrywał bezpamiętnymi pocałunkami.

Długa, rozkoszna chwila czaru, nieziemskiego upojenia zawisła nad nimi. Wszystko, co świat posiada najpiękniejszego, mieści się w takich momentach. Taka uroczystość duchowa, w połączeniu z namiętnością, przewyższa, wszelkie uroczystości ziemskie.

Takie chwile stworzone być muszą przez aniołów: są zbyt czarowne.

Waldemar pieścił Stefcie, szeptał najczulsze, kochające słowa. Miał ją nareszcie, tę upragnioną, jedyną.

– Będiesz moją żoną... moją na wieki – powtarzał.

Stefcia drgnęła i rzekła beźmiernie smutnym głosem:

– Kocham pana nad życie... ale... żoną nie będę nigdy.

– Dlaczego, jedyna. Co mówisz?

– Bo to niemożliwe! pan jesteś magnatem... to... to nie dla mnie!

– Ależ, na Boga, nie rozmyślaj o podobnych rzeczach, droga moja! Kochamy się – to dosyć, to decyduje o wszystkim. Jesteś moją i nie pozwolę cię wyrwać sobie nikomu. Sfera nie

wzbroni nam szczęścia, bo nie wyrzeknę się ciebie, jedyna. Mój dziadek mówił kiedyś to samo swej narzeczonej, ale on był w innych warunkach, bo o dziesięć lat ode mnie młodszy, więc mniej odporny na wpływy rodziny. A może był słabszy? Proszę cię, ukochana, zaniechaj podobnych myśli, ufaj mi, ja cię nie zawiodę. Będiesz bardzo szczęśliwa, tylko wierz w szczęście.

Stefcia wysunęła się z jego objęć.

– Ja pańską żoną? Czy to możliwe? W tyle szczęścia nie wierzę!

Waldemar tulił ją do siebie z promiennym uśmiechem.

– Zobaczysz, jedyna! zobaczysz! wszystko, co nam stanie na przeszkodzie, zgniotę, zdepczę, a ciebie mieć muszę!

– Ale ja nie chcę być zakałą w waszej rodzinie. Pana by zagryźli, zadreczyli. Ja nie chcę tego dla pana, bo go kocham. Ja i tak za długo byłam wśród was. Kochając pana od dawna, czemuż od razu nie uciekłam? Żyłam jak we śnie, bez zastanowienia, a teraz już... nie zapomnę!

Zaczęła znowu płakać.

– Uspokój się, dziecko! – mówił Waldemar tuląc ją do piersi. – Stefcu złota moja, nie powinnaś tak mówić, skoro kochasz. Zostaniesz moją żoną, którą wszyscy muszą szanować, będziesz ordynatową Michorowską i na tym stanowisku przy mnie nic ci nie grozi. Jestem pewny, że przeciwko tobie, jako mojej żonie, nikt głośno szemrać nie będzie śmiały, a ciche mruczenia nas nie obchodzą. Ptaszyno najdroższa, prędzej zginę, niż cię porzucę! Wierz mi.

Przycisnął usta do jej ust. Jego wąsy muskały ją w policzek, gorący żar oddechu odurzył Stefcie aż do utraty zmysłów.

– Powtarzam ci, droga moja: twój Waldy nie zawiedzie, tylko mu zaufaj zupełnie. Przyjdzie czas... pojedę do Ruczajewa i zabiorę cię. Wówczas podasz mi sama rękę na całe wspólne istnienie. Pragnę twego szczęścia i zwalczę przeciwności, gdyż inaczej mielibyśmy oboje zwichnięte życie. Moja ty mimozo! Od dziś jesteśmy narzeczeni i proszę, bądź spokojna.

Wjechali w obręb dworca. Przerażliwy gwizd parowozu wyrwał ich z upojenia. Karetą stanęła, pociąg już był na stacji.

Ruch, gwar, zamieszanie.

Ordynat umieścił Stefcie w osobnym przedziale i wysłał telegram do Ruczajewa. Jur zajęli się rzeczami. Pozostało jeszcze kilka minut do odejścia pociągu.

Stefcia drżała febrycznie. Waldemar ścisnął jej rękę.

– Do widzenia, ukochanie moje! Spodziewaj się mnie w Ruczajewie i ufaj! Zrobię wszystko dla naszego szczęścia. Jesteś dla mnie jedyną! Rozległ się trzeci dzwonek.

Stefcia krzyknęła głucho. Waldemar porwał ją w ramiona i gorąco ucałował jej splakane oczy.

Brwi miał ściągnięte i wielkie poruszenie w twarzy. Usta mu drżały.

– Do widzenia, najmiłsza, do widzenia!

Stefcia wyrwała mu się z objęć. Do przedziału weszła jakaś starsza i dystygowana kobieta. Waldemar obrzucił bystrym spojrzeniem sympatyczną twarz przybyłej. Znał ją z widzenia, była to obywatelka z okolic Obronnego. Skłonił się z wytworną grzecznością.

– Opiece szanownej pani polecam moją narzeczoną. Jestem ordynat Michorowski.

Zdziwiła się mocno, ale natychmiast z uśmiechem podała mu rękę, mówiąc swe nazwisko.

– Niech pan będzie spokojny. Jedziemy z panią w jedną drogę, zaopiekuję się nią aż do mej stacji.

Waldemar podziękował, uściśnął rękę Stefcie i wybiegł z wagonu.

Pociąg ruszył.

Ordynat, idąc przy oknie, gdzie stała Stefcia, uniósł z głowy futrzaną czapkę i posyłał pieszczące słowa za bladą twarzą dziewczyny, niknącą na tle szyby w natłoku wagonów.

Pociąg wypadł poza stację, na księżycowej, błękitnej przestrzeni toczył się szybko, hurkotał, opasany zbitym wałem dymu.

Waldemar doszedł do pompy stacyjnej, stanął i patrzył na oddalającą się masę, łowił uchem silniejszy, to słabszy turkot kół, z dziwnie rzewnym uczuciem.

– Przyjadę po ciebie niedługo, mój ty ptaku złoty! – rzekł prawie głośno.

Stał dotąd, aż ciemna plamka pociągu wsiąkła w błękitną sadz księżycy, po czym zawrócił.

– A teraz do walki! – zawołał.

W sali bufetowej zatrzymał go ukłonem zawiadowca stacji.

– Bardzo przepraszam pana ordynata, że wcześniej nie złożyłem mego uszanowania. Czy to odjechała panna Rudecka?

Waldemar podał mu rękę.

– Tak, panie, moja narzeczona pojechała do rodziców.

– A-a-a!...

Urzędnik tak się zdziwił, że nie zdobył się już na żadne więcej słowo, zapomniał nawet o obowiązującym powinszowaniu.

Waldemar nie dał mu na to czasu, pożegnał go natychmiast.

Strzelec Jur, przechodząc obok, usłyszał zdumiewającą wieść i również osłupiał.

– Podawać karetę! – rzekł do niego Waldemar.

– Czy do Słodkowic, jaśnie panie? – spytał Jur stojąc przy drzwiczkach.

– Do Głębowicz.

Pojechali.

Waldemar zdjął czapkę i rozpiął futro.

Nozdrzami wchłaniał delikatny zapach perfum Stefci, pozostały w karetce.

XI

W Obronnem księżna Podhorecka siedziała w swym gabinecie zamyślona. Otoczenie odpowiadało wyniosłej i poważnej postaci właścicielki. Pokój, obity ciemnym adamaszkiem, pełen mrocznych tonów, przypominał komnaty matron polskich w staroświeckich zamczyskach.

Długi mahoniowy fortepian, przykryty makatą, ciężkie meble, stare koronki w oknach i kilka wypłowiałych portretów dopełniało całości. Przy oknie stał olbrzymi, rozrośnięty figus, niżej parę potężnych kaktusów. Gdański zegar tykał poważnie. Na wprost klęcznika wisiał duży portret młodej przystojnej kobiety w białej sukni i klejnotach. Na kolanach trzymała dwuletniego chłopczyka w aksamitnym ubraniu z koronkami. Była to córka księżnej, Elżbieta Januszowa Michorowska, ordynatowa głębowicka, z synem Waldemarem. Dziecko miało długie loki i twarzyczkę nie tyle piękną, ile już wyrazistą. Po bokach portretu wisiały dwa inne. Jeden przedstawiał zmarłego ordynata Janusza, drugi obecnego, Waldemara. Janusz przypominał typ Michorowskich z rysów, oczy miał matki, Francuzki, duże, czarne, palące, podobne do oczu pani Idalii, ale większe i milsze w wyrazie; twarz piękną i bardzo łagodną. Waldemar, sportretowany w czasie, kiedy obejmował ordynację, miał w szarych oczach figlarne błyski. Zagięcie brwi i pewien rys w twarzy wskazywał niezłomną energię.

Księżna siedziała na staroświeckiej sofie przy okrągłym stole, zarzuconym mnóstwem drobiazgów przygotowanych na Gwiazdkę dla biednych dzieci. Leżało tam pełno gotowych ubrań, sukmanek, chustek i paciorków. Były tam trzewiki i małe włóczkowe trepki obok różnych zabawek i łakoci.

Księżna, w czarnej surowej sukni, przebierała białymi rękoma wśród nagromadzonych przedmiotów, dzieląc je na osobne gromadki. Jej dama do towarzystwa, niemłoda kobieta, pani Dobrzyńska, kręciła się ciągle, znosząc coraz nowe rzeczy na przepełniony stół.

Księżna, przerywając zamyślenie, spoglądała na widny portret Waldemara z chmurą na bladej twarzy.

Od pewnego czasu wnuk ją niepokoił, zauważyła w nim wielką zmianę. Ostatni raz na proszonym obiedzie w Głębowiczach księżna przestraszyła się.

– Co mu jest? co go dręczy? – pytała samej siebie.

Dziwili ją wszyscy: i pan Maciej, i Rita, zwykle wesoła, rezolutna, teraz wiecznie zamyślona i bez humoru. Księżna parę razy spostrzegła, że płakała.

– Co się dzieje? – myślała staruszka.

Zajęta robotą, oczekiwała powrotu Rity, która natychmiast po otrzymaniu listu od Stefcia pojechała do Słodkowic. Nagły wyjazd Stefcia zastanowił księżną, a głównie wyraz twarzy Rity, kiedy list przeczytała.

Zbladła i zaciskając usta szepnęła do siebie:

– Jaki ona ma hart, ta dziewczyna!

Księżna nie dowiedziała się, co to miało znaczyć, ale od tej chwili w jej niespokojnych myślach błądziła Stefcia dziwnie natarczywie. Księżna chciała zagłuszyć w sobie wszelkie niedobre podejrzenia, zajmowały ją przygotowania na Gwiazdkę.

– Moja Dobrzymiu, nie powiedziałaś mi, czy dwoje dzieci tej wyrobnicy – wiesz? zostały przyjęte do ochronki w Głębowiczach?

Pani Dobrzyńska skinęła głową.

– Tak, ordynat polecił je przyjąć. A jakże! dostały, jak wszystkie, pościel i łóżeczka.

– Ale pamiętaj, że ubranka nasze to my dajemy. Wymogłam ten wyjątek na ordynacie.

– Są nowe na święta. Tymczasem noszą dawne, jeszcze dobre. Pan ordynat dzielnie się ochronką opiekuje. Bardzo dobre są te kobiety, które przeznaczył do dozoru, i pani ochroniarka zacna osoba. Ochronka i szkoła pełna, ale przytułek dla starców stoi pustkami.

– Dlaczego to?

– Bo z włóczęgów nikt nie chce porzucać swego rzemiosła. Mówią, że wolą żebrać, niż mieć stałe mieszkanie, dobrą strawę i jakie takie zajęcie. Każdy przyjdzie, zje, prześni się i dalej znowu w świat. Mówiłam panu ordynatowi, że to chybiony cel, po co im dogadzać, kiedy oni wolą żebrać. Ale pan ordynat jest za dobry.

– Cóż powiedział?

– Powiedział mi tylko tak: „Moja Dobrzysiu, albo się jest żebrakiem albo się nim nie jest. Ci widać mają zamiłowanie do sportu. Trudno im bronić: mogliby się pochorować na nostalgię za włóczęgą. Niech już lepiej tylko jedzą i śpią zamiast się wywracać po rowach”.

Uśmiech mignął na ustach księżnej. Pani Dobrzyńska mówiła dalej:

– Jest tam kilka zgrzybiałych staruszek i starców, z rodzin robotników fabrycznych i strażaków. Ci sobie drą pierze albo drzemią pod piecem. Pan ordynat nazywa ten oddział „pałacem inwalidów”.

Księżna znowu spojrzała na portret Waldemara.

– Kochany, dobry chłopiec! – szepnęła z uczuciem.

– Ale czy księżna pani uważa, że ordynatowi coś jest? Chyba nie chory, a jednakowoż nieswój. Ordynat już powinien żenić się, szkoda marnować takie piękne lata.

Księżna nic nie odpowiedziała, tylko westchnęła cicho. Ale gadulska pani Dobrzyńska ciągnęła dalej prędkim głosem:

– Już to widać, że ordynatowi niełatwo się kto podoba, i nasza panna Margeryta jakoś mu nie do gustu. A szkoda! Dobra panienska i dzielna. A z hrabianką Barską już się skończyło, proszę księżnej pani? Bo to wszyscy mówili, że ordynat się z nią ożeni.

– Nie, moja Dobrzysiu, nic z tego nie będzie. Masz słusność, mój wnuk niełatwo znajdzie żonę.

– Szkoda! szkoda!

Do pokoju weszła panna Rita w kapeluszu i futrzanym kołnierzu, zarumieniona z mrozu, z dziwnym wyrazem twarzy. Przywitała się z księżną w milczeniu. Pani Dobrzyńska natychmiast wyszła.

Księżna podniosła oczy na swą wychowanekę.

– Cóż tam w Słodkowcach?

Rita usiadła na krześle, gwałtownie zdejmując rękawiczki.

– Stefcia Rudecka wyjechała onegdaj.

– To wiem, ale dlaczego, co się stało?

– Och! dowie się ciocia bardzo prędko... Ona postąpiła taktownie, lecz nie zakończyła kwestii.

– Pozwól, moja droga, ale nie rozumiem, o czym ty mówisz.

– To się wyjaśni, może dziś jeszcze. Wczoraj ordynat był w Słodkowcach, dziś będzie tu.

– Waldemar? Skąd wiesz?

– Mówiła mi Idalka.

Tragiczne, długie spojrzenie rzuciła na portret Waldemara i rzekła gorąco:

– On zwycięży do końca!

Po czym wybiegła z pokoju.

Księżna patrzyła na nią przez chwilę.

– Co jej się stało?... – Dobrzysiu! – zawołała głośno.

Dama do towarzystwa weszła pospiesznie.

– Proszę cię, idź do Rity i wybadaj, czy nie chora. Wydaje mi się dziwnie rozdrażnioną. Zanieś jej starego wina. Jeśli zechce, niech przyjdzie do mnie.

Bardzo prędko potem panna Rita zjawiała się znowu.

– Dziękuję cioci za troskliwość. Dobrzysia mię winem częstowała, lecz właściwie nic mi nie jest.

– Ale mówisz zagadkowo. Nic nie pojmuję, to jedno widzę, że wyjazd Stefci spowodował w Słodkowcach jakiś niepokój. Lecz jaki? dlaczego?...

– Ach, ciociu! trudno mi o tym mówić.

– Dlaczego wymieniałś Waldemara? Powiedziałaś: „On zwycięży”.

– Zobacz ciocia... zobaczy! Zastukano do drzwi.

Wszedł służący i wręczył Ricie telegram z Wiednia od Trestki. Panna Szeliżanka przeczytała i z niezwykłą irytacją cisnęła papier na stół.

– Cóż tam znowu? – pytała księżna, biorąc telegram.

Trestka pisał:

„Wracam wkrótce. Nostalgia mię pożera. Do Rzymu nie pojedę, licząc, że w lecie pojedziemy tam razem. Obecnie wiedenki mię nie bawią. Zamiast cudnych profilów Węgierek wolę męczeńską palmę w Obronnem.

Nieodzwowny Edward”

Księżna zaśmiała się i rzekła wesoło:

– Oryginalny telegram i zabawny człowiek. Wierny jak Troilus. Już chyba teraz uszczęśliwić go zechcesz.

Rita bystro spojrzała na księżnę.

– Dlaczego teraz?...

– No, nie wiem. Skoro, ci tak zapowiada Rzym, widocznie ma nadzieję...

– Ach, ta nadzieja! *c'est son cheval de bataille*⁴, ale... długo poczeka. Chociaż... ciocia dobrze mówi. Teraz może prędzej zdobędę się na uszczęśliwienie go niż w zwykłych warunkach.

– Znowu cię nie rozumiem. Co do Trestki to zawsze ci mówię, partia niezła: człowiek bardzo dobry, trochę dziwak, ale to nie szkodzi. Przy tym ładny majątek, rezydencja zupełnie możliwa, a nade wszystko – on kocha cię.

– Ciociu, nie mówmy o tym! ciociu, proszę! przynajmniej nie teraz! – wołała panna Rita, biegając po pokoju silnie wzburzona.

Księżna wzruszyła ramionami.

– Dziwna dziś jesteś, Ryciu.

Znowu pukanie do drzwi. Wszedł lokaj, oznajmiając krótko:

– Pan ordynat.

Rita stanęła jak słup wyprostowana.

Waldemar wszedł prędko, swobodnie powitał babkę i pannę Ritę, nie spostrzegając jej martwoty. Ona chwilę stała nieruchomo i wyszła z pokoju.

Wówczas Waldemar usiadł blisko księżnej na fotelu i z pieśczością wziął jej rękę. Miał w oczach wyraz serdeczny, trochę filuterny.

– Dobrze, że cię widzę, mój chłopcze – rzekła księżna, uśmiechając się do niego. – W ostatnich czasach nieczęsto bywałeś u mnie, zapomniałeś, o starej babce.

– Niechże Bóg broni! Ale babcia rada, zem przyjechał? Więc kocha mię... czy tak?...

– Czyżby mogło być inaczej? Mam cię jednego tylko, i wnuka, i syna razem, bo Franio... ach, Boże!...

Staruszka machnęła ręką zniechęconym gestem.

– Gdyby Franio był choć trochę do ciebie podobny!...

– Ależ, babciu, ja wzorem być nie chcę dla nikogo.

– Jednak możesz nim być.

Waldemar uśmiechnął się pod wąsem.

⁴ *c'est son cheval de bataille* (fr.) – to jego konik

– Będę kiedyś dla mego syna.

– Otóż to! Szkoda, że nie myślisz o założeniu rodziny – to twój obowiązek. Jesteś ostatni z linii głębowickiej, powinienes, Waldy, o tym pamiętać, ale... ty zawsze tylko żartujesz.

Waldemar spoważniał. Spojrzał prosto w oczy księżnej.

– Nie, babciu, ja teraz nie żartuję. Mam stanowczy zamiar wziąć sobie żonę, założyć rodzinę, nie obowiązkową, nie dla tradycji, lecz z powodu własnych pragnień.

Księżna rozumnie ciemne oczy utkwiała w źrenicach wnuka z wyrazem niedowierzającym. Jego głos zastanowił ją.

– Ty się chcesz żenić, Waldy?

Powiedziała to z tak bezgranicznym zdumieniem, że Waldemar zaśmiał się ubawiony.

– Ach, babciu! zawsze i przed chwilą nawet wymawiałaś mi, że o tym nie myślę, a teraz ta wiadomość tak cię zdziwiła, że niemal przerażoną jesteś.

– Więc... to prawda?

– Ależ tak, droga babciu, teraz nie żartuję! Przyjechałem umyślnie, aby ci to powiedzieć i prosić o błogosławieństwo.

– O... błogosławieństwo? Już? Nic nie słyszałam, abyś się o kogo starał, Waldy. Skąd tak nagle?...

– O, babciu! ta, którą chcę mieć za żonę, jest mi od dawna drogą. Znasz ją i lubisz. Ale sądziłem, że odgadniesz sama, ja się nie ukrywałem.

– Kto to, Waldy... kto? Czyżby Melania Barska? – pytała księżna niespokojnie.

– Ależ! cóż znowu? Barska była i jest mi najzupełniej obojętną.

– Więc któż inny?...

Waldemar utkwiał w twarzy księżnej wzrok przejmujący i wyrzekł miękkiem głosem, ale dobitnie:

– Stefcia Rudecka.

Księżna szeroko otwarte źrenice zwróciła na wnuka.

– Kto?!

– Stefcia Rudecka – powtórzył.

– Waldy! ty żartujesz?

– Nie, babciu, mówię prawdę, to moje postanowienie już nieodwołalne.

Księżna podniosła ręce do czoła.

– Jezus Maria! – jęknęła całą piersią.

Waldemar zacisnął zęby, brwi zbiegły mu się w ciasny łuk. Rzekł zmienionym głosem:

– Co babcię tak przeraża? Co to za tragizm niezrozumiały? Doprawdy, gdybym umierał, mniejsza byłaby rozpacz.

– Waldemarze, opamiętaj się, nie rań mi serca! Już widzę, że mówisz prawdę, ale to okrutne! Ty tego nie zrobisz nigdy! nigdy!

Ordynat dumnie podniósł głowę, usta mu drżały.

– Dlaczego?

Księżna, blada jak zjawia, chwyciła go za ramię, oczy płonęły gorączkowo, głos wydobywał się z krtani chrapliwy.

– Zaklinam cię, Waldemarze, nie czyn tego! Zastanów się, wspomnij na swój ród, na swe nazwisko. Nie wolno ci deptać bezkarnie starego rodu twych przodków – nie wolno ci!

Waldemar znieruchomiał, stłumił gniew i zaczął mówić ze straszliwym spokojem.

– Dobrze. Ale ja prócz nazwiska, rodu, herbu i całej tej oprawy mam jeszcze serce i duszę, a te znów posiadają trochę pragnień osobistych, nie rodowych. Dla siebie chcę czegoś, jedynie dla siebie. Nigdy dla swych ram nie chciałem poświęcać uczuć. Moją żoną może zostać tylko ukochana kobieta. Szukałem długo i znalazłem ją w Stefci.

– Ależ pamiętaj, pamiętaj, że twoja babka była z domu księżniczką de Bourbon, spokrewnioną z dworami królów, że twoja matka Podhorecka, córka jednego z najznakomitszych

rodów książęcych w kraju!

Ordynat poruszył się niecierpliwie.

– A moją żoną będzie Rudecka, z dobrej szlacheckiej rodziny polskiej, nic więcej – i będę z nią bardzo szczęśliwy, w to wierzę.

– Więc ją aż tak kochasz?...

– Kocham sercem, duszą, krwią – wszystkim, czym mężczyzna może kochać kobietę.

– A ona czy wie o tym?

– Wie ode mnie, ja jej to powiedziałem.

– Czy mówiłeś o zamiarach?...

– Tak, wyznałem jej wszystko.

Rysy księżnej skrzywiły się przykrym uśmiechem.

– I naturalnie zgodziła się uszczęśliwić cię, nie wątpię!

– Przeciwnie, odmówiła mi.

Księżna spojrzała na Waldemara ze zdumieniem i wzruszając ramionami, rzekła oschle:

– Nie rozumiem! Czy się bawisz moim kosztem?

– Ani trochę! Mówię poważnie. Nie chce zostać moją żoną dla przyczyn wymienionych przez babcię, ale kocha mię, kochała od dawna – i to był główny powód jej wyjazdu. Jest szlachetna i dumna, pragnęła poświęcić własne uczucia, lecz ja nie pozwolę, aby miała być nieszczęśliwą. Zresztą i o moje szczęście idzie.

Księżna siedziała jak martwa. Ręce spłótła rozpaczliwie.

– A przecież mówisz, że ci odmówiła? Jednak zdobyła się na tyle taktu – dodała jakby do siebie.

– Ale to był tylko jej takt. Powtarzam, ona mię również kocha. Uczynię wszystko, aby przemóc jej upór. Pojadę do Ruczajewa do państwa Rudeckich prosić o rękę ich córki.

– Boże! Boże! Boże! – jęczała księżna.

Waldemar zniecierpliwiał się.

– Babciu, proszę nie rozpaczać, bo zbrodni nie popełniam. Sądzę, że moje szczęście powinno trochę inaczej usposabiać tych, co mię kochają, a widzę, że jest przeciwnie.

– Nie o takim szczęściu dla ciebie marzyłam! Nie widziałam dość stosownej partii w kraju, a ty... a ty... na moje stare lata cóż mi dajesz?... Boże miłosierny!

Księżna rozpląkała się, zakryła powieki rękoma i zagłębiona w fotelu, trzęsła się, łkając z przejmującym żalem.

Ordynat wstał, przeszedł się po pokoju, panując nad sobą. Płacz babki rwał mu serce, lecz ani na chwilę nie zachwiał postanowionej walki. Zaciskał zęby, a w duszy przemawiał do Stefcy, przywoływał ją najczulszymi słowami:

– Malutka moja, dla ciebie zniosę wszystko, będziesz moją i oni cię przyjmą!

Podszedł do księżnej i pochyłony, ogarniając ramionami jej skurczoną postać, ucałował serdecznie rozpaloną skroń staruszki.

– Babciu! jeśli mię kochasz, uspokój się, z mego szczęścia nie czyni dramatu. Wiem, chciałaś dla mnie jak najlepiej, ale każdy nosi w sobie świadomość własnych pragnień... ja dążę do swych najdroższych. Proszę cię, babciu, nie płacz. To mię rani i obraża Stefcie.

Księżna, łkając, załamała ręce.

– O Waldy! Waldy!

Waldemar przyklęknął u jej kolan, pieszczotliwie całował jej dłonie, mówił dobrym głosem:

– Zawsze jestem ten sam, twój Waldy, i zawsze nim pozostanę. Kocham cię i cenię, ale właśnie dlatego pragnę, abys mię zrozumiała, abys nie tak tragicznie zapatrywała się na moją miłość i małżeństwo. Ty, babciu, różniłaś się pojęciami od naszej arystokracji, miałaś tyle dobrych zasad. Nie spostrzegłem w tobie przesądów fanatyzmu i cenilem Cię bardzo wysoko. A zresztą... czyż Stefcia zasługuje na taką niechęć z twej strony, czy jej nie znasz? Ona taka

wdzięczna, wytworna, a przy tym taka szlachetna – sama to zauważyłaś.

Księżna spojrzała na wnuka surowo.

– Może być najpiękniejsza, najszlachetniejsza, ale jest nie dla ciebie.

– Czy tylko dlatego, że nazywa się Rudecka?...

– Choćby dlatego.

– Ależ babciu, mogę ci pokazać herbarz, gdzie nazwisko Rudeckich umieszczono bardzo wyraźnie. Jest to rodzina stara, ozdobiona dobrym herbem szlacheckim. Nie jest to ród gorszy od Żninów, Szeligów ani Ćwileckich, razem z ich nabytym tytułem.

– Wśród tych, których wyliczasz, nie szukałam dla ciebie żony.

Ordynat wstał.

– Więc miałem się żenić z panującą księżniczką czy z królowną z tysiąca i jednej nocy?

Księżna błysnęła oczyma.

– Chciałam dla ciebie księżniczki Lignickiej – odmówiłeś. Chciałam hrabianki Prawdzi-cówny – znakomity ród i po Lignickiej pierwsza partia w kraju – także nie. Już pomijam księżniczki zagraniczne i panny ze sfer dworskich, gdzie miałeś wielkie szansę. W ostateczności zgodziłam się na Barską, która ma świetną parantelę – i ta nie!

Machnęła ręką zniechęcona.

– Moja babciu! czy Michorowski ma się koniecznie oglądać na parantelę?... czy ten szczegół ma być nieodzownym w wyborze żony?... My już mamy dosyć świetnych nazwisk. Na partie oglądali się moim dziadowie i pradziadowie, niechże mi będzie nareszcie dozwolone pominąć ten szanowny tradycyjny punkt i zostać szczęśliwym. Dotychczas nasze kroniki rodzinne mówią wiele o szumnych partiach, ale o szczęściu milczą zagadkowo. Ja chcę rozświetlić ten jedyny cień na ich szpaltach.

– Przesadzasz, Waldemarze! twoi przodkowie żenili się stosownie i bywali szczęśliwi.

Ordynat wzruszył ramionami.

– Wiem, że pradziad Andrzej ożeniony z hrabianką Esterhazy, spokrewnioną z Habsburgami, chciał się z nią rozwodzić mimo jej bogactw i piękności. Wiem, że dziadek Maciej ze swą francuską księżniczką byli razem parą najniezwyklejszych ludzi i że mój ojciec z księżniczką Podhorecką również do szczęśliwych się nie zaliczali.

– Twoi rodzice kochali się, ale byli różnych pojęć – to ich dzieliło.

– Zawsze jednak jakieś „ale” stało na drodze. Zresztą, o ile wiem, mama, wychodząc za męża, kogo innego nosiła w sercu.

– Ach! to dzieciństwo!

– Dzieciństwo? Łatwo to powiedzieć! ale ono niesłuchanie przeszkadza, są dowody na mamie i na dziadku Macieju. W jego młodości takie dzieciństwo zatręło późniejsze życie.

Zaczął chodzić po pokoju.

Księżna wodziła za nim przestraszonymi oczyma i nagle spytała:

– Czy to prawda, że ta... Stefcia jest wnuczką tamtej... historycznej Korwiczówny?...

– Tak, jest jej rodzoną wnuczką.

– I ty może dlatego?... dla powetowania?...

Waldemar stanął.

– Cóż znowu! Kochałem Stefcię nie wiedząc jeszcze o niczym i nie dam jej sobie wydrzeć tak, jak tamtą wydarto dziadkowi.

– Więc ty sądzisz, że tobie pozwolą na taki mezalians? na ożenienie się z tą Rudecką?... tobie... ordynatowi na Głębowiczach? Michorowskiemu?

Waldemar rzucił dumnie głową.

– A kto mi zabroni? – zapytał wyzywająco.

– Rodzina! sfera! tradycja! ja! – wołała gwałtownie księżna.

– Za pozwoleniem! Ja jestem pełnoletni, więc rodzina nie ma prawa zabronić mi tego. Sfera? Kpię sobie z niej! Tradycja mię nie wzrusza, a ty, babciu? ty się nie będziesz upierać.

Jesteś na to zbyt rozumna.

– Mylisz się. Ja nie pozwolę nigdy!

– Pozwolisz, babciu, choćby pod groźbą mego nieposłuszeństwa. Moją żoną zostanie tylko Stefcia Rudecką. Na to się zgodzi i rodzina, i sfera, bo tradycja nic tu nie przeszkadza.

– I to ty mówisz, Waldy?... ty?!...

– Ja, Michorowski, ordynat głębowicki i twój wnuk.

– I ty, pierwszy magnat w kraju, za którym szalały córki najznakomitszych domów, ty zrobisz takie odstępstwo?...

– Ja, babciu! Szalały za mną kobiety, jak sama mówisz, teraz ja szaleję za jedną.

Księżna wyciągnęła ręce przed siebie.

– Ależ szalej za nią, ile chcesz, szalejcie oboje, tylko się nie żeń!

Waldemar rzucił na babkę pełne zdumienia spojrzenie.

– Teraz na mnie kolej zapytać: i to ty mówisz, babciu, ty?...

– Waldemarze, nie doprowadzaj mię do ostatecznej rozpaczy. Ja nie chcę jej dla ciebie, nie chcę! nie chcę!

Gwałtownie powstała z kanapki, blada i drżąca. Waldemar łagodnie wziął jej rękę.

– Babciu, błagam, uspokój się! Pomyśl o tym poważnie, a jestem pewny, że wszystko inaczej odczujesz.

– Nigdy! nigdy!...

Ordynat zacisnął zęby, krew rozszalała się w jego żyłach. Ale potężną wolą stłumił wybuch, tylko po twarzy latały mu ognie.

– Babciu, zgodzisz się, bo ja nie ustąpię za nic! Znasz mię, niełatwo daję się zginać. Nawet twoja ręka nie może mieć wpływu tam, gdzie jest miłość i silna wola. Nie chciałbym z tobą walki i dlatego proszę: uspokój się.

Po namyśle zrozumiesz, że upierać się nie ma zasady. Sama pokochasz Stefcie i pobłogosławisz nam.

Księżna wyrwała mu rękę.

– Nie licz na to nigdy. Już chociaż to ode mnie zależy! Ja wam nie pobłogosławie!

Waldemar, blady, straszny, przeciągnął ręką po czole, na którym wystąpiła lekka rosa potu. W oczach już nie miał ognia, ale zimny, przerażający chłód. Rzekł z okropną siłą w głosie, jakby wydawał wyrok śmierci:

– Więc ja... wbrew twej groźbie zaślubię Stefcie.

Księżna patrzyła na wnuka przerażona, załamała ręce i prędko wyszła z pokoju.

– On mię i do tego zmusi!... on i do tego zmusi. Boże! Boże! – szeptała sinymi wargami.

Waldemar po jej wyjściu ścisnął rękoma głowę i ciężko usiadł na fotelu. To, czego się najwięcej obawiał, nastąpiło. On wiedział, że bez błogosławieństwa i bez pozwolenia babki Stefcia nie zostanie jego żoną. Pierwszy raz ten człowiek silny, jakby z granitu uczuł się złamanym. Jakaś głucha rozpacz zatargała jego duszą. Bunt, gniew, oburzenie rozrywało mu piersi. Przed oczyma stanęła mu postać Stefci. Jej ciemne fiołkowe oczy spojrzały na niego błagalnie, pełne miłości i słodkich ponęt. Jej różowe usta szeptały gorące słowa, długie rzęsy kładły się na ślicznej twarzy z jakąś rozkoszną pieśczęcią. Obraz ten czarował go, upajał!

– Dziecko moje, szczęście moje!... zwalczę wszystko dla ciebie... bądź spokojna! – przemawiał do wizji.

Gorycz, żal, ból niezmierny miotały nim na samą myśl, że ją odtrącają – tę jego złotą dziewczynę. Cierpiał, lecz nie uległ. Ból go nie zmiażdżył, przeciwnie – podniecał do walki. Czuł napływ do krwi nowych, niezmożonych sił... czuł, że mur, który przed nim wznoszą, rozerwie własną pierś, zetrze w miąższość. Czuł, że przeskoczy tę przepaść, która się przed nim otworzyła. Posiadał siłę, lot sokoli i szpony orła. Będzie nimi pruć owe masy przeciwne, rozdzierał mgłę niechęci, aż dotrze do jasnej przestrzeni swych pragnień. Tam wprowadzi Stefcie, pograżoną w trwożnej niepewności. On trzyma w swej dłoni jej los, szczęście – i nie za-

wiedzie jej.

– Musi tak być! musi tak być!

W strasznej wicherze zbuntowanych uczuć szarpał nerwy, rozpałał krew żądzą zwycięstwa.

Otrzeźwił go szelest sukni kobiecej. Podniósł głowę: przed nim stała panna Rita ze łzami w oczach, bo uderzył ją jak piorun widok jego złamanej postaci. On zmarszczył się, powstał zły. Rita dotknęła ręką jego ramienia.

– Niech się pan nie gniewa, że weszłam... musiałam, wiem o rozmowie pana z ciocią... proszę nie tracić nadziei.

Spojrzał na nią zdumiony i wzruszył ramionami.

– Ja tracę nadzieję? Kto to pani powiedział? Skoro walkę rozpoczynam, nie ustąpię.

Ricie głos się załamał.

– Ja wiem, źle się wyraziłam, chciałam powiedzieć: niech się pan nie martwi... nie zabija złą myślą... księżna da się przekonać – ja... dołożę wszelkich starań do tego.

Waldemar wiedział o uczuciach Rity względem siebie i słowa jej wzruszyły go. Patrzył na nią z uznaniem. Ona zrozumiała inaczej, myśląc, że on się tylko dziwi. Hardo podniosła głowę do góry.

– Niech mi pan wierzy i nie zdumiewa się. Ja obiecuję to szczerze... choć Bóg widzi, jak mi ciężko.

Łzy spłynęły z jej oczu. Ordynat ucałował jej rękę.

– Dziękuję, droga pani, wdzięczność zachowam, ale niech się pani nie naraża babci. Ja sam zwalczę wszystkie przeciwności.

– Chcę szczęścia dla was obojga... jesteście tego warci.

Wybiegła z pokoju.

Waldemar stanął przy oknie, szarpał dewizkę i usta gryzł do krwi.

W godzinę potem, spokojny już i zimny, żegnał się z panną Szeliżanką, która mu oznajmiła, że księżna jest bardzo zdenerwowaną i że przez nią posyła mu pożegnanie. Siedząc w sankach, Waldemar rzekł do siebie:

– Pierwszy akt odegrany.

XII

Postanowienie ordynata wywołało burzę w całej rodzinie. Księżna była nieubłagana, popierała ją pani Idalia i księżę Franciszek. Hrabina Ćwilecka żyła jak w gorączce. Nie należąc do rodziny, nie mogła mieć głosu, to ją dręczyło. Oburzona, zła, starała się w inny sposób szkodzić Stefci: wyszydzać ją i jej stosunek do Waldemara. Lecz niedługo bawiła się w ten sposób obrażona hrabina. Pewnego dnia otrzymała od ordynata grzeczny, ale treściwy list, po którym straciła ochotę do wszelkich żartów ze Stefci.

W Słodkowcach panowała niewyraźna atmosfera. Pan Maciej zagadkowo milczał, dziwnie surowy. Zwykle odważna pani Idalia bała się teraz' wejść do gabinetu posępnego starca. Burzyła się w niej błękitna krew z powodu Stefci, lecz nie śmiała z ojcem mówić o tym. Pan Maciej, zamknięty w sobie, przesiadywał na fotelu, przeżuwał ciężkie myśli. Jego skołatana głowa nie mogła pomieścić ich nawału. Wiedział o oświadczeniach Waldemara tego samego dnia, wiedział również o odmowie Stefci i ludził się, że wyjazd jej może zmienić postanowienie wnuka. Żałował Stefci, czuł wyrzuty sumienia, męczył się, ale jednocześnie pragnął, aby się to przerwało. Gdy Waldemar odprowadził Stefcię na kolej, pan Maciej zrozumiał, że nadzieja stracona. Był pewny, że w tej karecie Stefcia ulegnie przekonywającym słowom Waldemara, że sama kochając, nie zdoła oprzeć się jego uczuciom, I starzec dziwił się, że znając wnuka mógł się łudzić choć przez chwilę, że postąpi inaczej. Kiedy na drugi dzień pan Maciej zobaczył przed gankiem konie głębowickie, wiedział już, z czym Waldemar przyjeżdża, nie omylił się. Wysłuchał spokojnie gorącej mowy wnuka, pełnej uczucia i niesłuchanej stanowczości, ale zaczął go błagać, aby tego nie czynił. Waldemar powiedział tylko, patrząc mu w oczy, z przyciskiem:

– Jak to? I ty, dziadziu, wzbraniasz mi szczęścia... po wszystkim, co zaszło w twym życiu? Ty chcesz nowego dramatu w naszej rodzinie, powtórzenia przeszłości? Chcesz zgębnić Stefcię i uczynić ją również nieszczęśliwą? Ty, dziadziu, odradzasz mi małżeństwo z nią, wnuczką tamtej nieszczęsnej kobiety, którąś sam kochał?...

Pan Maciej uczył się przybitym. Gorzkie, choć prawdziwe słowa spadały z ust wnuka na jego głowę, ciężarami kłuły go w serce tysiącem żadeł, ostrych, bolesnych. Starzec zrozumiał, że przeszłość zemściła się na nim, dotykając go w strunę najboleńszą.

W podnieconej wyobraźni jego przesunął się szereg faktów poprzedzających godzinę zemsty: przyjazd Stefci do Słodkowic, miłość Waldemara i śmierć tamtej kobiety. Od tej śmierci rozpoczęło się wszystko najgorsze. Wyjazd Stefci przyspieszył katastrofę, bo pan Maciej już nie wątpił, że nastąpiłaby prędzej czy później. Ujrzał przepaść bez wyjścia. Waldemar miał go w ręku. Pan Maciej odczuł własną bezradność, i to go najwięcej gnębiło.

Zwiesił głowę na piersi, splótl kurczowo wyschłe ręce i siedział tak bezmiernie stary, skołatany, wzbudzając litość. Waldemar po pierwszym wybuchu łagodził go, tłumaczył mu bezzasadność przesądów mogących mu wzbronić związku ze Stefcia. Mówił o swych uczuciach względem niej i delikatnie przypomniał dziadkowi jego własną miłość, nie poruszając jej zakończenia. Stary magnat ostatecznie został wzruszony, gdy Waldemar, mówiąc o Stefci, odpiął od dewizki złoty medalion, ozdobiony brylancikami i rubinami, i podając go dziadkowi, nacisnął sprężynę, śliczna twarzyczka Stefci, artystycznie odkolorowana, w skromnej sukience, w koralach i z grubym warkoczem, zwieszonym przez ramię. Jej oczy, choć tak zmniejszone, spjrzały na pana Macieja z wyrazem nieopisanej słodczy, rozmarzenia i tęsknoty. Usta drobne, uśmiechnięte figlarnie, miały w sobie niezgłębiony, jej właściwy czar. Z pochylenia głowy wiał wdzięk, zdobiący ją zawsze.

Pan Maciej popatrzał i drgnął. On przede wszystkim ujrzał w jej twarzy podobieństwo do miniatury Korwiczówny, którą czcił jak relikwię. Oczy Stefci wydały mu się błagające. Dziewczyna uśmiechem i tęsknotą wejrzenia prosiła go, aby nie bronił jej szczęścia z Wal-

demarem, aby jej nie zabijał odmową. Stała mu jak żywa przed oczyma kiedy klęczała przy jego kolanach po powrocie z pogrzebu babki. Płakała wówczas i tuliła się do jego ręki serdecznie z ufnością dziecka.

Pan Maciej uczył zimny pot na ciele, coś zatargało sumieniem.

– I ty ją chcesz zabić?... za co? – wołał jakiś głos wewnętrzny.

Spod obwisłych brwi spojrzał na wnuka. Waldemar, pochylony, wsparty na dłoni, patrzył na portrecik Stefcia z wyrazem niewysłowionego szczęścia w twarzy, obejmował ją gorącym spojrzeniem, pieścił oczyma. I znowu jakiś głuchy głos zawołał w duszy starca:

– Ty chcesz zabronić mu szczęścia? Jakim prawem?...

Zamknął oczy i odpowiedział sobie z goryczą:

– Nie wzbronisz, bo on cię nie usłucha.

– Skąd ty ją masz? – zwrócił się do Waldemara.

– Zmniejszyli mi ją z fotografii robionej w Głębowiczach. Noszę ją od tamtej pory.

– Śliczna dziewczyna! – szepnął staruszek.

– Ty ją kochasz, dziadziu, przez pamięć dla tamtej; pokochaj dla niej samej, jak swą wnuczkę, a moją żonę. Ona, dziadziu, da mi szczęście, jakiego dla mnie pragnąłeś.

Pan Maciej był bardzo poruszony.

Waldemar nie nalegał więcej. Zrozumiał, że starzec powinien się uspokoić i przełamać. Dał mu czas na to, będąc już pewnym wygranej.

Kilka dni przeszło. Waldemar nie pokazywał się. Pan Maciej wiedział, że był w Obronnem i że księżna odmówiła błogosławieństwa. Starzec przebywał straszną rozterką duchową. Milczenie ordynata drażniło go. Z córką nie widywał się prawie, bo jej głośnie oburzenie na „idiotyzm Waldemara” gniewało go. Sam nie chciał Stefcia dla wnuka, ale zaprzeczenia innych męczyły go niesłychanie.

Lucia przechodziła różne wrażenia. I ona uważała Stefcia za nieodpowiednią do ich sfery. Nie mogła wierzyć, aby ta jej Stefa, jej przyjaciółka, miała zostać ordynatową Michorowską, milionerką, magnatką, większą panią od jej matki. Lucia w listach do Stefcia pomijała tę sprawę, jakby nie wiedząc o niczym. Ale żałowała Stefcia, całą złość zwracając na Waldemara, jako bezpośrednią przyczynę jej wyjazdu ze Słodkowic. Wszyscy, każdy po swojemu, potępiali ordynata.

XIII

Kilka dni minęło w strapieniu i niepewności. Posłańcy krążyli nieustannie pomiędzy Słodkowcami, Obronnem i Głębowiczami. Księżna prowadziła układy z Waldemarem listownie.

Nareszcie pan Maciej i baronowa otrzymali listy od księcia Franciszka Podhoreckiego, zapraszające na zjazd rodzinny do Obronnego w sprawie ordynata.

Wszyscy zebrali się w salonie, obok gabinetu księżnej, czekali tylko na Waldemara. Księżna w głębokim fotelu, niespokojna, mnąc chusteczkę w rękę, z trwogą spoglądała na zrezygnowaną twarz pana Macieja. Książę Franciszek i hrabia Morykoni, zięć księżnej z drugiej córki, spacerowali rozmawiając cicho. Pani Idalia z hrabiną spoglądały w okno. Księżna Franciszkowa i panna Rita miały zagadkowe miny.

Księżna mówiła szeptem;

– Wszystko to robi na mnie wrażenie szopki, zupełnie zbytecznej. Jeśli sądzą, że przestraszą ordynata, czeka ich zawód.

– Ja natychmiast odejdę, skoro tylko przyjedzie – odpowiedziała panna Rita. – Nie mogłabym spokojnie słuchać.

– Owszem, to będzie ciekawe. Oni myślą zaimponować ordynatowi, lecz stanie się przeciwnie. Przykro mi tylko, że Franio tak wyraźnie akcentuje swoje *contra* w tej mało szlachetnej awanturze.

– Więc książę jest aż tak przeciwny małżeństwu ordynata? Dlaczego głównie?

– Prawdopodobnie idzie w ślady matki, dla tradycji. Dziwię się i mamie, nie posądzałam jej o tyle fanatyzmu.

– Bo to się najczęściej uwydatnia w takich właśnie faktach. Księżna wskazała oczyma panią Elzonowską.

– Albo Idalka! Ona mię oburza. Agituje przeciw Rudeckiej najgorliwiej.

Panna Szeliżanka skrzywiła usta lekceważąco.

– Ech! Idalka! Jej głównie żal Barskiej, dla której ma niezrozumiałą sympatię. A może liczyła na jakiś piękny *cadeau*⁵ za wyswatanie. To do niej podobne.

– Jedzie! – zawołał od okna hrabina Morykoniowa.

W salonie zrobiło się trochę ruchu.

Panowie wyprostowali figury jak przed walką, paniom na twarze wystąpiły rumieńce. Tylko starsza księżna mocniej zbladła, a pan Maciej westchnął głęboko.

Rita wysunęła się z salonu do przyległego gabinetu.

Waldemar wszedł prędkim, elastycznym krokiem. Szybkie spojrzenie rzucił na zebraną grupę osób i w oczach jego błysnął śmiech, usta przybrały ironiczny, przykry wyraz.

Powitanie odbyło się z zachowaniem wszelkich przepisów etykiety, ale pan Maciej ucałował wnuka jak zawsze serdecznie, a księżna Franciszkowa mocno uścisnęła jego rękę z wymownym spojrzeniem.

Ordynat rozejrzał się po sali.

– Widzę, że jestem ostatnim. Już chyba nikogo nie brakuje?

– Tak, spóźniłeś się – rzekła księżna.

Waldemar ściągnął brwi.

– Przepraszam – odrzekł sucho, siadając na bocznym fotelu.

Zapanowała długa i bardzo kłopotliwa cisza. Księżna kręciła się niespokojnie, pan Maciej oczy wbił w zaścielający posadzkę dywan.

Ordynat niedbale bawił się medalionem przy dewizce, trochę dumnie patrząc na wszyst-

⁵ *cadeau* (fr.) – prezent

kich. Wreszcie, znecierpliwiony milczeniem, odezwał się pierwszy:

– Zostałem wezwany na zjazd rodzinny dla omówienia mej sprawy. Cytuję słowa listu. Przyjechałem. A teraz słucham.

Księżna poruszyła się, książę Franciszek i hrabia odchrząknęli i spojrzeli na siebie znacząco.

Pierwsza zabrała głos księżna.

– Zebraliśmy się tu, aby wspólnie odwieść cię od twych... szalonych projektów... które obrażają nas i tobie przynoszą ujmę.

Pan Maciej bystro spojrzął na księżnę. Uderzył go stanowczy ton jej mowy. Słowa „odwieść” wszystkim wydało się za silne.

Waldemar podniósł brwi, nozdrza poruszały mu się z irytacji. Uśmiechnął się złośliwie.

– Stawia babcia kwestię krańcowo. Widzę, że ultimatum na mnie wydane. Ale ja jestem pełnoletni, więc dzisiejszy... sejm może mi wyłożyć motywy swych niechęci dla mych postanowień, jestem przygotowany na odparcie wszystkich – jednak odwieść mię, czyli to samo, co zmusić, nie zdoła nikt i... nie ma do tego prawa.

Po ustach pana Macieja przeleciał uśmiech. Wszyscy stropili się. Księżna splonęła krwawym rumieńcem.

Waldemar mówił dalej:

– Niech babcie moje słowa nie obrażają: odpowiedziałem w tonie jej słów. A teraz proszę o motywy.

– Nie możesz się żenić z panną Rudecką.

– Za pozwoleniem, to jest przedmiot, ale ja proszę o szczegóły, dlaczego nie mogę? o subiektywne rozebranie tej kwestii.

Tu odezwał się książę Franciszek:

– Nie możesz zaślubić osoby niższej sfery. Byłoby to wykroczeniem przeciw zasadom rodu Michorowskich, przeciw tradycji rodowej... byłoby to nawet występkiem przeciw etyce.

Ordynat dumnie podniósł głowę.

– Zasady, tradycje – są to nasze frazesy już tak oklepane, że nie robią wrażenia, na mnie przynajmniej. Co zaś do etyki, moja różni się od waszej, choć nie jest w gorszym stylu. Według mnie małżeństwo zawarte tylko dla tradycji rodowej, dla partii, staje się nieetycznym. Wy sądźcie przeciwnie, pojęcia wasze i moje dzieli cała przepaść.

Hrabia Morykoni zrobił zdziwioną minę.

– Ależ my nie wykluczamy zupełnie strony uczuciowej, o jaką ordynatowi, zdaje się, najwięcej chodzi. Lecz nie można absolutnie uczuciem się rządzić, ewentualność taka mogłaby przynieść wiele szkody dla arystokracji naszej. W wyborze żony trzeba zawsze kłaść główny nacisk na jednakową rasę! *Voilà!*

Waldemar zaśmiał się.

– Gdybym się jednak żenił z jakąś udzielną księżniczką niemiecką, hiszpańską, nikt nie uważałby na rasę. Mój dziad był żonaty z Francuzką i nikt się nie oburzał, bo to była magnatka. Gdybym się nawet ożenił z księżniczką chińską, poczytano by mi to za oryginalność, lecz nie za rzecz karygodną. Panna Rudecką jest polską szlachcianką, dobrej rodziny, więc o różnej rasie mowy być nie może.

– Ale jest różna sfera – przerwała księżna.

– Temu nie przeczę, lecz uważam to za drobnostkę nie mogącą mieć wpływu na połączenie się i szczęście dwojga ludzi.

– Owszem, ta drobnostka jest bardzo potężnym punktem, gdyż inaczej nie istniałyby mezaliansy ani morgantyczne małżeństwa – rzekła pani Idalia.

– Nie rozumiem tej wzmianki. Mezaliansy w arystokracji naszej bywają gorsze, a morgantyczne małżeństwo może być tam, gdzie się żeni panujący z poddanką lub *vice versa*, albo członek dynastii z osobą niższych sfer społecznych, co się zdarza na dworach. W takich ra-

zach żona nie nosi nazwiska męża, dzieci również, ponadto nie mogą być spadkobiercami tronu ani dziedzictwa. Jest to zastrzeżone prawem politycznym. Ale do mnie nie może się stosować.

– Pod pewnymi względami... owszem – rzekł wolno i z namysłem książę Franciszek.

Wszyscy spojrzeli na księcia i na ordynata. Pan Maciej, nagle zatrwożony, niespokojnie patrzył na wnuka.

Ale Waldemar pięknym, lecz dumnym ruchem zwrócił głowę do księcia i zapytał wesoło:

– Doprawdy? I jakież to względy? Bardzo ciekaw.

Książę Franciszek utkwiał w twarzy pytającego nieprzyjemny wzrok.

– Ordynacja ma swoje prawa wyłączne, które w danym wypadku można wypośredkować. Jak majątki objęte ordynacją są zawarowane, i przez to stają się nietykalne, tak samo i... i...

Książę zająknął się.

– I sam tytuł ordynata zmusza do pewnych obowiązków... że tak powiem... tytułarnych zobowiązań.

Książę najwidoczniej nie wiedział, co mówić.

– Paradoks! – szepnął dość głośno pan Maciej.

Waldemar uśmiechnął się lekceważąco.

– Tytułarnych zobowiązań? Zapewne. Ale nie tyczą się one wyboru żony.

– Owszem, *noblesse oblige!*⁶

– Panna Rudecką nie zrobi ujmy tej zasadzie. Zupełnie śmiało może zostać ordynatową Michorowską, ma do tego wszelkie kwalifikacje.

– Prócz praw – sarknął książę.

– Prawa nadam jej sam, zaślubiając ją.

– To pogląd osobisty, nie ogólny, ogół naszej sfery takiego prawa nie uzna.

– Gdy przedstawię pannę Rudecką jako moją żonę, uzna z pewnością.

– I ty sądzisz, że my ją przyjmujemy? – spytała ironicznie pani Idalia.

Waldemar przeszył ją wzrokiem.

– Ogół arystokracji przyjmie, choćby ze względu na mnie. Zajmuję pewne stanowisko społeczne, mam rozległe stosunki i znane magnackie nazwisko. To są powody, dla których trzeba się ze mną liczyć. Pojedyncze osobniki niezadowolone istnieją zawsze, nawet w zwykłych warunkach, ale o nich mniejsza: zginą w ogólnym prądzie.

– Pozwolę sobie zrobić uwagę – rzekł hrabia Morykoni. – W zwykłych warunkach mal-kontenci mogą być jedynie na podstawach osobistych uraz lub zawodów. Tu zachodzi niechęć i odraza sferowa. To nas łączy solidarnie, wywoła oburzenie w całej arystokracji. Panna Rudecka powinna być względem nas obcą zawsze, ona dla naszej sfery jest – trędowata! *Voilà!*

Waldemar zmrużył oczy, spod rzęs popatrzał na hrabiego straszonym wzrokiem, z bezziemnym szyderstwem i chłodem, po czym rzekł:

– Brawo, panie! Trędowata! To samo słyszałem już raz od Barskiego, lecz ponieważ wszyscy wiedzą, kim jest tamten pan pod względem intelektualnym, więc nie spodziewałem się usłyszeć powtórzenia w dzisiejszym zgromadzeniu. Nie wiem, czy to określenie jest zapożyczone od Barskiego, czy też to nowe wydanie – w każdym razie winszuję! Jest to bajeczny dowcip i genialny w swej naiwności.

Wszyscy osłupieli, bo Waldemar mówił niby spokojnie, lecz z niesłychanym podnieceniem, i kto go znał lepiej, ten zadrżał. Hrabia był również zapaleniec. Zaciął wargi, ale podniósł butnie głowę, świecąc złotą oprawą szkieł. Odezwał się obrażonym tonem:

– Dziękuję ordynatowi za jego uwagi, które są... zbyteczne. Krytyka pańska nasuwa myśl stanowczego zakończenia tej gry na słowa.

⁶ *noblesse oblige!* (fr.) – szlachectwo zobowiązuje!

Waldemar skłonił mu się drwiąco, lecz. uprzejmie.

– Panie hrabio, jestem zawsze przygotowany zakończyć ją matem.

Zaległo groźne milczenie. Skandal wisiał w powietrzu. Obaj przeciwnicy patrzyli sobie w oczy bez słowa, tylko hrabia sapał i mienił się na twarzy, a Waldemar, posągowo spokojny, patrzył na niego jak wilk na ofiarę. Jeszcze chwila, a nastąpiłoby coś nieoczekiwanego. Ale ocknęła się pierwsza młoda księżna.

– Panowie, proszę o głos – zawołała wzburzona i zaczęła mówić: – Wszystkie motywy, jakie ordynat podaje na obronę panny Rudeckiej i kwestii zamierzonego z nią małżeństwa, ja podzielałam w zupełności i twierdzę, że panna Rudecka, jakkolwiek nie jest z naszej sfery, nie pochodzi jednak z klasy ludzi, z którymi stosunki nasze absolutnie nie mogłyby istnieć. Poza tym znamy osobiście pannę Rudecką i bezstronnie mówiąc, wiemy, co o niej sądzić. Wypowiedziałam swój pogląd, teraz odstępuję głos ordynatowi.

Waldemar jął mówić spokojnie:

– Żeniąc się z panną Rudecką nie popełniam skandalu, nie wprowadzam do rodziny osoby z gminu ani też podejrzaną. Mezaliansem nazwać możecie różnicę stanowiska obu rodzin, wyraźną, lecz nie jaskrawą, i różnicę majątkową. To tworzy ową sferę. Jest to mur, poza który bardzo rzadko wyglądamy, gdyż każdemu brak odwagi. Ten mur sterowy jest tak najeżony przesadami, pielęgnowany od wieków, tak przesiąknięty fanatyzmem, że zatruwa każdego, kto się doń zbliży. Lecz usuńmy truciznę, a przekonamy się, że mur nie jest strasznym i niemożliwym do przekroczenia.

– Takie wycieczki są nie dla karmazynów – przerwał książe Franciszek.

– Właśnie o tych naszych karmazynach mówię – rzekł Waldemar.

– My do tamtych sfer nie mamy pretensji. *Le jeu ne vaut pas la chandelle*⁷.

– Przeciwnie, korzyści byłyby po przekroczeniu sterowego muru.

– Na przykład jakie?

– O! tylko pozbadźmy się tremy, wówczas będziemy mogli rozejrzeć się swobodnie, bez chloroformów, udzielanych nam przez tradycję. Ujrzymy świat, nazywany dziś „trędowatym”, w stanie może lepszym, a na pewno moralnie zdrowszym od naszego. Ujrzymy w nim jednostki bardziej rycerskie pod względem etyki i często szlachetniejsze. Wiele z nich zaimponuje nam nie tytułem i milionami, nie cudzoziemszczyzną i umiejętnością eleganckiego łajdaczenia się, bo to nasz przywilej – lecz niezaprzeczoną wyższością na punkcie psychologii i humanitarnych, ideowych dążeń. Nasza wyniosłość rodowa, wyrosła na zamierzchłej tradycji, stawia nas na wyższych piedestałach, popychanych w górę przez miliony i tytuły, rzadziej przez osobiste cenne zalety. Na takim tradycyjnym, uświęconym przez sferę monumencie stoi często osobnik bez wartości, nie wytrzymujący porównania z członkiem sfer społecznie niższych. I niechże tych dwoje ludzi zbliży się z sobą – daję tylko przykład – poczytanym to zostanie za mezalianse, ale orzeczenie to stosować należy do sfery społecznie niższej z powodu kultury osobistej, nie tradycyjnej. To nie jest bagatela, to już kwestia, która nasuwa tysiące porównań – dla nas nieepochlebnych.

– Jakobini francuscy takie same głosili zdania – zaśmiał się książe.

– I w antraktach strącali głowy z karków magnackich – dokończył Waldemar. – Ja nie jestem jakobinem, tylko trzeźwym arystokratą.

– Patrzącym przez pryzmat demokracji.

– Nie, mości książe, najwięcej liczę na własny wzrok i robię bajeczne odkrycia.

Książe umilkł. Ordynat mówił dalej:

– Co jest jeszcze ważnym czynnikiem sterowym, broniącym odstępstwa od jej zasad, to parantela. Skoro twój dziad i pradziad żenili się w domach magnackich, i ty powinienes pójść ich śladem – oto nasza śpiewka. Nie wystarcza nam samo nazwisko narzeczonej, choćby naj-

⁷ *Le jeu ne vaut pas la chandelle* (fr.) – Gra niewarta świeczki.

świeńniejsze; my szukamy dalej, wygrzebujemy z grobów jej pradziadów i starannie sprawdzamy ich herby i tytuły. Jeśli błyszczą jaskrawo, umieszczamy ich portrety w naszych zamkach, na miejscach najwidoczniejszych, choćby nie byli warcie wspomnienia. Jeśli są skromniejsi, wieszamy ich gdzieś na uboczu, mówiąc z lekceważeniem: „Jakiś tam daleki krewny”. Ja na to nigdy się nie zgodzę, we mnie zwykły człowiek prawy i bez skazy więcej wzbudzi szacunku od pysznego hetmana czy wojewody, który często całą swą wartość nosi w purpurze i klejnotach. To są moje poglądy na sferę i mezaliansy. Nie wedle oprawy sędzi się drogi kamień, lecz wedle prawdziwej wartości. I w złocie znajdują się falsyfikaty.

Waldemar rozdrażniony rzucił się w głąb fotelu, a wszyscy zrozumieli, że walka z nim nie doprowadzi do pożądanych wyników. Twarze obecnych sposepniały.

Nagle księżę Franciszek poruszył się i wydobywając z siebie cały zapas energii, pewien efektu, rzekł dobitnie:

- Panna Rudecka może zostać Michorowską, ale nie ordynatową i bez praw do ordynacji.
- A to jakim sposobem? – spytał spokojnie Waldemar.
- Franiu, pleciesz głupstwa – rzekła młoda księżna, cała w ogniach.
- Jakim sposobem moja żona nie będzie ordynatową?
- Bo przez mezalians twego małżeństwa z nią możesz ordynację utracić.

Waldemar spojrział na księcia rozbawionym wzrokiem, usta mu zaczęły drgać śmiechem i nie wytrzymał. Na salę runął jego śmiech szyderczy, pełen ironii, ale wybuchowo wesoły.

– Ha! ha! ha! a to mię bawi! i któż zostanie tym egzekutorem, kto mnie wydziedziczy z ordynacji?

Zwrócił się do księcia:

- Czy pan? Ha! ha! ha!

Śmiał się swobodnie, ale tak szatańsko, że wszystkim zrobiło się zimno. Księżę siedział czerwony, niemy z oburzenia, hrabia skubał nerwowo brodę, panie były ogłuszone, księżna bliska omdlenia. Niedorzeczny występ syna zawstydził ją, śmiech Waldemara gniewał, nie wiedziała, co z sobą począć. Pan Maciej mienił się na twarzy. Stała przed nim podobna chwila z pierwszej młodości jego życia. Jemu tak samo grozili, ale on nie posiadał odwagi Waldemara, on nie śmiał się tak swobodnie, zląkł się i uległ.

Stary magnat wstrząsnął się na to wspomnienie, zabolalo go porównanie.

A tymczasem Waldemar przestał się śmiać i mówił chłodnym, pewnym głosem:

– Chcieliście mię nastraszyć morganańskim małżeństwem, teraz straszycie wydziedziczeniem z ordynacji. Na mnie kolej zapytać: jakie prawa macie do tego? Pomijam morganańczość, gdyż to jest absurd niegodny wzmianki, mówmy o wydziedziczeniu. Kto może tego dokonać?... Istnieje tylko jedna odpowiedź – nikt. Ja nie mam lat osiemnastu, ale trzydzieści dwa, wyszedłem z wszelkiej opieki i nie daję nikomu pełnomocnictwa do rządzenia sobą. Godnością i postępowaniem swym kieruję sam i zupełnie czuję się na siłach; w takich zaś kwestiach jak małżeństwo i osobiste szczęście nie zasięgam rad niczyich. Wiem, czego pragnę i do czego dążę. Wydziedziczyć mię nie można, ponieważ jestem ostatni Michorowski z linii głębowickiej. Zresztą, gdyby było więcej członków tej linii lub gdybyście chcieli powołać innych Michorowskich na ordynację, to i tak nic z tego, bo ja się nie zgodzę, a ponieważ jestem pełnoletni, więc prawo mię broni. Wszyscy to rozumieją, niepotrzebne paragrafy, dziwię się, że księżę tak stanowczo dowodził o odebraniu mi tytułu. Wyglądało to tak, jak straszenie dziecka pozbawieniem go grzechotki. Na szczęście nie jestem płochliwy, swe prawa znam i wydrzeć ich sobie nie pozwolę, a dobrowolnie ordynacji, stanowiska i tytułu się nie wyrzeknę, choćby dlatego, żeby złożyć to wszystko w hołdzie ukochanej kobiecie.

Cichy szmer rozszedł się po sali. Hrabia Morykoni patrzył na ordynata nie wierząc własnym uszom. Starsza księżna szeroko otwarte źrenice wpiła w dumną postać mówiącego. Pan Maciej zwiesił głowę; w twarzy miał podziw i wstyd, jakby po tylu latach teraz dopiero odczuł go wyraźnie.

Po chwilowej ciszy Waldemar począł znowu, coraz więcej się zapalając:

– Ożenię się z panną Rudecką wbrew utartym zasadom mego rodu wedle waszych pojęć, czyli że małżeństwo moje nazwiecie mezaliansem. Nie wzrusza mię to: ja mam pojęcia inne. Żenię się powodowany uczuciem i szczęśliwy jestem, że mogę nie oglądać się na partię ani na posag. Nie będę wyliczał zalet panny Rudeckiej, gdyż kto ją zna, sam osądzić może. Nadmienię tylko, że jest starannie wykształcona i dobrze wychowana, przy tym dumna i ambitna o wiele więcej od pewnych panien z naszej sfery, które potrafią same oświadczać się mężczyznom. Powierzchnowe i wewnętrzne zalety panny Rudeckiej odpowiadają w zupełności stanowisku, jakie zajmie w naszej sferze.

– To za mało – przerwała hrabina Morykoniowa. – Na stanowisko ordynatowej Michorowskiej powierzchowne i zewnętrzne zalety to za słaby atut. Można mieć wygląd cesarski, a nie być nawet paziem.

– Tak – wycedził hrabia – pod purpurą płaszcza Michorowskich nie można kłaść byle akamitu, tylko gronostaje.

Ordynat rzucił się na fotelu.

– Ona ma jeszcze inne zalety. Ona potrafi nosić moje nazwisko i mój tytuł, będzie dobrym typem wielkiej pani. Stanie się również dobrą matką naszego rodu, nie zawiedzie nas w swej godności. Moje miliony nie zaślepią jej, gdyż jest delikatna i inteligentna. Dla was ona może być niepożądanym intruzem, dla mnie jest wybraną jedyną kobietą i wymagam, abyście ją przyjęli z należytych uznaniem. Przestanie być dla was panną Rudecką, a będzie Waldemarową Michorowską, ordynatową głębowicką i waszą krewną.

Pani Idalia parsknęła przykrym śmiechem.

– Rudecka naszą krewną? Nie, to więcej niż śmieszne, to jest obrażające!

– Dlaczego? – spytał Waldemar spokojnie.

– Jak to! ty się o to pytasz? Doprawdy, nie myślałam, że potrafisz się tak po... studencku zakochać.

– Powiedz lepiej, ciociu, po gminnemu, boś to miała na myśli. W naszych pojęciach tylko prostakom wolno mieć uczucia. Rozumiałbym wasze oburzenie, gdyby panna Rudecka była osobą nie z towarzystwa...

– Bo i nie jest nią – przerwała pani Idalia.

– Ach tak? Ciekawym, jakie jeszcze zarzuty spadną na moją narzeczoną, bo sypią się już jaskrawe, na jakie nawet odpowiedzi nie ma.

Hrabia Morykoni potarł dłoń o dłoń i wyseplenił:

– Jest odpowiedź: niepewny ród. W prawdziwie dobrych rodach nie ma tego nazwiska. To coś nowego. O Rudeckich nikt z nas nie słyszał.

Waldemar spojrział na hrabiego przelotnie.

– Bo my, zamknięci w naszych kołach rodowych, nie znamy bardzo wielu kółek w społeczeństwie, które jednak istnieją. Rodzina Rudeckich jest znaną i szanowaną w Królestwie. Najlepiej was objaśni i przekona Niesiecki. Ja mam już dosyć tej rozmowy bezcelowej. Spytam tylko, czym się różni panna Rudecka od naszych panien? Chyba wytwornością, no i urodą. Nie każda może się taką poszczycić.

– Uroda, uroda! – syknęła pani Idalia – przywilej tęgich wieśniaczek... w naszej sferze ma znaczenie poślednie.

Waldemar roześmiał się.

– Wolne żarty, kochana ciociu! ale nie mnie brać na nie. Panna Rudecka poza urodą ma wszystko, co obowiązuje nasze towarzystwo. Jest obyta, utalentowana, obce języki posiada wybornie, umie prowadzić lekką salonową rozmowę, jak i poważną. Potrafi dowcipnie żartować, ładnie siadać do karety, nawet elegancko obchodzić się z trenem, czego dała dowód w kostiumie. Wymieniam wszystko, czego brak w niej mógłby was razić.

Książę Franciszek skrzywił się.

– Daje pan przykłady dziecinne. Dobre dla panny Rudeckiej, lecz nie dla ordynatowej Michorowskiej, która mogłaby być pierwszą damą w kraju.

– Bądźcie pewni, że nie zrobi zawodu i zakasuje niejedną dzisiejszą gwiazdę salonów.

Pani Elzonowska dodała z ironią:

– Szczególnie z tymi rękoma i ruchami. *C'est plus que ridicule!*⁸

Wszyscy spojrzeli na baronową z pewnym zdziwieniem.

Twarz jej była sina z gniewu. Waldemar uważnie popatrzał na nią.

– Z rękoma? To coś nowego! A jakież ona ma ręce?...

– W każdym razie nie dla nas – odrzekła dumnie baronowa.

Wtrąciła się młoda księżna:

– Nie unoś się, Idalko, bo zaczynasz być niesprawiedliwą. Ręce panny Rudeckiej są ładne, białe, drobne, zupełnie arystokratyczne, ruchy wytworne i dystyngowane. Przeczyć nie można.

Waldemar z szatańskim uśmiechem rzekł wolno, jakby się drażniąc:

– Ach, co do rąk, bądźcie spokojni! Z natury są ładne, a gdy je wybrylantują, wówczas mogą się schować rozmaite łapki magnackie, nie zawsze odpowiadające pochodzeniu.

– Żartujesz sobie z nas, Waldemarze – przemówiła starsza księżna z urazą.

– Nie, odpowiedziałem tylko na uczyniony mej przyszłej żonie zarzut.

– Za wcześniej pan zaczyna tytułować pannę Rudecką – odezwał się z ironią hrabia Morykoni.

– Powtarzam, moją żoną zostanie panna Stefania Rudecka. Proszę, abyście mi państwo uwierzyli i przestali mię dręczyć, gdyż to do niczego nie doprowadzi.

Głos Waldemara zagrzmiał trochę i umilkł.

Głucha cisza zaległa salę.

Ordynat wstał, wyprostował się i minawszy półkole rodzinne, wolno poszedł w głąb salonu, przeglądając obrazy.

Starsza księżna powiodła za nim przestraszonym wzrokiem i poprawiła się na fotelu, mnąc koronkową chusteczkę. Książę Franciszek chrząknął znacząco. Waldemar najwyraźniej dał im do zrozumienia, że posiedzenie uważa za skończone. Wszyscy to odczuli. Po długich porozumiewawczych spojrzaniach i lekkim wzruszeniu ramion przez panią Idalię i hrabinę Morykoniową rozległ się drżący, niepewny głos starszej księżnej:

– Czy to ostatnie twoje słowo, Waldemarze?

– Tak. Tego, co powiedziałem, nie zmienię.

Księżna była zgnębiona. Słowa wnuka przeraziły ją. Szukała jeszcze ratunku. Błagający, rozpaczliwy wzrok rzuciła na pana Macieja, jakby wzywając jego pomocy. Teraz dopiero zauważyli, że przez cały czas nie odzywał się. Wszyscy śladem oczu księżnej spojrzeli na niego. Odruchowo zwrócił nań wzrok i Waldemar.

Pan Maciej zrozumiał, że należało mu wystąpić.

Starzec zaciął usta, w oczach błysnął mu ogień jakiś złowrogi, pochylił się do księżnej i kładąc dłoń na jej ramieniu, rzekł silnym głosem:

– Proszę, niech się księżna uspokoi. Waldemar ma swe poglądy wyłącznie i zawsze jednakowe. Nasze zasady brzmią inaczej. Nie mamy nad nim opieki prawnej, lecz mamy obowiązek opieki moralnej i ten nakazuje nam bronić naszej sprawy do ostatka.

Umilkł, oddychając szybko.

Na twarzy księżnej błysnął cień nadziei. Książę i hrabina z uśmiechem zamienili spojrzenia.

A Waldemar cofnął się o krok, przegniaty w tył, wyprostowany, sztywny, z podniesioną głową i zmarszczonymi brwiami. Oczy, pełne zdumienia, ale pyszne w wyrazie utkwili w twa-

⁸ *C'est plus que ridicule!* (fr.) – To więcej niż śmieszne!

rzy starca, stał tak, jak uderzony obuchem, ale nie złamany, przeciwnie – gotowy do nowej walki. Może tak wyglądał Cezar przy pamiętnym wykrzyku: „I ty, Brutusie?!”...

Pan Maciej odetchnął i mówił dalej wolno, dobitnie:

– Ale można bronić, można perswadować temu, kto się waha, kto nie jest pewny siebie, podaje słabe motywy, nie jest przygotowany do racjonalnego i trzeźwego stawiania kwestii, kto wreszcie sam nie bardzo wie, do czego dąży, a brak mu stanowczości i energii, bo za słaby ma charakter. Tak przed laty było ze mną. Przeżywałem dziś po raz drugi tamtą chwilę i boleśniej niż wtedy. Ja wahałem się, ja nie miałem pewności siebie ani woli, ani energii. Nie wiedziałem, kto ma rację: ja czy ci, z którymi walczyłem. Boże mój! co to były za nierówne siły. Brakło mi słów na obronę własnego szczęścia, czy może kochałem mniej, czy też miałem za słaby charakter. Zagrożono mi również wydziedziczeniem z ordynacji, a ja. chociaż miałem te same warunki, co Waldemar, bo byłem jedynym z naszej linii i pełnoletnim, chociaż matka i stryj opiekun wydziedziczyć mnie nie mogli, jednak zląkłem się i pod presją uległem. Następstwa tego kroku wiadome: zawarłem życie sobie i tamtej kobiecie...

Pan Maciej spuścił głowę i zamilkł na chwilę:

Obecni patrzyli na niego ze zdziwieniem i obawą. Ordynat przesunął się poza plecami siedzących i oparty o staroświecki kominek, nie spuszczał oczu z dziadka.

Pan Maciej mówił dalej:

– Teraz, gdy jestem już nad grobem, znowu staje przede mną ta sama sytuacja. Tylko zmieniły się role. Mój wnuk Waldemar imponuje mi. Jemu trudno zabronić tego, w czym widzi szczęście własne i swej ukochanej kobiety. Jest pełnoletni, jest rozumny, posiada szaloną wolę. której nikt i nic nie złamie, i wszelkie prawo za sobą. Nie jest to opór, lecz stanowczość dojrzałego człowieka, który wie, że ma przewagę w stawianiu motywów, nie ulęknie się ostateczności i jest zbrojny w szlachetność uczucia oraz wiarę w przyszłość. To nie są chwilowy, to mocne, niezłomne postanowienie. Tu nie ma zaślepienia, lecz jest trzeźwa i wielka racja, której cała nasza sfera nie zaćmi. Więc próżne są nasze dowodzenia przeciwne, bo on je zbije, próżny nasz opór – on go przełamie albo przejdzie po nim, nie licząc się z nami. Ja się oburzałem, nie chciałem słyszeć o czymś podobnym, ale – on mnie przekonał.

Trwożny szmer rozszedł się po sali. Księżna zrobiła ruchu, jakby chcąc powstać. Oczy jej świeciły gniewem.

Wszyscy odczuli jakby uderzenie gromu, a pan Maciej z rumieńcami na twarzy mówił dobitnie, zwrócony głównie do starszej księżnej:

– Powtarzam: on mnie przekonał. Ta kobieta, którą on ukochał, przez to samo jest godną uznania, że przez niego została wybrana. Mówię o nim nie jak o swym wnuku, lecz jak o szlachetnym i rozumnym człowieku zasługującym na szacunek wszystkich. Tę, którą on wybrał i wprowadzi do naszej rodziny, powinniśmy przyjąć bez zastrzeżeń jak swoją. Ja. Michorowski, jego dziad, uznaję jego wolę. zgadzam się na jego małżeństwo... i błogosławię! Uczyni to samo. księżno, proszę cię o to. Nie zachmurzaj jego szczęścia, nie zabijaj tej dziewczyny: ona go kocha prawdziwie i bardzo głęboko – wiem o tym. Ona, powodowana prawością charakteru i ambicją, odmówiła mu ręki, uciekła, nie chcąc dla niego walki z rodziną...

Pan Maciej wyprostował dumnie starczą pierś. Czoło magnata rozjaśniło szczerze uniesienie. Głos potężniał.

– Więc ona poświęca własne szczęście, życie niemal, a my nie możemy poświęcić naszych przekonań, opartych, być może, na przestarzałych przesądach? Mamy się okazać mniej szlachetnymi od tej wątlej dziewczyny szlacheckiej? My, magnaci?! Bądźmy wspaniałomyślni, księżno! pozwólmy sobie na okazanie serca tam, gdzie fanatyzm nasz stawia zapory. Przełamać go nam trzeba! Waldemar to twój wnuk, księżno, i mój. Na starość cieszymy się jego szczęściem. W nich może odżyją nasze młode marzenia, zniweczone przez życie. Księżno, daj mu zezwolenie i pobłogosław. Proszę cię o to przez pamięć na nasze dzieci, których on jest synem.

Starzec, porwany zapalem, powstał z fotela z ogniem w oczach. Wyciągnął ręce.

– Wnuku mój! cześć tobie i niech ci Bóg błogosławi!

Waldemar poruszony, z głuchym dźwiękiem w piersiach, objął chwiejącą się postać dziadka i gorąco, z uczuciem przyłgnał do jego ramienia. Pan Maciej głowę wnuka ścisnął rękoma, drżące usta starca spoczęły na jego dumnym czole.

Wszyscy mimo woli powstali. Uroczystość chwili podniosła ich z miejsc. Parę głów zwróciło się machinalnie w stronę kotary, gdzie panna Rita zanosila się spazmatycznym płaczem.

– A ty, babciu?... a ty?...

– Nigdy! nigdy! – krzyknęła księżna i zwiła na fotelu.

Zemdlała.

Zrobiło się zamieszanie, zaczęto cucić.

Waldemar wziął staruszkę na ręce i niósł do jej sypialni. Cała procesja szła za nim.

W przejściowym korytarzu stała Rita, oparta o rzeźbiony filar, spłakana, drżąca. Na widok ordynata, niosącego bezwładną księżnę, cofnęła się z lękiem. Jej przerażony wzrok uderzył Waldemara.

– Babcia zemdlała – rzekł krótko.

Do salonu powrócili tylko pan Maciej i Waldemar. Księżę i hrabia gdzieś się ukryli, nie śmiejąc spojrzeć na ordynata. Pan Maciej uścisnął wnuka.

– Uspokój się. Wszystko będzie dobrze. Ten krzyk księżnej był odruchowy, ale to minie. Zwyciężyłeś, Waldemarze, i będziesz szczęśliwy! O, jaką tyś mi dał naukę! Ale kamień mi spadł z serca.

Staruszek rozplakał się, lecz serdeczność Waldemara wróciła mu prędko uśmiech na zoraną twarz.

Księżna nie chciała widzieć nikogo i Waldemar musiał powtórnie wyjechać z Obronnego bez zgody babki, bez jej błogosławieństwa.

XIV

Cisza zapanowała w Obrońnem, głucha, przygniatająca cisza... Minęły święta Bożego Narodzenia, pierwszy raz tak ponuro zaznaczone w okolicy. Jasny, mroźny styczeń dobiegał połowy. Księżna Podhorecka nie wychodziła ze swych pokoi zdenerwowana w najwyższym stopniu. Nie chciała widywać panny Rity ani lubianej zwykle pani Dobrzyńskiej. Papugę swą kazała zabrać z buduaru, bo ta ciągłym krzykiem: *L'amour c'est la vie*⁹ – nauczonym przez pannę Ritę, drażniła nerwy księżnej. Nikt nie mógł starszeczce dogodzić, nie znosiła obecności ludzi. Miejscowy pleban odwiedzał ją czasem, ale gdy raz zapytany wręcz wziął stronę Waldemara, księżna nie chciała go więcej widywać. Pozostał lekarz, który z obowiązku był u niej codziennie. Księżna wybierała się za granicę, lecz wzbroniono jej tego z powodu stanu zdrowia. Waldemara od pamiętnego zjazdu nie widywała wcale, nie pozwoliła sobie o nim nawet wspominać. Mimo to posłańcy z Głębowicz nawiedzali Obrońne, dopytując się o zdrowie starszeczki. Rozczulona tą troskliwością wnuka, księżna wysłała do niego list, zaklinając, aby zaniechał zamiaru żenienia się ze Stefcją. Na list Waldemar odpowiedział również listem i pozostał niewzruszony. Potrafił jednak w tak serdecznych, lecz stanowczych słowach wypowiadać swą wolę i prośbę, że księżna zmartwiła.

– On mię zmusi, zmusi! – mówiła z rozpaczą.

Pan Maciej był raz w Obrońnem. Chciał wpłynąć na księżnę, ale stało się przeciwnie, bo właśnie pani Podhorecka miała ten sam zamiar względem niego. Jej tłumaczenia przestraszyły pana Macieja. Starzec zawahał się. Uczuł skruchę przed własną sferą i przed księżną, że tak prędko zezwolił na to małżeństwo skandaliczne, wedle pojęć księżnej. Już zupełnie zdawał się być przekonany, nieledwie obiecywał cofnąć słowo dane Waldemarowi. Księżna tryumfowała, pani Idalia dokładała paliwa całą duszą, aby podtrzymać wahanie ojca. Tylko panna Rita cofnęła się od spisku, zupełnie usunięta na bok.

Waldemar od niej wiedział o wszystkim i zaciskał zęby. Postanowił jechać do Ruczajewa i skłonić Stefcję do prędkiego ślubu. Przechodził straszną walkę wewnętrzną i tym bardziej cierpiał, że przeczuwał niepokój narzeczonej. Ona czekała na niego, może już z nieufnością w duszy. Ale i jego cierpliwość wyczerpała się. Napisał stanowczy list do pana Macieja i do księżnej, dając im termin tygodniowy do namysłu. Po czym zapowiedział, że zerwie wszelkie względem nich zobowiązania i zmusi Stefcję do zaślubienia go wbrew ich woli.

Pan Maciej przeraził się, ale księżna ułożyła natychmiast list do Stefci, zabraniając jej zaślubienia Waldemara. List swój księżna bardzo niezręcznie pokazała panu Maciejowi. Przejął go grozą. On wiedział, że to byłby ostateczny a straszny cios dla wnuka, bo Stefcja życiem by to przypłaciła, lecz po tym liście nie wyszłaby za ordynata za nic. Pani Podhorecka sama zepsuła całą sprawę, już chylącą się na jej korzyść.

Starszeczka miała charakter śmiały, despotyczny – postanowiła iść przebojem do ostatka.

Ale przed oczyma pana Macieja stanęła znowu przeszłość i okrutny list jego stryja, którym łamał bezwzględnie szczęście Korwiczówny. Pan Maciej przestał się wahać. Śmiało oznajmił dumnej pani, że zgadza się na zamiary wnuka, a chcąc swe słowa poprzeć czymś realniejszym, napisał list do Stefci i posłał go Waldemarowi nie zapieczętowany. Pierwej przeczytał go księżnie i pani Idalii. List był czuły i zupełnie ojcowski. Starzec prosił w nim Stefcję o uszczęśliwienie Waldemara i nazwał ją swą wnuczką.

Pani Elzowska zrozumiała, że wszystko stracone. Ale księżna nie ustąpiła. Zamknęła się w swym uporze, głucha na wszelkie przekładania, zimna, sztywna i nieubłagana. Pan Maciej, pełen goryczy i żalu do niej, przestał nalegać. Usunął się, dotknięty głęboko. Waldemar

⁹ *L'amour c'est la vie* (fr.) – Miłość to życie.

dla Obronnego nie istniał, ale księżna wiedziała, że bywa w Słodkowcach i że lada dzień wyjedzie do Ruczajewa.

Chwilami opanowywała księżną dzika zawziętość. „Niech jedzie, niech się żeni, nie chcę go znać – przeklnę!” Ale natychmiast po takim wybuchu łkanie rozdzierało jej piersi. Toż ten Waldemar to jej wnuk jedyny, jej chluba, ozdoba całej rodziny i świetna ozdoba. On był dla staruszki najdroższym. Kochając go, cenila zarazem. Z własnych dzieci księżna nie miała pociechy, a Waldemar był synem najukochańszej zmarłej córki. Więc rozpacz gryzła księżnę i walka toczyła się w niej straszna. A godziny zdawały się policzone. Waldemar wyjedzie z listem Macieja, z jego błogosławieństwem i Stefcia musi się zgodzić, bo skoro Maciej jest po ich stronie, patriarcha Michorowskich, to już wszystko! On ma większe prawa do Waldemara i on już jest zupełnie przekonany. Pominą babkę, nie będą na nią uważali, bo ostatecznie ona jest osobą drugorzędną. Księżna czuła, że miłość wnuka, a może i szacunek jego wymyka się z jej rąk, że Waldemar groźbę swą zerwania z rodziną zastosuje do niej jedynie, ale surowo. Okropne obawy napępiały duszę pani Podhoreckiej. Gniew, upór, obrażona duma, ambicja własna – wszystko wrzało w niej, tworząc nieznośną szarpaninę uczuć. Nie miała już poparcia z żadnej strony, bo i pani Idalia siedziała cicho w Słodkowcach, obawiając się narazić ojcu.

Księstwo Franciszkowie milczeli, jakby przekonani. Zresztą o zapatrywaniach synowej księżna wiedziała. Hrabiosstwo Morykoniowie, bojąc się wyraźnie występować przeciw ordynatowi, nie przyjeżdżali zupełnie do Obronnego. I panna Rita również zamknęła się w sobie. Milcząca, poważna, snuła się po zaśnieżonym parku bezcelowo. Nie bawiły jej nawet konie, poddała się całkowitej apatii. Upór księżnej oburzał ją. Chciała szczęścia dla Waldemara, poświęcając własne serce. Ale o Stefcu nie mogła myśleć spokojnie. Jakiś żal wewnętrzny a ogromny nie pozwalał jej zastanawiać się nad tą dziewczyną. Jednak doznawała nieco złośliwej radości na myśl, co powiedzą Barscy i wiele innych domów arystokratycznych na wieść o małżeństwie ordynata. Ją, Szelizankę, uważano za coś niższego, za partię dla ordynata niestosowną; nawet księżna i pani Idalia zapatrywały się tak samo. Mają nauczkę. Teraz może księżna ją wolałaby widzieć żoną Waldemara, ale już za późno. Muszą się zgodzić na Rudecką.

Panna Rita znajdowała pociechę chociażby w tym, że nie Melania Barska zostanie ordynatową. I wmawiała w siebie, że jakkolwiek małżeństwo młodego Michorowskiego jest dla niej ciosem, który musi przeboleć, to jednak chyba nie przeżyłaby tego, gdyby się zenit z Melanią. 'Niechęć do hrabianki przeszła u niej w nienawiść. Rita przy całej swej inteligencji nie mogła darować Stefcu czaru, jakim ona wzięła ordynata, a jemu stanowczości i energii, z jaką dążył do celu. Na równi pragnęła dla niego zwycięstwa i czuła żal.

Dusza się w niej rwała z bólu i uczuć gorących a zawiedzionych, ale nawet nie walczyła z sobą w chęci dopomagania im. O ile tylko mogła, wpływała na księżnę dodatnio i naraziła się staruszce.

Pewnego dnia, w wilię imienin księżnej, panna Szelizanka siedziała w swym pokoju przy kominku. Płonął suty ogień. Otulona w miękki szkocki szal, pogrążyła się w myślach. Wtem zawiadomiono ją, że przyjechał hrabia Trestka. Zaledwo teraz powrócił ze swej długiej podróży. Bez wrażenia, bez podniesienia głowy poleciała go prosić.

Hrabia wszedł cicho jak do kaplicy, co było u niego dowodem nadzwyczajnego nastroju. W milczeniu, gorąco ucałował obie ręce panny Rity i również w milczeniu usiadł na foteliku, który sam sobie przysunął. Binokle parę razy spadły mu i zwisły na sznurku. Hrabia, zdawało się, był mocno wzruszony samym widokiem panny Rity. Po długiej chwili przemówił:

– Niestychane zmiany zastałem w okolicy. To dziwne. Na stacji kolejowej spotkałem Zyżemskich. Mówili mi, że w Szalach jest jak po katastrofie. Widzę, że i w Obronnem nie lepiej.

Panna Rita patrzyła w ogień.

– Jak po katastrofie – powtórzyła machinalnie.

Trestka kręcił się na foteliku.

– Cóż ordynat?
 Rita podniosła na niego zdziwione oczy i wzruszyła ramionami.
 – Pan się pyta?..
 – No, ja wiem, wszystko wiem, ale czy już usankcjonowane?
 – Tylko przez księżną nie.
 – *Sapristi!* to źle. Dlaczego księżna się upiera? Z ordynatem walka trudna, prawie niemożliwa. Słyszałem o jego występie. Na radzie rodzinnej bronił się podobno pysznie. On ma wymowę!
 – I pobił wszystkich – dodała panna Rita.
 – Raczej zdruzgotał! Księżna musi ulec! Rozumiem jej stan obecny. Przejść Rubikon najtrudniej. Ale pani? co panią tak złamało?
 Spojrzała na niego przez łzy.
 – Mnie? co mnie?... Ach, Boże!..
 Spuściła głowę i kilka łez spadło jej na szkocki szal, jakby nieme wyznanie.
 Trestka pochylił się, wziął jej rękę i rzekł dziwnie łagodnym głosem:
 – Wiem... ja wiem, co panią boli... jednak ten ból to może przełom, to przesilenie, po którym rozpocznie się nowa era dla mnie – tak oczekiwana. Pani droga, dałbym wiele, aby ordynat dziś ożenił się, bo może wówczas dostanę panią dla siebie. On był tamą, o którą zawsze rozbijałem się bez nadziei, bo nie mnie z nim rywalizować. Widzi pani, jestem szczery, życie dałbym, aby pani za mną tak płakać mogła, lecz ponieważ nie każdy posiada szczęście jednokowe, więc ja pragnę chociaż odrobiny dla siebie, trochę nadziei...
 Rita gniewnie wyrwała mu rękę.
 – Panie, bez tego! Niech mię pan nie męczy. Mnie co innego w głowie.
 – Zawsze ordynat?
 Spojrzała mu śmiało w oczy.
 – Tak, pragnę dla niego szczęścia.
 – On je tam znajdzie w tej, którą kocha.
 – Ale ja mu chcę pomóc, czym mogę, choćby wpływami na ciocię, choćby kosztem własnego szczęścia.
 Trestka zwiesił głowę.
 Długi czas trwało milczenie. Panna Rita patrzyła w ogień. Trestka bawił się binoklami i świecąc nimi w blasku płomienia, nie spuszczał z oczu bladej twarzy i apatycznych ust panny Szeliżanki.
 Cicho zapytał:
 – Czy z panną Stefanią już po słowie? Ordynat jej się oświadczył?
 – Dawno! jeszcze w Słodkowcach. Ale mu odmówiła i wyjechała.
 – Odmó... wi... ła?...
 – Cóż się pan tak dziwi? Odmówiła powodowana taktem, ale kocha go. I ona biedna! Żal mi jej.
 – Gdyby trafiła na kogo innego, może bym żałował, ale tak! Zostanie ordynatową, czyli prześcignie własne marzenia.
 – Lecz ile przecierpi!..
 – Miłość ordynata wynagrodzi wszystko. Wiem od Brochwicza, że on ją bardzo kocha. Przeczuwałem to dawno, lecz nie sądziłem, że się to tak prędko rozstrzygnie. *Sapristi!* tu idzie *crescendo!*
 – Alboż pan nie znał ordynata?
 – Owszem, ale nie posądzałem go o zamiary matrymonialne. Myślałem, że to *un amour passant*¹⁰ – trochę trwalsza, lecz nie ostateczna, a przede wszystkim bardzo intensywna.

¹⁰ *un amour passant* (fr.) – przemijająca miłość

– Wyrażenie dziwaczne w danym razie.
– Przeciwnie, dobrze zastosowane. Uczucia ordynata dla panny Stefanii stanowczo są intensywne. Mają wielką dozę serca, ducha, czyli platonicznych cech, są zmysłowe, gwałtowne i posiadają wszystkie zasoby namiętnego temperamentu Waldemara. Teraz okazują się nie tylko zwycięskimi i zaborczymi, lecz i matrymonialnymi. Wiedziałem, że Stefcia szampańska, ale żeby doprowadzić Michorowskiego aż do kaplicy, tegom się i po niej nie spodziewałem, pomimo zapewnień Brochwicza.

– Gdzie go pan spotkał?

– W Berlinie. On mi pierwszy opowiedział o tej awanturze.

– Jakież są jego poglądy? To przyjaciel ordynata.

– On twierdzi, że Waldemar robi dobrze przekraczając łańcuch sferowy i że będzie szczęśliwy. Brochwicz ma swój wyłączny kult dla Rudeckiej.

– A pan?

– Ja lubię ją bardzo, uznaję jej zalety, jest ładna i zajmująca. W roli ordynatowej będzie jej do twarzy i potrafi z niej wybrnąć szczęśliwie. Ona ma duży takt. Dla jej pastelowej urody potrzeba tła, aby się uwydatniała lepiej. Głębowicze będą dla niej aż nadto wspaniałą ramą. Ale w liczbie nazwisk, w paranteli Michorowskich nie zabłyśnie jaskrawo, raczej przeciwnie – bardzo skromnie. Po Bourbonach, Esterhazyh, Podhoreckich – Rudecka... skandalicznie trochę zabrzmiała.

Panna Rita zwiesiła głowę. Pomyślała sobie, że i jej nazwisko – Szeliga – zgasłoby przy tych potentatach. Ironia zbudziła się w niej i skierowała na Trestkę. Rzekła z przekąsem:

– Jeżeli pan tak potrafi różniczkować brzmienie nazwisk, to się dziwię, że panu o mnie chodzi. Jestem przecie tylko Szelizanką, a pan aż Trestką, tytułarny, zrodzony z tytułu. Ja mam zaledwo dwóch hrabiów w rodzie, nie stanowią partii!

Zaśmiała się krótko, sarkastycznie.

– Po co to pani mówi? – spytał z żalem Trestką.

Oparła się na fotelu ocieężałym ruchem.

– Ach! mniejsza o to!...

Senne powieki spuściła na oczy-i siedziała tak z obojętnym wyrazem twarzy, zmieniona, niepodobna do siebie.

Trestką wbił oczy w mozaikę kwiatów na dywanie i również milczał, tylko sapał trochę. Zmrok zimowy zapadał wolno, ścieląc się szarymi pasmami na błękitnym obiciu ścian, zasnawał mgłą wiszące obrazy, zmacał lustra, rzucał posępne cienie w każdy kąt pokoju, zamykając go w coraz ciaśniejsze ramy niewyraźnych szarzyzn. Ogień na kominku przygasł. Już tylko słabe, błękitne jęczyczki płomieni ogarniały zwęglone główki. Trochę rozpalonych węgla żarzyło się czerwoną plamą. W popiele sypkim i białawym łyskały złote, migające iskry.

Przygnębiona cisza zawisła jak pajak nad tym ładnym zakątkiem pałacu i przedąc smutek wdzierła się nim aż do serc dwojga ponuro zamyślonych ludzi.

Błada twarz Rity wtuliła się do połowy w miękkie zwoje szalu. Tylko jej włosy obfite, błyszczące połyskiwały w świetle gasnącego dnia. Na złotym grzebieniu pełzały słabe refleksy iskiek.

Te dwie postacie w szarzyznach zmroku, wpatrzona w spopielały ogień na kominku, mogłyby być uosobieniem ukrytej tragedii. Każde z nich miało w sercu żal i zwątpienie, a pajak smutku omotywał ich coraz silniej swą ciemną szatą, wysysał nadzieję z najgłębszych tkanek serca.

Nagle oboje poruszyli się. Panna Rita podniosła głowę. Zwrócił ich uwagę szmer przy drzwiach. Spojrzeli w tę stronę i zerwali się, niby jedną podrzuceni siłą.

W drzwiach stała księżna, wyniosła, blada, straszna. Chwiała się na nogach, jej oczy płonęły gorączką.

– Ciociu! – zawołała Rita, podbiegając do staruszki z przerażeniem.

– Kto tu jest więcej? – wyszeptała księżna.

– Pan Edward, ciociu.

Trestką zgiął się w głębokim ukłonie.

– Wróciłem dziś z podróży i pospieszyłem złożyć paniom uszanowanie.

– To dobrze... Dziękuję – wyszeptała księżna podając mu rękę. Trestką ucałował ją z powagą.

– Może ciocia spocznie tu na kanapce – troszczyła się panna Rita.

– Nie, nie, tylko chcę, abyś wysłała posłańca. Ryciu, proszę cię, zajmij się tym... natychmiast. Może by kamerdyner... albo stangret...

– Dobrze ciociu. A dokąd ma jechać?

– Do... Głębowicz – wyszeptała pani Podhorecka.

Panna Rita zamieniła z Trestką szybkie jak błysk spojrzenie.

– Czy będzie list? – spytała jeszcze.

– Nie, tylko niech prosi Waldemara, żeby dziś jeszcze... przyjechał... koniecznie!...

Panna Rita wybiegła z pokoju.

– Może księżna każe zapalić światło? – spytał Trestka.

– Nie, wracam do siebie... trochę mi słabo.

– Ja księżnę odprowadzę.

Potrząsnęła głową przecząco.

– Dziękuję. Nie. Pójdę sama.

Wyszła z pokoju wolno, majestatycznie.

Trestką został sam, podszedł do kominka i stalowymi grabkami rozgrzebywał siwy popiół, rozgarniał iskry, mruczając po cichu do siebie:

– Czy to będzie już finał, czy ostateczny krach?

Po kilku minutach wróciła panna Rita.

– Gdzie ciocia?

– Poszła do siebie. Cóż, wysłała pani do Głębowicz?

– Pojechał mój stangret. On prędzej dojedzie.

– Co to może być?...

Panna Rita była wzburzona.

– Nie wiem, nie wiem! W każdym razie jakieś zakończenie. Księżna wygląda dziwnie.

Pójdę do niej.

– Niech ją pani zostawi w spokoju. Pewno woli sama przebyć czas do jego przyjazdu, zwłaszcza jeśli rozmowa z ordynatem ma być ostateczną. A na to wygląda.

– Ach, Boże! żeby choć Waldemar jeszcze nie wyjechał!

– Dokąd zamierzał jechać?

– Słyszałam od Luci, że miał jechać do Ruczajewa.

– Dokąd?...

– Do rodziców Stefci, prosić o jej rękę.

– Awantura! – mruknął Trestką.

– Ach, Boże! żeby go zastali!

– Hm! a cóż pani Idalia mówi na to wszystko i Lucia?

– Lucia zdumiona, ale kocha Stefcię, więc się cieszy. A Idalka?... oburza się, lecz już nie oponuje, bo pan Maciej całkowicie nawrócony. Stefcia przypomina mu tamtą. Czy pan zna całą historię o babce Stefci, zmarłej Rembowskiej?...

– Wiem, która była narzeczoną pana Macieja. Mówił mi Brochwicz. Istotnie nadzwyczajny wypadek, dziwny traf! Ale terażniejszość wynagrodzi przeszłość.

– Kto to wie! – westchnęła panna Rita i znowu pogрузzyła się w zadumie.

XV

Wieczór włókł się długo, nieskończenie. Panna Rita biegła z pokoju księżnej do swego, gdzie siedział Trestka. Najlżejszy szum wiatru w parku, każdy skrzyp śniegu na dziedzińcu – wszystko wzbudzało czujność pałacu. Oczekiowano ordynata z natężeniem, ale godziny dłużyły się.

Stary zegar w sali jadalnej wybijał kwadranse, wygrywał kuranty. Służba snuła się po korytarzach, szepcząc z sobą tajemniczo. Panna Rita, rozgorączkowana, wyglądała przez okno na szumiący park, gdzie śnieg sypał gęsto wielkimi płatami, jakby całe Obronne razem z parkiem, pałacem i tą garścią ludzi potrudzonych, zniecierpliwionych oczekiwaniem, chciał otulić swą białą, miękką i zimną płachtą.

Do pokoju, w którym znajdowali się Rita i Trestka, znowu weszła księżna.

– Czy Waldemar nie przyjechał?

– Jeszcze nie, ciociu, ale pewno zaraz będzie, niech się ciocia położy.

– Nie mogę... Na dworze zawieja, prawda?...

– Tak, ciociu.

Księżna usiadła na kanapce, splotła białe dłonie na kolanach i z pochyloną głową zneruchomiała.

Oczy jej błdziły po dywanie, usta poruszały się lekko, szepcząc pacierze. Nie uważała zupełnie na obecnych.

Panna Rita kręciła się, nie wiedząc, co począć ze sobą. Trestka oglądał kwiaty, umieszczone w koszach, z takim zajęciem, jakby je pierwszy raz widział. Rzucił na księżnę niepewne spojrzenia. Wreszcie, schowany za kwiatami, napisał coś w notatniku i wsunął kartkę w rękę przechodzącej Rity. Przeczytała: „Szkic do rzeźby: Matka zbuntowanego Graccha”.

Rita rzuciła mu ostre spojrzenie, wzruszając ramionami.

Przeszło jeszcze kilkanaście minut. Nagle drzwi otworzyły się gwałtownie i wpadła pan-
na służąca, tuż za nią lokaj. Oboje nie zauważyli księżnej i razem zawołali:

– Nie ma pana w Głębowiczach! Stangret wrócił. Powiada, że wyjechał do kolei.

Księżna zerwała się przerażona.

– Co!... Wyjechał!...

Panna Rita i Trestka struchleli na jej widok. Służący zaczęli się cofać, bladzi z przestachu.

– Kiedy wyjechał? – krzyknęła znowu księżna.

– Proszę pani... stangret powiada, że dziś przed wieczorem – odparł, jękając się, pokojow-
wiec.

– Boże! Boże! – załkała księżna.

Rita mrugnęła na Trestkę.

– Natychmiast po dwóch posłańców do stacji Rudowa i Trębe. Nie wiadomo, gdzie poje-
chał... ale prędzej...

Trestka wybiegł z pokoju, pociągając służących.

– Niestety! Niestety! – jęczała księżna – pojechał już! do niej pojechał, ode-
pchnął mnie! Boże! Boże! moja wina, moja wina...

Panna Rita razem z panią Dobrzyńską zaledwo zdołali uspokoić księżną. Ale staruszka wpadła w jakąś martwość, siedząc jak nieżywa. Bez słowa pozwoliła rozebrać się z sukni, lecz do łóżka nie chciała się położyć. Dziwne iskry tliły się w jej czarnych oczach, usta zaciskał ból, aż kurczący mięśnie twarzy. Dała znak panie Ricie i Dobrzyńskiej, żeby wyszły, chciała pozostać samą.

– Kogo pan wysłał? – spytała Rita Trestki.

– Pojechał znowu pani stangret i stajenny do Rudowy. Ale co mu się stało, że tak pospie-
szył?

– Pospieszyl! czekał przecież dwa miesiące. Nie dziwię się wcale wzruszeniu cioci. To dla niej straszne! Odrzącała go stale, a teraz pojechał bez jej błogosławieństwa.

– I powróci po ślubie, bo u niego idzie prędko – dodał Trestka.

– Och! tego boję się najwięcej. Stefcia bez błogosławieństwa księżnej nie zgodzi się na ślub, a ordynat jest rozdrażniony.

– Przecież jej nie wykradnie, minęły owe czasy.

– Ale doprowadzony do ostateczności może zrobić coś takiego, co księżnę zabije. Jezus Maria! on jest niebezpieczny w gniewie!

– Tak, ale umie przy tym bajecznie zaciskać zęby. Nosi w sobie lwa i pęta na niego. Będzie się szarpał, lecz potrafi się skuć jednocześnie. To olbrzymia siła!

– Pan go jednak dobrze zna. Pocięszam się tym, że on księżnę bardzo kocha. Ale znowu miłość dla Stefci może go w razie dłuższego oporu babki uczynić szaleńcem.

Panna Rita zaczęła się cicho modlić.

Lęk wpełznął do pałacu i nurtował w sercach nawet służby. Ordynat był w myśli wszystkich, jakiś straszny, przejmujący grozą.

Zegar wydzwonił godzinę drugą po północy, kiedy panna Szelizanka dojrzała wśród zawiłej czarnej kontury sanek, sunące prędko do podjazdu. Leciutko zabrzączały janczary i sanki stanęły.

– Przyjechał! – krzyknęła Rita.

Jak strzała zbiegła ze schodów. Za nią podążył Trestka. W sieni Waldemar zdejmował z pomocą kamerdynera zaśnieżone bobry. Przywitali się w milczeniu.

– Co tu się stało? – spytał. – Wszyscyście wystraszeni, macie miny grobowe. Mówił mi posłaniec, że babcia zdrowa.

– Pragnęła pana widzieć koniecznie. Jest mocno zdenerwowana i osłabiona – odrzekła panna Rita.

– Ogromnie pan długo nie przyjeżdżał – dodał Trestka.

– Długo! pan chyba żartuje! Jadę z Rudowy. Posłaniec wyrwał mi już z wagonu. Spieszyłem, jak mogłem, ale w taką zamieć niepodobieństwo. Piekielny czas!

– Pójdę, zawiadomię ciocię o pańskim przyjeździe – odezwała się panna Rita.

– Idę z panią.

Księżna siedziała w swej sypialni w fotelu, niedaleko łóżka. Miała na sobie biały flanelowy szlafrok, ozdobiony ciężkimi koronkami. W tym stroju, z bladą twarzą i gorejącymi oczyma, w białej koronce na siwiejących włosach, była piękna w swej starości, jak z portretu. Wspaniałe, ciemne obicie sypialni, poważne złocenia inkrustacji sufitu, ciężkie adamaszkowe kotary hebanowego łoża – wszystko to w księżycowym blasku amplii przybierało poważne tony, układające się w pyszne tło dla tej stylowej postaci. Obok księżnej stał rzeźbiony klęcznik, na którym leżała otwarta Biblia.

Panna Rita weszła, pochyliła się lekko i szepnęła:

– Ciociu!... przyjechał ordynat... Czy ma wejść?

Ognie uderzyły na bladą twarz księżnej.

– Przyjechał?... już przyjechał?

Rozejrzała się w pokoju i z westchnieniem cofnęła się w głąb fotela.

– Gdzie jest Waldemar?

– Czeka obok, w saloniku.

Nagły płomień silnego postanowienia błysnął w oczach księżnej.

– Proś go, niech wejdzie – rzekła głośno.

Panna Rita w saloniku chwyciła Waldemara za rękę.

– Niech pan idzie, ale... proszę ją oszczędzać. Jest silnie zdenerwowana i słaba.

– Niech pani będzie spokojna.

Wszedł do sypialni i serdecznie ucałował obie ręce księżnej.

Patrzała mu w oczy z niemym pytaniem, sztywna, poważna. Czarne źrenice wpijała, zda się, w głąb duszy wnuka, jakby chcąc w niej odkryć wszystko, co tam utajone. Białą dłonią, na której świecił szmaragd niby zielona gwiazda, ścisła rękę Waldemara.

On usiadł obok, uśmiechnął się z przymusem i spytał:

– Dlaczego, babciu, tak na mnie patrzysz?

– Chcę dojrzeć w tobie zmianę – wyszeptała księżna.

– Zmianę we mnie?... Doprawdy?...

– Tak, chciałabym widzieć cię zmienionym – rzekła z przyciskiem.

Waldemar zrozumiał.

– Nie, babciu, ja się tak łatwo nie zmieniam, jestem stanowczy – odpowiedział z siłą w głosie i dumnie podniósł głowę.

Księżna puściła jego rękę.

– Czy trwasz stale w swym postanowieniu?

Oczy jej błysnęły dziko. Waldemar wytrzymał ten wzrok spokojnie.

– Tak, babciu.

– Więc, nic... nic nie wpłynie na zmianę... twych uczuć?...

– Uczuć? Nic nie wpłynie na zmianę mych zamiarów, o zmianie uczuć mówić nie wolno.

– Więc nic... nic?...

– Nie, droga babciu. To postanowione nieodwołalnie. Zgódź się z tym jako rzeczą konieczną. Proszę cię o to, ja, twój wnuk jedyny, twój Waldy, i proszę najczulej. Kocham Stefcie więcej niż własne życie, ona mię również kocha. Ja jej nie zawiodę, bobym chyba sobie serce wydarł z piersi. Dziś jechałem do Ruczajewa. Potrafiłem czekać długo, ale już nie mogłem. Chwila – i byłoby za późno. Jesteś babciu, surowa, nieubłagana, lecz ja mam do ciebie przywiązanie synowskie. Ono mię wstrzymywało od ostatecznego kroku. Wiem, że Stefcia nie chciałaby mię bez twego słowa, ale potrafiłbym ją przekonać. To dziecko ma bardzo delikatne uczucia i wielką subtelność natury. Na listy moje odpowiadała nadzwyczaj wstrzemięźliwie. Ona miłość swą chciałaby ukryć w taką głąb serca, gdzie by się jej nikt nie domyślał.

– Korespondowałaś z nią?

– Pisałem parę listów – odpowiedziała mi raz tylko – i powtarzam, że w słowach jej brzmiało wyraźnie głębokie uczucie, lecz tamowane przez jakieś wędzidła, które kaleczą jej czystą miłość – taką prawdziwą, taką świętą!

– Waldemarze... ty ją... bardzo kochasz?

– Jest dla mnie jedyną kobietą. Gdyby nie była mi drogą nad wszystko, nie walczyłbym o nią tak uparcie – odrzekł Waldemar z powagą w głosie.

Przeszył babkę spojrzeniem swych szarych źrenic, w których przy prawdziwie męskiej sile widniała potęga uczucia.

Księżna spuściła oczy i długimi cienkimi palcami rozgarniała zdobiące szlafrok koronki. Na twarzy wystąpiło kilka krwawych plam, usta zacisnęły się stanowczo. Cała postać wyrażała walkę ostateczną, zmaganie się dwóch przeciwnych sił: miłość dla wnuka i uporczywość obrażonej dumy.

– Co zwycięży? – to pytanie wisiało w powietrzu, tchnęły nim bogate ściany sypialni, dyssała księżycowa ampla.

Waldemar patrzył na babkę pewnym wzrokiem. Znał staruszkę i w jej wahaniu widział już pomyślny wynik. Serce mu biło mocno, bo nie chciał dłużej walczyć z tą kobietą. Kochał ją i czcił jak matkę. W źrenicach jego błyszczał bunt, cierpliwość już była wyczerpana. Całą duszą, całą siłą energii wołał przez nie: „Dosyć, dosyć, bo zerwę ostatnie pęta!”

Księżna, jakby uczuła dotknięcie tego wzroku, podniosła na wnuka szybkie spojrzenie, lecz w jego oczach musiała wyczytać wszystko, bo prędko spuściła powieki. Krew uderzyła jej do głowy, zalewając policzki i czoło. Wystąpiła na nim pionowa bruzda, jakaś stanowcza, jakby staruszka już teraz sama sobie coś rozkazywała. Oczy wnuka przeraziły ją.

Jeszcze milczała chwilę, pragnąc ochłonać: wreszcie szepnęła cicho:

– Nie widziałam jej dawno... Czy masz jej fotografię?...

Waldemarowi zapaliły się ognie w oczach. Radosny uśmiech mignął na jego pysznych ustach, z jego rysów znikła groza, zalśnił w nich rój promiennych światełek, rozzarzył stalowe źrenice, rozjaśnił pąsowe wargi pod ładnym wąsem. Cała twarz wyglądała tak, jakby padła na nią luna wschodu.

Księżna zauważyła tę zmianę.

– Jak on ją kocha! – pomyślała.

Waldemar odpiął od dewizki medalion, otworzył i szepnął w duchu do smutnie uśmiechającej twarzyczki Stefci:

– Teraz zwyciężysz, jedyna!

Wyjął elegancki portfel z kieszeni, wydobyl z niego wąską, długą fotografię Stefci w balowej sukni na ciemnym tle i razem z medalionem wręczył księżnej.

Staruszka, zdziwiona, spojrzała na medalion.

– Ty ją tu nosisz?

– Jako swoją narzeczoną, babciu – odparł śmiało.

Księżna przyglądała się długo, podnosząc medalion i fotografię do oczu. Jakieś błyski ślizgały się po jej twarzy, wrażenia nieuchwytnie a głębokie. Ręce jej drżały, głowa zwisała na piersi.

W pokoju panowała cisza prawie uroczysta, jakby w oczekiwaniu cudu. Nagle księżna odjęła od oczu sztyldkretową lornetkę na długiej ręczce, położyła fotografię i medalion na klęczniku, opierając o Biblię, i jeszcze wpatrywała się w promienne, przepaściste oczy Stefci.

Po czym rzekła jakby do siebie:

– Bardzo ładna i... dziwnie urocza.

A po chwili znowu, ledwo dosłyszalnym głosem:

– Jak księżniczka...

Spuściła powieki, bruzda na czole pogłębiła się, w skroniach delikatnych jak welin pulsa biła prawie widocznie.

Znowu podniosła oczy na fotografię i nagłym ruchem podała Waldemarowi obie ręce.

– Podoba mi się... twoja Stefcia... Waldy – rzekła z uśmiechem.

On ścisnął dłonie staruszki, pochylił się do niej z wichrem szczęścia w oczach.

– Moja Stefcia!... moja!...

– Niech wam... Bóg błogosławi – rzekła księżna poważnie, kładąc dłoń na głowie wnuka.

Waldemar wiedział, co kosztowały księżnę te słowa. Gorące usta przycisnął do jej rąk.

– Dziękuję ci, droga babciu! Szczęście nasze będzie twoją nagrodą – mówił wzruszony.

Księżna ucałowała kilkakrotnie jego głowę. Łzy spłynęły z jej oczu.

– Daj Boże, abys był szczęśliwy, daj Boże! Nie chciałam być gorszą od Macieja, bałam się, że mnie pominiesz... jestem zazdrosną o twe uczucie... więc... niech się spełni.

– Będziesz miała moją miłość i miłość Stefci. Pokochasz ją sama.

Oboje spojrzeli na klęcznik, gdzie fotografie Stefci miały wyraz dziwnie natchniony, jakby dusza dziewczyny sfrunęła na te nieme podobizny, czyniąc je żywymi.

Uroczysta chwila oczekiwania cudu zmieniła się w inną, równie uroczystą – jak po cudzie już spełnionym.

Bogate ściany sypialni otaczały fotografię dziewczyny przepychem. Księżycowa ampla dziergała na niej srebrne, ruchliwe błyski. Wszystko dyszało dokoła, wszystko tchnęło jakby mistycznym hejnałem:

– Cud się spełnił!... zwyciężyła Stefcia, zwyciężyła!...

I namiętne oczy Waldemara, wpatrzone w fotografię, i jego rozpalone usta mówiły również:

– Zwyciężyłaś, jedyna!...

XVI

Długo rozmawiał Waldemar z babką, aż niecierpliwiła się panna Rita, a Trestka narzekał. Wybiła godzina wpół do trzeciej i trzecia. Nareszcie wszedł Waldemar. Panna Rita nie ruszyła się. Coś ją przykuło do miejsca. Trestka podszedł do ordynata. Nie mówił nic, ale jego mina wyrażała samą ciekawość.

Waldemar był wesół, lecz spojrzawszy na kamienną twarz Rity, spoważniał, brwi zsunęły mu się na czole.

Chwila nastąpiła trochę kłopotliwa, bo i Trestka milczał.

Rozgrywały się tu losy.

Waldemar podszedł do panny Rity. Ona spytała z wysiłkiem:

– Cóż ciocia?... czy...

Zdławiło ją w krtani – nie mogła dokończyć. /

– Ciocia chce się położyć – podchwycił ordynat. – Jutro, a właściwie dziś zjeżdżamy się tu wszyscy na imieniny babci, potem jadę do Ruczajewa.

Panna Rita zbladła jak pod ostatecznym ciosem, jęknęła jej w piersi, lecz zagryzła silnie wargi i przemocą zapanowała nad wrażeniem. Podążyła Waldemarowi ręce, patrząc na niego z bolesnym wyrazem.

– Niech panu Bóg szczęści.

Waldemar ucałował jej rękę, nisko pochylając głowę. Trestka winał hulaśliwie. Nazwał ordynata bohaterem i obiecywał wspaniałą mowę na uczcie weselnej, na złość hrabiemu Morykoniemu, którego nie lubił.

– Szczególną miałbym werwę, gdyby byli Barscy. Ale to wątpliwe.

Po odjeździe ordynata i hrabiego panna Rita poszła do siebie. Chodziła jak nieprzytomna, aż nagle zerwał się w jej piersi płacz straszny, zamykający w sobie wszystko: całą miłość dla Waldemara, dawną i gorącą, żal nieuzasadniony do niego i do Stefcia, głuchą rozpacz. Wtuliła głowę w poduszki i klęcząc przed łóżkiem, trzęsła się w spazmatycznych dreszczach. Nigdy nie miała nadziei, żeby ordynat zwrócił ku niej swe uczucia, nigdy się nawet nie łudziła, ale nie myślała i o tym, że on w końcu wybierze sobie kobietę, którą ukocha i nazwie żoną. Było to coś tak dalekiego, tak niewyraźnego w zarysach, że gdy nadeszło, stało się dla niej ciosem. Wiedziała o jego uczuciach dla Stefcia od dawna i o przychylności pana Macieja, słyszała pełne zapału słowa Waldemara na zjeździe familijnym, a jednak wahała się oporu księżnej jeszcze zdawała się odgradzać ją od strasznej prawdy. Sama pragnęła dla niego szczęścia i gdyby już teraz tylko od niej zależało, bez wahania oddałaby mu Stefcie. Ale natura ludzka jest zawiła, często niezrozumiała. Panna Rita dopiero teraz jasno pojęła przepaść pomiędzy nią a ordynatem, odczuła obuchową siłę, która miażdżyła jej miłość.

Teraz ujrzała otchłań swych najdroższych uczuć. Płakała boleśnie.

Księżna, nie mogąc się jej doczekać, weszła sama do sypialni wychowanki, Rita ujrzała ciotkę tuż przy sobie. Zerwała się z kolan.

– Ciociu, po co przyszła?... po co? – jęknęła z wyrzutem.

Staruszka objęła jej głowę i przytuliła do siebie.

– Cicho, dziecko, nie wymawiaj mi, żem przyszła. Ja przeczuwałam, ja wiem wszystko. Ryciu, i ty go kochasz, cierpiałymy razem, ja cię rozumiem. Aleś ty szlachetna... tyś przemawiała za nimi, choć serce w tobie jęczało, a jam cię szorstko odsunęła. Przebac mi, dziecko.

Usiadła na łóżku. Rita wtuliła głowę w ramię staruszki rozelkana, drżąca. Księżna mówiła dalej:

– Widzisz, już skończone, już i ja ich błogosławię, Ryciu, on kocha Stefcie, bardzo kocha, będą szczęśliwi, to mię pociesza. Jestem stara, żalowałam tych kilku chwil życia, jakie

mi zostały bez miłości jedyne wnuka. Ustąpiłam i teraz mam spokój, spadł mi ciężar z serca, jestem nawet szczęśliwa, bo... cóż mam robić!

Księżna głęboko westchnęła.

– Podoba mi się ta dziewczyna. Widocznie dużo warta, skoro potrafiła tak silnie przywiązać do siebie Waldemara. On zadziwia mię swą siłą woli, a ona...

Dokończyła szeptem:

– A ona czarem.

Staruszka głaskała ciemną, zbiedzoną głowę wychowanki, błędząc oczyma w przestrzeni. Panna Rita milczała cicha i jakby uspokojona. Księżna szepnęła znowu:

– Rozmawiałam z duchem mojej Elżuni i z Gabriellą. Zwłaszcza Gabriellę widziałam często w snach. Stawała obok Waldemara i kładła mu rękę na głowie, jakby błogosławiąc. I tę Stefcię widziałam. Klęczała przy Gabrieli, taka śliczna, błagająca, zupełnie podobna do tej w medalionie Waldemara.

Staruszka wstrząsnęła się.

– A czy wiesz? Ukazała mi się we śnie zmarła Rembowska. Och! tak okropnie patrzyła mi w oczy!

– Niech się ciocia nie przejmuję – rzekła serdecznie panna, Szeliżanka i przylgnęła do ręki staruszki.

– Nic, dziecko, to już minęło. Teraz mi dobrze i tak spokojnie. Waldy kocha mię. O to już mi tylko chodzi. On zacy chłopak. Czemuż go Elżunia nie widzi?

Rita westchnęła. Księżna pocałowała ją w czoło.

– Cierpisz, dziecko, ja wierzę, Bóg da, że i ty szczęście znajdziesz. Tyś warta lepszego losu.

– Nie chcę, ciociu, nie chcę. Ja kochałam go całą duszą, ale nawet nie marzyłam o nim dla siebie. Cóż... ja dla niego? Byłabym zbyt śmiałą, chcąc marzyć. Ale smutno mi. Ot, dziewczeczka jestem.

Zaśmiała się cicho, boleśnie.

– Gorycz przez ciebie przemawia – rzekła księżna. – Ale to minie: tyś zawsze taka dzielna.

Już zaczynało świtać, kiedy księżna, osłabiona bezsennością i wrażeniami nocy, poszła do łóżka.

Ale nie mogła zasnąć. Przesuwała w palcach paciorki sandałowego różańca, oczy miała wlepione w adamaszkową kotarę, na której blade światło zimowy snuł swe fioletowe cienie.

Usta staruszki szeptały pacierze, lecz myśl przebijała szereg lat, błędząc w czasach, kiedy i sama była młodą, sama kochała, a potem widziała uczucia swych dzieci.

I w drugim pokoleniu to samo.

XVII

Waldemar powrócił do Głębowicz nad ranem. Już świtało. Ruch powstał w uśpionym przed chwilą zamku. Zwłaszcza w cieplarniach i w oranżerii panowała krzątanina przy blasku lamp elektrycznych. Sam ordynat wybierał kwiaty. Rój ogrodników z nożycami w rękach robiły istne spustoszenie. Ogrodnik układał kwiaty odpowiednio. A były tam pyszne okazy. Wszystko, co cieplarnie, prowadzone z wielkim nakładem, wytworzyć mogły o tej porze roku. Cenne róże, storczyki, mimozy robiły wrażenie przeniesionych z Riwiery. Nad mistrzowskim opakowaniem czuwał sam ordynat.

Okolo jedenastej rano wyjechał strzelec Jur w bogatych liberyjnych futrach, strojny i dumny, wioząc ten wonny ładunek dla Stefci razem z listem Waldemara. Wiózł także i list do państwa Rudeckich.

Przed obiadem ordynat wpadł do Słodkowic tak promienny, że wszyscy od razu odgadli powód. Pan Maciej ucieszył się szczerze, Lucia, pogodzona już z myślą o Stefci w roli ordynatowej, pragnęła, by się to stało jak najprędzej. Tylko pani Idalia spochmurniała, mocno dotknięta, może przed oczyma widząc tragiczną z gniewu i obrazy twarz hrabianki Melanii. A może przyszły blask i stanowisko Stefci drasnęło jej miłość, własną.

Ale życzyła Waldemarowi szczęścia, ze względu na ojca, chociaż trochę ironicznie.

Wieczór imieninowy zgromadził w Obronnem sporą liczbę osób. Był pan Maciej z córką i wnuczką, Waldemar, bohater chwili, byli księstwo Franciszkowie Podhoreccy z córkami i nauczycielką księżniczek. I hrabiostwo Morykoniowie, i Trestka, i Wiluś Szeliga, który na ten dzień przyjechał z Warszawy przed odjazdem do uniwersytetu.

Z okolicy byli Żyżemscy i Ćwileccy. Hrabina Ćwilecka, dowiedziawszy się o zakończeniu sprawy ordynata, przybrała postawę bardzo obrażonej, na księżnę rzucając złe spojrzenia, pełne politowania. W oczekiwaniu na wyniki nie wyjechała dotąd za granicę, pomimo zapakowanych kufrów. Toteż gniew jej nie miał granic, nikogo jednak nie przestraszył. Księżna powróciła już do zwykłej równowagi duchowej. Księżna Franciszkowa z córkami, Lucią i panną Ritą utrzymywały dobry nastrój ogólny. Panna Rita mówiła o sobie do młodej księżnej, że śmieje się przez łzy, aby ukryć łkanie, ale robiła to nadzwyczaj umiejętnie. Dopomagali im oboje Żyżemscy i rozweselony pan Ksawery. Humor Waldemara płynął szeroką błyszczącą falą, porywał i pana Macieja, i starszą księżnę. Trestka siał dowcipami, pierwszy raz patrząc na ordynata z uwielbieniem i wdzięcznością. Tylko pani Idalia, hrabina Morykoniowa i Ćwilecka zachowywały się powściągliwiej, trochę nadąsane. Książę Franciszek i hrabia Morykoni mieli miny niewyraźne, jakieś krytyczno-ironiczne, mówili mało, starannie unikając wszelkiej wzmianki o bieżącej sprawie zaręczyn ordynata. Wiluś Szeliga nie krępował się nikim i niczym, był jak struty. Trestka w jakimś dowcipie chciał zażartować z niego, ale dostał od ordynata taką naukę, delikatnie, lecz wyraźnie zaznaczoną, że aż na chwilę stracił swój burzowski humor.

Przy wieczerzy ogólne i wielkie wrażenie zrobił toast pana Macieja.

Staruszek wstał i wznosząc kielich z szampanem rzekł dobitnie:

– Zdrowie narzeczonej mego wnuka, panny Stefanii Rudeckiej, którą od tej chwili włączam w grono naszej rodziny. Niech żyje młoda i szczęśliwa para!

Waldemar z wdzięcznością spojrzał na dziadka, wszyscy spełnili kielichy z mniejszym lub większym zapałem. Trestka z wielką werwą, hrabina Ćwilecka i pani Idalia z przymusem.

Ale hrabia Morykoni ociągał się. Trzymał kielich w powietrzu z miną zakłopotaną i złą, jakby chciał zamanifestować swą niechęć i jeszcze się wahał.

Waldemar zauważył to, zatrzymał swój kielich koło ust i patrzył bystro na hrabiego.

Chwilę przyglądali się sobie w milczeniu. Twarz Waldemara lodowaciała, twarz hrabiego okryła się pąsem, ale zdrowia nie wypił. Wszyscy się zmieszali. Hrabina Morykoniowa, spoj-

rzawszy na Waldemara, pociągnęła lekko męża za ubranie. Nareszcie ordynat rzekł twardym głosem, z szczególnym uśmiechem:

– Panie hrabio, czekam!

Hrabia rzucił mu zjadliwe spojrzenie, ale toast spełnił. Ordynat wychylił swój kielich z filuternym błyskiem w oczach, jakby mówiąc:

– Tak zawsze będzie.

Uczta przeciągnęła się do późna i pod koniec ożywiła wszystkich. Nawet hrabia Moryko- ni zapomniał trochę o różnicach sterowych między ordynatem a Stefcia.

Obrońce od bardzo dawna po raz pierwszy zawrzało życiem, jakby święcąc tryumf ordyna- nata w miejscu, gdzie najdłużej trwała jego walka, ale skąd zwycięstwo rozbrzmiało najgło- śniej.

XVIII

Do salonu w Ruczajewie wpadł złoty, powłóczysty promień słońca, obiegnął ściany kryte białą tapetą, pogładził orzechowe meble, zajaśniał na ciemnopąsowym pluszu i długą smugą rozłożył oświecając froterowaną posadzkę. Błyskał dokoła iskierkami swych gwiazdzistych oczu, jakby zmęczony czy znudzony.

Nagle złotolity promień ożywił się: ujrzał coś nowego – coś, co go wprowadziło w podziw.

Były to kwiaty. Mnóstwo kwiatów – w doniczkach, w plecionych koszach, w wazonach z wodą. Stały na stole, na półkach, na konsolach od luster, nawet na podłodze tworzyły malowniczą kępkę. Promień, zachwycony niezwykłym widokiem w tym miejscu, oczarowany, wśliznął się w kwiaty i rozpoczął badanie.

Zajrzał do korony róż i szeptał do nich, zapytując, skąd się tu wzięły, takie pyszne, w tym skromnym dworze wiejskim, jak się tu dostały przez śniegi i zawieje i dlaczego je tu przywieziono. Szeptał to samo dumnie wzniesionym głowom tulipanów i arystokratycznym storczykom, całując je z lekka. Ale całusy słońca są czarowne, omaszczają złotem. Kwiaty wyglądały jak w aureoli, ożywiły się, błysnęły główkami i tuląc się do słońca zaczęły opowiadać swe dzieje. Za nimi poszły białe i liliowe bzy, chyląc kiście poważnie, lecz wesoło. Już zaczęły szemrać do słońca fiołki skromne a wdzięczne, wysuwając swe aksamitne łebki z obsłon szmaragdowych listków. I dumni ich bracia alpejscy o świetnych barwach i wytwornych kształtach... i śliczne hiacynty o kolorach tęczy zachręściły suchym, jedwabnym szelestem. Raźniej strzeliły w górę secesyjne irysy, żółte, lila i ciemne nakrapiane. Zadygotały rozkosznie białe delikatne piórka różnobarwnych gwoździków, wionęły drobniusie listeczki ozdobnej pierzastej paprotki. Zabłyły białe narcyzy.

Wówczas przemówił monarchowie tej poddańczej rzeszy, pachnącej i rozgwarzonej, w pierwszym rzędzie pyszne królowe-róże, nęcące barwami bogactwem kształtów; więc: wspaniała „Maréchal Niel” w złotożółtych aksamitach, wdzięczna „La France” w różowych jedwabiach i wytwornisia „Tebried” w ślicznych tunikach barwy herbacianej. Była tam i „Pani Druzgi” w śnieżnobiałej atlasowej sukni, „Księżna Liberty” w karmazynach i strojna w aksamitne purpury królowa-piękność z haremu sułtana Maroko. Były też królowe w świetniejszych i skromniejszych szatach, różnych barw ; odcieni, począwszy od białych jak śnieg atlasów, skończywszy na czarnych aksamitach. Niektóre z nich błyszczały w słońcu klejnotami rosy, pozostałej od niedawnego skropienia. Wszystkie szeptały do słońca.

Za monarchiniami ruszyli z galanterią dumni w swej chwale królewicze-storczyki z prześwietnej dynastii „Orchis Purpurea”, strojni w koronacyjne płaszcze i z ostrogami. Zwykle mało popularni, rozgwarzyli się w słońcu, zachęcenii przykładem dam, a może tylko obfitością złotych promieni. Storczyki są to wybrednisie i potentaci, wrażliwi na złoto i ciepło.

Za sobą wiedli monarchowie cały orszak dworu. Szedł najpierw szereg paziów – różnokolorowych tulipanów, papuziastych, niezmiernie butnych. Z godnością postępował dostojny dygnitariat kaktusów, mirtów w gładkich zielonych uniformach i pachnących taków. Z drugiej strony garnęły się do słońca smukłe królowny i księżniczki krwi – białe lilie w powłóczyстых szatach, pachnące, dziewicze, całe pokryte kwiatami, od przeczystej bieli do ciemnej purpury, i wyniosłe białe kalie, dumnie wznoszące w górę swe lejkowate diademy.

Z boku uśmiechała się do słońca skromna niby wychowanka klasztoru, czulostkowa, niewinna mimoza, ukwiecona mnóstwem kwiatów. I ona zaczęła szczebiotać do złotych promieni, zanurzona w nie, skąpiana. Chociaż była córą znanego z uczciwości „Sensitivów”, spokrewnionego blisko z bogobojną rodziną „Mimoza-Pudica”, jednak i ona nie pozostała obojętną na pieśczęty słońca, nie kurczyła się pod jego dotknięciem – przeciwnie, rozkwitała.

Czarowne słońce!

Ale oto jeszcze jedna flirciarka, bardzo światowa i wykwinna tuberoza. Olśniona bla-

skami, ogrzana ciepłem, strzepnęła z kokieterią swą śliczną sukienkę i zagadała do słońca śmiało, filuternie, z temperamentem, siejąc dokoła delikatny zapach wytwornych perfum.

Rozszeptały się kwiaty.

I jeły opowiadać na wyścigi, jak się porodziły w pysznym rajku cieplarni głębowickich, jak je tam pielęgnowano i pieszczono. A potem przyszła nagle straszna chwila. Zabłysnęły lampy elektryczne, rozjaśniające każdy zakątek cieplarni. Kwiaty, zbudzone ze snu, myślały, że to jakaś uroczystość w zamku i one występować muszą... Więc ucieszone, strzając z listków resztę snu, strojne, pachnące, oczekiwały hołdów i zachwyków.

Ależ jakież rozczarowanie!

Wprawdzie wszedł do cieplarni ich pan i władca, młody ordynat, lecz za nim podążał główny ich pedagog, ogrodnik, i cała hałastra ogrodniczek ze złowrogimi minami. Kwiaty spojrzwały uważniej i dreszcz nimi wstrząsnął. Wszyscy prócz ordynata uzbrojeni byli w wielkie błyszczące nożyce.

Przeżalone kwiaty chciały błagać litości, lecz oniemiały ze zgrozy. Sam ordynat wybierał najpiękniejsze z jakimś radosnym i szczęśliwym uśmiechem w oczach. Nad różami „Maréchal Niel”, które najlepiej lubił, pochylił się i szepnął miękko:

– Idźcie służyć Stefci.

Królowe róże opowiadały to słońcu, pyszne ze swej urody i powodzenia.

Kwiaty szemrały dalej: jak po ścięciu układano je w kosze gustownie plecione i w bukiety, jak je staranie otulano watą, mchami i w kolorowe rogózki, by nie zmarzły i aby im było wygodnie.

Tuberozy i azalie zaczęły się chwalić, że przyjechały tu razem z mieszkaniem, w wazonach, bez ścinania.

Fiołki zwykłe i alpejskie, hiacynty, kaktusy, taki przekomarzały się z damami, dowodząc, że i one w ten sam sposób tu przywędrowały. I już rozpoczął się spór, ale królewicestorczyki powagą swą zakończyli kłótnię.

Kwiaty gwarzyły, opiewając swój przyjazd do tego dworu, gdzie witała je radośnie śliczna dziewczyna, gdzie je podziwiano tak, że nawet zapomniały chwilowo o rozkosznym, porzuconym rajku w Głębowiczach i pogrzyły się całkowicie w pysze. Kwiaty mówiły w słońcu, jak ta śliczna, młoda dziewczyna całowała je z rumieńcem szczęścia na twarzy, że łzami w ciemnych, fiołkowych oczach, prawie z modlitwą na ustach. Jak szeptała do żółtych róż: „Od niego jesteście, od niego!” – a one oddawały jej zapach, jakby niemą odpowiedź.

O! kwiaty zrozumiały doskonale, co się święci. Odczuły, że są zwiastunami szczęścia, które przywiezie niebawem tu sam ordynat. One wiedziały, jak witać tę cudną dziewczynę – że trzeba jej oddać zapach najpiękniejszy w hołdzie, bo to przyszła pani pięknego rajku w Głębowiczach, przyszła protektorka i opiekunka.

Słońce, słuchając, jaśniało radośnie. Złote jego drgania i ciepłe oddechy w połączeniu z wonią kwiatów i wspaniałymi ich kształtami utworzyły w białym salonie ruczajewskim atmosferę upajającą.

Wrażenia takiego doznała Stefcia.

Weszła i zatrzymała się odurzona. Jej promienna twarz, gorejące oczy i biała sukienka były dopełnieniem malowniczego obrazu, na który złożyły się kwiaty. Wyglądała wśród nich jak zaćmiewająca je urodą władczyni. Miała w sobie czar królewien lilii, wdzięk mimozy przeczystej, wykwintną zalotność tuberozy i wyniosłość dumnej białej kalii. Miała nawet świetność królowej róży – w pierwszym rozkwicie.

Słońce zaczęło ją pieścić i całować, kładąc na zagięcia jej włosów przepyszne złoto, w oczy sypiąc iskry. Wśród kwiatów, w blaskach wyrastała jak wieszczka poezji i szczęścia.

Jej uroda zaślśniła w całej krasie. Nie tamowane uczucia, szczęście zagrało w jej źrenicach, zakwitło na świeżych ustach, dodając uroku ślicznej twarzy. Budząca się w piękny poranek majowy zorza nie mogła być od niej promienistszą. I modlitwa szła z niej do nieba

dziękczynna, radosna, i śpiew słodki a potężny brzmiał z jej piersi, i serce biło gorącym tempem, wołając z rozkoszą:

– Kocham! Kocham!...

Gdyby wróżka jakaś czy anioł przypiął jej skrzydła, uleciałaby na wyżyny aż do stóp Boga, by złożyć Mu w dani duszę, przepelnioną szczęściem najwyższym, miłością odwzajemnioną i już znaną.

Ile ona przeżyła wątpliwości w ostatnich czasach, ile szalonej rozterki i obaw!

Surowo analizowała swe uczucia dla Waldemara. Będąc niesłychanie delikatną z natury, chciała zbadać gruntownie, jak ona kocha ordynata. Czy jej miłość nie polega głównie na oszołomieniu jego świetnością?... Czy te wspaniałe ramy, które go otaczają nie są najwyższym jego czarem?... Czyjej własna miłość kobieca, że zdobyła uczucia takiego potentata, nie gra tu jakiej roli?... Czy Waldemar w innych warunkach i otoczeniu zająłby równie silnie jej umysł i serce?...

Stefcia brnęła coraz dalej w nieznośne zagadnienia, chcąc ze swej uczciwej duszy wydobyć prawdę. Szlachetność i wysoka prawość jej charakteru nakazywała jej to nie dla osobistych względów, ale tyjących się Waldemara i jego przyszłego szczęścia. W jego miłość wierzyła i ufała mu, będąc przekonaną, że kocha ją uczuciem głębokim. Własne szczęście z nim przeczuwała jasno, bojąc się jedynie o to czy ona mu da podobne. Była to dla niej zagadka tak ważna jak życie; ta myśl przewodniczyła w jej modlitwach, stała się głównym dążeniem jej miłości. Nawet tęskniąc, Stefcia badała siebie, czy tęskni za Waldemarem jedynie, czy za Głębowiczami i ich sferą. Wyniki tych badań uspokoiły ją, w swych myślach zawsze widziała Waldemara. Poza tym wszystkie szczegóły poprzedzające chwilę obecną Stefcia tłumaczyła sobie bardzo prosto. Poznała Waldemara jako magnata świetnego nazwiska, w blasku milionów, co jednak nie przeszkodziło, że prawie od pierwszej chwili zaczęła go lubić. Więc nie świetna oprawa porwała ją, ale osobista wartość jego, którą poznawszy bliżej, oceniła należycie, ale jego czar i siła jego bogatej natury. Nie olśnił jej przepych zewnętrzny, ale jego szlachetność i prawdziwa męskość charakteru. Nie zachwyciły jej salony, stosunki i pałace, jakie posiadał, lecz była pod wpływem sposobu jego myślenia i wybitnej inteligencji. Jego wykształcenie, jego działalność i zdolności umysłowe, a nawet gwałtowność i dziki, porywczy temperament uniosły ją wicherem w zawrotny szal gorących uczuć, ale trwałych, bo opartych na bezwzględnej ufności i szacunku.

Stefcia przypominała sobie jedną rozmowę z Waldemarem. Mówił, że powstające uczucie jest podobne do gmachu nowo wznoszonych murów. i dobrze jest, gdy cegłą jest sama miłość, oparta na cemencie szacunku. Tylko na cemencie – glina wyłączona.

Żelazne wiązania – to stałość.

Kielnia – to zaufanie, łączące miłość z szacunkiem.

Krokwie i sklepienie – to warunki i okoliczności. Mogą być one bardzo wyniosłe lub też dość niskie.

Tynkiem jest wiara. Powinna posiadać wielką siłę, chcąc uchronić mur od ruiny.

Wapno – to opinia świata. Szczęśliwie, jeśli pokrywa mur już zlasowane – nieszczęśliwie, jeśli przed zlasowaniem, czyli przed ustaloną reputacją, bo wówczas byle zły powiew łamie wapno i kruszy.

Fundamentem Waldemar nazwał dość cynicznie – pociąg zmysłowy.

I dowodził, że powstałe na nim gmachy uczuć bywają najwspanialsze, jeśli zaś istnieje bez przerwy, wówczas są najtrwalsze. Ale przyznawał, że fundamentem może być również jedność duchowa, wspólność myśli i zapatrywań.

Stefcia, przypominając sobie jego zdania, wplatała je teraz we własne uczucia.

A może istotnie bez pociągu zmysłowego nie ma szału w miłości i sama miłość za blade by wyszła, jak obraz cenny arcyzmem, bogaty w technikę i koloryt, lecz pozbawiony odpowiedniego światła.

Stefcię z początku raził cynizm Waldemara, ale przekonała się, że wypływa jako wynik konieczny z życia i doświadczeń ordynata i że na równi z pokrewną sobie ironią i pesymizmem nie wykracza jednak poza jego etykę i wrodzoną delikatność. On nie lubował się swym cynizmem, ale posiadał go, występował z nim szczerze. Ciskał go nawet z niesłychaną odwagą, lecz w razach koniecznych, nie z zamiłowania. To stanowiło część potężnego uroku i wpływu na kobiety. To czyniło go odrębnym, daleko odsuwając od pospolitego typu zjadacza serc i salonowego lwa. Nie był blagierem ani z natury, ani dla efektu, mówił prawdę każdemu w oczy bez względu na to, czy się ona komu podoba. Potrafił "rąbnąć" słowem, nawet młodej kobiecie, o której względy mu chodziło, ale zawsze zachowywał pewną wytworność. Nie umiał być ordynarnym ani pochlebcą i nie znosił tego w stosunku innych do siebie. Potrafił brać ludzi w kleszcze swego wpływu. To samo zaszło ze Stefcią. Nie pomogła walka. Nie zdołała mu się oprzeć. To samo było z jego rodziną.

Stefcia od wyjazdu ze Słodkowic nie przestawała lękać się o niego. Nazwał ją narzeczoną przy obcej kobiecie, więc nazwie ją tak samo wobec swej rodziny. A co wówczas?...

Odczytywała pamiętnik zmarłej babki i lęk ogarniał ją coraz silniejszy. Nieledwie oczekiwała listu kończącego wszystko, jak tamten, co zamknął szczęście w pamiętniku. Ale takie zwątpienia trwały krótko. Wierzyła w Waldemara. Jedyne pytała własnego sumienia, czy ma prawo narażać go na podobną walkę, czy powinna wchodzić do jego rodziny, arystokratycznej, która jej nie zechce?...

Ale czuła, że już za późno... że wszelkie jej możliwe poświęcenia na nic by się zdały wobec jego miłości, bo teraz on wziął ich szczęście w swe dłonie.

– I zwyciężył!

Z listem Waldemara podeszła do kwiatów i zanurzona w nie zaczęła po raz setny przesuwać arkusze eleganckiego papieru, zapisanego męskim charakterem. Upajała się słowami mówiącymi do niej tak serdecznie, jakby same usta Waldemara. Nie mogła oderwać oczu od energicznych liter stawianych jego ręką, od ich treści wyrażającej jego myśl, jego uczucia, jego szlachetność i niezłomną wolę.

A kwiaty pochylały ku sobie główki i rzucając na Stefcię tysiące wonnych spojrzeń, wyciągając ku niej setki różnobarwnych ramion, składały jej w hołdzie upajającą woń z szemranem cichutkim:

– Nasza pani! nasza śliczna pani!

Stefcia spojrzała na zegarek.

– Powinien już być – szepnęła.

Rozejrzała się po kwiatkach. Wyjętą z wazonu świeżą, zaledwie rozkwitłą różę „Maréchal Niel” przypięła sobie do włosów. Spojrzała przy tym w lustro i może pierwszy raz w życiu uderzyła ją własna uroda. Chwilkę patrzyła na swą postać. Usta jej musnął uśmiech radosny.

– Ładna jestem! Dla niego chcę być ładną!

Zwrócił jej uwagę ruch w przedpokoju. Podbiegła do okna. Na twarzy jej zabłysły gorące cienie.

Przed gankiem stała gniada czwórka ruczajewska. Z sanek służący i strzelec Jur wyjmowali futro na nogi.

Stefcia podniosła obie ręce do rozpalonego czoła.

– On tu!... Waldy w Ruczajewie! – wołało jej w duszy.

W sieni słyszała głos ojca, ale kiedy zaraz potem rozległ się dźwięczny baryton Waldemara, zapłonęła falą szczęścia. Radość bezmierna buchnęła w niej płomieniem. Biegła do drzwi, kiedy wszedł w nie ordynat z błyskiem w oczach, zapalonym na jej widok.

Pan Rudecki dyskretnie cofnął się.

– Moja! moja! – wykrzyknął ordynat, chwytając narzeczoną w ramiona.

Stefcia oparła głowę na jego piersiach, bezprzytomna z nadmiaru uczuć.

Waldemara ogarniał szal.

- Przyjechałem po ciebie, ukochana... Tyś już moja na zawsze.
 - Stefcia wskazała mu kwiaty.
 - One mię uprzedziły o szczęściu.
 - Czy ładne?
 - Śliczne i... z Głębowicz.
-

Waldemar oddał Stefcii dwa listy: od dziadka i od księżnej Podhoreckiej.

Księżna pisała w bardzo miłym tonie, ze swobodą nie zdradzającą poprzedniego oporu. Stefcie nazwała wnuczką, pokładając w niej nadzieję uszczęśliwienia Waldemara. List zawierał kilka pochlebnych słów dla państwa Rudeckich i wyraźnie zaznaczoną chęć poznania bliżej Stefcii, co wyglądało na zaproszenie jej do Obronnego.

Państwo Rudeccy rozbroili się.

Nie mieli już obaw co do przyszłości Stefcii. Na ordynata spoglądali z uwielbieniem i dumą.

Stefcie wzruszył list pani Podhoreckiej. Doskonale odgadywała walkę poprzedzającą jej zgodę i sympatię. Wiedziała, że narzeczonemu zawdzięcza wszystko, że opór stawiano, ale on go zwalczył i dopiął celu.

Obok miłości wzbudziły się w jej duszy: cześć i podziw dla Waldemara.

Przeczytawszy list, podała mu obie ręce serdecznym rzutem, z dziękczynnym wyrazem w oczach.

Waldemar ucałował jej dłonie.

Zrozumieli oboje.

Byli szczęśliwi.

Przed oczyma ich stanęła przyszłość.

Tamci nie doszli do tych wyżyn, co oni. Ich szczęście musiało być o połowę mniejsze, a wobec późniejszego życia stało się chwilą obramowaną w czarny kir.

W parę godzin potem Waldemar i Stefcia w białym salonie, wśród kwiatów, zamienili z sobą pierścionki. Gdy na Stefcii błysnął olbrzymi brylant, klejnot rodowy Michorowskich, a ona włożyła narzeczonemu na mały palec swój pierścionek z perłą uriańską, spragnione usta Waldemara spoczęły na ustach dziewczyny i trwali tak długo upojeni aż do ekstazy.

Tylko Stefcia wstrząsnął dreszcz jakiś rozkoszny, ale dziwnie trwożny.

Może spłynęły wówczas do salonu nad młodą parą duchy zmarłej Stefanii Rembowskiej i Gabrieli de Bourbon, jak nieme a ponure memento najszczęśliwszych jaśni życia.

XIX

Więść o zaręczynach ordynata Michorowskiego z panną Rudecką rozeszła się echem wśród arystokracji, wywołując gniew i wiele protestów, wśród szerokich klas inteligencji – zdziwienie. Niektórzy nie wierzyli w prawdziwość faktu, poczytywali to za fałsz. Salony, kluby, buduary trzęsły się rozgwarem rozmów tylko o tym prowadzonych, ale szept były jeszcze gorsze, bo złośliwe.

– Mezalians! mezalians! – brzmiało wszędzie.

Wszystkie hrabianki i księżniczki, wszystkie panny liczące na ordynata czerwieniły się, obrażone, w pięknych ząbkach mełły niezyczliwe słowa, w wytwornych główkach knuły złe myśli.

Sensacyjną wiadomość zaręczyn ogłosiły dzienniki w formie bardzo życzliwej. Pewne osoby z arystokracji wiadomość tę chciały podać w jaskrawszych barwach, ale redakcje odmówiły ze względu na ordynata.

Wśród arystokracji huczało jak w ulu.

Stefcia była na wszystkich ustach. Jej fotografie w grupach głębowickich i pojedyncze, rozdawane przez pannę Ritę, przechodziły z rąk do rąk. Jedna, poszarpana w kawałeczki, spłonęła w kominku w pałacu Barskich, ciśnięta w ogień przez drapieżne rączki hrabianki Melanii.

Margrabina Silva pisała do ordynata patetyczne listy, które razem z paczką innych w podobnym rodzaju zostały zamknięte w szufladce biurka, zwanej archiwum starożytności.

Wesoły Brochwicz po powrocie z Berlina wirował wśród salonów, roznosząc sławę Stefci. Zachwycał się głośno i szczerze przyszłą ordynatową. Z tego powodu naraził się w wielu domach, ale dowcipny chłopak nie tracił zapału.

Powszechną zgrozę i nowe wstrząśnienie wywołała wiadomość, że w parę tygodni po zaręczynach do Ruczajewa przybyła z ordynatem księżna Franciszkowa Podhorecka i panna Rita. Za nimi podążył niedostępny Trestka i Brochwicz, który jako przyjaciel osobisty i kolega ordynata chciał Stefci złożyć życzenia.

Ruczajew zaroił się gośćmi. Stefcia promieniała szczęściem, które podnosiło jeszcze jej urodę. Ale te odwiedziny były powodem nowej burzy w Słodkowcach. Pani Idalia traciła zmysły z gniewu, lecz z Lucią nie mogła sobie dać rady. Dziewczynka gwałtem chciała jechać do Ruczajewa, błagała o to matkę, a widząc jej stanowczy upór, postanowiła udać się tam z panną Ritą. Lecz baronowa i na to się nie zgodziła; wszelkie prośby pana Macieja odparła ostro i zabrawszy córkę, wyjechała z nią za granicę. Lucia w sekrecie przed matką napisała do Stefci bardzo rozpaczliwy list. Dziewczynka była rozkapryszona i stosunek jej do matki stał się okropnym. Idalia wyjechała na Riwierę, pozostawiając ojca na opiece pana Ksawerego.

Ale pan Maciej najczęściej teraz przebywał w Obronnem, gdzie oboje z księżną oczekiwali przyjazdu Stefci. Księżna wyraźnie oświadczyła Waldemarowi, że chce ją mieć u siebie przez jakiś czas, aby lepiej poznać. Ordynat zgodził się chętnie, obiecał przywieźć narzeczoną, ale z warunkiem, że przyjedzie z ojcem lub matką. Księżna musiała ustąpić. Waldemar odgadł myśl babki: oto staruszka, godząc się z koniecznością, postanowiła obznajmić Stefcię ze wszystkimi warunkami jej przyszłego stanowiska. Pragnęła ją przygotować do roli ordynatowej, nadać jej takt właściwy i jakby dokończyć edukacji. Pani Podhorecka знаła Stefcię, jednakże była pewną, że znajdzie wiele błędów do sprostowania. Waldemar, osobiście zadowolony z takiego projektu, uśmiechając się żartował, że babka wprowadza średniowieczne zwyczaje, kiedy zaręczone księżniczki przywożono przed ślubem na dwór narzeczonego dla obznajmienia ich z etykietą. Księżna odpowiedziała sucho:

– Ja pragnę jej dać poznać wymagania naszej sfery, aby wśród nas nie raziała.

Waldemar zmarszczył brwi, ale nic nie odpowiedział. Pomyślał tylko:

– Już ona nie skompromituje nas.

Powrót Franciszkowej Podhoreckiej z Ruczajewa i sprawozdanie z odniesionych tam przez nią wrażeń ostatecznie przełamały niechęć staruszki. Listy Stefcia do babki ordynata i pana Macieja miały także swój dobry wpływ. Teraz oczekiwano jej przyjazdu.

Młoda księżna mówiła:

– Niech mi mama wierzy, ja sama bałam się trochę tego Ruczajewa, ale jechać komuś trzeba było i najstosowniej mnie, ponieważ Idalka odmówiła. Zostałam mile rozbrojoną. Dom zupełnie przyzwoity, nosi typ zamożnego domu obywatelskiego, w stylu starszylacheckim, bez sztucznej bufonady i pretensji, ale pełen szczerości i dobrego smaku. Rudeccy – ludzie światowi i nadzwyczaj dobrze wychowani, nawet wytworni. Przy tym on wykształcony; znamy go dawniej. Matka robi wrażenie polskiej matrony. Dość młoda jeszcze i dystygowana kobieta. Jest tam dwoje młodszych. Chłopak trochę urwis, ale zuch, przygotowuje się w domu do wyższych klas. Zaprzyjaźnił się z Brochwiczem jako z imiennikiem, a na Waldemara spogląda z podziwem. Dziewczynka, Zosia, jeszcze mała, milutkie stworzenie, ale nie tak ładne jak Stefcia. Ta jest po prostu urocza. Miłość Waldemara ubrała ją w jakąś tęczę, promienieje szczęściem.

– Spodziewam się – rzekła księżna z lekką ironią.

Zbudziła się w niej zawiść, że jej wnuk, Waldemar Michorowski, uszczęśliwi tylko taką sobie zwyczajną Stefcie.

Młoda księżna odczuła to i rzekła z uśmiechem:

– O! niech mama nie sądzi, że Stefcie uszczęśliwia głównie przyszłe stanowisko. O ile ją znam, wolałaby ona, żeby Waldemar mniej błyszczał pozycją i milionami. Jedyne, co ją może napawa dumą, to świetność jego rodu. Prawdziwie szlachetne dziecko! Ona kocha Waldemara dla niego samego i kocha całą duszą. Tylko ma pewne obawy, jak sobie da radę w nowych warunkach: trochę się lęka naszej sfery. I na Rudeckich znać pewien przymus, gdy mówią o przyszłości. Najwidoczniej obawiają się nas dla córki, co jest zresztą zrozumiałym.

Starsza księżna milczała, pan Maciej zwiesił smutnie głowę. Po chwili rzekł:

– Boją się nas z powodu przeszłości... Ja odegrałem mętną rolę, ale Waldemar powinien ich przekonać. Czyżby i w niego nie wierzyli?

– Och! nie. Oni mu wierzą i cenią go, ale coś jest, co tamuje zupełnie szczęście z powodu nadspodziewanego losu córki. Może to przecucie rodziców?

Pan Maciej i księżna zwrócili na mówiącą zdziwione oczy.

– Przecucie? Jakie? Z powodu czego?...

– Może nie wierzą w całkowite szczęście Stefcia, w jej przyszły spokój. Ostatecznie ona wchodzi w obcą dla siebie sferę, która... niezbyt jej sprzyja.

– A przecież uważamy ją już za naszą – rzekł pan Maciej.

– My, ale nie ogół.

Stara księżna poruszyła się.

– Ogół uzna, zmuszony przez Waldemara. Już jeśli on mnie zdołał zjednać, wierzę, że potrafi skłonić do tego cały świat! Chyba nie ufają w stałość Waldemara, a to już byłoby bluźnierstwem.

– Nie! nie to. Powtarzam, wierzą w niego, lecz może nieświadomie mają obawę jutra.

Pan Maciej i księżna zamysłili się smutno.

W połowie lutego wielka sala w Obronnem wyglądała uroczyście. Oczekiwano przyjazdu Stefcia z ojcem i Waldemarem. Starsza księżna w ciężkich, czarnych koronkach, poważna, robiła wrażenie jak zawsze trochę dumne. Księżna Franciszkowa, pan Maciej, panna Rita i Trestka byli wesoło usposobieni. Książę milczał ponuro. Im bardziej zbliżała się chwila przyjazdu Stefcia, tym księżna babka zdradzała większy niepokój. Nieprzeparcie wracały jej dawne marzenia. W nich widziała siebie witającą narzeczoną Waldemara, jakąś księżniczkę

znakomitego rodu. Z rzeczywistością staruszka nie mogła się znowu pogodzić, powracał żal i gorycz już trochę uspiąca. Z lękiem oczekiwała chwili powitania. Duma i ambicja grały na nerwach księżnej treny żałobne po umarłych nadziejach. Walczyła z siłą, wydartą duszy.

– Dla niego... dla wnuka. On ją kocha... on szczęśliwy – powtarzała w myśli.

Gdy wszedł kamerdyner, oznajmiając, że jadą, księżna oparła się ciężko na fotelu, wachając nerwowo mały ftakonik z solami. Drżała i mieniła się na twarzy.

Na schodach wiodących do dolnej sieni zaroilo się od lokajów. Trestka z panną Ritą pierwsi witali gości. Młoda księżna podeszła do rzeźbionej poręczy otaczającej galerię nad klatką schodową. Wtem na górę wpadł Waldemar, promieniejący, niebywale ożywiony. Przywitał szybko młodych księstwa, serdecznie pana Macieja i przyklęknął przed księżną.

– Przywiozłem ci moją Stefcie, droga babciu – rzekł miękko, całując jej rękę.

Księżna milczała jak ogłuszona, bez ruchu, groźna, blada.

Waldemar spojrział na nią zdumiony. Przeszył ją wzrokiem.

– Babciu! – zawołał z naciskiem, gniotąc jej dłoń z rozpaczliwą siłą.

Pierwszy raz w życiu zląkł się. Położenie wydało mu się strasznym. Jego oczy wpiły się w księżną jak dwa płomienie.

Staruszka milczała oddychając szybko.

Ordynat zerwał się ze zmarszczonymi brwiami, z dzikim wyrazem twarzy. Zawołał zdławionym głosem:

– Co się tu stało, na Boga?!...

Pan Maciej, przerażony również, nie odpowiedział.

Lecz powtórny okrzyk Waldemara zgniótł krytyczną chwilę. Zbudził się w księżnej potężny żal do samej siebie za zmącenie szczęścia wnuka. Groza w jego oczach mieszała księżną. Z serca jej miłość dla niego usunęła wszelkie wahanie.

Była to już walka ostatnia.

Księżna przemogła się.

Wstała i położywszy dłonie na piersiach Waldemara, rzekła, patrząc mu w oczy, ale już z uśmiechem w żrenicach:

– Przyrowadź mi... Stefcie. Chcę ją powitać i... pobłogosławić.

Waldemar odetchnął. Ucałował rękę babki i wpadł do sieni. Pan Rudecki z córką wstępowała na schody w towarzystwie panny Rity i Trestki.

Ordynat szybko zbiegł i podał ramię narzeczonej. Jego wzrok nie uspokoił jej. Wyglądała ślicznie w wytwornej sukni jasnopopielatej, olśniewając cerą o tonach delikatnych, „niby muszli perłowej przy zachodzie słońca.

W przejściu przez galerię młoda księżna uściśnęła rękę Stefcie, wskazując jej oczyma otwarte drzwi salonu. Dziewczynie serce waliło w piersi.

Weszli.

Pyszne, ciemne oczy Stefcie spoczęły na czarnej postaci księżnej z lekką trwogą. Usta jej zadrgały, fala krwi przepłynęła przez perłową karnację jej twarzy. Delikatna łzawa powłoka rozblęła w jej żrenicach. Zalśniły jak pióra jaskółek, gdy w locie dotknąwszy wody, wzlatują do słońca.

Księżna utkwiała w niej swój czarny wzrok. Pan Maciej rozjaśnił się. Książę Franciszek cofnął się za filar salonu.

Pod palącym spojrzeniem księżnej długie rzęsy Stefcie opadły niby ciężkie zasłony, zakrywając urok jej oczu; łuki brwi zsunęły się nieco kapryśnie.

Księżna stała zdziwiona. Stefcia zachwyciła ją urodą i postawą. Widoczne zalęknienie dziewczyny podziało na nią bardzo dodatnio. Księżna, nie wiadomo dlaczego, wyobrażała sobie, że narzeczone Waldemara wejdzie tu z podniesioną dumnie głową i wielką pewnością siebie. Stefcia zrobiła jej miły zawód.

Dziwne uczucie szarpnęło staruszkę za serce. Wyciągnęła do dziewczyny ramiona z

uśmiechem i prawdziwą życzliwością. Pochylając się serdecznie do jej rąk Stefcię księżna objęła i przytuliła do siebie.

Na powiekach pana Macieja osiadły dwie grube łzy. Waldemar był wzruszony.

Księżna wzięła jego rękę i oddała mu narzeczoną. Nad pochylonymi głowami dwojga młodych szepnęła z uczuciem:

– Bądźcie szczęśliwi!

Uroczystość wiała z jej słów, powaga i niezwykle u niej roztkliwienie. Ta wyniosła pani w czarnych koronkach o marmurkowej twarzy, przytłaczała swym majestatem.

Powitanie i błogosławieństwo pana Macieja odbyło się mniej ceremonialnie, ale jeszcze serdeczniej. Pan Rudecki przywitał księżnę z godnością; zamienili ze sobą kilka poważnie brzmiących grzeczności. Pan Maciej uściśnął Rudeckiego po bratersku.

Lody zostały przełamane.

Pobyt Stefci w Obronnem zmienił całkowicie usposobienie księżnej na korzyść dziewczyny. Staruszka zdumiewała się jej dystynkcją.

Z przyjemnością spostrzegła, że nie będzie miała trudu kierując Stefcię na wielką damę. Z każdym dniem godziła się więcej ze stanowiskiem jej w rodzinie, podziwiając przy tym urodę dziewczyny, świetnie rozkwitłą. Zachwycił księżnę czar i wdzięk Stefci, który rozsypywała dokoła siebie jak perły cenne.

Stosunek panny Rity z narzeczoną ordynata był jak najlepszy. Stefcia nie czuła się tu obcą, przymus względem siebie widziała tylko w księciu Franciszku i w hrabinie Morykoniowej. Hrabia nie pokazywał się wcale. Większych zebrań nie urządzano, ponieważ wszystkie domy znajome bawiły w Warszawie lub za granicą. Stefci brakowało tylko Luci. Nieobecność jej i pani Idalii gnębiła dziewczynę.

Po tygodniowym pobycie w Obronnem przejechali wszyscy na kilka dni do Głębowicz, skąd już pan Rudecki z córką miał powrócić do domu. Sanna trwała wyborna.

Ordynat jechał z narzeczoną w bardzo strojnych saneczkach, zaprzężonych w czwórkę głębowicką. Powoził sam. Pąsowa, szyta złotem siatka spadała aż do ziemi, bujne lisie ogony miały się przy skroniach końskich. Dźwięczny brzęk janczarów i brązowych okuć uprząży roznosił echo w borach głębowickich. Karę araby z długimi ogonami, w błyszczącym rynsztunku, przypominały rumaki cesarów przy zwycięskich rydwanach.

Stefcię czarowała ta jazda, oboje z Waldemarem rozweselili się jak dzieci. Szczęście jak złote promyki tysiącami iskierek sypało na nich. Młodość, miłość ich była rozkoszną i błyskotliwą jak ta wesoła jazda po wyszlizganym gościńcu, jak dźwięczny brzęk janczarów i prykanie karej czwórki. Bór stał cichy, oszroniony, ostatnim śniegiem. Raz jeszcze ubrał się w białe futra i szumiał rozgłośnie, jakby żałując, że wkrótce zdjąć je musi. Marzec już nadchodził, koniec zimy, ale śnieg cieszył ludzi, cieszył nawet bór, drzewa wiedziały, że im ładnie w tych gronostajach.

Stefcia oczekiwała wiosny radośnie. W czerwcu miał odbyć się jej ślub, więc tyle myśli leciało naprzód, tyle wrażeń, taki bezmierny, niezgłębiony dreszcz ciekawości i nadziei wstrząsał nią na wspomnienie tego, co będzie! A jednak żałowała zimy. Dziwny, niewytłumaczony żal wkraść się natrętnie do jej marzeń i nurtował w nich. Śnieg był świadkiem największego jej szczęścia, najdroższych upojeń i żałowała, że już zginie. Pragnęła wiosny, jednocześnie bojąc się jej.

Ale teraz mgliste myśli nie nasuwały jej swobody. Przy boku narzeczonego cieszyła się życiem, śniegiem i tą jazdą porywającą. Lecz gdy wyniosłe mury zamku zarysowały się potężnie wśród ciemnych sylwetek świerków, Stefcia spoważniała.

Ona ma zostać panią tego zamku, ordynatową tej pysznej rezydencji, świecącej niby klejnot bez ceny w promieniu obszarów ziemskich, jak w złotych tęczęwkach. Ona będzie

żoną tego rodowego magnata, tego milionera. Dziewczyna czuła szum w głowie... On ją wybrał z tylu innych, więc ambicja jej i duma mogły być nasycone, mogły stać się nawet zawrotnymi. Lecz Stefcia odczuwała szczęście jedynie z powodu uczuć najdroższych dla Waldemara. Kochała go aż do utraty zmysłów. Jego wielkość, płynąca z potężnych murów zamku, przygniatała ją więcej niż kiedy. Ona tu zostanie, będzie matką nowych pokoleń.

Stefcia pojmowała wielkość swego zadania, lecz cień jakiś niewyraźny błąkał się w jej duszy.

Waldemar zauważył jej stan i odczuł powód. Pochylił się do niej, mówiąc serdecznie:

– Wiozę cię do siebie już moją – nareszcie!

Musnął ustami jej skronie, na wpół przykryte futrzaną czapeczką.

Stefcia drgnęła. Jego słowa i pocałunek podnieciły ją. Ordynat strzelił z bata. Wyminął wszystkie sanie, salutując jadących. Z boku zajeżdżał go Brochwicz w pojedynczych, jak cacko, saneczkach.

– Widziałem! ale jestem dyskretny – krzyknął wesoło.

Stefcia zapłonęła rumieńcem.

– Odpłacę ci kiedyś tym samym! – zawołał Waldemar i pomknął naprzód.

Z nozdrzy jego koni buchały ogromne kłęby pary, wiatr szumiał w uszach.

Na baszcie zamkowej nagle, w ich oczach, rozwinęła się wielka błękitna chorągiew z herbem Michorowskich. Załopotała jakoś tryumfalnie. Widocznie zamek czuwał i dojrzał jadącego pana. Wiedział nawet, z kim jedzie, bo z baszty uderzył w powietrze huczny odgłos trąb.

Z blanków zamkowych, osypanych śniegiem, zerwały się przestraszone stada wróbli z głośnym świerkaniem, Frunęły na drzewa, czerniąc się jak drobny śrut pomiędzy zaśnieżonymi gałązkami. Fanfara brzmiała melodyjnie i poważnie.

Stefcia była wzruszona.

Wpadli w aleję świerkową. Nowa niespodzianka. Pod świerkami ustawiona w dwa szeregi straż leśna i strzelcy zwierzynieccy z podłowczymi, na koniach, w galowych strojach, dawali salwy ze strzelb, machając kołpakami i pokrzykując radośnie.

Głębowicze grzmiały na powitanie Stefci.

Waldemar, rozweselony zachowaniem się dworzan, zwolnił pęd koni, zerwał czapkę z głowy i powiewał nią dziękczynnie. Stefcia kłaniała się wdzięcznie. Wzruszenie ją dławilo, dygotała na całym ciele.

A salwy huczały regularnie, jak dla zwycięzcy po bitwie: odgłos trąb rozbrzmiewał echem, chorągiew łopotała na wietrze.

Powitalny szum świerków-tytanów został zagłuszony, ale dreszcz biegł po kolosalnych cielskach, strzepując śnieg z gałęzi; chyliły się czuby, jakby składając hołd Stefci.

Głębowicze doczekały się pani!

Witały ją już jak ordynatową.

Rój skłębionych bezładnie myśli wirował w rozognionej głowie Stefci. Chaos w nich zapanował, szał jakiś zakipiał we krwi.

Wśród salw i wiwatów przejechali kamienny most na fosie, minęli dziedziniec zewnętrzny oraz bramę pod arkadami i w całym pędzie Waldemar zatrzymał rozhukaną czwórkę przed wyniosłym portykiem zamkowym. Dopiero tam dogoniły ich inne sanie.

Pan Rudecki był odurzony. Nie spodziewał się, że Głębowicze są tak wspaniałe. Owacje czynione Stefci poruszyły go. Myślał wspominając przeszłość:

– Krzywda tamtej nagrodzona. W drugim pokoleniu los obmyślił nagrodę. Czy ona to widzi?...

I w oczach stanęła mu postać umierającej staruszki.

Pod kolumnami ganku witała Stefcię służba zamkowa. Z urzędników: rządcą Ostrożęcki, wszyscy praktykanci, marszałek dworu, łowczy i koniuszy. Salwy i trąby umilkły w bramie pod arkadami. Na krużganku wewnętrznym zagrała orkiestra.

Pan Maciej, również jak pan Rudecki, myślał, przywołując na pamięć postać dawnej narzeczonej:

– Jesteś nagrodzona. W drugim pokoleniu los dał powetowanie. Czemuż tego nie widzisz?...

I staruszek odetchnął lekko, jakby już wykruszył ostatni kamień z duszy.

XX

Stefcia stanęła olśniona ujrawszy mieszkanie przygotowane dla siebie. Trzy pokoje to-nęły w kwiatach. Zwłaszcza buduar przykuwał oczy. Dosyć duży, okrągły, obity złotożółtym jedwabiem, z przepyszным sufitem zdobnym w inkrustacje. Kryształowy żyrandol zwieszał się ze środkowej rozety. Jedną połowę pokoju, lustrzaną, ozdobiono kwiatami. Grupały się tam wachlarzowe palmy, nisko stały w odpowiednich wazonach bladożółte róże, hiacynty i pęki kwitnącej mimozy. Wszystko w jasnych, pastelowych kolorach. Buduar w stylu cesarstwa. Posadzkę pokrywał żółty pluszowy dywan o niezmiernie długim włosie. Sypialnia miała styl odmienny – w tonie błękitnym. Adamaszkowe kotary osłaniały łóżko wy-rzeźbione z drzewa orzechowego, nabijane konchą perłową.

Ten pokój krasily białe róże i pąsowe gwoździki.

Ubieralnia biała jak z porcelany i przytykająca do niej łazienka świeciły niepokalaną bielą alabastrów, marmurkową wanną, srebrem naczyń i delikatną barwą lila irysów, jakich tu znajdowało się mnóstwo w basenach, w srebrnych dzbanach, w wazonach i wysokich krysz-tałowych słojach.

Stefcia jak senna spoglądała dokoła, słuchając uniżonego szczebiotu ochmistrzyni dworu, pani Szalińskiej, powszechnie tu zwanej Szalisią, która jej usługiwała. Starowina służyła jesz-cze matce ordynata. Od niej dowiedziała się Stefcia, że pokoje zamieszkiwała niegdyś ordy-natówna Idalia, ale teraz pan ordynat kazał je zupełnie odnowić.

Staruszka ze swymi ukłonami i minami robiła wrażenie damy dworu i czuła się bardzo przejęta nową rolą przy narzeczonej ordynata.

Stefcia zjednała sobie jej sympatię, ale Szalisią szepnęła na ucho kamerdynerowi, że pa-nienka nie bardzo widać z jasnych pochodzi, bo nie jest wcale dumna. Andrzej kiwnął głową przecząco i odrzekł z przekonaniem:

– Co tam pani mówi! Zaraz jaśniej zrobiło się w zamku, jak ona przyjechała. Pan ordynat szukał, szukał i znalazł nie żadną hrabiankę, ale za to śliczności.

– Oj, co to, to prawda! – potwierdziła stara ochmistrzyni.

Służba zamkowa była zupełnie zadowolona ze Stefci.

Pan Rudecki nie mniej czuł się zadowolony z Głębowicz, ale był trochę przestraszony. Przyszły zięć przerażał go bogactwem, zamek olśnił. Podobny przepych widywał stary oby-watel za granicą jako student, zwiedzając arcyksiążęce pałace, lecz bezpośrednio zetknął się z nim pierwszy raz.

I tu miał zostawić córkę.

Lęk jakiś dziwny przygniał go.

– Czy to nie będzie złocona klatka, bogata, ale dumna, nie swojska? – myślał chwilami.

Patrząc na córkę, na jej dystynkcję, wdzięk i swobodę, z jaką obracała się wśród tego przepychu, miał pewność, że jest stworzoną do wspianiałych ram. Magnateria zamku i ma-gnateria osób nie krępowały jej. Czuła się swobodną tak samo, jak w skromnych ścianach rodzinnego domu. Była nawet rozkoszniejszą, nosiła w sobie jakąś cechę wyłączną, jakby otaczający ją luksus i pyszne Głębowicze słusznie należały się jej wytwornej naturze.

Tego samego zdania były obie księżne, pan Maciej – i cieszyli się. Stefcia potrafiła ich zadowolić. Nawet księżę Franciszek i hrabina Morykoniowa przekonali się do niej. Nie mogli jej darować jedynie nazwiska. Hrabina w liście do męża wzywała go, aby przyjechał, nad-mieniając, że Stefcia jest zupełnie „możliwa” i że pomimo względów, jakimi ją obsypuje ordynat, *elle connait son rôle*¹¹. Hrabina w ten sposób tłumaczyła pewien chłód Stefci wzglę-dem siebie. Dziewczyna, uprzejma dla wszystkich, z hrabiną postępowała sztywniej i unikała

¹¹ *elle connait son rôle* (fr.) – ona zna swoją rolę

jej, czując głęboką niechęć tej damy do siebie.

Dni spędzane w gościnnym zamku głębowickim sprawiały wszystkim wiele przyjemności. Ordynat wspaniale przyjmował narzeczoną. Nie przeszkadzało mu to jednak w pracy. Sam w pojedynczych saneczkach, zaprzężonych w szpic, czasem konno, objeżdżał folwarki, odwiedzał fabryki i instytucje majątkowe. Parę godzin dziennie w urzędowym biurze przyjmował raporty od administracji, załatwiał interesantów, wysyłał listy i telegramy. Nie przestawał być czynnym, pisał artykuły społeczne i różne programy. Do lasów odbywali wspólne kuligi, bo sanna trwała ciągle. W pałacyku stylowym, wśród głuchego boru, ordynat urządził raz przyjęcie dla swych gości. W czasie obiadu o zmroku wieczornym dokoła pałacyku płonęły na śniegu ogniska, podsycane przez gajowych, którzy popisywali się na rogach myśliwskich. Oswojone dwa niedźwiedzie, wielkie, kudłate, wałęsały się obok płonących stosów z groźnym pomrukiem. W sieni, dosyć obszernej, mieściło się mnóstwo zdobyczy łowieckich, różnych głów, rogów i skór. Kwiliło żywe, oswojone ptactwo. Ogromne jastrzębie, puchacze i kruki, nawet dwa okazy sokołów, białozór i mniejszy kobuz, które łowczy obuczał do polowania. Leśniczy, doglądający pałacyku, trzymał także oswojonego wilka, lisa i wielkiego rogacza, wychowanych od małego.

Stefcia, patrząc na to wszystko, miała wrażenie, że jest przeniesiona w czasy średnio-wieczne, gdzie powszechnie istniały takie bory i taka obfitość zwierzyny. Zaciekawiała ją zgoda oswojonych zwierząt. Wszystkie chodziły na swobodzie, nie robiąc sobie wzajemnie krzywdy. Buchający ogień, duży komin w sieni i przeciągłe mruczenie oswojonego misia dopełniały złudzenia odległych lat.

Pan Rudecki, zawołany myśliwy, rozprawiał z Waldemarem o ilości zwierzyny, o sposobach karmienia jej i o tępieniu wilków. Wspaniała leśniczówka zachwyciła go jeszcze więcej niż zamek głębowicki. Tu czuł się w swym żywiole. Stary obywatel podziwiał przyszłego zięcia głównie za to, że potrafił utrzymać w porządku i rygorze takie dziedzictwo po przodkach. Bo uważał, że prócz pieniędzy potrzebna tu była energia i rozum, aby nie doprowadzić do rozprzężenia, takt, aby kierować olbrzymią masą ludzi i interesów, sprawiedliwość i serce, aby być uwielbianym przez tłumy urzędników-oficjalistów, służby różnego rodzaju i robotników fabrycznych.

Pan Maciej, widząc, dlaczego ojciec Stefci ceni najwięcej Waldemara, nabrał dla pana Rudeckiego wiele sympatii i szacunku.

Waldemar chodził w chwale i podziwie ogólnym, a otaczający go blask spływał i na Stefcię. Ona stała się punktem ciężkości wszystkich hołdów, ona jak pryzmat zbierała w sobie promienie uwielbień całej masy jego podwładnych. Kochano ją dla niej samej, bo umiała zjednywać ludzi, ale kochano ją i za to, że była narzeczoną ordynata.

Na obławie na wilki znajdowało się i obywatelstwo okoliczne, wśród nich parę domów bliżej zaprzyjaźnionych z ordynatem. Wszyscy znali Stefcię z dawniejszych czasów ale obecnie ujrzano ją w nowej roli i sława jej brzmiała szerszym echem.

W zaniku głębowickim wesołość niczym nie zmacona i szczęście rozgościły się na dobre. Stefcia przeżywała najszcześniejsze czasy, zawsze razem z narzeczoną.

Grywano w tenisa w ujeżdżalni, obok stajennych zabudowań. Ślizgano się na sadzawkach w parku przy dźwiękach orkiestry, śmielsi puszczali się na rzekę, która już spiętrzała swe lody, pragnąc wyzwolenia. Stefcia grywała z Waldemarem w bilard, prowadząc nieskończone rozmowy. Śmiały, inteligentny jej umysł rozwijał się w poważnych rozprawach z narzeczoną. Siadywali często w bibliotece lub w czytelni, gdzie Stefcia grała Beethovena, a Waldemar, zagłębiany w fotelu, napawał się jej kameowym profilem.

W sali muzycznej on grywał jej na organach. Stefcia wówczas w wyobraźni swej widywała babkę jego, Gabrielę, przy tym gotyckim instrumencie, zapłakaną, z wieczną chmurą w duszy, i własną babkę, Rembowską, spełniającą wiernie obowiązki matki, żony i obywatelki kraju, ale z wielką raną w sercu.

Czasem Stefcia grywała w swym lustrzanym buduaraku na pianinie z lapis-lazuli ze srebrnymi okuciami i klawiszami z konchy perłowej. Cacko to otrzymała niegdyś jako podarek ślubny matka ordynata od pana Macieja. Grając Stefcia snuła w swej myśli obrazy przyszłego szczęścia. Dziewczyna żyła ciągle w upojeniu. Każde słowo, każda pieszczota narzeczonego odbijała się w jej duszy rozkosznym echem.

Oboje bardzo lubili salę portretową, chociaż mroziła ich trochę i dziwny lęk wprowadzała do serca Stefcia. Historii babki Gabrieli nie poruszali więcej.

Często ogarniała ich dziecinna wesołość. Wówczas Stefcia lubiła ogród zimowy i palmiarnię, albo w zbrojowni Waldemar tłumaczył jej historię każdej broni. W myśliwskiej sali bawił Stefcie owinięty w zielony jedwab pyszny Murzyn, który w swej kudłatej głowie skombinował już, kto jest Stefcia, i uśmiechał się do niej, czyniąc jej honory w swój sposób. Ordynata uważał on za jakiegoś półbożka czy fetysza, więc i dla Stefcia składał dużą część swych uwielbień.

Stajnie również często odwiedzali. Raz Stefcia przejechała się po parku na Apollu, mając obok Waldemara. On czuwał nad każdym krokiem swego wierzchowca, gotów mu nawet w łeb pałać, gdyby groziło Stefcia niebezpieczeństwo. Waldemar kochał narzeczoną bez pamięci i otaczał ją prawdziwym nimbem szczęścia.

Stefcia zajmowała się żywo ochronką, znając bliżej wiele dziatwy. W szkole była podczas wykładów i miejscowy nauczyciel wtajemniczył ją w program nauk. Bawiła ją gimnastyka dzieci w wyłącznie urządzonej na ten cel sali. Zwiedzała szpital w sąsiednim folwarku Romnach i przytułek dla starców, zwany przez Waldemara „pałacem inwalidów”. Przyglądała się ćwiczeniom straży ogniowej, towarzyszyła narzeczonemu przy miesięcznym rozdawaniu książek dla służby z czytelnicy ludowej obok szkoły. Waldemar obznajmił ją z systemem prowadzenia kasy oszczędnościowej dla służby i robotników, którą zawiadywał osobiście. Stefcia zwiedziła obszerny budynek łaźni wzorowo urządzonej i salę zabaw w stylu zakopiańskim, gdzie służba i robotnicy zbierali się na tańce, a nawet grywali teatru amatorskie. Wszystkie te instytucje prócz ochronki były już zasługą Waldemara. Przed dziesięciu laty, objąwszy po ordynacie w osobiste władanie, uczył się jeszcze w uniwersytecie, ale mimo to od razu rozpoczął energiczną działalność. Rzucił myśli, które musiano wykonywać natychmiast. I potem, na ławie szkoły rolniczej, i nawet hulając po świecie, nie zapomniał o Głębowiczach. Z zapałem szerzył swe idee. Wpadał do majątku niespodziewanie, inicjował coś nowego, sprawdzał czynności wykonawców, błysnął w okolicy i znowu wyfruwał w świat szeroki. Dobra ordynackie stały się wzorem okolicy. Nazwali ordynata utracjuszem tylko ci, którzy sądzili z pozorów, patrząc na jego rozrzutność, a nie widząc wewnętrznej gospodarki.

– Dzielny człowiek, dobry patriota i rozumny arystokrata – myślał pan Rudecki.

Taką opinię Waldemar posiadał powszechnie.

Stefcia bywała z księżną w kościele głębowickim, bo księżna chciała zbadać pobożność dziewczyny. Gdy pierwszy raz narzeczeni znaleźli się razem w kościele, proboszcz odśpiewał na ich intencję *Te Deum landamus* błogosławiąc ich ze wzruszeniem. Staruszek cieszył się, że jego „chłopiec” nareszcie pomyślał o założeniu rodziny. Stefcia podobała mu się bardzo.

Obok kościoła w obrębie murów stało wyniosłe mauzoleum z grobami Michorowskich. Stefcia z przejściem modliła się przy sarkofagu Gabrieli de Bourbon i Elżbiety, matki Waldemara. Ogromny gotycki budynek, ocieniony starodrzewiem, wstrząsnął nią trochę przykro. Waldemar nie pozwolił narzeczonej być w nim długo.

Pewnego dnia ordynat spotkał Stefcie w kaplicy, umieszczonej w narożnej baszcie. Stała oparta o łożę ordynacką i spoglądała w zamyśleniu na wizerunek Chrystusa, artystycznie rzeźbiony z kości słoniowej na krzyżu dębowym. Kaplica, nieduża, miała również styl gotycki. Wyłożona szarym marmurem, o poważnych sklepieniach, z ciemną posadzką z mozaiki weneckiej. Ze szczytu sklepienia zwieszał się ciężki oksydowany żyrandol. Prócz łoży wyłożonej marmurem stało tam parę marmurowych ławek, rzeźbiony klęcznik i niewielkie organy.

W ołtarzu przeważało oksydowane srebro. Kaplica była w tonie surowym. Obok krzyża na ciemnopąsowym suknie świeciły wota rodziny Michorowskich. Odznaczało się serce z brylantów i rubinów, wotum nieszczęśliwej babki Waldemara.

Stefcia w ofierze obok krzyża kładła własne serce, przepełnione wdzięcznością i zdrojem najgorętszych uczuć.

Posyłała do stóp Ukrzyżowanego swe modlitwy i prośby, i wiarę w przyszłość. Gdy Waldemar wszedł, ujrzał ją nie na klęczkach, ale rozmodloną duchowo. Stał obok i wziął jej ręce. Chwilę patrzyli na siebie. Kolorowe szkła witrażów rzucały na nich tajemnicze cienie. Stefcia przytuliła się do narzeczonego i wskazując oczyma na krzyż szepnęła:

– On nam błogosławi.

Waldemar usta zanurzył w jej włosach.

– Czy pamiętasz naszą rozmowę w korytarzu z obrazem Magdaleny? Wróżyłaś mi wówczas... trochę smutno. Widzisz, jedyna! Wydarłem światu berło szczęścia i przyniosłem je do swego gniazda. Skończyłem Austerlitzem...

Stefcia drgnęła.

– Co ci jest, jedyna? – spytał Waldemar, niemile tknięty zmianą w jej twarzy.

Wtem spoza murów rozległ się głuchy, basowy pomruk dzwonek kościelnych.

Jakiś przykry dreszcz uderzył w nerwy Waldemara.

– Co ci jest? – powtórzył ciszej.

– Nic, nic! Zmówmy *Anioł Pański*.

XXI

– Pokażę ci coś, czego jeszcze nie widziałas – rzekła starsza księżna z tajemniczą miną, biorąc Stefcie za rękę.

Dziewczyna zdziwiła się, gdy weszły do obszernej, sklepionej komnaty, której dotąd nie знаła. Stały tam dwa staroświeckie łoża ze stopniami, palisandrowe, bogato okuwane brązem. Osłaniały je kotary ze złotogłowiu, w kształcie baldachimu, spięte u góry herbem Michorowskich i mitrą książęcą. Cała komnata w kolorze ciemnoczerwonym ze złotem prawie nie posiadała więcej sprzętów zaledwo parę koniecznych. Wielka, niezmiernie bogata ampla z pałowego kryształu, oprawna w obfite brązy, dopełniała wrażenia dziwnego majestatu. Stapało się cicho po miękkim jak puch dywanie. Ciężkie zasłony w oknach z karmazynowego aksamitu, na które rzucono kremowe koronki, utrzymywały półmrok i surowość, główną cechą tej komnaty wyniosłej, dumnej w swej powadze, jak stare portrety lub manuskrypty na pergaminach.

Księżna weszła ze Stefcia, stanęła na środku i ściskając rękę dziewczyny rzekła półszepcetem:

– Jesteśmy w sypialni zamkowej. Tu porodzili się wszyscy Michorowscy i twój narzeczony, dzisiejszy ordynat.

Stefcie przebiegł lekki dreszcz.

Księżna szeptała dalej:

– Wielka, wielka historia tej komnaty! Dużo by te ściany powiedziały, gdyby umiały mówić. Wiele tu szemrało westchnień serdecznych a smutnych, wiele kwiliło wesółych głosów niemowlęcych, które świat potem przytłumił, zdusił. Bóg zliczy łzy wsiąkle w te złotogłowia. Dużo tu było dramatów, rozpaczy – tylko szczęścia niewiele. Waldemar miał słuszość: szczęścia nie było.

Księżna postąpiła parę kroków i znowu stanęła, kiwając żałobnie głową jak nad pomnikiem.

– Smutna kronika rodzinna – mówiła cicho – tragiczna komnata, chociaż nikt w niej nie umarł, każdego przed śmiercią wyгнаło coś z tych murów. Dziwny traf! I Maciej dobrowolnie porzucił te kąty. Jego żona zmarła za granicą, moja Elżunia również, a zięć Janusz nagle w Biało-Czerkasach. W tej komnacie witają świat więc powinna być weselsza, a jest smutniejsza. Dobra analogia przyszłego życia.

Księżna chwyciła Stefcie za rękę.

– Nie powinnam ci tego mówić: straszę cię. A może to wy właśnie wniesiecie tu inny duch, może wasze szczęście roztopi tragizm tu panujący! Daj Boże! Po łzach niechby nastąpił uśmiech.

Staruszka poszła wolno do drzwi, szepcząc do siebie:

– Ile tu łez! ile łez... i mojej Elżuni także.

Stefcia niemal przerażona obrzuciła wzrokiem całą komnatę i z dygotem wewnętrznym wyszła za księżną. Minęły obszerną ubieralnię, łazienkę błyszczącą marmurami i w pokoju toaletowym, pełnym szaf, księżna otworzyła kluczykiem zawieszonym u niej na łańcuszku drzwiczki ukryte we wgłębieniu muru. Znalazły się w małym pokoiku, oszalowanym dębowymi deskami. Ogromne okute kufry stały na tegiej dębowej podłodze, nawet sufit był dębowy. Pokoik robił wrażenie skrzyni. Dwa okna małe i wąskie, zakratowane, prawie nie przepuszczały światła. Księżna nacisnęła guzik elektryczny. Dwie kule u sufitu rozbłysły jaskrawo. Wówczas staruszka poszła do małej, żelaznej szafki wbitej w ścianę, otworzyła ją za pomocą sprężyn i zaczęła wyjmować na stół rozmaite większe i mniejsze pudełka z safianów i aksamitów. Stefcia patrzyła na to zdumiona.

– Chcę ci dziecko, pokazać rodzinne precjoza Michorowskich – rzekła księżna – Waldy

mi powierzył opiekę nad nimi z chwilą, gdy objął ordynację, do czasu, aż się nie ożeni. Ja przecierałam je zawsze sama, tylko z Ritą lub Dobrzysią. Teraz Waldy tobie je odda. Te klejnoty zdobiły bardzo dumne głowy, teraz ubiorą... śliczną.

Stefcia szarpnęła się, porwała księżnę za rękę.

– Nie, babciu! nie! nie! proszę to schować, to nie dla mnie!

Staruszka spojrzała na nią ciekawie.

– Jak to nie dla ciebie? Będiesz jego żoną i... ordynatową, to twoja własność. On cię tym sam obsypie. Ja tylko pokazuję.

Pootwierane pudełka zaiskrzyły się świetlną zawieją. Barwny pożar ognistych zórz zająśniał na stole.

Stefcia ujrzała wspaniałe diamenty z brylantów, kolie, kolczyki, bransolety, perły uriańskie, różowe i szare. Krwawiły się przed jej oczyma sławne rubiny Michorowskich, lśniły zieloną topielą szmaragdy, błyskały tajemniczo szafiry, seledynowo-żółte opale. Całe morze iskier, barw jak z bajki wyjętych gorzało w blasku elektrycznym. Sypały się potoki zaczarowanych ogni, gorące łuny z olbrzymich karbunkulów rubinowych. Złote łańcuchy, staroświeckie klamry, pierścienie, wstęgi naszywane klejnotami – wszystko rzucało snopy oślepiających promieni.

I dziwny to był obraz. Duży stół zarzucony masą klejnotów, przy nim w wysokim krześle poważna, dumna staruszka, podparta na rękę i smutnie zamyślona. Obok młoda, śliczna dziewczyna, z lekką trwogą w oczach wpatrzonych na skarby, o jakich nie miała pojęcia. Światło lamp elektrycznych oblewało tę grupę białą omastą, żarzyły się klejnoty, a twarze dwóch kobiet nabierały nieskalanej plastyki wyrazu.

Oczy Stefci, również jak klejnoty, jak ciemne ametysty w oprawie brylantów, nie miały w swym wyrazie chciwości, ale moc przeróżnych myśli trochę smutnych. Kto nosił te bogactwa? jaka ich historia? czy i one widywały łzy, czy więcej uśmiechów?...

Księżna, jakby tą samą wiedzioną myślą, zaczęła przebierać między pudełkami. Jej długie białe palce dotykały diamentów, kolii, ślizgały się po sznurach pereł. Mówiła cichym głosem:

– Ten diadem z pereł i brylantów dostała od męża prababka Macieja, Anna Koniecpolska, wojewodzianka mazowiecka. Dla niej był kupiony w Paryżu za bajeczną cenę. Tą kolie z rubinów lubiła najwięcej żupanówna węgierska, z domu hrabiów Esterhazy. Bardzo piękna brunetka, przepadała za strojami. Tylko niewiele miała serca. Chciała się rozwodzić z mężem. Do skandalu nie doszło, ale życie było nędzne. Patrz, te brylanty ze szmaragdami były noszone przez moją Elżunię. Jak ona w nich wyglądała... Mam ją w oczach na balu, w Wiedniu w ambasadzie włoskiej. Tę kolie miała na szyi, a te szmaragdy we włosach. Była wtedy w największym rozkwicie urody, już ostatnim. W kilka lat potem zmarła...

Księżna westchnęła ciężko.

Wzięła teraz naszyjnik z brylantów w połączeniu z opalami prześlicznych ogni i cennej roboty. Przesunęła kamienie przed oczyma Stefci.

– To przywiozła ze sobą księżniczka de Bourbon, Gabriela. Nieszczęśliwe opale, nie dają podobno szczęścia. Taki zabobon w tym przypadku sprawdził się. Ten naszyjnik ojciec ofiarował jej w dniu, w którym pierwszy raz weszła w świat. Znasz jej historię. Zaledwie parę miesięcy czuła się szczęśliwą. Od poznania Gwidona skończyło się wszystko. Jego fotografię nosiła z sobą zawsze – na jej zaklęcia włożyłam do jej trumny... na piersiach pod kwiatami. Biedna była kobieta, nieszczęsna męczennica.

Stefcia uklękła przy kolanach księżnej i czoło wsparła na nich. Oczy bolały ją od widoku klejnotów, dreszcze jakieś chodziły po nerwach, wstrząsając ciałem.

Księżna pochyliła się nad nią.

– I twoja babka nieszczęsną była... i ona ciężką miała dolę na świecie.

Stefcia podniosła oczy na staruszkę. Szepnęła żalonym głosem:

– Ona nie wiedziała, że ją stale kochał. Żyła i umarła z wątpliwością w duszy. To najstraszniejsze!

– Maciej kochał ją, szczęścia nie zaznał. Miał straszne wyrzuty sumienia. Potem życie złagodziło ranę. Przyszły dzieci, wnuki... zapomniał. Zachował jednak jej miniaturę – widział ją. Czas, moje dziecko, to bezwzględny rylec. Zmienia postać ziemi, więc zasnuwa i wszelkie bóle w duszy człowieka. Zapomniał! Może pozornie... Tyś mu ją przypomniała, a jej śmierć targnęła nim w straszny sposób.

– Gdyby ona o tym wiedziała, lżejszy może byłby jej zgon – szepnęła Stefcia.

Umilkły. Tylko klejnoty migały płomykami różnokolorowych iglic, jakby urągając ludzkiej niedoli i smutkom, zaćmiewającym ich urodę. Klejnoty zimne, szydercze, sypały kaskady swych gwiazd, wyzywająco, dumnie.

Księżna ocknęła się. Powoli wzięła diadem z brylantów i pereł i włożyła go na zgrabną główkę Stefci. Zanurzył się w bujnych, lśniących jedwabiem włosach dziewczyny. Ognie wybuchły z olbrzymich brylantów. Stefcia była jak uwieńczona. Uśmiechnęła się do księżnej, oczy jej płonęły, różowe wargi rozchyliły się radośnie. Promienność wiała z niej i młodość w pierwszym rozkwicie, i niewinności dziecka, i postawa księżniczki. Miała w sobie tyle uroku, że księżna cofnęła się na fotelu i zapatrzyła jak w obraz.

– Jednak ty jesteś... czarująca. Skąd u ciebie taka uroda?

Stefcia roześmiała się.

– Dlaczego, babciu?

Wtem zastukano do drzwi. Księżna spytała ostro:

– Kto tam?

– Ja, Waldemar.

Staruszka prędko powstała, idąc otwierać drzwi. Stefcia posunęła się za nią.

Ordynat wszedł ze słowami:

– Szukam pań po całym zamku. Ukryłyście się dobrze, ale...

Umilkł ujrawszy Stefcię w diademie z brylantów. Popatrzył chwilę. W oczach mu błysnął zachwyty, radość, tryumf. Podeszedł bliźutko i rozjaśniony wziął jej dłonie.

– Cudnie mój! jesteś jak zjawisko!

– Prawda, jak jej dobrze w tych klejnotach? – podchwyciła księżna.

– Bosko! bosko! – powtarzał Waldemar, ściskając ręce narzeczonej. – Chciałbym, aby cię teraz widzieli wszyscy...

Zawahał się.

– Co ci zazdroszcza – dokończył.

– Nie wyglądam jak kopciuszek w przebraniu? – spytała Stefcia trochę kokieteryjnie.

Księżna zaśmiała się. Waldemar ucałował jej ręce.

– Jesteś jak królowa, tylko brak stosownej sukni, koliai i tych tam dodatków do uszu i rąk, no... i płaszcza gronostajowego! Gdy cię tak ubiorę, podbijesz świat!

– A najwięcej króla – szepnęła Stefcia z ładnym pochyleniem głowy.

– Oj, ty łobuzie! – pogroziła jej księżna.

– Króla oczarowałaś w codziennej sukience i w koralach, które mi są droższe od całego tego sezamu – rzekł Waldemar wskazując na stół z klejnotami.

Podeszli bliżej. Ordynat wziął piękną przepaskę z gwiazd brylantowych, z wielkimi rubinami w środku, i sam włożył ją na głowę narzeczonej, zdjawszy uprzednio diadem.

– Czarująco!

Ona śmiała się rozbawiona. Księżna podawała Waldemarowi coraz nowe klejnoty. On je przymierzał Stefci.

Dziewczyna, widząc siebie w lustrze, była zmieszana własną pięknnością. Waldemarowi oczy grały zachwytem, pożerał wzrokiem swą ukochaną, ciesząc się w duszy, że te magnackie klejnoty tak ją ładnie stroją.

Sam wybrał dwa sznury bardzo cennych pereł z małą klamerką sadzoną brylantami i z uśmiechem zapiął je na szyi Stefci. Perły na bladolila jedwabnej bluzce błyszcząły jak rosa na smukłym irysie.

– Te już niech tu zostaną – rzekł serdecznie Waldemar, całując ręce spłonionej Stefci – niech to będzie mój pierwszy dar po pierścionku.

– Pierwszy? Ileż mam już darów od pana? To nie pierwszy! – kręciła głową Stefcia.

– Ależ z tych rodzinnych zbiorów pierwszy – odrzekł ordynat.

Podziękowała mu ślicznym uśmiechem. Waldemar spojrzał w jej oczy drapieżnie, zadrzały mu nozdrza. Delikatnie objął ją i przytulił do siebie, palące usta przycisnął do gorących ust narzeczonej.

Stefcia zdętwiała. Waldemar puścił ją natychmiast. Dziewczyna spojrzała na księżnę, lecz starszuszka dyskretnie była bardzo zajęta klejnotami.

Waldemar uderzył się w czoło.

– Ach, zapomniałem! Przyjechał Morykoni. Szukałem pań, lecz na widok mego cudu zapomniałem o świecie całym.

Zaczęli we troje układać klejnoty i zamykać pudełka. Waldemar chował do szafki.

Kiedy Stefcia z księżną i ordynatem ukazała się w sali, podszedł do nich hrabia Morykoni, wysoki mężczyzna z blond bakami i głową uczesaną starannie na pół. Wyglądał, jakby mu kto rozdzielił na dwie części twarz, którą spinały niby klamrą binokle w złotej oprawie. Przywitał teściową i skłonił się Stefci z wytworną grzecznością.

Podawała mu rękę eleganckim ruchem, z pewnym chłodem, co dodało jej dystynkcji i jakiejś subtelnej pańskości.

Hrabia spojrzał zdumiony, stropił się nawet, lecz natychmiast podniósł do ust jej rękę i rzekł z galanterią:

– Najlepsze życzenia... i powinszowania, chociaż te ostatnie głównie ordynatowi powinny być składane.

– Dziękuję – rzekła Stefcia z prostotą i odeszła do grupy młodej księżnej, panny Rity i Trestki.

Morykoni patrzył na narzeczoną ordynata coraz bardziej zdziwiony. Jej uroda, wytworność, sposób mówienia, każdy ruch zachwycał hrabiego. Stefcia przedstawiła mu się w zupełnie innym świetle niż dawniej.

– *Quelle noble fille! quelle enchantresse!*¹² – powtarzał sobie, nie wierząc własnym oczom.

Na pana Rudeckiego także patrzył niedowierzająco. Takich przeciętnych obywateli wyobrażał sobie jako mamutów – tu ujrzał zupełnie światowego człowieka i kręcił rozdzieloną głową, jakby podejrzewając, że pan Rudecki ucharakteryzował się odpowiednio.

Przy wieczerzy Stefcia siedziała naprzeciw hrabiego, nieustannie widząc jego wypukłe niebieskie oczy oszklone binoklami; wpijały się w nią jak dwa świdry. Rozmowę przy stole prowadzono ogólną, bardzo ożywioną. Stefcia odzywała się dużo i dobrze, mówiła z życiem i swobodnie. Jej oczy świeciły gwiazdźście, usta pociągały. Zachwyty hrabiego nie miał granic. Ta Rudecka robiła wrażenie patrycjuszki!

Waldemar widział podziw Morykoniego, malujący się w jego oczach. Zadowolony z powodzenia narzeczonej, umyślnie rozmowę prowadził tak, aby Stefcia mogła dużo mówić. Nie wątpił, że potrafi wybrnąć z każdej kwestii. Brał już ją nieraz na próbę i przekonał się, że ma bystry umysł, dowcip i takt.

Podczas ostatniego dania Trestka rzekł, nie zwracając się wyłącznie do nikogo i jakby pod wpływem nagłej myśli:

– Najobrzydliwszą wadą naszego wieku jest flirt. Gilotynowałbym go, miażdżył – to mój

¹² *Quelle noble fille! quelle enchantresse!* (fr.) – Jaka szlachetna panna! jaka czarodziejka!

wróg zapamiętały!

Panna Rita zaśmiała się.

– A sam go pan uprawiasz – rzekła z przekąsem.

– Ja? Chyba pani żartuje? Gdzież są dowody?

– Zapewne! tu ich pan nie przywiózł, pozostały za granicą.

– Czy pani miała tak ściśle informacje o moim sprawowaniu się tam? – zapytał zły.

Wszyscy się roześmiali. Rita wzruszyła ramionami.

– Och! mało mię to obchodzi! Staję tylko w obronie flirtu.

– Bo go pani adoruje.

– Nie, ale go lubię.

– Występny chwast, stworzony przez jakiegoś demona...

– Tylko przeniesiony do nas z dworów Ludwików francuskich – odezwała się wesoło

Stefcia – bo tam chyba został wynaleziony.

– Przez upudrowane głowy markizów i *vicomtów* – wtrącił Waldemar.

– Albo przez kwiaciarki uliczne i roznosiciele gazet – rzekł Trestka i machnął ręką.

– Ależ panie! flirt jest wytworem salonów, nie ulicy – zaprzeczyła Stefcia.

Hrabia Morykoni bystro popatrzył na nią, przechylił się przez stół i zapytał:

– Więc pani uważa flirt za wykwit cywilizacji?

– Po części tak.

– Na jakiej zasadzie?

– Bo ludzie prości nie znają flirtu ani z nazwy, ani w dosłownym znaczeniu. Nie mają zresztą czasu na uprawianie go, nawet by nie umieli.

– Dlaczego? Gmin ma również swe zabawy, zbliżone do naszych.

– Zbliżone, lecz nie w szczegółach.

– Więc podobne.

– Ale nie nasze.

– Zasadnicza idea ta sama – twierdził uparcie hrabia.

Stefcia nie ustąpiła.

– Panie hrabio, i polna róża jest różą, lecz nie sztamową. Tu już pomijamy zasadniczą ideę, bo bardzo wyraźnie występuje różnica kolorytu, gatunku i smaku. Dlatego twierdzą, że ludzie prości bawią się szczerzej od sfer inteligentnych, lecz nie posiadają ogłady, będącej cechą salonów. Oni mają etykę odrębną, znamienność, jaka ich różni od wytworniejszych objawów cywilizacji.

Stefcia mówiła swobodnie tonem lekkim i dźwięcznym. Hrabia uważnie patrzył na nią spoza zmrużonych powiek.

A Trestka rzekł:

– Cała nasza wytworność ginie wobec szczerości, jaką te masy posiadają, a my nie. U nich przynajmniej w sprawach erotycznych nie ma kłamstwa, wykrętów, słodkich minek i wywracania oczu.

– Trestka ugodzony jakimś sztyletem, pewno zazdrości – rzekł ordynat.

– Ja tylko mówię, że te cechy są ich zaletą, nie wadą.

– A któż to nazywa wadą? – zdziwiła się Stefcia.

Morykoni wyręczył Trestkę:

– Pani, ponieważ uważa szczerość za brak kultury.

– Nie zrozumiał mię hrabia. Cywilizacja nie może wyłączać szczerości, tylko osłabia ją do pewnego stopnia, zmiękcza niejako jej chropowatość.

Hrabia poprawił bokobrody.

– Przypuśćmy, że tak. Ale i oni nie są już absolutnie wyzwani z cywilizacji.

– O tak! lecz oni są zaledwo odziani w nią.

– A my?

- My już ubrani, często ustrojeni.
 - A najczęściej udekorowani – rzucił Trestka.
 - I to bywa! Ci, co są udekorowani cywilizacją, noszą jak pióropusz, na widoku – dla świata jedyńi, w rzeczywistości są czasem bardzo pierwotni. Ale taki machiawelizm zdarza się w sferach wyższych, nie wśród ludu. U nich ten wyraz inną nosi nazwę, i do innych go okoliczności zastosowują. Tak samo to, co my nazywamy flirtem, u nich zwie się...
 - Smaleniem cholewek – zaśmiał się Waldemar.
 - Bałamuctwem – dodała Stefcia.
 - Nie widzę w tym różnicy – rzekł hrabia.
 - Bo to grunt jednak, tylko kwiaty różnych odcieni i nazwa; tam pożyczona z obcej gwary, a tu właściwa.
 - Wracam do rzeczy – zaczął znowu Morykoni. – Więc pani sądzi, że odporność ich w przyjmowaniu kultury jest winą ciasnoty mózgów, jakie posiadają?
 - I winą kultury. Tu są równe prawa. Ciasnota ich pojęć nie pozwala światu rozszerzać się, a kultura jest jeszcze zbyt umiejscowioną, nie dosięga do wielu ciemnic.
 - Umiejscowioną? Gdzie?
 - W uprzywilejowanych kołach.
 - Dlaczego?
 - Bo skąpo płynie na inne... niższe.
 - Pani mówi o sferach?
 - Nie, ja mówię o dwóch biegunach: o inteligencji i pospółstwie.
 - Więc na bardziej subiektywny rozbiór pani się nie zgadza?
 - Owszem, ale tu różnica już jest mniej wyraźną.
 - Przeciwnie! bywa jaskrawą.
 - Gdy odróżnia przeciętną inteligencję od wyższego rozumu i geniuszu.
 - Niekoniecznie. Istnieją jeszcze inne odmiany.
 - Zawsze umysłowe.
 - I sferowe także.
- Pan Rudecki drgnął niespokojnie. Zaległo milczenie. Hrabia wpił oczy w Stefcię ze złośliwym wyrazem. Ona zapłonęła.
- Odstępujemy od przedmiotu, panie hrabio – rzekła z nikłym uśmiechem.
 - Tylko roztrząsamy go.
 - Ach! więc sferą pan określa pewne stopnie umysłu – tak?
 - Nie, zestawiam jej znaczenie w zakresie klasyfikacji społecznej.
 - A zatem przedmiot wikła się.
 - Z jakiego powodu?
 - Bo stopniowanie wyżyn sferowych nie równa się stopniowaniu różnic umysłowych. To już są dwie alternatywy o całkiem odmiennym brzmieniu i znaczeniu.
 - Pani chce przez to powiedzieć, że pomiędzy przeciętną inteligencją a sferą... wyższą nie ma żadnych intelektualnych wypukłości? Czy tak?
 - Nie ma znamienych wypukłości, które by już tworzyły skalę przeważającą na tę lub drugą stronę. Ale nie mówię: żadnych, bo różnice są – sporadyczne, zdarzają się i tu, i tam w równej mierze. Tylko nie tworzą muru dzielącego obie sfery z przewagą dla wyższej.
 - Jednak, w pani mniemaniu, która z obu sfer posiada szansę większego uzdolnienia i częściej przechowuje genialne umysły?
- Hrabia powiedział to z ironią źle ukrytą i z miną satyra. Nie uważał zimnego wzroku Waldemara ani zdumionych spojrzeń obecnych osób. Chciał koniecznie zmieszać Stefcię. Patrzył na nią szyderczo, zapominając, że igra z ordynatem, i powtórzył pytanie:
- Którą sferę uważa pani za najbardziej rozwiniętą umysłowo, etycznie i estetycznie? – rzekł z akcentem.

Stefcia, zarumieniona, podniecona rozmową, uśmiechnęła się z przymusem. Ale nie dając poznać po sobie przykrości, podniosła oczy wprost na jego binokle i odrzekła swobodnie.

– Panie hrabio, mój sąd mógłby być zbyt jednostronny dla sfery, z której pochodzę, a przedwczesny dla tej, do której mam wejść, zatem pytanie pańskie zostawiam do jego własnego uznania.

Przy ostatnich słowach skinęła lekko głową i zwróciła się do siedzącego obok Waldemara, kończąc w ten sposób rozmowę z hrabią.

Ordynat był uszczęśliwiony. Przeszył hrabiego ironicznym wzrokiem i spojrzął na narzeczoną. W źrenicach jego znikły groźne światelka, a mignęło wzruszenie.

Takt Stefci ujął wszystkich.

Obie księżne, pan Maciej, pan Rudecki, nawet książę Franciszek patrzyli na dziewczynę z uznaniem. Niechęć skierowała się na hrabiego. Jego żona, czując to, była jak z lodu.

Hrabia obrażony, zły nie odzywał się więcej, tylko spod binokli rzucał na Stefcię jadowite spojrzenia, ale i sam w duchu ją podziwiał. Spoglądając na nią, jak rozmawia wesoło z ordynatem i Brochwiczem, bladł z irytacji. Lecz drażniła go najwięcej komicznie zadowolona mina panny Rity. Błyszczące szkła Trestki w czarnej oprawie również nie dawały mu spokoju. Rzucały w binokle hrabiego pociski ironii i śmiechu.

Gdy powstano od stołu, hrabia poszedł do fajczarni. Tam, rozłożony wygodnie na tureckiej sofie, palił cygara i rozmyślał o Stefci, zastanawiając się, czy ona jest piękniejsza, czy dowcipniejsza? W końcu przyznał jej wszystkie zalety prócz nazwiska i zawyrokował:

– Gdy zostanie Michorowską, będzie damą bez zarzutu. Ordynat miał dobry gust.

XXII

Szary wieczór marcowy spłynął na zamek. Przykrył wyniosłe baszty, zmaścił rysunek wieży i wtoczył się do wnętrza gmachu. Niektóre tylko okna odepchnęły go smugą elektryczności, większość uległa ciemnej masie. Razem z nocą runęła wichura, wlokąc ponure szmaty chmur. Pierwszy deszcz, pomieszany z kaszą śniegową, zaczął ciąć w szyby okien. Zmurszały śniegi; wiatr je miótł, siekły dżdżyste baty. Przerażliwy gwizd zajadle obiegał blanki zamkowe, bił wściekłą muzyką. Grzmot drzew parkowych, tłuczących się z szalonym hukiem koronami, akompaniował głuchym basem dętym instrumentom wichru. Marzec rozpoczął wojnę z zimą. Darł ją zębami, szarpał za białe włosy, wgryzał się w jej kozuch. Wypierał zimę całym zastępem wietrznych siepaczy, prażył ją bez miłosierdzia kolącą sieczką deszczu.

Zmagały się żywioły. Jęk chłostanej zimy i straszliwe pułki Boreasza... Z rozwiązanymi sztandarami, z piorunem salw, z okrzykiem zwycięzców spychali z tronu gronostajową królowę, obnażali ją, druzgocąc jej koronę. Wpływ ich dowódcy działał potężnie. Marzec pokazał, co umie, rozpanoszył się z gwałtowną siłą.

I lustrzany gabinecik Stefci zanurzył się w pomroce. Żółty atlas obicia przybrał kolor popiołu. Na lustrach wieczór pełzał, niszcząc ich blask. Wyglądały jak lśniące wilgocią ściany.

Stefcia grała. Po klawiszach z konchy perłowej ślizgały się jej delikatne palce z nerwową gorączką. Roztopiona w mętach pokoju postać dziewczyny rysowała się nikle. Bogata harmonia tonów szła w zawody z żywiołową orkiestrą natury.

Stefcia była niespokojna o narzeczonego: wyjechał do dalszych folwarków i jeszcze nie wrócił. Dzikie odgłosy rozhułanej słoty drażniły Stefcie. Uciekła od towarzystwa i razem z pianinem rzuciła w przestwór szeroką falę uczuć. Grała własne fantazje wysnute nastrojem chwili. Stopniowo pod siłą myśli i nerwów tony stawały się głębsze, aż rozbrzmiały fanfarami melodyjną i pełną życia. Kapryśne rzuty jej rąk ciskały szumne wariacje, oryginalne przejścia z tęsknicie bezmiernych do zwichrzonej młodzieńczej namiętności. Z szalem idącym w krew dźwięczały nuty, opadając znowu w ciche pianissima. Natchnienie duszy Stefci, wylane na klawisze, rzeźbiło w powietrzu przepiękny posąg jej szczęścia, aż do wypukłej wyrazistości, cieniowało każdą linię, każdy rys. Utwór grany przez nią wyfruwał z jej nerwów, gdyż tam był poczęty. Stefcia rozmotywała złote runo muzyki, którą nosiła w swej naturze. Tą muzyką pulsowały jej młode żyły i w gęstym promieniu oprzędły wszystkie fibry i arterie serca.

Po burzliwym przelocie ostatnich dźwięków umilkła. Ręce jej zwisły na suknię. Siedziała minutę nieruchomo, zaśluchana w echo własnej pieśni. Nagle zerwała się z krzeselka. Nowy atak spazmującego wichru i ciemność pokoju przenikły ją strachem. Podbiegła do ściany i przekreśliła korbkę elektryczną. Blask wpadł olbrzymią różycą, buchnął z lustra morzem światła, obudził kwiaty, złotem drgnął na ścianach. Stefcia pod palmami zawołała z wybuchem radości:

– Pan tu?!...

– Słuchałem twojej muzyki – rzekł Waldemar, odrywając się od złotawej kotary osłaniającej drzwi.

Podszedł blisko. Stefcia podała mu rękę.

– Byłam tak niespokojną...

– I czego? Deszcz mię nie straszy, a zyskałem na tym; grałaś tak, jak dawno pragnąłem usłyszeć. Cudownie! Czy byłabyś zdolną to powtórzyć?

Uśmiechnęła się.

– Wątpię! To było moje pożegnanie Głębowicz. Taki prąd przejdzie i minie. Podobał się panu – to dobrze! Grałam dla siebie.

– Zagraz mi na powitanie Głębowicz, gdy już wrócimy tu na stałe. To dzisiejsze to jakby

niwy zaporskie, gdy śpiewają cicho teorbany, dźwięczą dzidy i buńczuki. Brzmiała tu i melodia tęskna, i głośna wrzawa kozacka. Moja ty artystko!... myślałaś o mnie grając?

– Tak, i o szczęściu – szepnęła Stefcia. – Myślałam, że ponieważ to kwiat bardzo rzadki w olbrzymiej plantacji pospolitych szczęściarek, więc niesłychanie trudno go zdobyć, a my go już posiadamy. W masie różnorodnych kwiatków znaleźliśmy wspaniały kielich, prawda? – i nie zawiedzie nas.

Przycisnął jej dłonie do ust.

– Bo potrafimy go pielęgnować, a to rzecz ważna. Szczęście ma płatki delikatne, trzeba je otulać w sobole i gronostaje. Można i w prosty kozuch, byle ciepły, byle żadną szparką nie sączył się chłód. Temperaturę można podnosić, aby nie opadła.

Ordynat objął ramieniem narzeczoną i przygarnął ją do siebie.

– Myślałem niegdyś, że największym bogactwem i warunkiem do szczęścia jest rozum, a ubóstwem – nędza umysłowa. Teraz powiem z dopełnieniem: największym szczęściem w życiu jest miłość, młodość i rozum. To są oceany – reszta wszystko źródółka!

Stefcia patrzyła głęboko w płomienne oczy narzeczonego, przysłonięte lekko powiekami. Ufność serdeczna wiała z jej fioletowych źrenic i duchowe oddanie się ukochanemu.

– Czy wierzysz w te trzy potęgi? – spytał cichutko, zbliżając usta do jej skroni.

– Tak, i podziwiam ich siłę. One istotnie mogą zwalczyć świat.

Waldemar chciał ją ucałować, ale wyrwała się i szła do drzwi, mówiąc trochę zdyszczonym głosem:

– Chodźmy na dół. Już wielki czas.

Waldemar wzburzony poszedł za nią. Blisko wyjścia przekreślił drugą korbkę elektryczną w ścianie.

Światło zgasło.

Stefcia krzyknęła. On gwałtownym ruchem chwycił ją w ramiona, przegiął jej głowę w tył i stłumionym szeptem mówił, pochylony nad nią:

– Nie wrywaj mi się nigdy! Słyszysz? Tyś moja! moja!...

Głos mu zadrgał chrapliwie, ramiona cisnęły ją z konwulsyjną mocą. Stefcia zadygotała. Jego szal przeraził ją. Czuli, że omdlewa w jego uścisku i w tej czerności pokoju.

– Waldy... mój... tyś dobry – szepnęła z błaganiem, to jedno znajdując na swoją obronę.

Uderzony dźwiękiem jej słów, Waldemar puścił ją natychmiast i rozjaśnił pokój.

Stefcia wyprostowała się, ręce podniosła do głowy, poprawiając włosy. Rzęsy miała spuszczone i krwiste rumieńce.

Ordynat położył dłoń na jej ramieniu. Rzekł z uczuciem:

– Rozbroiłaś mię! mój ty cudzie jedyny!... Daj mi usta na dowód, że mi wierzysz...

Cichym ruchem z ufnością i promieniem w oczach, błyszczących jak pasemko słońca, przesunęła do niego uśmiechniętą twarz. Gorąca pieśczęta ust, choć krótka, upoiła ich. Ocknęli się i wyszli razem na oświetlony korytarz.

Marcowe rotty wietrznych zawadiaków przewalały się nad zamkiem. Brzęczały żałośnie szyby okien od gęstych plag szarugi.

XXIII

Na drugi dzień pan Rudecki z córką wyjechał z Głębowicz. Wkrótce potem wielki post zgromadził całe towarzystwo w Warszawie. Obie księżne przyjechały tam dla modlitwy, Stefcia z rodzicami dla robienia wyprawy, Waldemar dla Stefci. On przywiózł i pana Macieja. Do stolicy ściągnął Trestka i księżę Franciszek. Brochwicz był już tam od dawna.

Pani Rudecka zrobiła dobre wrażenie, podobała się księżnej za swój spokojny takt i nie-narzucanie się ich sferze. Przy tym pełen szacunku stosunek Waldemara do przyszłej teściowej zjednał dla niej księżnę. Pan Maciej stawał się dziwnie zmieszany wobec pani Rudeckiej. Świadomość, że ona jest córką tamtej, wzruszała go, jednocześnie odczuwał nieokreśloną trwogę. Pani Rudecka odgadła powód i z wrodzoną delikatnością umiejętnie łagodziła jego wrażenia. Jednakże zupełnej swobody między nimi być nie mogło. Z powodu wielkiego postu odbywały się tylko poufne zebrania w ścisłym kółku znajomych. Na większe rauty księżna i pan Maciej nie uczęszczali. Stefcia również, instynktem wiedziona, nie chciała pokazywać się arystokracji w roli narzeczonej. Waldemar, bojąc się dla niej najdrobniejszej przykrości, nie nalegał. Na dnie przyjęć zabierał ją zwykle w towarzystwie młodej księżnej, która matkowała Stefci.

Państwo Rudeccy woleli pozostać na uboczu.

Stefcia miała całe dni zajęte, często drobne sprawunki załatwiając z panną Ritą. Towarzyszył im Trestka.

Nadzieje hrabiego wzrosły. Panna Rita sprzyjała mu więcej niż zwykle. Żal do Stefci zacierał się w niej stopniowo, tylko patrząc na miłość Waldemara doznawała napadów melancholii, smutnej, lecz już pełnej rezygnacji.

W pewnym dniu przyjęć u księżnej spotkała Stefcia pierwszy raz od jesiennych polowań hrabinę Ćwilecką i jej córki. Dumna hrabina chciała zaznaczyć swą niechęć, lecz obecność ordynata i księżnej uniemożliwiała popelnienie jakiegoś nawet dwuznacznego ruchu, nie mówiąc już o słowach. Podały sobie ręce sztywno, lecz grzecznie. Panna Paula, narzeczona barona Weyhera, szczerzej uścisnęła rękę Stefci i nazwała ją wesoło koleżanką. Wszyscy mężczyźni, którzy znali Stefcię poprzednio, mieli teraz dla niej żywy podziw z powodu, że została narzeczoną ordynata. Uważano ją za fetyszkę, gdyż wybredny gust Waldemara znanym był powszechnie.

W szeregach męskich podziwiających Stefcię nie znalazł się tylko Barski. Razem z córką odsunięty od bliższej rodziny ordynata, jedynie księżnej składał czasem konieczne wizyty, bardzo ceremonialne.

Hrabianka Melania spotykając ordynata okazywała mu majestatyczny chłód. Starających się miała mnóstwo, ale jeszcze nie mogła się zdecydować. Po wielkich nadziejach na ordynata niełatwo jej było wybrać kogoś stosownego. Największe widoki posiadał księżę Zaniecki, chociaż miał ogromne długi, lecz okraszone tytułem. Mówiono powszechnie, że hrabianka czeka na jakąś nieprzewidzianą partię, że chciałaby zjednać na nowo księcia Lignickiego. Tymczasem zaręczyła się z Zanieckim, ale nie lubiła, gdy o tym głośno mówiono.

Hrabianka, wychodząc raz od Hersego, ujrzała młodą księżnę Podhorecką i Stefcię, wysiadające z karety ordynata. Księżnej ukloniła się, Stefcię udała, że nie widzi. Jednak dobrze spostrzegła jej postać w eleganckim wiosennym kostiumie z granatowego sukna z szynszylami i w malutkim toczku, zgrabnie zdobiącym jej sobolowe włosy.

Gdy szwajcar z ukłonem otwierał drzwi, hrabianka, stojąc na chodniku, zaśmiała się ironicznie przykrym, zdławionym śmiechem. Księżna i Stefcia, już w drzwiach, odwróciły głowy. Wyzywająca postawa hrabianki, jej oczy, pełne złości, brzydkie skrzywienie ust, czyniły ją potworną. Była w tej chwili uosobieniem najwyższej nienawiści.

Stefci szalona przykrość sprawiała ból nieznośny. A księżna rzekła dość głośno:

– *Imbécile!*¹³

¹³ *Imbécile!* (fr.) – Głupia!

I zaczęła uspokajać wzburzoną dziewczynę.

Księżna Krystyna Turyńska inaczej objawiała swój zawód miłosny. Usunięta zupełnie z życia towarzyskiego, nieznacznie starała się zobaczyć Stefcie. Ujrzawszy ją na koncercie w Filharmonii i drugi raz na spacerze w Łazienkach, księżna zastanowiła się.

– Nic dziwnego, że ona go zachwyciła – szepnęła do siebie z goryczą.

Długo potem, stojąc przed zwierciadłem, porównywała swą wyzywającą piękność hetery z uroczą postacią młodej narzeczonej i odczuła własną porażkę.

Wpatrując się z bliska w fotografię Stefci, badając wyraz jej twarzy, głębinę oczu, księżna Krysta doszła do stanowczego wniosku:

– To nie przebiegła kokietka, to śliczna dusza dziewczęca. Kocha w nim Waldemara, nie ordynata na Głębowiczach.

I rzekłszy to sobie, przestała nienawidzić Stefcie.

Żal za Michorowskim wybuchał w duszy księżnej z tragiczną siłą. Tłumiła go, rozumiejąc, że piękny romans, słabnący już od paru lat, musiał się skończyć. Dawne nadzieje poślubienia ordynata prędko zbladły. Księżna była zbyt inteligentną, aby się łudzić, ale wolała pozostać rozwódką, bez zmiany stosunków z ordynatem, niż żoną innego. Księżna nie pisała do Waldemara rozpaczliwych listów, tylko w jednym prosiła go, aby ją odwiedził. Ordynat nie zawahał się; pomimo wszystko cenił księżnę za jej odrębną etykę. W jego pojęciu stała nieokończenie wyżej od margrabiny Silva i kilku innych zagaszonych ogni przeszłości. Odwiedziny jego u księżnej Krysty nie trwały długo. Ordynat zachował się względem niej z wytworną uprzejmością, rysując jednocześnie w delikatnych liniach swój obecny i już niezmienny dogmat. Księżna z przerażeniem spostrzegła, że Michorowski przeciął ostatnie nici. Zalana łzami, potrafiła jednak zręcznie zastosować się do konieczności. Ordynat nie lubił scen i księżna mu ich oszczędziła.

Pożegnali się jak ludzie światowi, przyjaźnie i grzecznie, bez wzmianki o tym, co było, i bez życzeń na przyszłość. Księżna, ściskając dłoń ordynata, rzekła tylko:

– Porzuca pan małe stawki, a rozpoczyna... wielką grę. Wygrasz na pewno! Ale co do mnie, chciałabym należeć do tych natur... najszcześniejszych, na których przejście z tęczy do mgły nie robi wrażenia.

Ordynat pocałował ją w rękę.

– Niech pani nie zazdrości glinie, że robią z niej lalki.

Od księżnej Krysty Michorowski pojechał wprost do narzeczonej. Stefcia wiedziała o tych odwiedzinach, gdyż Waldemar uświadomił ją o dawnych stosunkach kawalerskich. Dla księżnej Turyńskiej miała sympatię i pewne współczucie.

Gdy rozeszła się wieść po salonach, że księżna wyjechała do Hiszpanii, towarzystwa żadne wrażeń darować jej nie mogły tej niesłychanej uległości.

Księżna zrobiła przykry zawód głównie paniom, zamykając drzwi do oczekiwanego przybytku plotek.

XXIV

Pewnego wieczora przed gmach Opery zajechała pomiędzy innymi kareta ordynata. Wy-
siadła księżna Podhorecka, pan Maciej, Stefcia i panna Rita. Ordynat z Trestką przyjechali
najpierw. Stefcia, opatulona w białym płaszczu, ledwo była widoczną z obsłon gazowego
kapturka.

Gdy weszli do własnej łoży ordynata, w sali panował mrok. Za chwilę miano podnieść
zasłonę. Stefcia siedziała w środku pomiędzy księżną i panną Ritą, za nimi pan Maciej, ordy-
nat i Trestka. Orkiestra kończyła grać uwerturę.

W przyćmionej sali ciszę mąciły szmery sukien kobiecych i szepty rozmów.

Zasłona podniosła się. Grano polską operę *Hrabinę*.

Stefci serce biło mocno, trochę niespokojnie. W półmroku ujrzała naprzeciw Barską z oj-
cem i z jej damą do towarzystwa. Za hrabianką siedział Zaniecki. Wszystkie łoże przepelniała
arystokracja. Byłże to przypadek czy też Waldemar umyślnie wybrał dzisiejsze przedstawi-
enie? Stefcia odgadła, że musiało tak być, bo Waldemar ze szczególną starannością oglądał ją,
gdy wyszła ze swego pokoju ubrana do teatru. Miała suknię z białej gazy, wdzięcznie przy-
braną złotą tasiemką. We włosach złota przepaska. Przy gorsie pęk fiołków z seledynową
trawą, zresztą żadnych klejnotów. Waldemar obejrzał ją i uśmiechnął się radośnie: wyglądała
prześlicznie. Wręczył jej wielką wiązanek storczyków, sam otulał w płaszcz i w kapturek. Z
pewnością wiedział o zebraniu arystokracji w teatrze. Czy to źle, czy dobrze? Stefcia czuła się
roztargnioną. Słuchała śpiewu Broni, patrząc na grających artystów jakby sennie.

Waldemar to zauważył.

Pochylił się do niej i szepnął:

– Jesteś niespokojna. Czy mogę wiedzieć powód?...

Odchyliła głowę i rzekła cicho:

– Niech pan patrzy... – wszystkie łoże przepelnione.

– Widzę, arystokracja przelewa brzegi. Ale cóż nas to obchodzi?

Stefcia spuściła oczy.

– Czy to cię dręczy?

– Tak – odrzekła szczerze. Nie umiała przed nim nic ukrywać.

Waldemar wziął ją za rękę.

– Czego się niepokoisz? Umyślnie chciałem, aby cię zobaczyli razem ze mną. Wiecznie
starsz się ukrywać. To niepodobieństwo! Za dwa miesiące nasz ślub. Powinni cię widywać
częściej. Jesteś zbyt czarująca. Niech cię podziwiają. Pod tym względem nie jestem zazdro-
sny.

Stefcia uśmiechnęła się.

– Uważajmy na scenę. Niech pan patrzy: Hrabia ogląda strój Diany.

– Nie będzie piękniejszą od ciebie.

– Ale jak gra! jaki głos! jest nadzwyczaj dystygowaną, prawda?

– Bardzo dobrze odtwarza typ arystokratki z początku stulecia. Ale uważa pani? oni do-
chodzą do celu.

– Kto?

Waldemar ściągnął brwi i usta.

– Cicho! zakochana para obok nas – szepnął jej do ucha.

Jego wasy musnęły Stefcie w skroń. Drgnęła, poczuła ogień w żyłach, różowość oblała
jej twarz i szyję do pęku fiołków. Waldemar pochłaniał oczyma te łuny, rozlewające się deli-
katnie a wyraźnie. Aksamitne płatki kwiatów błysnęły jaśniej na różowym podkładzie. Jemu
zadrgały nozdrza, oczy zdawały się gorzeć; namiętne cienie mignęły mu na twarzy, usta za-
ciał jakby z nadmiaru pożądania. I wchłaniał subtelny, a ledwo wyczuty zapach perfum, które

sam dla niej wybrał, i gniótł w nerwowej dłoni wachlarz Stefci. Ogarniał go szal jakiś. Widział, jak ciemnozłote loczki wiły się na pięknym karku, jak pierś dziewczyny opadała szybko, jak jego bliskość czyniła na niej podniecające wrażenie. Patrząc na ciepły, różowy ton jej ciała w zorzy rumieńca, szepnął przez zaciśnięte zęby:

– Obiecujący płomień!

Stefcia zaróżowiła się jeszcze silniej.

– Rozkoszna moja!

Wtem spadła zasłona.

Waldemar oprzytomniał. Stefcia, mrużąc oczy z powodu mnóstwa świateł, spojrzała na Ritę i Trestkę. Zauważyła, że i oni są pod jakimś wrażeniem.

Nagle zaszumiło w teatrze. Publika wstawiała z krzeseł. W łóżach mieniło się od czarnych fraków wchodzących i wychodzących panów. Orkiestra zaczęła grać.

– Jesteś pod pręgierzem spojrzeń – rzekła księżna do Stefci.

Dziewczyna zmieszała się, wzięła z poręczy łoża bukiet storczyków i przysunęła go sobie do ust.

Nachylił się nad nią Waldemar.

– Jedyne moja, patrz na ciebie. Bądź odważną.

Stefcia uśmiechnęła się do niego. Uczuła nagły przypływ energii.

– Dobrze, będę odważna.

– Złota moja!

– Spójrzcie państwo na drugi rząd krzeseł – szepnęła panna Rita – ktoś znajomy, ten ładny młodzieniec z kwiatem w butonierce.

Stefcia i Waldemar spojrzeli we wskazanym kierunku. Ona cofnęła się natychmiast.

– Prątnicki! – rzekł Waldemar.

– Gdzie? gdzie? – pytał Trestka wychylając głowę.

Panna Rita wskazała mu go wzrokiem.

– Poznałam go od razu, ale on nas jeszcze nie widzi, lornetuje amfiteatr. Wyobrażam sobie jego minę...

– Dozna wrażenia, jakby mu teatr leciał na głowę. *Une belle chance!* – dorzucił Trestka.

– Dajcie mu państwo spokój – rzekła Stefcia.

Panna Rita mówiła, gryząc w zębach paproć z bukietu:

– Zdetonuje się biedak na widok byłego szefa, z którym mu się notabene bajecznie nie udało.

Waldemar wzruszył ramionami.

– Panna Stefania ma słuszość. Zostawcie go własnym wrażeniom. Miłe nie będą mu z pewnością.

Lornetka Prątnickiego, zsuwając się z amfiteatru, zatrzymała się na łożu ordynata.

Strojny młodzieniec zadrzał, lornetkę odjął od oczu, spojrzał nie wierząc samemu sobie i poczerwieniał jakby po wymierzonym policzku.

Stefcia! wyraźnie Stefcia! w otoczeniu arystokracji, którą znał, a za nią sam ordynat!

Teraz dopiero Prątnicki zauważył, że wiele osób patrzy na tę łożę, usłyszał szepty. Odruchowo sam zapytał swego sąsiada, jakiegoś młodego jegomościa:

– Przepraszam pana, ale... kto to jest?

– Pan nie wie? To narzeczona ordynata Michorowskiego. Zaręczyli się w karnawale. Śliczna, co?

Prątnicki osłupiał.

Więc pogłoski sprawdziły się? Długi czas nie wierzył w nie. Z ojcem nie korespondował i nic nie wiedział o zajściach w Ruczajewie. Był tak zdumiony i ogłupiał, że przez chwilę stał jak ślup. Trestka uważał na każdy jego ruch i zaczął się cicho śmiać.

Wtem Prątnicki spotkał wzrok ordynata.

Otrzeźwiał. Wziął kapelusz udając brawurę i bardzo czerwony wyszedł z krzesel.

W środkowym przejściu naprzeciw łoży uklonił się z wielką elegancją całą figurą. Wszyscy w łoży skinęli mu głowami uprzejmie, lecz bez uśmiechu, jak się kłania komuś, z kim stosunki nie są pożądane. Tylko Trestka miał komiczną minę. Prątnicki, oblany warem, mocował się, ale wyszedł z podniesionym czołem.

W łoży więcej o nim nie mówiono.

Waldemar nachylił się do Stefci.

– Wychodzę odwiedzać znajomych. Może przynieść paniom chłodników?

– Ja dziękuję – odrzekła Stefcia.

Ordynat z Trestką wyszli. Stefcia zaczęła otwierać białe atlasowe pudełko z cukierkami, ofiarowane jej przez narzeczonego.

Odzyskała już swobodę, rozmawiała z księżną i panem Maciejem nie uważając na lornetki, skierowane na nią ze wszystkich stron. Księżna cieszyła się z jej powodzenia, sama rozkoszując się jej widokiem.

Panna Rita milczała, cofnięta w głąb łoży. Ubrana w wygorsowaną suknię, wachlowała się sennym ruchem, nie zwracając uwagi na pełne łoże szumiące na dole krzesła. Cukierki od Trestki leżały na jej kolanach nie otworzone. Żuła pralinę z pudełka Stefci.

Ich łoża zaczęła się również napełniać. Najpierw zjawił się Brochwicz.

Wołał wesoło:

– Cóż *Hrabina*? Jest na wysokości swego zadania, nieprawdaż? Znakomita obsada! Proszę o czekoladkę, panno Stefanio... *Merci*... Co za pyszne storczyki! A suknia! a! a! cudowna! Pani jest dziś atrakcją wszystkich łoż. A gdzież ordynat? Ach tak, odwiedza znajomych! Czy księżna zauważyła, że Zaniecki odgrywa już rolę narzeczonego? To zabawne! bo hrabianka toleruje go zaledwo.

– Podobno są po słowie.

– Ech! problematyczne!

Schylił się, wsunął głowę pomiędzy Stefcię i pannę Ritę i zaczął szeptać:

– Zaniecki to ostroga Melanii: chce nas nim ubość aż do krwi, ale się nie dajemy.

Brochwicz wyszedł, przywitawszy w drzwiach barona Weyhera z hrabią Ćwileckim. Łoża ordynata wkrótce przepelniła się. Mur traków i białych gorsów tworzył doskonałe tło dla jasnej, żywej postaci Stefci. Rozbawiona, przyjmowała wesołe hołdy, rozmawiając z dowcipem i elegancko. Interesowała młodzież, zwracali się głównie do niej. Tych, których jej pan Maciej pierwszy raz przedstawił, zbywała chłodniej, lecz uprzejmie. Dziwnie potrafiła pogodzić wesołość i swobodę z taktem i znajomością najwykwintniejszych form towarzyskich. Mimo woli rozbrawiali się pod jej wpływem ci, co przedtem patrzyli na nią z ukosa. Tylko Barski nie przyszedł, akcentując swą niechęć. Poszedł do hrabiego Mortęskiego i długo mu coś szeptał na ucho. Siwe kępki włosów nad uszami eksprezesa, wielkie piwne oczy i nos garbaty, wystający z twarzy – wszystko się kiwało, trzęsło, mrugało ze zgorszenia. Hrabia Barski nie próżnował w teatrze i umiał dobierać stosowne materiały do nici swych intryg, potrafił haftować nimi genialnie.

W łoży ordynata zaszumiało koło drzwi i wesoły głos zawołał:

– Rozstąpcie się, panowie!

Czarne fraki rozsunęły się na dwie strony, środkiem wbiegła piękna hrabina Wizembergowa, cała w koronkach, lśniącą brylantami. Towarzyszył jej niemłody mężczyzna.

Panowie uklonili się, pan Maciej wstał. Hrabina witała wszystkich uprzejmie, usiadła na podanym sobie krześle i mówiła:

– Przyszłam odwiedzić księżną. Zaledwo przed paru dniami powróciłam z zagranicy.

Księżna dziękowała, pan Maciej spytał o panią Idalię i Lucię.

– Zdrowe obie. Lucia przesyła tysiące ukłonów.

Zwróciła się żywo do Stefci, powtórnie podając jej rękę z miłym uśmiechem:

– Pani składami najlepsze życzenia. Ordynat był w mej łoży. Zarzuciłam go życzeniami. Wyszedł rozczulony. Mój mąż znalazł panią cudowną. Mówi, że mu pani przypomina Grotgerowskie typy. Biedna Lucia jest w rozpaczy, że nie może pani widzieć.

– Czy baronowa stale bawi w Nizzy? – spytała sploniona Stefcia.

– Przyjechała do Mentony. W połowie maja wracają do kraju, może wcześniej.

– A gdzie jest mąż pani hrabiny? – zagadnął któryś z panów.

– W foyer. Zaraz tu przyjdzie.

Baron Weyher pogładził swe bokobrody.

– Mieliśmy kłopot z pani mężem. Chciał koniecznie jechać po panią na Riwierę.

Hrabina zaśmiała się.

– I wstrzymaliście! Zatem winnam wdzięczność panom. Za długo podróżowałam. Mój mąż był zdenerwowany.

Spojrzała na Stefcie rozbawionymi oczyma.

– Pani się zapewne dziwi? Istotnie prosiłam tych panów, aby zabawili mojego męża w Warszawie. Zepsuły mi całą zabawę na Riwierze.

Księżna pogroziła palcem wesołej hrabinie..

– Ach, ty niepoprawny trzpiocie! zawsze jesteś taką samą.

– Proszę cioci, wolę otwarcie się oskarżać. Nie chciałam mieć go z sobą.

– I stało się podług życzenia pani – wtrąciła wesoło Stefcia. – Czy bawiła się pani istotnie dobrze?

– Doskonale! Wydałam bajońskie sumy, wariowałam! Ordynat mi powiedział impertynencję, że pomimo świetnych zabaw wyglądam, jakbym była *désillusionnée*¹⁴. Mówi, że w moim śmiechu brzmią jakieś zgrzyty. Po części zgadł, ale... jestem na niego zła.

Zaśmiała się do pana Macieja:

– Wnuk pański jest nadzwyczajnym obserwatorem, zauważył od razu dysonans w mej pozornej harmonii.

– Nasza Syrena panią nastroi na lepszy ton – rzekł jeden z panów.

– Wątpię! Mnie nastroić może tylko dobry mistrz, a obecnie nasz *high life* już... nie posiada go.

Przy tych słowach piękna pani błysnęła wesoło oczyma na panów, którzy udawali, że mają obrażone miny.

Gdy hrabina wyszła, Stefcia wzrokiem zaczęła szukać narzeczonego. Był właśnie u Ćwileckich.

Z radością patrzyła na jego śmiałe, eleganckie ruchy, na pewność siebie i wytworne zaniedbanie, cechujące go zawsze. W czarnym fraku, smukły, zgrabny, w postawie swej nosił pana w każdej kropli krwi. Witany wszędzie mniej lub więcej szczerymi uśmiechami, pociągał oczy kobiet, drażnił nerwy zawiedzionych, porywał tajemniczym urokiem.

Gdy wszedł do łoży Barskich, hrabianka z wymuszonym uśmiechem podała mu rękę i natychmiast zagadała o scenie, jakby bojąc się innej rozmowy. Wtem jeden z panów otaczających hrabiankę rzekł z ukłonem:

– Panie ordynacie, proszę przyjąć moje życzenia. Wróciłem w tych dniach z Paryża i wcześniej nie mogłem powinszować panu.

Waldemar uścisnął mu rękę.

– Dziękuję.

Młody panicz mówił dalej.

– O zaręczynach dowiedziałem się w Paryżu, ale pańskiej narzeczonej nie jestem jeszcze przedstawiony, chociaż zachwycony. *Une très belle personne, très distinguée!*¹⁵

¹⁴ *désillusionnée* (fr.) rozczarowana

¹⁵ *Une très belle personne, très distinguée* (fr.) – Bardzo piękna osoba, bardzo dystygowana!

Waldemar ponad głową hrabianki spojrział na Stefcie. Wyglądała porywająco. Była jak delikatny kwiat na czarnej masie fraków, otaczających ją ściśle.

Hrabianka Melania, czerwona z gniewu, spoglądała na przeciwległą łożę wzrokiem pełnym jadu. Powodzenie Stefcie drażniło ją. Słowa młodego księcia oburzyły.

– Kiedyż ślub? – syknęła ze złośliwym grymasem ust; miał to być śmiech uprzejmy.

– Za dwa miesiące.

– Potem w podróż zapewne? – rzekł młody książę z pochyleniem głowy i całej postaci, trzymając kapelusz w obu rękach zwieszonych na dół. Długą szyję wyciągnął ciekawie naprzód.

– Nie, lato mamy zamiar spędzić w Głębowiczach. Podróż projektujemy na sezon jesien-ny i zimę. Pożegnam państwa – rzekł ordynat kłaniając się.

Nerwowy, pełen złości ruch hrabianki przy podaniu ręki rozśmieszył Waldemara.

– Antagonistka! – szepnęła do siebie w korytarzu.

Ordynat obszedł jeszcze parę łoż. Przy wejściu do własnej spotkał się z młodym księciem. Przedstawiony Stefcie panicz złożył głęboki ukłon, po czym stał obok jej krzesła zawsze z cylindrem w obu rękach jak wieszadła spuszczone, pochylony, z charakterystycznym uśmiechem na wygolonej starannie twarzy. Stefcie śmieszyła jego wysoka, chuda postać i zachwyty malujący się w oczach. Mówił jej grzeczności i widocznie podobała mu się bardzo.

Wychodząc, już w korytarzu, uściśniła rękę Waldemara.

– Winszuję! winszuję! niepowszednia uroda! Ordynat zawsze odnajduje gwiazdy.

Waldemar pożegnał go trochę niecierpliwie.

– Niech pan spieszy, już dzwonek, spóźni się książę.

– *Bien, bien, merci!*¹⁶ Niepowszednia uroda... Spieszę... spieszę.

I pobiegł szybko, pochylony naprzód, z zapadłą piersią, długimi nogami i ogoloną głową młodego starca.

Rozpoczął się drugi akt. Prątnicki nie wrócił do krzesła, wybrał sobie miejsce na galerii i stamtąd patrzył na Stefcie i ordynata. Doznawał dziwnych uczuć – przede wszystkim jakiegoś wstydu.

Ale nikt go nie widział z łoży.

Stefcia teraz pilnie uważała na scenę, chociaż Waldemar często jej coś szeptał do ucha.

Księżna rzekła:

– Widzę, że nie bardzo zajmuje was sztuka. Może wasza lepsza. Słuchajcie śpiewu Hrabiny.

Rozległo się na scenie początkowe *recitativo*:

*Suknio, coś mię tak ubrała,
Jakby posąg w greckim stylu,
Hołdy tylu, zawiść tylu
Będę, będę dziś widziała.*

Wiotka, efektowna postać artystki w stroju Diany cieniowała głos niesłychanie pięknie. Nagle popłynął śpiew:

*Dźwięk dokoła, blask i woń,
Płyną tęczą gazy, wstęgi,
Błyszczą lustra... W dłoni dłoń,
Już taneczne widzę kręgi,
Już wir balu wszystko złał
W jeden urok, w jeden szal.*

Artystka rozlewała czyste, swobodne tony. Jak zawieja srebrnych kropelek sypały się dźwięczne gamy jej głosu. Szczerłość i uczucie wiały z wysokich nut, którymi dziwnie umiała

¹⁶ *Bien, bien merci* (fr.) – Dobrze, dobrze, dziękuję!

modulować. Wszyscy słuchali w skupieniu.

Śpiew umilkł, posypały się oklaski.

– Ślicznie śpiewa – rzekła Stefcia.

Wtem oboje z Waldemarem usłyszeli szept Trestki:

– ...dlatego, że nie mam weny? Ale tyle lat, to stanowi moją siłę.

– To mię nie rozczula – odszepnęła panna Rita.

– Ale wzbudza ufność.

– Czy to wystarczy?

Waldemar z łobuzerskim uśmieszkiem zwrócił się do księżnej:

– Babciu, państwo Trestkowie są także niegrzeczni.

Stefcia trąciła go wachlarzem.

– Za wcześnie nas pan tak nazywa – odparła sucho panna Rita.

Ordynat rzekł do Stefci:

– Czy panią obraziłoby, gdyby nas teraz nazwano: państwo Michorowscy?

– Nie – odrzekła Stefcia z uśmiechem.

– A widzi pani? – mówił Waldemar do Rity.

– Wy jesteście narzeczeni.

– Zdaje mi się, że i wam złożymy dziś życzenia.

Trestka spojrział na ordynata z wdzięcznością.

Waldemar ciągnął dalej:

– Niech pan uważa, jak się Dżidzi na scenie energicznie zachowuje. Niech pan bierze z niego przykład: on „Akteon wytrzymał”!

– Niech pan im nie dokucza – szepnęła Stefcia.

– Dobrze, już będę grzeczny.

Na scenę wjechał sztuczną łodzią okazały Podczaszyk w kostiumie Neptuna. Wołał tubalnym głosem:

Oj! coś trzeszczy wóz z tektury.

Dżidzi! każ no zwolnić sznury.

Bo będziecie mieć robotę,

Jak syrenę którą zgniotę.

– Niezrównany! – zawołał półszeptem ordynat.

Nastąpiła scena rozdarcia sukni. Hrabina robi wyrzuty Kazimierzowi.

– Podaje mu oszczep przeciw sobie – rzekł znowu Waldemar. – Suknia będzie tarczą, która ocali ułana od kokietki. Zdarza się tak często.

I przyszła mu na myśl rozmowa z hrabianką Melanią w Głębowiczach, po której ostatecznie stracił dla niej sympatię.

Podczas drugiego antraktu Waldemar poszedł z Trestką na cygara. Był tam i Barski. Palił nie odzywając się do nikogo. Brochwicz trochę dokazywał. Opowiadał swe wrażenia z pierwszego rzędu krzeseł, zachwycał się primadonną w roli Hrabiny.

– A Bronia nie podoba się panu? – spytał Weyher.

– Bronia? Hm! Bronia jest trochę w grze sucha, nazbyt kołkowata. Może to robi różnica stroju; kontusik i te tam puszki, wyloty obok pajęczynowego kostiumu Diany sprawiają efekt na niekorzyść Broni.

– Ona głównie razi obok dystynkcji Hrabiny – rzekł Waldemar. – Dobra artystka i na scenie dama. Bronia nawet w tych samych gazach nie osiągnęłaby celu. Tu występuje różnica rasy.

Hrabia Barski, rozparty na fotelu, z cygarem w zębach, patrzył impertynencko na ordynata.

– Proszę! pan odróżnia rasę? – przemówił kpiąco.

– Odróżniam! – odrzekł Waldemar chłodno.

– *Voyons!* a to nowa rzecz! Już po panu nie spodziewałem się takiej antytezy.

Ordynat rzucił się na fotel również w niedbałej pozie. Oczy utkwił w tłustej twarzy hrabiego i spytał jakby od niechcienia:

– A moja teza, wolno wiedzieć jaka?

– Pańskie słowa są antytezą jego postępków – odrzekł hrabia gwałtownie.

Waldemar był spokojny, lecz zimny.

– Za pozwoleniem! co hrabia przez to rozumie? Ja mówiłem o różnicy ras pomiędzy naszymi artystkami, nie naruszając ról, jakie wykonywają.

Twarz hrabiego pęczniała coraz bardziej.

– A ja przeciwnie, mówiąc o rasie miałem na myśli sferę Hrabiny. Bronia, zwykła sobie szlachcianeczka, musi razić wobec magnatki, to prawo natury. Dziwiłem się, że pan jeszcze nie zatracił zmysłu spostrzegania tych różnic, jakie biją w oczy. Powtarzam, słowa pańskie są antytezą jego postępków, a te dowodzą – zaniku etyki!

Przytyk był wyraźny, wzmianka o szlachcianeczce stosowała się do Stefcy bardzo niedwuznacznie.

Waldemar powstał wzburzony. Kilku panów, Brochwicz i Trestka zbliżyli się. Pachniało skandalem.

– Panie hrabio, dosyć! – zawołał ordynat syczącym głosem. – Moja teza i moja etyka stoi nieskończenie wyżej od wszelkich praw natury w mniemaniu pańskim. Mój zmysł spostrzegawczy jest zaostrzony i czujny i tym lepiej pomaga mi odróżniać szlacheckie sokoły od wielu magnackich pawie, które sfera maluje w jaskrawe kolory! Rasa to przywilej wyłączny, nie związany z żadną inną sferą, wchodzi nie przez ukraszone pióra, lecz przez szlachetną krew, i także bije w oczy. Przy tym jest w parze z delikatnością, a ta nie zawsze bywa w osobnikach we własnej imaginacji drapujących się w rasę. Jeśli obraziłem hrabiego, adres mój wiadomy.

Ordynat skłonił się trochę wyzywająco i wyszedł z fajczarni.

– A to mu łupną! – rzekł cicho Brochwicz.

– Pojedynek? – zdumiał się Trestka, wznosząc brwi.

Brochwicz wyciągnął go na korytarz.

– Awantura! – mówił zacierając ręce. – Pan myśli, że Barski skorzysta ze słów ordynata? Przecie to formalne wyzwanie. Ale nie Barskiemu mierzyć się z ordynatem! czy na rewolwery, czy na rapiry – jeden wynik. Ordynat podziurawiłby jego dumny majestat, aż skwierczałby jak indor na ruszcie. Ależ dostał! Magnackie pawice! Uważał pan? odnośnik do Melanii. Bycze porównanie! gdybym posiadał wymowę ordynata i jego sławę w strzelaniu i fechtunku, odbywałbym po kilka pojedynków na tydzień.

Brochwicz gestykulował niesłychanie.

– Jeśli Barski sekundantów przyśle? – niepokoił się Trestka.

– To wówczas pozna zęby ordynata! Ale Barski nie przyśle. Ordynat zostawił kwestię w jego woli, bo sam lekceważy takiego przeciwnika. Barski zaś musi się liczyć. Możemy być spokojni! Chodźmy, bo już dzwonią.

Nagle Trestka stanął.

– A Zaniecki? – rzekł tajemniczo.

Brochwicz parsknął śmiechem.

– Zaniecki ordynata nie wyzwie, bo to lalusz z waty, kleju i perfum. Zresztą przy awanturze nie był, a Barski mu się nie pochwali, schowa w kieszeń cukierek ordynata. Przy tym Zaniecki nie jest jeszcze zdecydowanym narzeczonym, aby się miał ujmować za starym. Co tam! idziemy na miejsce.

Waldemar wszedł do łoży już spokojny, ale blady. Usiadł za Stefcią w milczeniu.

Ona dostrzegła w nim zmianę.

– Co panu? – spytała.

– Nic, jedyna, gorąco tu – odrzekł z uśmiechem.

W teatrze światło było przyćmione i scena zasłonięta. Umyślny efekt dla melodyjnych tonów poloneza Moniuszki, który zaczynał płynąć z orkiestry delikatnie, barwnie, wzruszająco.

– Jakie to śliczne! – rzekła cicho Stefcią.

Siedziała oparta na krześle z odchyłoną w tył głową, zasłuchana, podniecona. Oczy jej mrużyły się, kwiaty przy gorsie drżały, poruszane pulsem ciała. Upojenie wsączało się w jej nerwy.

Polonez, grany z artyzmem, wtlaczał do duszy złote rojenia. Z instrumentów, jak na przezroczych gazowych skrzydełkach, wzbijały się nuty czyste, delikatne, pełne uczucia, a szumiące jakąś rozkoszną rzewnością. Wrażenie było ogólne i potężne. Cisza zaległa łoże i krzesła. Górne sfery zdawały się uśpione. Melodia płynęła niepowstrzymaną siłą, omotywała urokiem, i drażniła.

Wiew spokoju i błogości z tonów zda się przeczulonych.

– Wspaniale! – szepnął Waldemar, tuląc w swej dłoni rękę narzeczonej.

Ze Stefcią, bardzo wrażliwą, działo się coś niezwykłego. Grały w niej nerwy, uczucia słodkie, idące z serca, i zmysły, rozbudzone pieśczętą Waldemara. Niepochwytnie marzenia niosły ją w przestrzeń wśródgwiezdną. A muzyka wszechwładnie rozsnuwała czar.

Księżna i pan Maciej byli zasłuchani, głęboko zamyśleni.

Trestka siedział skulony, trzymając Rity rękę, którą od czasu do czasu całował. Ona mu tego nie bronila. Nieruchoma, blada, miała w ciemnych oczach mgiełki wzruszeń, usta trochę zwieszzone wyrażały ledwo widoczną rezygnację.

Waldemar dosłyszał cichy szept.

– Czy tak? czy tak?... – mruczał Trestka.

– Niech się stanie – odrzekła cicho.

Trestka ucałował jej rękę.

A polonez, rozbrzmiewając w przyćmionej sali, budził pragnienia, rozdmuchiwał namiętności, w dusze kładł dobroć, czy krasiał uczuciem, czasem łzami.

Potężnie płynął!

Zabierał wszystkich na swe fale jak niewolników.

Rozbrajał, łagodził, rozmarzał...

Nagle cisza! Ostatni ton wyfrunął z orkiestry i nastąpiło głuche milczenie.

Jakby po przelocie aniołów o szumiących piórach ludzie wpadli w zachwyty.

Wtem na górze, wysoko, niby pierwszy lekki odgłos gromu, ozwało się klaśnięcie. Po-budka! i teatr zahuczał. Zapał, entuzjazm. Wszystkie wrażenia skupiły się w oklaskach. W ogłuszającej wrzawie znajdowały ujście podniecone zmysły.

Panie, wychylając się z łóż, klaskały w dłonie. W krzesłach i amfiteatrze rozbrzmiewał huk jakby wzburzonego morza.

Górne sfery, uniesione szaleńczo ryczały:

– Brawo! Bis! bis!

Ale inni zaczęli sykać. Wielkie wrażenie powtórzenia nie znosi. Trudno wywołać uczucia ponownie w tej samej mocy. Powtórzenie często psuje pierwszy efekt.

– Dosyć! dosyć! – wołali wykwintniejsi miłośnicy muzyki.

Zasłona podniosła się.

Wszyscy jak po odurzeniu narkotycznym powracali do trzeźwości. Jowialny dowcip Chorążego na scenie dokonał reszty. Jego śpiew myśliwski nastroił junacko wielu ze słuchaczy, scena z zieleniaczkiem ubawiła.

Panna Rita spytała cicho Trestkę:

- Co zaszło z ordynatem? Był wzburzony.
- Awantura z Barskim.
- Gdzie?
- W fiumuarze.

Stefcia usłyszała. Zbladła silnie. Ponieważ Waldemar coś mówił do księżnej, więc pochyliła się do Trestki.

– Co pan powiedział? – szepnęła z lękiem. Oczy miała prawie czarne z przerażenia.

– Niech pani będzie spokojna! Mała nieprzyjemność... Barski poskromiony – odszepnął Trestka z miną wielce lekceważącą.

– Pan mówi prawdę?

– Ależ jak Boga kocham!

Stefcia cofnęła się. Nie była jednak uspokojoną. Przeczynała, że zajście pomiędzy ordynatem a Barskim wynikało z jej powodu. Miała niemal pewność, że tak jest. W łoży Barskich siedziała tylko hrabianka ze swą damą do towarzystwa i Zanieckim. Hrabia widocznie wyjechał z teatru.

– Co zaszło i czy tak zawsze będzie? – pytała siebie Stefcia ze ściśniętym sercem.

Panna Rita, również niespokojna, patrząc na Trestkę, nieznacznie dotknęła ręką skroni.

Trestka zrozumiał: pytała go o pojedynek.

Zaprzeczył ruchem głowy, po czym napisał coś w notatniku i podał Ricie.

Przeczytała: „Ordynat-matador. Kto zaś Barski, proszę wspomnieć arenę – dodam tylko: rozwścieczony!”

Panna Szeliżanka zagryzła usta ze śmiechem.

Przedstawienie kończyło się. Podczaszyc oświadczał Chorążemu Bronię i Kazimierza.

„Siuprem rezon właśnie czuję” – mówił z komiczną miną rubasznego eleganta.

Zabrzmiął końcowy śpiew Hrabiny: „Zbudzić się z ułudnych snów”.

Żal, obraza, zawiedziona ambicja w głosie śpiewaczki. Niesłychanie akcentowała słowa, mimikę, głos. Ostatnią strofkę wyrzucała z piersi niemal z rozpaczą.

*Ależ żal okazać mu,
Wstydu łzy wylewać tu,
Byłby to poniżej kres...
Chyba gniew, lecz nigdy łez!...*

– Brawo! brawo! – zawołał Waldemar.

Jeszcze trochę dowcipów Podczaszycyca i zasłona spadła.

Łoże poruszyły się, zaszumiało, panowie żegnali damy.

Waldemar otulał Stefcię w biały płaszcz. Zauważył, że jest trochę jak przyćmiona.

– Co ci jest, jedyna?

– A panu co było, jak pan wszedł po drugim akcie? – spytała, mając utkwione oczy w jego twarzy.

– Ach! odgadłaś, bądź spokojna – drobnostka!

– Na pewno?

– Daję ci słowo.

Ordynat sprowadzał ze schodów narzeczoną, Brochwicz – księżnę. Z łoż płynęła strojna fala płaszczów i kapturków kobiecych, i czarnych ubiorów męskich. Szła barwna pogwara wdzięcznych głosów, pożegnań, często zatrzepotał śmiech. Oczy kobiet spod koronek, iluzji grały światłem klejnotów. Szum jedwabnych tkanin i ulotna woń perfum znamionowały przejście patrycjatu. Z krzeseł rozchodziła się publika dużo skromniejsza, choć również wytworna, poprzedzana przez błyszczące uniformy pierwszego rzędu. Wśród nich zdarzała się i postać frakowicza.

Wtem zahuczały schody na wyższych piętrach tupotem nóg i głośną wrzawą. Coś niby gradowa chmura waliło z górnych sfer.

Trestka niespokojnie podniósł głowę.

– Uciekajmy! – zawołał przestraszony – puszczono rajk! zgniotą nas! *Sapristi!* Że służba nie ma na tyle rozumu. Wybrali się w porę! Uciekajmy!

– To trudno, panie – rzekł Waldemar ze śmiechem – oni mają te same prawa do świeżego powietrza, co i my. Przez dach nie powychodzą, a dla naszej miłości nie będą czekali w pustym teatrze, boby ich woźni poprzykrywali płótnami. I tak może nieraz oberwą końcem brudnej zasłony; woźni nie pytają, są nazbyt gorliwi – szydził Waldemar.

– A tymczasem nas roztracają – narzekał Trestka.

– Bądź pan spokojny, już jesteśmy na dole.

W korytarzu przy kasie stał Prątnicki, oparty o barierkę. Na widok ordynata i Stefcia odwrócił się. Stefcia nie widziała go, ordynat udał, że nie widzi. Pod filarami tłoczyły się pojazdy, szwajcar wywoływał.

– Kareta ordynata Michorowskiego, podjeżdżać!

Waldemar usadowił narzeczoną obok Rity.

– „Bristol”! – rzucił stangretowi.

Konie ruszyły.

– Pan ze mną. Mam do pomówienia – rzekł ordynat do Trestki.

W hotelu Sala Malinowa była już oświetlona, stół ubrany kwiatami. Służba oczekiwała panów.

Ordynat z Trestką przyjechali pierwsi. Hrabia miał minę rozpromienioną.

Goście zaczęli się zjeżdżać. Waldemar występował jako gospodarz. On urządzał ucztę.

Sala Malinowa, czytelnia, przedsionek błyszczwały elektrycznością i jaśnią rozweselonych twarzy. W środkowym czworoboku bił wodotrysk, orkiestra grała. Na górze panie poprawiały stroje.

Nareszcie ruszono do stołu.

Ordynat siedział obok narzeczonej. Zwrócił się do niej mówiąc tajemniczo:

– Usłyszysz pani niespodziankę.

– Jaką?

Z kielichem szampana powstał z krzesła i rzekł dobitnie:

– Pierwszy toast wznoszę na cześć nowej pary narzeczonych, którymi są: panna Margerita Szeliga i hrabia Edward Trestka. Niech żyją!

Zdumienie ogarnęło wszystkich. Ogólnie spodziewano się tego, ale jeszcze nie teraz. Pełne kielichy zawisły w powietrzu. Trestką miał minę zachwyconą, panna Rita była blada, lecz spokojna.

– Niech żyją! – powtórzył Waldemar, odsunął krzesło i podszedł do niej.

Wszczęła się wrzawa, odsuwano krzesła z hałasem.

– Winszujemy! winszujemy!

– *Vive!*¹⁷ – dystyngowanym dyszkantem wycedził hrabia Morykoni.

– Wiwat! co tam *vive* – poprawił Brochwicz.

Waldemar ucałował ręce panny Rity i powiedział serdecznie:

– Chciałem pierwszy złożyć drogiej pani moje najlepsze życzenia, tak jak pani mnie życzyła pierwsza.

– Skąd pan wiedział?

– Słyszałem podczas poloneza i porozumiałem się z Edwardem.

– Ha! trudno! musiało się tak stać – odrzekła z determinacją.

Przyjmowała życzenia z uśmiechem. Ze Stefcia ucałowały się jak siostry. Księżna miała

¹⁷ *Vive!* (fr.) – Niech żyje!

ły w oczach.

Gdy Trestką przypiął się do ręki narzeczonej, ona odsunęła go lekko, lecz bez niechęci.

– Panie, rozrzewniona jestem, ale czulić się nie lubię. To sobie zawaruję w intercyzie ślubnej.

– Zgoda! nawet na to przystaję – odrzekł hrabia wesoło.

I z nadmiaru uciechy spadły mu binokle z nosa.

Uczta przeciągnęła się do późna.

Niewiele godzin pozostało do świtu, kiedy „Bristol” opustoszał. Ale służba, zadowolona dobrym zarobkiem, nie czuła się wcale senną.

XXV

Przeszło parę tygodni. Święta wielkanocne Waldemar spędził u narzeczonej.

Drugiego dnia w parafialnym kościele byli wszyscy z Ruczajewa i wiele osób z okolicy, między nimi stary Prątnicki. Patrzył na Stefcie nieśmiało, lecz z szacunkiem. Miejscowy proboszcz urządzał w tym czasie kwestę na odnowienie kościoła i teraz bardzo sprytnie wybrał do tego Stefcie w towarzystwie jednego ze starszych obywateli. Ofiary sypały się hojnie. Wdzięk Stefci, jej nowe stanowisko i obecność ordynata sprawiły, że każdy chciał prześcignąć drugiego. Ordynat dyskretnie położył na tackę mały rulonik, z którego potem ksiądz wydobył tysiąc rubli w dwóch banknotach. Proboszcz bardzo czuł się zadowolonym ze swego pomysłu. Tylko stary Prątnicki, któremu pieniądze zawsze najczęściej przemawiały do duszy, dowiedziawszy się od księdza o darze ordynata, zrozumiał dopiero teraz swe upokorzenie wobec Stefci i państwa Rudeckich. Nie zbliżył się, aby złożyć życzenia, nie zaszedł na plebanię razem z innymi.

Służba w Ruczajewie nie mogła się również nacieszyć narzeczoną „panienki”, bo ordynat sypał pieniędzmi.

Święta minęły, Waldemar powrócił do Głębowicz.

Pewnego dnia, kiedy miał odjeżdżać na kolej w celu odwiedzenia wołyńskich dóbr Białoczerkasy, zawiadomiono go, że przyjechał jakiś pan za hrabią Cwileckim i jego końmi.

– Chyba Weyher? – pomyślał Waldemar.

W salonie z niemałym zdziwieniem ujrzał hrabiego Mortęskiego. Staruszek z wypiekami na twarzy bardzo żywo coś tłumaczył Cwileckiemu.

– Witam hrabiego – zawołał ordynat uprzejmie.

Hrabia nieco się stropił.

– Moje uszanowanie! I ja witam. Bardzo mi przyjemnie. Mówiłem tu właśnie hrabiemu Augustowi o Głębowiczach. Stare, stare gniazdo.

– Pewno już coś przeciwko mnie spiskował – pomyślał Waldemar.

Panowie posiadali. Mortęski trząsł siwymi kępkami włosów, a wystający nos jego marszczył się co chwila jakby z zakłopotaniem.

– Rad jestem z odwiedzin panów, ale zdaje mi się, że ich wizyta ma jakiś cel wyłączny. Czy odgadłem? – przemówił ordynat.

Cwilecki poruszył się i chrząknął.

– Tak, to jest właściwie hrabia Mortęski ma do pana interes... hm! tak ordynat domyślił się.

Siwe kłaczki nad uszami byłego prezesa zadrżały mocniej, ale głowę podniósł wysoko, z wypukłych oczu błysnęła już pewnośc siebie.

– *Oui, justement!*¹⁸ – przemówił suchym głosem. – Będąc w Szalach postanowiłem odwiedzić ordynata i... prosić go o pewne informacje w kwestii towarzystwa rolniczego, związane z ostatnią sesją.

– Słucham.

– Słyszałem od Giersztorfa, że pan wprowadza do naszej instytucji nowe idee i pragnie je rozszerzać.

– O jakich mianowicie hrabia mówi?

– Prawda, bo jest kilka! Więc chce pan podobno utworzyć towarzystwo okręgowe i kółka rolnicze – czy to prawda?

– Tak, tę myśli miałem dawniej, teraz chcę wprowadzić ją w czyn, robię starania.

– Ale co z tego?

¹⁸ *Oui, justement!* (fr.) – Tak, słusznie!

– Bardzo wiele! to podniesie kulturę, wzbogaci poziom umysłowy włościan, zwiększy produkcję przy ulepszonym prowadzeniu gospodarstw i samopomocy.

– Nie zwrócił pan jednak uwagi na ten szczegół, że włościanie są zbyt mało oświeceni do podobnych innowacji.

– Toteż nie będą sami: takie kółka są pod egidą inteligencji. Obywatele przewodniczą włościaństwu. Odbywają z nimi posiedzenia, rzucają myśli, miewają odczyty, słowem, wspólnie radzą nad korzyścią gospodarstw. Kółka chcą utworzyć na wzór poznańskich, gdzie są prowadzone wybornie, my zaś...

– No dobrze! – przerwał Mortęski – ale w Poznańskim lud jest więcej cywilizowany, a u nas dzicz.

– Więc oświecajmy! To nasz obowiązek! Co w naszej mocy, powinniśmy robić, przynajmniej pobudzać obywatelstwo, dawać inicjatywę.

– Dużo pan znajdziesz chętnych! *justement!*

– Bardzo niewielu, wiem o tym, chociaż więcej chętnych niż odpowiednich. Nasze średnie obywatelstwo nie nadaje się zbyt do tego, głównie z przyczyn materialnych. Oświecanie ludu wymaga pewnych kosztów. Trudno żądać od ludzi, którzy sami borykają się z majątkiem, aby kształcili chłopów. Ale proszę wyliczyć domy magnackie w naszej guberni i zamienne obywatelstwo: Ci są podstawą do czynów społecznych, gdyby tylko chcieli! Potrzebna pobudka? Więc dajmy ją! Może niejedynemu się ocknie i przyzna słuszność wspólnej sprawie.

– Przyzna, ale nie weźmie udziału.

– Dlaczego?

– Hm! to już jego osobista kwestia – wycedził Ćwilecki.

Waldemar uśmiechnął się.

– Zanadto by się sfatygował, co? Bywają i tacy, nie przeczę. Ale przy ludziach prawdziwie odczuwających nasze potrzeby jest dużo jedynie ambitnych. Takim trzeba wskazać myśl, aby za nią poszli, nie dla myśli, lecz dla sławy, dla tej prostej ludzkiej słabości przewodzenia nad innymi, którzy z powodu gorszych warunków nie mogą sobie na to pozwolić. Bo filantropia, oparta na działaniu, to po części luksus.

Mortęski pokiwał głową i zaśmiał się ironicznie.

– Tacy działacze dla ambicji niewiele zrobią, siła wykluczona.

Waldemar rzucił głową.

– Ja nie mówię o ich działalności samoistnej, tylko o ich współdziałaniu, jaki potrzebny dla sprawy. Niech taki pan zgodzi się na oświecanie ludzi w swym majątku, a my już znajdziemy kierownika odpowiedniego. Na szkolnych ławach, panie hrabio, i w każdym fachu bywają umysły genialniejsze i płytsze. Wydostanie się na widownię zależy od zdolności osobistych, ale uczą się wszyscy razem. Niejednego ojca z prostactwa tylko ambicja skłoni wysłać syna do szkół, a on nabywa wykształcenia i znowu już inna ambicja pchnie go czasem na uniwersytet. Ale mówmy o kółkach: otóż gdy mi się uda, zawiązać je u nas, już to samo wpłynie ogromnie na podniesienie oświaty.

– *Merci!* i odbywać posiedzenia w towarzystwie cuchnących butów i kapot? To nie zadanie naszej arystokracji – skrzywił się obrażony hrabia Mortęski.

Waldemar spojrział na niego uważnie.

– Przede wszystkim jesteśmy obywatelami kraju, a potem arystokracją – rzekł sucho. – Powinniśmy dbać o nasz zagon, aby go porastało ziarno, nie chwasty. Nasz wspinały sztandar samym widokiem nie wypłeni zła; trzeba z nim pójść między zagony, przytwierdzić lampę do jego szczytu i światło siać wytrwale, ulepszać, prostować błędy, a doczekamy się pełnych kłosów. Im kto ma większy sztandar, tym większą może zapalić lampę. Trzeba także przezwyciężyć wstręt, panie hrabio. Te cuchnące buty i ostre kapoty zalewają większe obszary niż my – to trzeba uwzględnić.

Były prezes przełknął głośno, jakby gorzką pigułkę. Twarz jego nabrała ironicznych linii.

Dłonią potarł kolano i przemówił:

– Zanadto, zanadto pan im okazuje względów. Oni i... my? *Justement*, to jakby ...

Waldemar przerwał:

– Przepraszam! wiem, co pan odpowie: że oni to ocean, a my okręty – i że, zapatrzeni w nasze wyniosłe maszty, lekceważymy sobie tę siłę, depreczując po niej bezkarnie. Nieprawda! wszystkie nasze opancerzenia maleją, gdy te fale wezmą na kiel. Wówczas i oliwa, na gwałt wylewana dla złagodzenia, nie na wiele się przyda. Giniemy w tej potędze. Ich jest prawdziwa, nasza fikcyjna. Niekoniecznie bratać się z nimi i wpadać z jednej ostateczności w drugą, jak to czynią sfanatyzowani ludowcy. Ale o nich trzeba dbać i nie mieć wstępu. Kultura i na punkt estetyczny dużo wpływa, teraz go nie mają, musimy im to wybaczyć. Ja przede wszystkim widzę w nich ludzi i materiał surowy do wyrobienia.

– Pan jest idealista – rzekł *Ćwilecki*.

– I przeciwnik arystokracji – dodał zirytowany *Mortęski*.

– Przeciwnikiem nie jestem. Owszem, arystokracji potrzebna tak samo, jak i wszystkie klasy społeczne. Tylko... powinna jechać na mniej narowistym koniu, aby nie tulił uszu na widok opłotków wieśniaczych, te bowiem gęsto zalegają kraj. Przy tym ja na naszej tarczy widzę dziury i chciałbym je załatać – ale wielu twierdzi, że... starłaby się pozłota. Załatajmy choć dwie na początek: sybarytyzm i egoizm. Dbajmy choć trochę o glebę, na której stoją nasze pałace, i o tych, co nam je stawiali.

– Słowem, arystokracji nie uważa pan za monument społeczny, za odwieczne dzieło i trwałe – zasyczał mocno rozdrażniony stary magnat.

Ordynat przycisnął go wzrokiem i rzekł śmiało, tonem wyraźnie już kpiącym:

– Och! czasy pogaństwa minęły. Nie jesteśmy bożkami, dla których społeczeństwo paliło kadzidła i pracowało nad pomnikiem naszej chwały. My zapracujmy nań sami, zamiast siedzieć na wysokości pod baldachimem rodowej pychy i wegetować. Piramidy faraonów są dobre w Egipcie. One nie przywędrują pod nasze stopy ani też nam nikt podobnych nie wzniesie. Wracam do kółek. Przypuśćmy, że nasz włościanin, delegowany z gminy, na pierwszym posiedzeniu będzie się drapał w głowę i przyglądał panom. Na drugim będzie słuchał, co mówią panowie, aż dojdzie i sam do słów, nikłych z początku zawsze jednak wypowie, czego mu brak, a na to mu się zaradzi. Tym sposobem zacznie nabierać inteligencji, zainteresuje się gospodarstwem i będzie się uczył. Oto nasza dążność. Tymczasem staram się zaledwo o wyrobienie koncesji.

Mortęski wzruszył ramionami.

– I pan sądzi, że się uda ten program?

– Dołożę starań, aby się udał. Mam poważne poparcie w ministerium, jeżdżę w tej sprawie do Petersburga i myślę, że potrafię dojść do celu.

Stary hrabia kręcił się niespokojnie. Wypukłe oczy utkwił w ordynacie i patrzył na niego jak wódz na szeregowca, który przekroczył prawa pułkowe. Pęki żółtawo-siwych włosów nad uszami najeżyły się więcej, nos niby ostra dzida i zacięte wąskie usta wyrażały jakąś obrazę.

Ordynat spokojnie wytrzymał karcący wzrok hrabiego, tylko usta drgnęły mu uśmiechem, a nozdrza zaczęły falować.

– Czego on ode mnie chce? – myślał.

– Panie hrabio – rzekł głośno – widzę, że mój program nie podoba się panu. Czy mogę wiedzieć powód niezadowolenia?

Hrabia *Mortęski* błysnął białkami oczu.

– Owszem! Oto za prędko bierze się pan do sprawy, będąc niezupełnie jeszcze obznajmiony. Za prędko... po...

– Po zostaniu prezesem? – pochwyił ironicznie Waldemar. – Więc pan sądzi, że ja przedtem nie interesowałem się sprawami społecznymi i Towarzystwem? Hrabia widocznie ma mnie za nowicjusza?

Tu wtrącił się Ćwilecki.

– Nie, nowicjuszem pana nie można nazwać, choćby z przyczyny, że pan jest organizatorem tej instytucji, pan ją inicjował. Kto zna budownictwo, potrafi rysować plany.

Mortęski skarcił towarzysza ostrym wzrokiem. Rzekł z dumą:

– Inicjator! to za mało! Do apostołstwa powołuje się ludzi starszych, szerzenie idei nie należy do... młodzi... za młodych.

Ordynat zaśmiał się.

– Chciał mię pan nazwać młodzikiem? Proszę – najlepiej szczerze! wcale mię to nie obraża, osobiście nie poczuwam się do tego pod żadnym względem. Mam pojęcia niechłopięce, a że wzbudzam ufność, to dowodzi, że mię wybrano na prezesa i że przedtem zdołałem skłonić nasze koła do organizacji Towarzystwa.

Hrabia wzburzył się.

– Powtarzam, że apostołami nowych idei powinni być ludzie starsi – mówił rozgorączkowany.

– Skoro jednak ich nie ma... – rzekł nieśmiało Waldemar.

– Jak to? jak to nie ma? *Voilà!*...

– Proszę mi ich wskazać.

Hrabia długim kościstym palcem uderzył się w piersi, oczy mu gorzały.

– Jestem ja, jest Giersztof, Barski, jest wreszcie dziadek pański, jest hrabia Ćwilecki, tu obecny...

– Za pozwoleniem – rzekł spokojnie ordynat. – Mój dziadek jest zbyt wiekowy i dawno usunął się z areny społecznej. Książę Giersztorf nie należy do naszego okręgu. Szkoda, jego działalność wiele by mogła znaczyć – to szczerzy patriota. Barski również nie z naszych kół, przy tym jego idee paczą umysły. On poza purpurą swego rodu i berłem arystokracji nie widzi nic więcej. Pozostają panowie tu obecni. Pan Ćwilecki czynnego udziału brać nie chce – proponowałem – a hrabia...

Spojrzał na Mortęskiego i rzekł poważnie:

– Hrabia był prezesem przez lat pięć i ustąpił dobrowolnie, pole więc do apostołstwa istniało szerokie.

Zalegała cisza, tylko Ćwilecki chrząkał i gładził brodę. Brwi miał podniesione i żartobliwe błyski w zimnych zwykle źrenicach.

Mortęski wyprostował się na fotelu. Na bladej twarzy pojawiły mu się trochę ceglaste rumieńce, ustami żuł, co oznaczało zakłopotanie. Ale oczu nie spuścił z ordynata.

Ten mówił dalej poważnie, jakby łągodząco:

– Proszę mych słów nie brać za wymówkę. Skoro Towarzystwo zostało zorganizowane, wszyscy jednogłośnie wybraliśmy pana na prezesa, uważając go za najpoważniejszego z naszych kół. Ale wiek i stargane siły nie pozwoliły panu na pracę intensywniejszą. Teraz więc, kiedy ja stanąłem u steru Towarzystwa, przyszła kolej na szerszą działalność. Jestem w pełni zdrowia, sił i młodości, ale nie odrzucę dobrej rady, owszem, proszę o nią dla pożytku ogółu.

Stary magnat, cokolwiek złagodzony, życzliwiej spojrzał na Waldemara.

– Pan podobno skłania obywatelstwo do ulepszenia dróg? – rzekł Ćwilecki.

– Tak, chciałbym, aby zrozumiano, że koszt wyłożony na ten cel daje świetne korzyści, nie mówiąc już o wygodzie i wyglądzie kraju. Dobre drogi, całe mosty – to dowód kultury. U nas tego brak straszliwy.

– Ale nie w pańskich majątkach – zaprzeczył Ćwilecki – tu są gościńce pruskie. Każda boczna droga przypomina szosę. Wjechać na granicę pańskich gruntów, to jakby się wjechało od razu z Australii do Europy. Chłopsztwo pan już także przyuczył do tego.

– Staram się dbać o ład jaki taki – rzekł niedbale ordynat.

– O wielki ład, niech pan powie. Ale ma pan *nervus rerum*¹⁹, najważniejsze – miliony.

¹⁹ *nervus verum* (łac.) - nerw życia, główną sprężynę

– Niekonieczny to warunek do zaprowadzenia porządku. Ja drogi żwiruję, wysadzam drzewami, otaczam drutem na kamieniach, stawiam nowe mosty. Ten zaś, kto na to nie ma, niech równa wyboje na drogach, niech naprawia mosty, choćby wstawiając łaty, i niech ochrania drzewa. To wystarczy. W Głębowiczach już jest parę dróg wysadzonych drzewami owocowymi. Szkody bywają jeszcze, ale z czasem i to przejdzie. Dla służby założyłem ogrody owocowe i skłaniam do tego włościan. Ochrona drzew ma w mych dobrach wyłącznych obrońców. Na to wszystko głównie działa oświata.

– Zaprowadza pan podobno stowarzyszenia trzeźwości między ludem i sklepy katolickie, rugując Żydów? – pytał Ćwilecki.

– Tak. W szerzeniu trzeźwości dopomaga mi miejscowy proboszcz. W rozpijaniu ludu widzę nędzną rękojmię kultury i zapobiegam temu. W tym celu w gorzelnii, którą postawił mój ojciec, wyrabiam tylko spirytus denaturowany. Sklepy urządzam pod opieką dworu, aby uchronić służbę od oszustwa Żydów. Sprzedaje im się produkty lepsze i taniej; w tych sklepach jest wszystko. Ubogie dziewczęta sporządzają sobie w nich całe wyprawy. Włościanie z początku nieufnie patrzyli na nasze sklepy, ale już się do nich przekonali.

– To biedni Żydkowie u pana.

– Ale ja ich absolutnie z majątków swych nie wyrzucam. Ich używam w pewnych dziedzinach, tylko pod ścisłym nadzorem i nie w folwarkach ani we wsiach, bo wówczas wpływają szkodliwie na lud. To biedota! Zresztą, gdybym ich wszystkich usunął, straciłby na tym ktoś inny. Ograniczam ich jedynie i mocno trzymam w rękę. Zatem nie szkodzą mi.

Hrabia Mortęski zaczął znowu przeżuwać ustami. Jego rysy zaostrzyły się nieprzyjemnie. Słuchał rozmowy ordynata z Ćwileckim, nie dodając już od siebie ani słowa. Lecz gdy usłyszał o istniejącym w dobrach ordynata stypendium ze składek służby i robotników dla kształcącej się młodzieży robotniczej i służbowej, stary magnat wzburzył się na nowo.

– Więc pan chce bankructwa tych ludzi – zawołał z ironią.

– Bankructwa? dlaczego? Ja daję od siebie połowę sumy, jaką się zbierze z rocznych składek ogólnych, a ludzi nie przeciążam. Najmniejsza składka od jednej rodziny już konieczna jest rubel. Ale proszę policzyć wszystkich pracujących w mych dobrach, a przekona się pan, że te pojedyncze ruble wyniosą znaczną sumę. Mam takich ze służby, którzy dają na ten cel po kilkanaście rubli dobrowolnie. Cała administracja należy do składki i dyrektorowie fabryk. Ci dają z własnej filantropii. Ten projekt został z chęcią przyjęty, moi ludzie zrozumieli korzyść własną. Każdy z nich może swe dzieci kształcić odpowiednio, dopomaga mu stypendium, gdzie są i jego pieniądze. Już kilku chłopców uczy się za odsetki od tych funduszów w wyższych uczelniach, wielu przestaje na szkole głębowickiej, którą już moja kasa opłaca. Myślę teraz urządzić to samo u włościan, ale tam będzie trudniej.

– Czy i szpital jest opłacany przez kasę majątkową? – spytał znowu Ćwilecki.

– Wszystkie instytucje dobroczynne w mych dobrach są dla użytku służby bezpłatnie. Mogę sobie na to pozwolić, więc korzystam. Lekarz miejscowy i felczerzy są również uposażeni przez kasę dworską.

– Rozbałamuca pan ludzi, nic więcej – rzekł z gniewem Mortęski. – Nikt nie pójdzie za pana przykładem.

– Tym się nie rozbałamuci, bo trzymam ich w pewnych karbach, można pogodzić jedno z drugim. Służba i robotnicy są sprzężoną, a pomocą której puszczam w ruch moje dochody, więc naoliwienie jej do mnie należy.

– Słowem, same inicjatywy! same innowacje! – syknął stary hrabia. – Nie pojmuję, skąd się u pana znalazła taka filantropia demokratyczna, bo nie jest odziedziczona po przodkach, *justement!*

– Owszem, panie, trochę odziedziczona po matce – odrzekł Waldemar. – Znał ją pan dobrze. Ona miała zawsze sympatię dla tych szerokich mas ludowych i chciała dla nich dobra. Mój dziadek także jest humanitarny.

– Ale pan krańcowo. Ja sędzę, że ostatnie wypadki tyczące się pana osobiście wiele wpłynęły na prąd jego przekonań. Pan dezertuje z naszych szranków arystokratycznych.

– Idę tylko w tyralierkę – zaśmiał Waldemar trochę nerwowo. Przeczywał dalszy ciąg słów hrabiego.

Ale on dokończył:

– Nie! dezertuje pan, przechodząc jawnie do demokracji. *Voilà!* tu leży jądro kwestii.

Złośliwe tony bryznęły w zimnym głosie Mortęskiego.

Waldemar drgnął. Zapaliły mu się szare źrenice. Jednocześnie na twarzy mignęła nuda.

– Panie hrabio – rzekł siląc się na spokój – gdyby te wpływy nawet istniały, mógłbym działać zaledwo od pół roku, a wszystkie ulepszenia wprowadzam u siebie od lat dziesięciu. Przez ten czas nie ukrywałem swych idei.

Ćwilecki wyprostował się i przemówił wolno, lecz z niebywałym ożywieniem na twarzy:

– Tak. Staję w obronie ordynata. Jego myśli społeczne znane są nie od dziś... Istotnie pan szerzy swe idee od dawna i słowem, i piórem. Mamy przecie jego artykuły, poruszające mnóstwo ciekawych kwestii. Pańskie odezwy pod nagłówkami: *Co my dla kraju?*, *Nie usuwajmy naszego posłannictwa*, i inne, są pisane śmiało, realnie i przynoszą zaszczyt autorowi.

Waldemar podziękował mu poważnym skinieniem głowy i mówił dalej, idąc za biegiem własnych myśli:

– Hrabia jednak dziwnym wzrokiem patrzy na mnie, posądzając najnieśluszniej osoby, które nie należą do krańcowej demokracji i... nie rozciągają nade mną podobnych wpływów. Ja pojęcia swe mam wkorzenione. Od dziecka one kielkowały, a uniwersytety i własne rozmyślenia rozwinęły je. I podróże! Poznawszy z bliska porządki u obcych, zawstydziłem się ładu w naszym kraju i zacząłem działać. Wyniki w mych dobrach zadowalające, ale pragnąłbym dążyć do rezultatów ogólnospołecznych.

– I zyskać sławę wodza, kierownika! – zaśmiał się cicho Mortęski.

Waldemar wzruszył ramionami.

– Słowa powyższe uwłaczają pańskiej powadze, hrabio. Ja nie dążę do dyktatury, lecz do spełnienia mych idei; moje zamiary wobec ogromu potrzeb społecznych są niczym. Widzę, że jakieś nieprzychylnie prądy zaraziły hrabiego. Przykro mi, że nie mam w nim poplecznika, gdyż dla sprawy ogólnej konieczna solidarność. Ja jednak nie ustąpię, i tych, co mi zaufali, nie zawiodę. Proszę wybaczyć, jeśli byłem zbyt prawdomównym. Musiałem bronić swych zasad. Jestem pewny, że po bliższym i... samoistnym rozważeniu w innym świetle ujrzy pan moje poglądy. Pragnąłbym szczerze mieć z pana przyjaciela, nie wroga.

Ćwilecki żywym ruchem podał rękę ordynatowi.

– Co do mnie, przychyliam się zupełnie do pańskich projektów. Obiecuję współdziałanie w kwestii oświaty, nie dla ambicji, lecz dla potrzeby, jaką odczuwam. Ale kierunek oddaję w ręce pana, gdyż nie jestem zbyt kompetentny – chyba moje kobiety?... Może i do kółek, jeśli je pan zdoła zaprowadzić, zapiszę się również, o ile będę przydatny.

Waldemar serdecznie uściskał mu rękę.

– Dziękuję panu za dobre chęci.

Zadzwoił.

– Śniadanie podawać!

– Gotowe – odrzekł służący Andrzej.

– Panowie pozwolą.

Przy stole rozmawiano o rzeczach pobieżnych. Hrabia Mortęski był trochę jak złapany.

Gdy w godzinę potem lando z Szal okrażało dziedziniec zamkowy, Waldemar, patrząc za nim, szepnął do siebie:

– Knowania Barskiego. Tęgi wróg!

XXVI

Znikły ostatnie ochłapy śniegu.

Natura gotowała się do przyjęcia wiosny.

Słońce, uśmiechnięte, rozparzone, spuściło się niżej, cisnęło na ziemię zdroje gorących zarzewi, namiętnych uścisków. Grzało ją, piekło lubieżnym płomieniem.

Rozdyszał się cały świat!

Suche wiatry przelatywały pola, tłukły po miedzach i drogach, zgarniając niby grabiami błoto na swe barki. Szumy poszły potężne i dzikie gwary przyrody. Łomot pękających lodów, trzask łamanej kry huczał jak podziemny grom. Walka gigantów – wzburzonych wód – ze skorupą lodową.

Zwyciężyły nabrzmiące fale.

Jak wrzątek wewnętrzny rozrywa wulkan, tak spienione wody przedarły twarde pancerz, rozlały się na nim i biorąc pod siebie miażdżyły ciężarem swych mas. Huk niedobitków lodowych zagłuszały potężne ryki rozpasanej wody. Z głośnym chlupotem waliły zwichrzone strumienie, rwąc potokami z pól, warcząc jak bestie wściekłe na słońce, że je wywłaszcza z rowów i kałuż. Stargane, brudne, wpadały niby zmije do rzek i jezior. Wody rzeczne wznosiły się nad poziom. Zajadłe strumienie parły je z boków, wżerały się w nie, niosąc na swych talach muł, odłamki gałęzi i suche trawy.

Słońce pędziło wody, wichry smagały je z żywiołową siłą, rozpędzając, dusząc, aż przerażone ukryły się na dno rzek, wsiąkły w rolę.

Nie zamarły. Zaczęły rozmiękczać skostniałe grudy, wirować w żyłach ziemi. Pokorne już, poddane, pomagały słońcu w robocie.

Wieczory nastały ciepłe. Spadły obfite rosy.

I namiętność buchnęła z ziemi, dreszcze ją przeniknęły. Z potężnych płuc ziały rozkosznie białe opary.

Skłębione słupy mgieł tłoczyły się z piersi rozgrzanej gleby. Wieczorem, w nocy, aż do wschodu słońca kurzyło się na polach. Opary przewalały się na łąkach, omotując lasy bałwanami sinawej piany. Delikatne włókna pełzały nisko na bagienkach, przy księżycu lśniły jak sproszkowane srebro.

– Ziemia dymi! – woła przyroda.

– Ziemia dymi! – krzyczą ptaki.

– Chwała jej i cześć!

Wrzask radości zabrzmiał w przestworach świata.

Wichry, jak dzikie ptaszyska, przycichły, zmęczone hulanką.

Zapanowało wszechwładnie słońce, haftując drogocenne tkaniny z blasków na powijaki dla nowo poczętej.

I nadeszła!

Z łona matki wyjrzała na świat młodziutka, piękna, omotana opalowymi mgłami, spowita we wstęgi słoneczne.

Chucha na nią matka-ziemia, kołyszą ciche prądy powietrzne i rośnie w cudną boginkę, i potężnieje.

Aż wyzbyła się powijaków.

Wielki szum pochwalny świat rzuca do jej stóp, przyroda składa hołd, błagania biegną do niej i uśmiechy poddanych.

Unosi się wysoko, poprzedzana przez pazia-skowronka. Pierwszy baletnik ptaków rozsypuje na świat delikatne treliki dźwięczące niby perły wśród różanej konchy.,

I białe sztandary bocianów powiewają bogince; rozgłośne chóry żabich wieców niosą jej swą pieśń.

Klucze żurawi zawodzą dla niej nieszpory.

A za nią idzie czar.

Wiosna płynie w górę. Całą garścią czerpie ze skarbnicy słońca kolorowe pyły i sieje na ziemię. Złoto ciska na jaskry, błękit na niezapominajki, białe obłoczki rozdrabnia na przy-laszczki. Gwiazdy ma w dłoni, kruszy je i sypie, sypie bez miary. Tworzy kobierce, tka złoto-głów, splata wianki.

Namiętna potęga pochłania świat. Miłość bucha z pękających drzew, wre, kipi, wrzątkiem oblewa wszystko, co żyje. Idą szeptu zmysłowe, duszne uściski...

I całusy, i dreszcze rozkoszne.

Wielki spazm rozprężonej natury pali ogniem, kołaczą podniecone tętna w ziemi, żarne pulsa.

Rozszalały się pożądania! pożoga pragnień!

A przyroda poczyną i poczyną wciąż!

Wiosna rozkwitała, rozśpiewała się.

Sama zaczęła kochać.

Coraz nowe zakłada szaty. Włosy stroi w ametystowe, aksamitne sasanki, ubiera się w biel kwitnących drzew, w rubiny smólek. W sandałkach z bursztynowych kaczeńców brodzi po lustrach źródełek, spogląda w nie tęskna, marząca.

Wpada do lasów, przywołując kochanka.

Słyszczyć moc jej głosów.

Z piersi młodzieńczych, słodkich jak jagody, wydycha płomienne westchnienia. Jej śpiew dźwiękliwy zagrział nieskończoną gamą upoistych nut. Drzewa niosą echa w dal bezkresną, przyroda słucha uroczej pieśni pani swej.

Roztęskniona wiosna szarpie naprzód ukwiecone ramiona; z gorących ust śle żalodne skargi:

– Miłości! miłości!

I strojna, rozrosła bogini czarów, z szalem w kipiącej krwi, o wieczornych zmrokach woła do księżycy:

– Pójdź!...

Splywa wielki, bladolicy, w tajemniczych cieniach baldachimów nocnych, i tuli rozko-chaną. Lśniące metalowe źrenice wpija w jej postać, przesuwają po jej cennych sukniach.

Bierze ją w ramiona i poi miłością.

I wargi jej spieczone gorączką żądzę ochładza pocałunkiem swych zimnych ust.

Szeptają razem porwani ogromną mocą kochania.

– Wiosna pragnie! – woła przyroda.

– Wiosna pragnie! – krzyczą ptaki.

– W niej pocznie – lato.

– Chwała jej i cześć!...

Wśród pól głębowickich pokrytych puszystą runią, wśród rozkwitłych lasów jeździł kon-no ordynat, szczęśliwy, pierwszy raz w życiu odczuwając tak potężnie piękność swej ziemi w krasie wiosennej. Płomiennym wzrokiem przebijał dal, nurzał oczy w zieleni, nozdrzami wchłaniał zapachy. Radosny był, upojony, duszę miał pełną rozkosznych marzeń. Pozostało parę tygodni do ślubu. Ordynat żył gorączkowo. Nigdy rodzina nie widywała go takim. Try-umf, szczęście błyszczało mu w stalowych oczach. Dawny pesymizm i ironia zginęły bez śladu. Tylko pełne usta, palące jak krew, zachowały nieco wyrazu satyrycznego. Lecz to nie raz było, przeciwnie – z energicznym zagięciem brwi i jak zwykle trochę niedbałym układem całej postaci tworzyło nadzwyczajny a pyszny kontrast. Jeżdżąc na czarnym, ognistym Apol-lu, marzył o Stefci. Kochał ją tak bezmiernie, że prawie spoiła się z jego nerwami, wzrosła w

duszę. Miał ją w oczach, w myśli, w sercu. Prócz fotografii w medalionie i gabinetowej, które nosił przy sobie, miał jej portret nad biurkiem, w białej zaręczynowej sukni i w perłach od niego. Patrząc na podobizny Stefci podniecał się jej pięknnością, doznawał wstrząsających wrażeń na wspomnienie prędkiego połączenia się z tak ukochaną dziewczyną. Na Apollu pędził po polach, gnany nieprzepartym warem temperamentu, z którym nie mógł sobie jakoś dać rady. Puszczal wierzchowca w cwał, podniecając go ostrogami, przesadzał rowy, wspinał się na góry, przeskakiwał płoty, szalał trochę. Ogarniała go zawadiacka, pełna życia fantazja. Młoda krew polska, w której kipiały i krople węgierskie, odziedziczone po prababce, rozhułała się w nim. Żarem sypały szare jego oczy, płomień ogarniał twarz, brwi ściągała wielka energia. Jego nozdrza i usta poruszane były gwałtowną siłą namiętności, zdającą się go rozsa-
dzać.

Apollo, jakby rozumiejąc usposobienie swego pana, rwał naprzód, nie zważając na przeskody, również pełen fantazji. W lansadach przesadzał rowy, kopyta jego zawisały często w powietrzu, chrapy ziały ogniem. Gibkie, suche nogi araba zdawały się w biegu ziemi nie dotykać. Pan pobudzał wierzchowca, wierzchowiec pana, w jednym i w drugim szlachetna krew rozigrała się, unosząc ich burzą zapału.

Pewnego dnia w czasie takiej jazdy spotkał ordynat pannę Ritę także na koniu. Powitał ją wesoło. Ona patrzyła na niego chwilkę, wreszcie rzekła:

– Szaleje pan, prawda?...

Spod wąsów i pąsowych warg błysnęły jego białe zęby w uśmiechu.

– Szaleję? to za mało: wściekam się!

– Jaki pan szczęśliwy! – szepnęła z westchnieniem. – Kiedyż pan jedzie do niej znowu?

– Do Stefci? Już przed samym ślubem, czyli za dwa tygodnie. Zabiorę ją z Ruczajewa.

– Więc ślub stanowczo w Warszawie?

– Tak, ósmego czerwca. Jutro jadę do stolicy.

– Pan? po co?

– Kupić brylanty dla Stefci. Chcę, aby miała ode mnie, prócz rodowych klejnotów. A kiedy ślub pani?

– Och, mój!... W lipcu. Alf nasz będzie cichy, w kaplicy w Obrońnem. Za to pański pewno błysnie w Warszawie niepowszednio.

– Stefcia chciała cichego ślubu, ale przekonałem ją. Urządzą najuroczyściej, to jest najwspanialej, bo uroczystość będzie dla nas sama przez się wielka.

– Zapewne! powinien być przepych, aby odpowiadał szczęściu i podrażnił arystokrację.

– To jest mi najubożniejsza.

– Zabierze pan swoje konie i ekwipaże?

– Tak, biorę cztery czwórki i karety.

– A ślub o której porze?

– Wieczorem u Wizytek, potem wieczera w pałacu babki Podhoreckiej, a rano wyjazd nasz do Głębowicz. Na waszym ślubie będziemy obecni już oboje. Cóż porabia pani narzeczony?

Panna Rita zaśmiała się.

– Ach! Edward paradny! Urządza Ożarów. Muszę go mitygować, takie zaprowadza awantury – przede wszystkim osobną stajnię dla mnie, bo zabieram swoje konie. Trestka bardzo dobry człowiek. To mię rozczuła, że on mnie bajecznie kocha.

– To prawda – potwierdził Waldemar – przy tym człowiek istotnie dobry i pani już go trochę utemperowała.

– Dziękuję za komplement! Nie marzyłam nigdy o mężu, którego musiałabym temperować.

– Ale potrafiłaby pani każdego.

Panna Rita trochę wyzywająco spojrzała na ordynata.

– No, pana chyba nie?
Uśmiechnął się.
– Och! ja się nikomu nie dam utemperować.
– A Stefcu?
– Ona mię łagodzi w inny sposób, uspokaja – to co innego.
Rita wskazała ręką na odległy las.
– Niech pan patrzy, jaka ładna tęcza. Wyjechałam z domu po deszczu i zaledwo teraz ją widzę. Pan chyba nie z Głębowicz jedzie?
– Byłem na folwarku Orlin, wracam, ale tęczę już widzę dawno.
– Taka nad wami świeci, prawda?
– I nad wami także.
– Głupstwo! w znaczeniu uczuć ludzkich nie ma żadnego zastosowania.
– Owszem, ma! to jakby załamywanie się blasków tych właśnie uczuć na miniaturowych kropelkach wzajemności, w atmosferze zgodnych i świetlnych warunków. Im ona jest szerszą, więcej barwistą, gdy się nie widzi końca, wówczas daje szczęście ogromne. Zawsze jednak lepiej nie analizować się zbyt, nie rozbierać się na atomy – niech pani o tym pamięta. Tęcza w całości jest nie za przeciętną, lecz podana zbyt ściśle sublimacji – może spłynąć jedną kropelką zimnej wody i zamarznąć w kryształek, raniący serce. Jaką bowiem ona jest, to kwestia siły poprzedzających ją burz, ale już jest sobą; gdy się chce ją rozdrabiać, wyjdzie parodia.
– Dobrze pan to objaśnił – zawołała Rita – ale u nas taka tęcza ogarnia Edwarda, lecz nie mnie.
– On ją do pani dociągnie – uśmiechnął się Waldemar.
– Zresztą i pan ją analizował, a jednak pozostała sobą.
– Nie, ja tylko analizowałem burze swych uczuć poprzednich. Szczęście rozciągnąłem sam nad naszymi głowami i już wierzę w nie. To samo i pani radzę.
– Ha! może! ale u nas będzie zawsze mniej świetna.
Pożegnali się. Waldemar popędził cwałem. Panna Rita kłusowała w przeciwną stronę. Pochyliła głowę prawie na szyję Buckingham, szepcząc namiętnie:
– Zawsze pyszny! zawsze ten nieuchwytny czar w nim!... Leżałabym u jego nóg, chciałabym zostać jego służką, niewolnicą, byle jego... byle do niego należeć.
Biedny Trestka malął w jej oczach, kurczył się, karłowaciał.
Waldemar powrócił do Głębowicz. Krzątano się tam nadzwyczajnie. Z polecenia ordynata w parku, w ogrodach kwiatowych, na tarasach miało być jeszcze piękniej niż każdego roku. Główny ogrodnik-botanik, znakomity dekorator, z pomocą zastępu ogrodników, chłopców ogrodowych i mnóstwa ludzi pracował od świtu do nocy. Służba cieszyła się, oczekując młodej pani z upragnieniem; znali ją już wszyscy i kochali, jak kto umiał.
W Słodkowcach było również weselej. Pani Idalia powróciła z Lucią z Francji w lepszym usposobieniu. Nie mogła już okazywać niezadowolenia, patrząc na zupełny spokój ojca i księżnej. Lucia pisywała do Stefcu gorące, egzaltowane listy. Czekala ślubu niecierpliwie, ciesząc się, że młodzi Michorowscy nie wyjadą w lecie za granicę. Riwiera nie wpłynęła na dziewczynkę dodatnio, nie pozostawiając nawet zbyt miłych wrażeń – głównie dlatego, że Lucia w niewesołych była warunkach, bo w ciągłej rozterce z matką. Powróciła prawie chora na nerwy. Uspokoili ją Słodkowce i Waldemar. On stał się dla niej jakimś bożyszczem. Okazywał jej więcej serdeczności niż dawniej, bronił ją przed matką i otaczał swą opieką. Lucia miała przed kim zwierzać się, ufała Waldemarowi bezwzględnie. W jednym z listów do Stefcu chwaliła się łaskami ordynata. Stefcu to ogromnie ucieszyło. Myślała o Luci zawsze jak o siostrze. Niepokoiła ją jeszcze pani Idalia.
Ale baronowa miała swe zasady wyłączne.

XXVII

Stefcia żyła teraz gorączkowo, w ciągłym podnieceniu. Zbliżająca się chwila małżeństwa z ordynatem wstrząsała nią, niepokój rozkoszny przenikał jej nerwy. Ale czasem niepokój ten zmieniał się w stan trwożliwy, napępiał ją smutkiem. Była narzeczoną ordynata, lecz nie mogła wyobrazić sobie żoną jego. Zdawało jej się to szczęściem tak wielkim, że aż zabijającym. Odczuwała rozkwit wiosny, upajała się nią, jak przed rokiem w borku w Słodkowcach, ale już inaczej. Może jeszcze poetyczniej, lecz nie tak swobodnie – trochę smutniej. Sama nic pojmowała tego objawu, dziwiła mu się, nie mogąc wykorzenić z siebie. Jakiś nieuchwytny lęk cieniutką siecią omotywał ją coraz więcej. Miewała wizje, które ją przerażały i wsączając się w jej duszę, rodziły mętne przeczucia.

I tęsknota! Stefcia tęskniła do Waldemara.

A tęsknota to jakby wielka chmura rozmaitych odcieni uczuć... to wielka czara pierwiastków rozmaitych wrażeń... to gołąb pocztowy miłości...

W tęsknocie są uczucia ciche, słodkie, są nieme, lecz tkliwe rozrzewnienia, jak zawsze jakiś pyłek żalu, odrobina goryczy i skarga. Gdy się tęskni, różnorodność wrażeń jest tak wielka, że się samemu nie wie, co nam jest, ho można być jednocześnie i wesołym, i smutnym, i tklwym, i szorstkim, a wszystko się zamyka w jednym słowie – tęsknota!

Listy od Waldemara, długie i gorące, uspokajały Stefcię. Ale zaczęła wkrótce odbierać inne... jakieś anonimy. Nie mówiła o nich nikomu, lecz niepokój wzmógł się. Czatowała na pocztę wylawiając z niej często coś dla siebie straszego. Z każdego takiego łachmana podłości ludzkiej dowiadywała się, że jest szlachcianeczką, parwienuszką polującą na miliony ordynata, na jego nazwisko i mitrę w herbie; że marzy o tytule ordynatowej.

W innym znowu starano się ją przekonać, że ordynat poślubia ją głównie dla powetowania przeszłości, że chce naprawić błędy dziadka, ale że popełnia mezalians, sam to rozumie i nie ukrywa się z podobnymi zdaniem wśród arystokracji.

Stefcia nie wierzyła, lecz jad zatrzał jej duszę.

Truciznę zadawano biednej Stefci stale. Męczyła się, badając swe czyste sumienie. Kilka razy chciała napisać do Waldemara o anonimach, lecz bała się. Gwałtowny charakter ordynata mógł tu bardzo wybuchnąć, pominałszy wrodzony takt i zimną krew jego. Stefcia nie chciała narażać Waldemara. Anonimy, pisane dość śmiało, zdradzały nawet autorów. Stefcia odgadywała w nich tylko Barskich i hrabinę Ćwilecką, wiedząc, że do napisania anonimu trzeba wyłącznego talentu i bardzo małej uczciwości. Nikt więcej z arystokracji nie zdobyłby się na tak brudną intrygę. Stefcia była niemal przekonana, że się nie myli co do autorów. Ale intrygę prowadzono wybornie. Coraz inne charaktery pisma zdołały oszołomić Stefcię. Listów takich otrzymała cztery i zwątpiła o uczciwości ludzkiej, posądzając już więcej osób nad Barskich i Ćwilecką. Nie było w tych listach brudnych słów, jak często w anonimach, lecz brudne myśli, wypowiedziane w eleganckiej formie. Autorzy anonimów nie podszywali się pod miano dobrych przyjaciół – przeciwnie, wypowiadając śmiało swe ostrzeżenia, rzucali jej obelgi z bezwzględnością panów świata! Każdy elegancki, zaprawiony ironią zwrot ranił Stefcię, każdy tchnął nienawiścią sferową. Każde słowo było obliczone, aby ją zmiażdżyć! Stefcia szarpała się w walce z sobą. Miłość dla Waldemara, pragnienie szczęścia dla niego i obawa, aby jej miłość nie zatrzała jego spokoju – borykały się w straszny sposób. W rozgorączkowanej imaginacji Stefcia widziała Waldemara zmęczonym, nieszczęśliwym. Dręczyły ją te wizje. W jego uczucie wierzyła święcie, wiara w niego w jej duszy nie zachwiała się ani razu, lecz obawy rosły, by nie zostać nieszczęściem jego życia. On ją obroni od wszelkich napaści, ale czy sam zdoła się ukryć przed nimi? czy go nie zatrują, czy przebaczą mu jego odstępstwo?... Więc będzie się męczył, zdusi w sobie żal do swoich, który z czasem pod wpływem goryczy może się zmienić w żal do niej samej. Więc czy ona ma prawo narażać go

dla własnej miłości?... Czy potem los nie obmyśli zemsty dla niej? Czy życie całe odpowie szczęściem obecnej chwili?

– Boże! Boże! dodaj mi sił! prowadź! daj zmiłowanie!

Stefcia rozpaczliwie chwytiała się za głowę, łapiąc powietrze w spalone wargi. W chwilach najstraszniejszych pisała do Waldemara długie, szczere listy, lecz wysłać ich nie miała odwagi. Chowała wszystkie do biurka. Jej zdrowie zaczęło niknąć, bóle głowy męczyły ją dolegliwie. Państwo Rudeccy, nie wiedząc nic o anonimach, nie pojmowali usposobienia Stefci, domyślając się jedynie, że to wpływ bujnego temperamentu dziewczyny, jej miłości i tęsknoty za narzeczoną. A może bliskość małżeństwa z Waldemarem działała na nią tak podniecająco.

O tym, że Stefcia boi się trochę sfery ordynata, państwo Rudeccy wiedzieli, ale widując ją w otoczeniu arystokracji nie sądzili, żeby te obawy mogły być zbyt silne. Energia ordynata, jego pewność siebie, miłość dla Stefci, zresztą wybitne stanowisko pośród własnej stery usuwało wszelkie wątpliwości, że on potrafi ocalić Stefcię. Pan Rudecki wiedział od panny Rity o przebiegu walki ordynata z rodziną w Obronnem w łagodniejszej trochę formie i zwycięskim stanowisku Waldemara. Pan Rudecki był pewny szczęścia córki. Jednakże ordynat, bawiąc w Ruczajewie w czasie świąt, prosił go, aby nie dopuścił do Stefci anonimów, które mogą być przysyłane. Nie miał pewności co do tego, ale ostrzegał na wszelki wypadek, przeczując zemstę Barskich. Anonimy jednak dochodziły do Stefci, posypały się jakby umyślnie, kiedy już czujność pana Rudeckiego osłabła. Stefcia, czytając te listy, nieraz chciała je poszarpać, lecz ból i jakaś ironia nie pozwalały jej na to.

Ciągła walka, zmaganie się różnych, a jednakowo silnych uczuć trawiło ją. Zbladła, oczy przygasły, nie sypiała po nocach. Usta, zawsze pąsowe, świeże, miał teraz spieczoną wewnętrzną gorączką. Stała się niesłychanie drażliwą. Po całych dniach przebywała z listami Waldemara w ogrodzie lub w polu. Często z nieskończonych swych wędrówek przynosiła pęki kwiatów i rozkwitłych gałęzi drzew. Usposobienie Stefci z każdym dniem stawało się gorsze. Przed rodzicami ukrywała swój ból widząc, że się smucą jej wyglądem. Tuliła się do nich, tłumiąc łzy. Tylko Jurek podpatrzył parę razy, że płakała, lecz ona uprosiła go, aby nie mówił rodzicom.

– Mamie i ojczusiowi nie powiem, boby się zmartwili – odrzekł rezolutnie – ale do pana Waldemara napiszę, jak jeszcze raz zobaczę, że beczysz. Poczekaj, on ci da dobrą burę. Cóż to! będziesz mi tu wyprawiała beki, mając takiego narzeczonego? Taki dzielny i dobry, a ona jeszcze nierada? niewdzięcznica jedna! Żebyś za tego Trestkę szła za mąż, to i ja bym beczał razem z tobą, bo mu ciągle binokle z nosa lecą, a on podnosi i takie brzydkie miny robi. Ale za ordynata? – ej, Stefa, Stefa!

– Jurku, nie dokuczaj mi, proszę cię. Widzisz, jakiś ty niedobry? – żaliła się rozdrażniona Stefcia.

– No, już nie będę, nie tylko nie becz. Dlatego pan Adam dobrze mówi, że arystokracja to nicpotem. Na ordynata niby inaczej patrzy, ale zawsze i on z nich, a pan Adam mówi, że nigdy nie wiadomo, co arystokrata ma za skórą.

Stefcia rozplakała się. Chłopak przypadł do jej kolan i obejmując ją wołał żałośnie:

– Stefciu! Stefulu! nie płacz! Ja głupi jestem i pan Adam też. Już nigdy nic nie powiem na arystokrację, tylko nie płacz. Kwiatów ci narwę, Stefa. W gimnazjum będę mądrzejszy.

Tak się zawsze kończyły napaści Jurka na Stefcię. Chłopak z dumą opowiadał wszystkim o mającym nastąpić po wakacjach wyjeździe do szkół warszawskich i nawet nauczycielowi nie pozwolił nad sobą przewodzić. Chwalił się, że ordynat obiecał mu pokazać stajnię i psiarnię głębowicką. Jurek był to urwis co się zowie, ale dobry chłopak; kochał obie siostry, chociaż małej Zosi często dokuczał, wydając za mąż jej lalki w taki sposób, że od ślubu wracały z powykręcanyimi nogami i rękoma.

– Widzisz, bo to drugi narzeczoną je odbijał – tłumaczył Jurek zmartwionej dziewczynce.

Sam rozkoszował się wspaniałym kucem w pełnym rynsztunku, którego dostał od ordynata na imieniny.

Dla Stefci miał cześć wyjątkową i był jej wdzięczny za to, że nie odrzucała jego towarzystwa na przechadzkach.

Chłopak usługiwał siostrze z zapalem. Gdy Stefcia rysowała kredkami z natury widoki ruczajewskie, nosił za nią przybory malarskie i wyszukiwał najpiękniejsze miejsca do szkicowania. Ale gdy Stefcia próbowała węglem zrobić z fotografii portret ordynata, ciągle jej przeszkadzał, wołając:

– Niepodobny! Peckasz. Wstydź się tak mazać narzeczonego.

Pewnego popołudnia Stefcia otrzymała list od Waldemara z Warszawy. List ten wstrząsnął nią.

– Za dziesięć dni nasz ślub? Tak prędko! – zawoła zdumiona.

I nagle wydało jej się to takim niepodobieństwem, że aż powtórzyła drugi raz:

– Za dziesięć dni mój ślub z nim – z Waldemarem... z Waldym...

A po chwili dodała ciszej, jakby z przestachem:

– Z Waldemarem Michorowskim, ordynatem głębowickim... czy to możliwe?...

Zamyśliła się z trwogą w sercu.

On przyjedzie, zabierze ją do Warszawy, pojedą wszyscy... ona zostanie jego żoną... Michorowską... A co będzie potem?... szczęście czy niedola?

Chodziła po ogrodzie rozgorączkowana. Pod jej stopy padały białe kwiatki wiśniowych kwiatów, ścieląc się jak ślubny kobierzec. I woń płynęła słodka z rozkwitłych drzew. I ciepłe a trzeźwe prądy przenikały powietrze. Stefcia chodząc zamyślona, spoglądała na ćmę krążących motyli, słuchała brzdęku pszczoł i gwizdu wilgi. Czasem zagruchał dziki gołąb lub zaświstał kos. Wszystkim tym głosom wtórowała kukułka.

– To było przed rokiem w borku w Słodkowcach – myślała Stefcia – tak jest i w parku głębowickim. Już wkrótce ja tam zostanę na zawsze z nim. Waldy ze mną!... Boże! ile zmian przez ten rok, ile szczęścia!

Stefcia powróciła do swego pokoju, niosąc pęk świeżych rozkwitłych konwalii. Pokoik jej wyglądał jak jeden ogród, bo ordynat co tydzień przysyłał narzeczonej kwiaty z Głębowicz albo z Warszawy. Przysyłał nawet z Petersburga, gdzie bawił kilka dni w sprawach towarzystwa rolniczego. Jurek nanosił do pokoju siostry mnóstwo kwiatów polnych i całe misy rozkwitłych niezapominajek oraz nenufarów; z wielkim trudem wyławiał je ze stawu. Nawet Zosia obdarzała ją czasem garstką zmiętych narcyzów, mówiąc ze smutną miną:

– Ty już pojedziesz od nas z tym ładnym panem. Zosia ci narwała kwiatków, żebyś ją kochała. Będiesz?

Stefcię takie dowody pamięci małego rodzeństwa rozrzewniały bardzo i ujrawszy kilka bratków na stoliku, związanych trawą, pomyślała z uśmiechem.

– Pewno prezent od Zosi. Pójdę się z nią pobawić.

Ale myśl jej skierowała się w inną stronę. Stefcia otworzyła szafę. Wisiała w niej suknia ślubna, przysłana przed paru dniami z Warszawy. Wyjęła ją i rozłożywszy na kanapce, zaczęła oglądać. Suknia była śliczna. Na białym atlasie rzucona, cieniuchna, przezrocza gaza, matowa i piękna, przeświecała delikatnie świeżym połyskiem. Bardzo długi tren w jedwabistych zwojach gazy dodawał sukni dziwnego majestatu. Stefcia ułożyła na sofce zgrabne atlasowe pantofelki i stała zamyślona, patrząc na tę szatę jaśniejącą, niby anielską. Nagle otrząsnęła się i zawołała do siebie głośno:

– Włożę ją. Zobaczę, jak będzie.

Zaczęła się ubierać, ale z trudnością mogła sobie poradzić z masą gazy i atlasów. Jednak włożyła cały strój ślubny, nawet niezmiernie długi welon upięła na głowie, ubierając konwaliami w girlandkę. Wieniec ślubny i kwiaty przy boku miała mieć z pomarańczarni głębowickiej zupełnie świeże.

Gdy w wysokim lustrze zobaczyła odbicie swej postaci, radosny uśmiech okraszył jej bladą twarzyczkę.

Długi czas oczu nie mogła oderwać od zwierciadła. Suknia, wytwornie, ale skromnie zrobiona, leżała na niej z wykwinną elegancją. Opływały ją gazy jak białe mgły, jak obłoki przejrzyste i powiewne. Delikatne jedwabne fale welonu tworzyły cudne a niepochwytnie tło dla jej stylowej główki w masie włosów, połyskujących złotem, i dla jej rysów, rzeźbionych subtelnie, z artyzmem, jakby z jednej perły w przedświcie jutrzeńki. Stała tak młoda, wiotka, tchnąca czarem, jakby przed chwilą sfrunęła z obłoków, tych tam różowości i delikatnych lazurów górnych. Oczy jej rozbłysły szczęściem.

– Dla niego się tak ubiorę – myślała z rozrzewnieniem. – Co on powie, jak mię taką zobaczy?

Zmrużyła oczy i ujrzała w wyobraźni Waldemara niby żywego. W czarnym fraku, z białym gorse, z kwiatem pomarańczowym w klapie, nachylił się do niej i powie tym swoim dźwięcznym barytonem:

– Jedyna moja, malutka! Jakaś ty urocza, cudzie mój!...

I zadrzą mu jego pyszne usta, poruszą się nozdrza i cała twarz męska, szczupła nabierze znanego Stefci wyrazu słodczy, którą tylko ona wywołać potrafi w tych energicznych ryśach. W szarych źrenicach błysnie mu tryumf i duma, rzut gorącej krwi ożywi jego smagłą cerę. On ją zdobył, on ją będzie miał.

Stefcia, uśmiechnięta, otworzyła oczy i szepnęła cichutko:

– Za dziesięć dni już! już! Czego się boję?... Tyle szczęścia!

Weszła pani Rudecka. Krzyknęła lekko na widok córki. Chwilę stała zapatrzone i wyciągając do niej ręce zawołała:

– Jakaś ty śliczna, Stefciu!

– Czy i on to samo powie, mamó? i Waldy?...

– Śliczna jesteś, twój Waldy zachwyci się tobą na nowo.

Ukazał się pan Rudecki z listem w ręku.

– Stefciu?... Aa!

Popatrzył na córkę rozradowany.

– Wspaniała jesteś!

– Pani ordynatowa Michorowska – rzekła przeciągle matka, lubując się trochę brzmieniem tych słów.

Stefcia drgnęła. Ojciec objął ją i pocałował.

– No, jeszcze teraz jest Rudecka, nie tytułujmy jej przed czasem – rzekł z marszem i wręczył córce list.

– Patrz, drugi list do ciebie. Ale to nie pismo ordynata. Znalazłem go zaledwo teraz między gazetami.

Stefcia spojrzała na adres. Koperta była elegancka, charakter ładny, ale nieznajomy.

– Od kogo? – spytała matka.

– Chyba... ze Słodkowic.

Wymieniła umyślnie Słodkowce, wiedząc jednak, że list nie stamtąd.

– Rozbiorę się najpierw.

Pan Rudecki wyszedł. Matka pomogła Stefci zdjąć suknię, ucałowała ją i również oddaliła się. Stefcia gorączkowo rozcięła kopertę.

Spojrzała na podpis – nie było go. Zamiast nazwiska stało wyraźnie:

„Jeden za wszystkich”.

Anonim.

Stefcia ścisnęła dłońmi skronie, zagryzła usta i zaczęła czytać z mocno bijącym sercem:

„Łaskawa pani! Niesłychanie zdziwieni jesteśmy, że pani pomimo tylokrotnych ostrzeżeń decyduje się zostać żoną ordynata Michorowskiego. Pomijamy egoizm, który po-

zwala pani na ten krok zbyt śmiały. Dla własnych butnych dążeń, dla zadowolenia wygórowanych ambicji nie waha się pani unieszczęśliwić ordynata. Pod wszelkimi pozorami szczęścia ordynat stanie się człowiekiem zdruzgotanym. Zabierze mu pani swobodę, zmniejszy do minimum jego stanowisko społeczne, bo w kursie światowym straci ono swój blask. Ordynat nie rozumie, na co się naraża, za wielką czyni ofiarę dla powetowania przerwanej miłości swego dziada. Z takimi skandalikami ani pan Maciej Michorowski, ani obecny ordynat nie liczyli się nigdy. Ordynat jest zaślepiony, uroda pani podnieca go, nie mógł pani zdobyć na kochankę, więc zdobywa w ten sposób, nie rachując się z następstwami. Przyjdzie czas opamiętania i wtedy przeklnie chwilę, w której zgodził się na ten krok szalony. Sfera mści się za naruszenie jej praw. Nie wolno targać się na jej tradycję uświęconą przez wielki! Kto z nią walczy, poniesie porażkę!... Niech pani nie liczy na uprzejmość naszą dla niej jako ordynatowej *Ce ressemble un peu mai!*²⁰... Pierwsze miesiące będziecie wystarczać sobie – zwykły szął *du mois de miel!*²¹ – ale gdy upojenie ordynata minie, prędko zrozumie, że wpadł w pułapkę. Jeśliby chciał bezczelnie wprowadzić panią w nasze sfery, proszę być pewną, że my jej nie przyjmujemy. Na gruncie neutralnym spotykaliśmy się, i to było możliwe, ale bliższe stosunki łączyć nas nie mogą. Ordynat przekona się o tym za późno! Jego dzisiejszą energię złamie fakt, który da mu w całej pełni odczuć popełniony absurd. A wówczas i pani położenie będzie smutne. Pani dla arystokracji jest i pozostanie trędowatą, mimo swej piękności. Ostrzegamy ostatni raz.

Jeden za wszystkich”.

Stefcia wyprostowała się.

Ciężary waliły jej w mózg, gorąco i dreszcze przebiegały jej członki. List włożyła do koperty, zmiała gorączkowo, wsuwając go do biurka prawie machinalnie. Przeciągnęła ręką po czole. Dłoń była zupełnie mokra. Zaczęło jej mącić się w oczach, poczuła lekkie mdłości, w głowie huczały gromy.

Podeszła chwiejnie do okna i mętym wzrokiem popatrzyła na ukwiecony ogród.

– Trędowata! – szepnęła z bólem.

Nagle zaczęła się śmiać, strasznie śmiać... Głuchy jęk i śmiech wybuchał z jej piersi.

– Oni kłamią! kłamią! – wołała zanosząc się od śmiechu – oni się go boją! oni jemu ustąpić muszą! muszą! muszą!... on nie dopuści!... on ich zmoże!... boją się go! boją! Och!... och!...

Usiadła na łóżku, uspokoiła się i umilkła. Twarz jej poczęła się krzywić kurczowo, jak u dziecka przed płaczem; oczy zupełnie mętne, nieprzytomne utkwiała w dużej fotografii narzeczonego, stojącej na biurku wśród kwiatów, i szeptała coraz ciszej, pieściwym głosem:

– Waldy... Waldy mój... czyja cię unieszczęśliwi?... ty dzielny!... ty mię kochasz! ty! ty!...

Brwi jej podniosły się na zroszonym czole i skupiły, tworząc bolesny łuk, usta drgały, opadając na dół.

– Waldy... Wal... dy... – wyjąknęła i nagle zanosła się spazmatycznym płaczem.

Głowę rozpaloną, w której krew buchała zbitym wałem, wtuliła w poduszki, a płacz straszny, rozpaczliwy płacz, idący z każdej kropli krwi, z każdego włókna nerwów, płacz z duszy, płacz z serca wstrząsnął nią jak orkan rozwścieczony.

To był płacz całej istoty, olbrzymi! siłą swą mogący rozdzierać kamienie, najtwardsze skały!

W mózgu miała tysiące młotów.

Ogarniał ją ogień.

²⁰ *Ce ressemble un peu mai!* (fr.) – To niepodobna!

²¹ *du mois de miel* (fr.) – miodowego miesiąca

XXVIII

W Warszawie, w pierwszorzędnym hotelu w restauracji siedział przy stoliku ordynat i Brochwicz. Waldemar nie jadł, tylko pił dużo. Był trochę ponury. Kolacja męczyła go.

– Więc jedziesz jutro? – spytał Brochwicz.

– Myślę dziś nawet.

Brochwicz spojrział na zegarek.

– Zdążyłbyś, ale to głupstwo! radzę jutro. Załatwiłeś wszystko?

– Najzupelniej.

– Ja także. No to przez jutro się powalęsamy, odwiedzimy znajomych, a wieczorem w drogę. Wszak twój ślub za tydzień?

– Tak, jadę prosto do Głębowicz, wysyłam konie, karety, kwiaty, daję ostatnie polecenia i sam do Ruczajewa.

– Po narzeczoną – dodał Brochwicz. – Ej! szczęśliwyś ty, człowieku! Żenicie się wszyscy *en foule*²², tylko ja trwam w celibacie.

Waldemar podniósł do ust kielich z szampanem.

– Któż ci broni iść w nasze ślady, mój drogi? – rzekł poruszając brwiami.

Brochwicz machnął ręką.

– Zanadto mię interesują wszystkie kobiety, żebym sobie miał wybrać jedną.

– Działo się to samo i ze mną, a jednak widzisz – jestem u mety.

– Bagatela! twoja Stefcia to złota rybka, można się było na nią wziąć. Jakież kupiłeś brylanty?

– Pokażę ci.

– Wiesz co? chodźmy już na górę, diablo nudna dziś ta sala! Nikogo znajomego, ładnej kobiety ani na lekarstwo – co mamy tu robić?

Ordynat powstał, jakby znużony, i wyszli.

W numerze Waldemar pokazał Brochwiczowi klejnoty. Był tam sznur z brylantów na szyję, kamienie miały wielkość laskowych orzechów; stosowna brosza z brylantami i wielkim szmaragdem, bransoleta, diadem do włosów i duże butony koleczyków. Wszystko z kamieni pierwszej wody. Artystyczna oprawa tworzyła pajęczynową siatkę, podtrzymującą łuny głębokich ogni tylko spod spodu.

Brochwicz oglądał ciekawie, kręcił głową, wreszcie rzekł:

– No! ależ wydałeś na to! Zyskała na tobie Warszawa. Nawet nie wiedziałem, że posiada podobne okazy. I oprawa bajeczna! To już pewno twój gust.

– Tak, specjalnie dla mnie robiona.

– Biedna Melania! – westchnął Brochwicz – żałuję jej szczerze: ona taka łasa na te kamyczki. Tylko dla niej twoje miałyby za skromny gust. Ona woli obfitość: kilka sznurów na szyję, przepaska do włosów sięgałaby nieba, bransoleta szerokości dłoni, kolce do ramion. O! tak dla Melanii!

– Dostanie od Zanieckiego.

Brochwicz parsknął śmiechem.

– Waldy, czy żartujesz, czy jesteś nieprzytomny? Zaniecki, jeśli kupi klejnoty Melanii, to chyba za pieniądze Barskiego. On u przyszłego teścia nawet na własną wyprawę pożyczczy!

Ordynat machnął ręką.

– Prawda! – rzekł obojętnie.

Pochował pudełka, po czym dotknął ręką głowy.

– Waldy? słuchaj, co tobie jest? Wydajesz mi się dziwnym. Połóż się – rzekł Brochwicz.

²² *en foule* (fr.) - tłumnie

Waldemar chodził po pokoju widocznie zdenerwowany.

– Wiesz co, ja chyba pojedę dziś: coś mię dręczy.

– Chory jesteś?

– Ech! co znowu!

– No to zostań! To są, widzisz, takie przedślubne momenty. Ja ich nie przechodziłem, ale rozumiem, *cela va sans dire*²³ Kawalerstwo szumne, junackie idzie na strych i naturalnie ma tremę. Twoje małżeństwo ponętne, ale... ale zawsze to już tyły armii – nie kawaleria! To musi wytwarzać wielkie *charivari*²⁴ w myślach. *Veni Creator* cię wyleczy, zobaczysz.

Ordynat roześmiał się.

Zadowolony Brochwicz, że rozchmurzył przyjaciela, wyciągnął się wygodnie na sofce i założywszy ręce na piersiach, mówił wesołym głosem:

– Hej! kiedy to ja będę grzebał swoje kawalerstwo i jaką też będzie przyszła hrabina Brochwiczowa? Ciekawym! Waldy, jak ty kochasz swoją Stefcię? Czy bardzo „tniesz Platona?” – i czy ona w to wierzy? Bo ja nie. Twoja narzeczona jest inteligentna i nie zalicza się do okropnej sekty niewiniątek spuszczałsko-oczkich, a znowu twoje rozdęte chrapy potrafią uświadamiać. No, u was jest dużo ideału, ale...

– Mój drogi – przerwał Waldemar – tak ja, jak i moja narzeczona wiemy, że miłość zupełnie platoniczna pomiędzy mężczyzną a kobietą jest taką samą legendą jak kwiat paproci: oczekują na jego rozkwit, wierzą, że istnieje, ale w rzeczywistości nikt go nigdy nie widział.

– Brawo! – zawołał Brochwicz – i trzeba mieć zapaloną romantyczną głowę, aby wierzyć w to, co nie istnieje. Adam do Ewy także wzdychał platonicznie, dopóki mu z żebra nie wylaża; później podobno zmienił zdanie.

– A jednak – rzekł, ożywiając się Waldemar – przeszły wieki, przyjdą nowe, długie wieki, a miłość będzie zawsze grasowała w sercach ludzi i we krwi niezmiennie. Istniała w epoce kamiennej, krzemiennej i istnieje w dzisiejszej kulturze. Tylko zmienia wierzchnią szatę: w epokach pierwszych miała na sobie skórę zwierzęcą, w wiekach średnich – poetyczną pasterką szatę trubadurów...

– Dziś ubiera się w szelesty i złoto – dokończył Brochwicz.

– No, nie zawsze, ale i dziś jest różną: misterne połączenie przedpotopowej zwierzęcości z nowoczesną elegancją.

– A wy dodaliście i średniowieczną idyllę, co stworzyło całość wspaniałą – mówił Brochwicz. – Wasze uczucia zachęcają mnie bardzo, to jakby poemat, ale wątpię, czy ja się na takie dzieło zdobędę kiedykolwiek. Ty, Waldy, dobrze mówisz, dobrze piszesz, więc i wybornie kochasz. Ale! ale! twoje ostatnie artykuły społeczne: *Patrz na nas*, i ten drugi o syndykacie rolniczym, wywołały zgrzyt zębów u Barskiego, a oczarowały ogół. Ty masz w sobie ogromnie dużo satyry, zaciekawiasz ostrzem pióra, a łagodzisz gdy trzeba.

Brochwicz mówił dalej na ten temat, ale Waldemar już nie słuchał go. Był roztargniony i dziwny. Nagle podszedł do guzika elektrycznego w ścianie i szepnął do siebie:

– Jestem zanadto niespokojny. Nie rozumiem tego. Pojadę.

Lecz nie zdążył nacisnąć dzwonka, gdy zastukano do drzwi. Wszedł lokaj, podał ordynatowi telegram i wyszedł.

Waldemar szybko rozwinął papier. Bładość pokryła jego twarz.

– Co się stało? – zawołał Brochwicz zerwawszy się z kanapki.

Waldemar wręczył mu telegram, sam gwałtownie zadzwonił.

Brochwicz przeczytał:

“Stefcia bardzo chora. Proszę natychmiast przyjeżdżać. Rudecki”.

Lokaj wpadł zadyszany.

²³ *cela va sans dire* (fr.) – samo się rozumie

²⁴ *charivari* (fr.) – zamieszanie, tumult

– Rachunek! Pakować rzeczy! Konie na dworzec terespolski – krzyknął Waldemar. Służący wybiegł.

– Czy mam jechać z tobą? – spytał również błady Brochwicz. Waldemar wyrzucił z szafy ubranie. Był jak szalony.

– Jak chcesz! – odrzekł krótko.

Brochwicz namyślał się chwilę, wreszcie podszedł do ordynata i dotknął jego ramienia.

– Waldy... słuchaj... uspokój się! nie chcę cię pocieszać, bo skoro depeszują dość nagle, to widać dobrze nie jest. Ale... uspokój się. Dam ci taką radę: ty jedziesz zaraz, niewiele masz już czasu, więc weź z sobą, co najpotrzebniejsze; ja zostanę do jutra i zabiorę resztę, a przede wszystkim brylanty.

Ordynat rzucił się.

– Ach, brylanty! – machnął ręką niecierpliwie.

– No widzisz, ja wiem, że teraz to cię nic nie obchodzi, i dlatego wezmę klejnoty z sobą. Ty zaudało jesteś roztargniony. Ja zawiozę je aż do Głębowicz.

Wszedł lokaj z rachunkiem, dwaj inni zaczęli pakować rzeczy.

W kwadrans potem ordynat jechał na kolej. Brochwicz pozostał sam w hotelu.

Waldemar całą noc przemęczył się z własnymi myślami. Jechał sam w przedziale. Ogarniała go rozpaczliwa niecierpliwłość. Zdawało mu się, że pociąg idzie żółtym krokiem. Pędził własną imaginacją naprzód. Widział Stefcię bladą w otoczeniu ciemnozłotych włosów, rozsypanych na poduszce, aż zęby zaciskał z bólu.

– Co jej się stało?... co się stało?...

Ostatni raz ją widział w pierwszych dniach maja. Wydała mu się bledszą, ale zdrową. Przypomniawszy sobie każdy jej ruch, każde słowo, każde niemal mrugnięcie oka. Tyle miała serdeczności w oczach, jej usta poddawały się jego spragnionym ustom z dziecięcą ufnością. Tak rozkosznie drżała w jego ramionach. Cieszyła się wiosną, a on ją ubierał w pierwsze kwiaty, w ruczajewskim ogrodzie zrywał dla niej wonne gałęzie.

Przypomniawszy sobie, jak raz siedzieli oboje na ławeczce pod czeremchą. Śpiewały słowiki. On powstał, odłamał ogromną gałąź, gęsto oblepioną białymi gronami kwiatów. Odrywał je od gałęzi i jął obsypywać nimi Stefcię, aż na jej włosach, na piersiach, na ramionach poprzyczepiało się pełno perłowych gron. Obsypał jej kolana. Pęki wonnych kwiatów rzucił pod jej stopy. Ona śmiała się radośnie, patrzyła na niego spod ciemnych, niezmiernie długich rzęs i nagle rzekła z pełnym wdzięku grymasem, z pieszczotą w głosie:

– Tak mię pan zasypuje kwiatami...

Zaczął ją wtedy całować bez pamięci. Potem ona przypomniała ich spotkanie przed rokiem w borku w Słodkowcach.

– Miałam wtedy mnóstwo kwiatów, ledwo je dźwigałam. Pan nazwał to zielskiem, a mnie rusalką.

– Ja zaś zostałem wilkołakiem – odrzekł tuląc ją do siebie.

– Och! gniewałam się wtedy na pana! Za miesiąc skończy się rok... i jakie zmiany – mówiła szeptem.

– Za miesiąc będziesz moją żoną, będziemy w Głębowiczach.

Waldemar wstrząsnął się na to wspomnienie.

– Już za tydzień ślub i ona chora? Boże, co się stało?

Przypomniawszy sobie jej radość, zaraz po zaręczynach w lutym, kiedy on projektował, że po ślubie spędzą lato w Głębowiczach, a na zimę pojedą w daleką podróż po Europie, potem do Algieru i Egiptu. Jak ona się ucieszyła! Wołała Głębowicze od nie znanych sobie krajów. Tak ślicznie powiedziała:

– Do Głębowicz... z panem...

Waldemar ścisnął głowę. Silne tętna rozsadzały mu skronie.

– Co jej się stało?

Albo wówczas, kiedy odjeżdżał z Ruczajewa po świętach wielkanocnych, jak ona się o niego obawiała, że jedzie w nocy i że na drodze były jakieś miejsca niebezpieczne. Wszyscy mu odradzali, ale on spieszył na posiedzenie towarzystwa rolniczego i postanowił jechać. Dopiero potem w Głębowiczach znalazł niechcący w kieszeni palta mały srebrny medalik z Najświętszą Panną, na cieniutkim łańcuszku, kilku ściegami nitki trzymający się kieszeni. Odgadł, że to od niej. Wzruszyła go troskliwość narzeczonej i jej ciche oddanie go w opiekę Bożą.

Patrzył teraz na fotografię Stefci w medalionie i przemawiał do niej najczulszymi wyrazami, pieścił ją w myśli, tulił do siebie. W przedziale chodził od okna do okna. Drażniła go ciemność nocy, jakby tylko ta noc odgradzała go od Stefci. Waldemar stawał się chwilami szalony z trwogi.

Ranek był jasny, pachnący, wesoły, kiedy powóz ruczajewski stanął przed gankiem. Ordynat wpadł do przedpokoju. Naprzeciw niego wyszedł pan Rudecki zmęczony, z podkrążonymi oczyma.

– Co jest? czy lepiej? – wyrzucił z siebie ordynat.

Pan Rudecki powiedział głucho:

– Zapalenie mózgu. Dziś gorzej.

– Boże! – jęknął Waldemar. – Jaki powód choroby? Kto leczy?

– Miejscowi doktorzy i profesor z Warszawy.

– Kiedy zachorowała?

– We środę wieczorem.

Ordynat spojrzął jak wściekły.

– I mnie dopiero w sobotę zawiadomiliście? Jak można było?! – zawołał wzburzony.

– Telegrafowaliśmy po przyjeździe profesora. Pomoc lekarska była natychmiast. Robimy, co w naszej, mocy – odrzekł szorstko Rudecki.

– Gdzie ona?

Rudecki zgarbiony posunął się naprzód.

W salonie spotkali doktorów. Ordynat powitał ich gorączkowo i bez słowa poszedł dalej.

W pokoju Stefci, w półmroku, Waldemar obok łóżka ujrzał profesora z Warszawy; trzymał on puls chorej. Przy nim stała pani Rudecka. Szybko zbliżyła się do wchodzących.

– Cicho... śpi... – rzekła szeptem.

Witając Waldemara zaczęła płakać. Profesor wstał, powitał ordynata.

– Jak pan znajduje? – spytał Waldemar zdławionym głosem.

– Panie ordynacie... łudzić się trudno... jest bardzo źle... ale Bóg łaskaw. Robimy co można.

Waldemar ukląkł przy łóżku. Delikatnie wziął rękę Stefci, białą, zda się przezroczyście, gorącą jak ogień. Chora spała z głową obłożoną lodem, fale krwi przepływały jej przez twarz. Usta miała nieco otwarte, bardzo karminowe, spieczone gorączką, palący oddech wychodził z nich szybki, nierówny. Waldemar wpatrzył się w mizerną twarzyczkę Stefci, dłoń jej leciutko przycisnął do ust. Rwało mu się w piersi, oczyma suchymi, lecz pełnymi strasznego bólu ogarniał wątłą postać dziewczyny, która wśród poduszek, pod kołdrą rysowała się delikatnie. Włosy wysunięte spod kompresu, otaczały jej głowę ciemnozłotym wieńcem.

Waldemar klęczał długo. Oparł czoło na ręce Stefci i słyszał, jak w tej drobnej dłoni pulsowały żyłki, i odczuwał drgania nerwowe.

Obudził go z odrętwienia profesor, zmieniając okład z lodu. Widok odkrytego czoła dziewczyny, gładkiego, blad różowego, ze zmoczonymi włosami dokoła, wzruszył Waldemara. Z uczuciem rozpaczy nachylił się i dotknął ustami jej skroni.

Gdy nowy okład położono, Waldemar cicho spytał:

– Czy jest przytomna?...

– Prawie zawsze... nie – odrzekł profesor.

– Więc stan jest... niedobry?

– Groźny!... Ale niech się pan nie przeraża. Myślę, że to może przesilenie. Odciągnął ordynata na bok i patrząc bystro w jego poruszoną twarz, spytał szeptem:

– Panie ordynacie, proszę o parę szczegółów.

– Służę panu.

– Ślub państwa miał odbyć się wkrótce – tak?

– Ósmego czerwca.

– Więc już w tę sobotę. Dziś mamy niedzielę. Czy dawno widział pan narzeczoną ostatni raz?

– Przed trzema tygodniami.

– Była zupełnie zdrową?

– O tak! tylko nieco bledszą niż zwykle. Co profesor przypuszcza... jaki powód choroby?...

Stary uczony gładził brodę prędkim ruchem. Zaczął mówić niepewnym głosem:

– Hm! jakieś musiała mieć psychiczne wstrząśnienia, innego powodu nie widzę. Przebieg choroby ostry i złośliwy: chora majaczy, wypowiada słowa budzące podejrzenia.

– Jakie słowa? – zawołał Waldemar przerażony.

Wtem Stefcia poruszyła się. Ordynat przypadł do łóżka, ukląkł. Stefcia miała oczy szeroko otwarte, mętne, pokryte łzawą powłoką, rękoma wykonywała jakieś ruchy koło głowy, usta szeptały ciągle.

Waldemar bez oddechu śledził ją zdrętwiałym wzrokiem. Wziął jej rękę w swe dłonie i ścisnął delikatnie.

– Stefciu... skarbie mój, jedyna moja, to ja... Waldy... przy tobie jestem... Stefciu – mówił głuchym głosem.

Dziewczyna szeptała ciągle.

– Co ona mówi? – spytał profesora.

– Majaczy bez przerwy.

Waldemar powstał, pochylił się i przyłożył ucho do ust Stefcii.

– On... dzielny... boją się go... nie.. nie chcę go zabijać... – mruczała cichutko, ledwie do słyszalnie.

Waldemar wyprostował się, dłonią przeciągnął po czole.

– Co to znaczy?... co ona mówi?

Okropną obawę wyrażały jego rysy.

Nagle Stefcia rzuciła się gwałtownie.

– Trędowata! Trędowata! – krzyknęła głośno.

Waldemar cofnął się jak ugodzony straszną siłą, błądy przerażająco. Spojrzał rozpaczliwie na profesora i państwa Rudeckich.

– Co to jest?... na Boga! co znaczy ten okrzyk? – wycharczał ze zgrozą.

– To słowo powtarza się bardzo często w majaczeniu chorej – odrzekł profesor, patrząc badawczo na zmienioną twarz ordynata.

Waldemar porwał Rudeckiego za ramię.

Weszli do bocznego pokoju. Ordynat ścisnął ramię Rudeckiego z siłą konwulsyjną.

– Stefcia otrzymała anonim – rzekł przez ściśnięte zęby.

– Anonim?... Skąd pan wie?

– Otrzymała na pewno! Widzę to z jej słów. Ja... ja... ostrzegałem pana, że szelmostwa mogą być... nie uchroniliście! Zabili mi ją... Boże!

Załamnął rękę z rozpaczą straszliwą.

Pan Rudecki zdrętwiał, patrzył na ordynata nieprzytomny.

– Przysięgam panu, że czuwałem. Nie było nic, chyba – teraz – w ostatnich czasach, odbierała dużo listów.

– Gdzie są te listy? Chcę je mieć – zawoła Waldemar.

– Nie wiem. Zwykle chowa w biurczku swoim. Może tam są.

Pana Rudeckiego domysł ordynata przeraził.

Powrócili do pokoju Stefci. Spała znowu. Zbliżyli się do biurka. Ordynat cicho otwierał wszystkie szufladki i ku wielkiemu zdumieniu pani Rudeckiej i profesora wyjmował z nich jakieś pomięte arkusze w kopertach i bez kopert. Przejrzał wszystkie skrytki, zabrał znalezione listy i wyszedł z nimi bez słowa.

– Co to znaczy? – spytała męża pani Rudecka.

– Podobno anonimy. Waldemar przypuszcza...

Uderzyły go jej słowa.

– Bardzo możliwe! bardzo możliwe! – mówił kiwając głową, profesor. – I ja domyślałem się w tym jakiejś intrygi.

– Chryste Panie! on mię przecież ostrzegał! – zawołał Rudecki łamiąc ręce.

– Ależ to nieprawda – jęknęła jego żona.

– Ale pamiętasz? Znaleźliśmy ją w gorączce, prawie nieprzytomną, tego dnia, kiedy przymierzała ślubną suknię, po liście jaki jej oddałem. Może to anonim! Pójdę, zobaczę: ja ten list poznam.

– To niepodobieństwo! Ona mówiła, że to był list ze Słodkowic.

Ale pan Rudecki już wyszedł z pokoju.

Waldemar w jego gabinecie przeglądał papiery. Znalazł własne listy w kopertach, starannie ułożone i kilka listów Stefci, pisanych do niego. Waldemar w zgniecionych papierach domyślił się anonimów, zaczął je odczytywać. Straszna miał twarz, skurczoną gniewem, bólem, żalem. Charaktery pisma nie były mu znajome, widocznie podrabiane – mimo to po stylu odgadywał hrabinę Ćwilecką i Barskich. Jeden anonim, bardzo złośliwy i najordynarniejszy, poznał doskonale po piśmie niezupełnie zmienionym: pochodził od Melanii.

– Podła istota! zmija! – mówił ochryplym głosem.

Gdy wszedł pan Rudecki, Waldemar wskazał mu odczytane papiery.

– Patrz pan! – wołał z wybuchem żalu – te wszystkie łachmany ona otrzymywała, czytała, zatruwały ją! A ja ostrzegałem, bo złych ludzi nie brak, i te brudy doszły do jej rąk.

Pan Rudecki, błydy, przebierał między papierami. Nagle Waldemar wzięty do rąk nowy list w kopercie, zgnieciony. Prędko rozprostował go. Pan Rudecki zadrżał. Poznał ostatni.

– Ten oddałem jej we środę. Mówiła, że to ze Słodkowic, ale... zaraz po nim zachorowała. Czy i to anonim?

Waldemar obejrzał list. Charakteru nie znał. Zaczął czytać wzburzony. Nagle rzucił się, postąpił krok naprzód, przebiegał list palącymi oczyma. Ręce mu dygotały, twarz mieniła się rozpaczą, wstrętem.

Krzyknął głucho, papier wypadł mu na podłogę. Waldemar załamał ręce nad głową.

– Ten ją zabił!... ten ją zabił!... Bezczelny!...

Ciężko usunął się na krzesło, rękoma ścisnął skronie. Pan Rudecki podniósł list, przeczytał.

– Jezus Maria! – jęknął rozpacznie.

Weszła pani Rudecka.

– Co wam się stało? – spytała przerażona.

Mąż wskazał jej listy.

– Zabiliśmy dziecko! zabiliśmy tym! Straszne! straszne!

Matka Stefci przypadła do papierów.

Waldemar zerwał się z krzesła, siny na twarzy. Zęby mu błyszczały, charczenie wychodziło z jego piersi.

– Wy przez nieuwagę, ale tamci podłością. Czemu ja o tym nie wiedziałem? Te bezczelne kłamstwa kulami bym przypieczętował! Ja bym zdemaskował autorów – zapłaciliby mi krwią!

Głos jego potężniał, grzmiały w nim pioruny.

– Proszę natychmiast o konnego posłańca na pocztę! – krzyknął i wybiegł z pokoju.

W dziesięć minut potem posłaniec gnał co sił starczyło w koniu, wioząc telegramy do kilku stolic europejskich, wzywające sławnych potentatów medycznych.

W Ruczajewie płynęły godziny w strasliwym natężeniu. Choroba Stefcia potęgowała się, rzadkie chwile przytomności błyskały krótko. Państwo Rudeccy tracili głowę, tylko ordynat potroił energię, był niewyczerpany. Nie odstępował od Stefcia, sam ją przenosił, gdy prześcierał jej łóżko, sam zmieniał zimne okłady. Troskliwością zadziwiał doktorów. Nie sypiał, nie jadł, oczy mu gorzały jakąś tłumiącą wszystko siłą, jakąś potęgą, która go druzgotała.

– Muszę ją ratować! muszę! muszę! – powtarzał z uporem.

Sędziwy profesor, znający go dawniej, kręcił głową zdziwiony; nie spodziewał się po nim tak silnych uczuć.

Jednego wieczora, kiedy Waldemar sam w pokoju klęczał przy łóżku Stefcia, trzymając jej dłoń, ona przytomniej otworzyła oczy. Patrzała chwilę na niego i uśmiechnęła się.

– Waldy – wionęło cichutko z jej ust.

– Złota moja! najdroższa! dziecko moje! – szeptał Waldemar z bolesnym skurczem w krtani, okrywając pocałunkami jej rękę. – Poznałaś mię, poznałaś?...

– Waldy... – powtórzyła Stefcia.

– Jestem tu, przy tobie, jedyna, czuwam nad tobą...

Stefcia przysunęła głowę do ramienia narzeczonego i rozpaloną twarz przytuliła do rękawa jego ubrania. Ta niema pieśczoła wzruszyła Waldemara. Załkało mu w piersiach. Objął ją i gorącymi ustami przylgnął do jej policzków.

– Ja chora jestem, prawda? – spytała szeptem.

– Tak, złota moja, ale już jesteś zdrowsza. Co cię boli?

– Głowa... głowa... pali mię... kamienie w głowie.

– To przejdzie... przejdzie... wyzdrowiejesz... będziesz moja.

Gwałtownie poruszyła się, podniosła na niego oczy.

– Kochasz mię zawsze?... kochasz? – spytała.

– Kocham, jedyna... więcej niż własne życie. Ale nie ruszaj się, leż spokojnie.

– Kochasz mię? Będziesz szczęśliwy? ty... nie wiesz nic... ja ciebie zabiję... Waldy...

Waldy...

Łzy błysnęły w jej oczach. Waldemar tulił ją do siebie.

– Uspokój się, dziecko... ufaj mi... nie wierz im... nie myśl o tym... będzie wszystko dobre... będziemy oboje bardzo szczęśliwi... bardzo, Stefciu.

Uśmiechnęła się, trąc głową o jego ramię.

– To dobrze... dobrze.

Przytomność opuściła ją na nowo. Spojrzała błędnie.

– Waldy!... ja jestem trędowata... ty nie wiesz... ja trędowata!... nieszczęśliwy!... strzeż się! – wołała gwałtownie.

Zaczęła majaczyć. Waldemar wstał, ustępując miejsca profesorowi, który właśnie wszedł.

– Boże! Boże! – jęknął ordynat. – Przed chwilą rozmawiała ze mną przytomnie.

– Długo?

– Parę minut zaledwo.

Doktor zamyślił się.

W nocy przyjechał specjalista z Pesztu, na drugi dzień dwaj inni. Odbywali narady, długie konsylia. Ordynat powiedział im o anonimach: zaniepokoił się bardzo. Mimo wszelkich usiłowań choroba nie przestała być groźną. Każdy dzień pogarszał cierpienia, każda noc wzbudzała straszne obawy. Stefcia miewała konwulsje i okropne dreszcze. Uczni łamali głowy na próżno. Zapalenie mózgu wystąpiło w tym przypadku z dziką zajadłością. Nic przebiegu choroby nie mogło wstrzymać. Waldemar odchodził od zmysłów, ale nie stracił energii.

Przyjechali sławni doktorzy z Petersburga, z Wiednia i znakomitość z Krakowa. Wezwany przez Waldemara przyjechał we czwartek rano domowy lekarz księżnej Podhoreckiej, stary praktyk, nadzwyczaj zdolny. Tuż za nim wieczornym pociągiem przybył pan Maciej z panną Ritą. Wiedzieli już w Obronnem i w Słodkowcach o chorobie Stefcia od Brochwicza i wstrzymali swój wyjazd do Warszawy na ślub. Telegrafowali kilka razy do Ruczajewa, ale nikt im nie odpowiedział. Wezwanie lekarza księżnej przstraszyło wszystkich. Telegram zastał pana Macieja w Obronnem. Nie namyślając się długo, wyjechał natychmiast z Ritą. Cała okolica wiedziała o wypadku. W Głębowiczach padła mgławica na zamek i służbę. Brochwicz jeździł z Obronnego do Słodkowic ponury jak chmurna noc.

A ze Stefcia było gorzej. Nie poznała pana Macieja ani Rity, majaczyła ciągle. Raz tylko powiedziała głośno wobec wszystkich, jakby widząc kogoś przed sobą:

– Dobrze, .babciu... pamiętnik oddam... dziadziowi... oddam.

Pan Maciej zapamiętał te słowa.

Drugi raz w piątek wieczorem Stefcia znowu odzyskała przytomność na chwilę. Kilka osób stało dokoła niej. Waldemar klęczał, trzymając jej rękę.

Popatrzyła szeroko otwartymi źrenicami, uśmiechnęła się i wyszeptwała dość głośno:

– Kochacie mnie wszyscy?... tak?

Pan Maciej przemówił do niej:

– Dziecko moje... to ja... dziadzio... i Waldy tu jest... Poznajesz nas?

– Poznaję. Waldy już dawno przy mnie. I Rita jest?...

Podniosła oczy, jakby szukając.

Panna Rita przysunęła się bliżej.

– Jestem, kochanie... jestem – rzekła całując jej rękę.

– A mama?... Ojczuś, są? Gdzie Jurek i Zosia? Chcę wszystkich.

Dziewczynka już spała, ale Jurek wysunął się zza kotary łóżka i wtuliwszy pięści w oczy, buchnął na nogi Stefcia z głośnym płaczem.

Waldemar niecierpliwie odsunął go, bo Stefcia zlekła się. Pan Rudecki chciał wyprowadzić Jurka, ale chłopiec przypadł skulony na ziemię w kącie pokoju i krztusił się łkaniem.

– Czego on płacze? – spytała Stefcia obojętnie.

Nikt jej nie odpowiedział. Waldemar zaczął ją pieścić i uspokajać.

Stefcia uśmiechnęła się, objęła go za szyję ramionami i delikatnie jego dłonią gładziła się po twarzy, gorącej jak płomień.

– Mój... Waldy... mój... mój – szeptała, patrząc na niego błyszczącym fioletem przepaści-
stych swych oczu. Gorzało w nich piętno gorączki.

On przemawiał do niej pieszcząco, jak do bardzo ukochanego dziecka, łagodnie tulił ją do siebie, aż w jego ramionach usnęła.

Do pokoju zaczęły wpełzać mętne włókienka szarej godziny. Przez otwarte okno dochodził monotony huk latających gromadnie chrabąszczy i obijanie się owadów o ściany domu. Lipy szumiały słodko. Wpadł nagle suchy rozgłośny klekot bociana, potem odezwały się cicho żaby i głosy swe potęgując zanosły się jednostajną zgodną pieśnią, wyjętą z nokturnów wieczornych. Cały świat szedł do snu, młody, rozbujały jakąś fantazją junacką, dyszący pragnieniem szczęścia. Wszystko układało się na spoczynek z cichym nuceniem, aby nazajutrz budzić się wzajemnie do rozkoszy istnienia. A Waldemar, słuchając tej opery letniej, patrzył na cudny kształt dziewczyny uśpiony wśród pościeli, młody, wiośniany i... zwarzony chorobą. W całej przyrodzie kipiącej życiem ten jeden kwiat wędniał, zanikał nielitościwie, obojętny na pobudzające prądy i szal natury. Waldemar patrzył na narzeczoną, taką cichą, bierną, i myślał ze straszną męką w sercu:

– Jutro miał być nasz ślub.

XXIX

Poranek rozbłysnął bogactwem barw.

Zakołysały się akacje, cichym szeptem wionęły jaśminy. Strojne, jasnozielone brzozy, spowite w białe, cętkowane atłasy, zatrzęsły mnóstwem listków drobnych, błyszczących jak z emalii. Kwiaty, krzewy, umajone drzewa witały dzień radosnym poszumem.

Rozjaśnił się czysty błękit i kryształ powietrzny. Słońce wstawało za jutrzenką, rozradowane, szczęśliwe.

A ziemia cała i wszystko, co na niej żyło, rosło, kwitło, pachniało, wszystko, co umiało śpiewać, odczuwać, świergotać – wszystko wznosiło w górę uroczysty hymn: *Kiedy ranne wstają zorze...*

Okno w pokoiku Stefci szeroko otwarte. Muślinowe firanki, białe w lila irysy, poruszał lekki oddech rosnących pod oknem brzoź. Smukłe, seledynowe, zwieszały wiotkie baldachymy gałązek, drząc listkami, jakby żałośnie spływające łyzy. Brzozy zaczęły wdmuchiwać do pokoju moc odurzających zapachów, całą woń z ogrodu, skrzętnie zebraną z kielichów kwiatowych; posyłały tam szmery; rozszeptany ogród rzucał w okno najpiękniejsze symfonie. Jutrzienka stroiła różem białe muśliny firanek, niosła purpurę aż do łóżka w głąb pokoju, gdzie leżała wiotka postać dziewczyny, delikatnej niby świtem zaróżowiony obłoczek.

Czoło miała Stefcia odkryte, jasne, przezrocze, i mocno zarumienione policzki. Nieco obnażona szyja pulsowała widocznie, aż koronka bielizny unosiła się leciuchno.

W pokoju pełno światła i powietrza. Dokoła chorej leżały kwiaty zniesione tu przez Jurka. Pan Rudecki chciał je wyrzucić, bojąc się, że zbytni zapach może szkodzić Stefci, lecz jeden z profesorów wstrzymał go.

– Panie, to już nie szkodzi – rzekł ze smutną powagą w głosie.

Pan Rudecki wybiegł z pokoju, upadł na kolana obok żony; szlochała skulona na ziemi przed obrazem Bogarodzicy.

Waldemar, klęcząc przy łóżku Stefci, targany szaloną rozpaczą, porywającą go w bezkresy, ścisnął drobne ręce dziewczyny, a z piersi jego wychodził jęk zdławiony, do rynku podobny.

– Żyj! żyj!... na Boga... zostań... nie odchodź!

I trzęsące się usta przycisnął do gorącego ramienia Stefci. Czoło nabrzmiałe żyłami, spoczone, ściągnięte bezgranicznym bólem oparł na kołdrze i modlił się, łkał suchym płaczem, trawiącym wszystko. Wstrząsała nim gorączka, szarpał go żal tak olbrzymi, że pomieścić się nie mógł nawet w tej żelaznej piersi.

A Stefcia otworzyła oczy zmacone jak zagasłe gwiazdy, kręciła głową po poduszce, jedną ręką poruszała koło czoła, niby coś odpędzając. Z ust jej wybiegały bezładne słowa:

– Tam... strach!... Ocalejesz!... Waldy... Ile kwiatów... To ja winna!... Nie odchodź!...

– Droga moja! przebudź się... miej litość! – szeptał Waldemar głucho, sam prawie nieprzytomny.

– Nie karz... ich... Wal... dy...

Chwyciły ją konwulsje. Dwaj obecni w pokoju doktorzy podbiegli, ale Waldemara nie odsunęli. Klęczał ciągle z jej rękę w swych dłoniach, z czołem przy jej piersiach.

Po chwili konwulsje ustały. Stefcia leżała bezwładnie ze zwieszoną główką. Włosy jej opadały na czoło Waldemara.

Oddychała bardzo słabo, skroń i szyja pulsowały gwałtownie, lecz tempo zwalniało się stopniowo.

Doktorzy spojrzeli na siebie. Obaj spuścili oczy, cofnęli się od łóżka i w pewnym oddaleniu poklękali.

Widząc to pan Maciej i panna Rita uklękli również, kryjąc twarze w dłoniach. Cisza

wielka, cisza jakaś mistyczna spłynęła na jasny, wonny pokój.

Nagle w tę ciszę uroczystą posypały się delikatne rytmy, jak trele na flecie ze złota i pereł.

W brzozie pod oknem, w otoczeniu gęstych krzaków białego jaśminu, zaśpiewał słowik.

I muzykę swą posyłał wysoko aż do różowych zórz na niebie, aż do roztoczy słońca. Król dnia wyjrzał już spoza seledynowej wstążki, ostatniej z bogactw jutrzeńki. Ptaszek flecikiem swym wzywał blaski, harmonijnym świstem tonów przywabił jasne duchy z błękitów aż do stóp Wszechmocnego, aby spłynęły na tę brzozę, w to okno otwarte a ciche jak w kaplicy.

I tyle uczuć płynęło wysnutych z piersi słowika, i tyle prośby, i tyle modlitwy, że pierwsze różane zorze zaczęły dążyć w tę stronę, zabierając z sobą wszystkie barwy niebieskie.

Szło słońce młode, pyszne i niosło z sobą ciepło i blask... Szły zapachy kwiatów... Szły upajające wonie łąk... Szły wiewy ptasich lotów... Szły ciche szmery powietrzne.

I od stóp Boga zerwały się jasne duchy piękne, natchnione, wysnute z mgieł srebrnych bieli obłoków.

Cały hufiec niebieski z szelestem sfrunął w powodzi jaskrawych pasm na bujną brzozę, gdzie sygnalizował ptaszek. .

I razem ze światłością poranku, razem z zapachami kwiatów i cudną melodią wiośnianą jasne duchy dotarły do Stefci, otaczając śliczną głowę dziewczyny cichym, dobrym tchnieniem.

Słowik trylował, cieniując pojedyncze nuty, jakby przygrywkę jakąś tęskną do rapsodu Aniołów.

Gdy łóżko Stefci zapłonęło ogniem słońca w całej świetni jego potęgi, hufiec niebieski zasumiał skrzydłami, uniósł się i na złotym sztaku wyfrunął z pokoju, powiększony o jedną przezrystą duszyczkę – Stefci.

Błękitni wysłańcy nieśli ją niepokalaną, jak ich pióra, snując nad nią czarowną glorię nieuchwytnych blasków. I lecąc ku błękitom, dążąc do stóp Boga, cały chór anielski i ta jasna nowa duszyczka dziewczyny wzniesli hejnał pobożny:

– *Salve Regina...*

Dreszcz przebiegł obecnych, jakby odlatujące duchy dotknęły wszystkich rąbkiem swych szat.

Kłęczący Waldemar usłyszał cichy głos doktora:

– Już... po wszystkim...

Zerwał się przerażony, okryty potem, straszny.

Błędne źrenice wpił w nieruchomą postać dziewczyny z zamkniętymi oczyma, leżącą bezwładnie w ramce złotych włosów, jak zabity biały motyl.

Waldemar bez jęku, bez słowa, tylko z dzikim wyrazem w oczach zachwiał się i ciężko runął na brzeg łóżka.

Podbiegli do niego. Zgroza zawisła nad ludźmi.

Na umajonej brzozie słowik śpiewał dalej.

XXX

Waldemar nie zemdłał, lecz popadł w stan całkowitego znieczulenia. Patrzył na leżącą bez ruchu Stefcię, której lekko rozchylone usta zachowały barwę kaliny jakby się krew skrzepła w nich. Uśmiechały się dziwnie słodko. Zamknięte powieki rzucały długie cienie rzęs na delikatną biel jej twarzy. Robiła wrażenie cicho śpiącej – tak pięknie ustroił jej młode ciało hufiec niebieski, zabrawszy z niego duszę, jak woń kwiatu.

Rozpacz państwa Rudeckich, ryk Jurka, płacz Zosi i wszystkich domowych nie zdołał poruszyć Waldemara. Był zdrętwiały, ogłuszony, jak błędny. Oparty na brzegu łóżka, wpijał w ciało dziewczyny tępy wzrok, z niemą a okropną tragedią.

Tak zeszała godzina, długa, pełna szlochów, ponura jak nędza.

Nagle Waldemar wstał, ręce podniósł do głowy, przetarł czoło i wyszedł z pokoju.

Pan Maciej zgarbiony, ze zmienioną twarzą, jak cień poszedł za nim.

Stan Waldemara zatrwożył go. Bał się o niego, nie spuszczał oczu z wnuka, sam potrzebujący opieki.

Ordynat wszedł do swego pokoju i zatrzasnął drzwi za sobą.

– Na Boga! otwórz! – nieludzko krzyknął starzec.

Z niebywałą siłą szarpnął drzwi, otworzył, wpadł do pokoju i zatoczył się jak martwy z przerażenia.

Waldemar miał w ręku rewolwer, wydierał go z futerału. Starzec przyskoczył do wnuka, porwał ramię Waldemara, chciał chwycić rewolwer, lecz ordynat szybko podniósł go w górę. Z dzikością w oczach odepchnął pana Macieja i zawołał ochryplym głosem:

– Precz! precz!

Wyglądał strasznie. Oczy ciskały gniewem, cała twarz drgała konwulsyjnie. Stał wyprostowany z morderczym narzędziem w podniesionej wysoko dłoni. Złowrogo błyskało. Z ust wychodził mu zduszony, nieludzki pomruk:

– Ona... nie żyje... ona!

Pan Maciej jak szalony, z jękiem przeszywającym serce rzucił się do nóg Waldemara.

Starzec klęknął i obejmując kolana wnuka, załkał rozpaczliwie:

– Nie czyn tego! zmiłuj się! nie zabijaj mię!... Jej śmierć to kara dla mnie, jam przeklęty! ale ty żyj! ty żyj!

Ordynat patrzył, jakby nie pojmując.

Wtem wpadła panna Rita, błyskawicznie zrozumiała grozę chwili, podbiegła, lecz nie zdążyła – ordynat na widok jej gwałtownie zniżył rewolwer.

Huknął strzał.

Drżąca ręka i pośpiech uratowały Waldemara: kula przeleciała o parę cali od czoła i utkwiała w ścianie.

Panna Rita wydarła broń z jego dłoni.

On błędnie spojrział na nią, wściekle rzucił się, chcąc odebrać, ale Rita cisnęła rewolwer za okno, rękę zaś Waldemara zatrzymała, silnie tuląc do ust. Oczy jej wyrażały błaganie, przejmujący żal.

Starzec klęczał skulony u stóp wnuka. Wystrzał odebrał mu na chwilę pamięć i czucie, teraz głuchy płacz targał jego piersią.

– Waldemarze! przebac mi!... to ja przeklęty!... to zemsta dla mnie... moja Nemezys! Waldy! mój jedyny! ty całe moje życie! zmiłuj się, miej litość!...

Widok był tak okropny, że panna Rita zakryła oczy. Płacz starca boleścią swą przedarł się do duszy Waldemara.

– Dziadziu... wstań – rzekł głucho, trąc nabrzmiałe żyłami czoło.

Panna Rita pomogła dźwignąć się starcowi. On runął na piersi wnuka, trzęsący się, skołatany.

Suche źrenice Waldemara wypowiadały całą rozpacz, ból druzgotał go z gilotynową siłą. Usunął dziadka i ciężko zwinął na krześle. Schował twarz w dłoniach.

– Boże! Boże! Boże!...

Jęk ten zdawał się zamykać w sobie wszystkie nędze i okrucieństwa życia.

Pan Maciej pozostał przy nim, panna Rita cicho wyszła, zatrzymując przerażonych strzałem rodziców Stefci.

Waldemar odczuwał straszliwie śmierć narzeczonej, przepaść widział przed sobą, ale jak bez duszy, nie mógł płakać, nie mógł się żalić. Tylko w skroniach paliło mu ogniem, w sercu czuł mróz przejmujący, jakby cała rozpacz, cały ogrom żalu skrzepł się w lód w jego żyłach. Stan jego budził obawy.

Pan Maciej i doktor księżnej czuwali nad nim bez przerwy.

Panna Rita z pomocą jednego z obywateli okolicznych, przyjaciela rodziny Rudeckich, zajmowała się wszystkim. Wysyłali telegramy z żalobną wieścią.

Pan Maciej, przeczuwając życzenia ordynata, telegrafował do Głębowicz po kwiaty, drugi telegram wysłał do córki. W porozumieniu z panem Rudeckim sam zajął się pogrzebem narzeczonej wnuka.

W Słodkowcach, w sobotę wieczorem, zebrani byli wszyscy w sali jadalnej: pani Idalia, księżna Podhorecka, Lucia i Brochwicz, pan Ksawery i nawet rządca Klęcz.

Złotróżbne obawy napępiały ich serca od czasu wezwania do Ruczajewa lekarza z Obronnego. Pan Maciej i Rita nie przysyłali żadnych wiadomości. Księżna przechodziła ciężkie chwile. Zamieszkała w Słodkowcach, w Obronnem nie mogła wytrzymać samotnie.

Niepewność ogarnęła wszystkich. Lucia chodziła jak nieżywa, tylko pani Idalia uspokajała księżną, nie tracąc nadziei.

Wieczór minął szybko. Nastąpiła noc jasna, pachnąca. Słowiki śpiewały w parku, od jeziora dochodziło głośne kwilenie rybitew. W sali jadalnej zgnębiony Brochwicz pootwierał okna i chodził od jednych do drugich niespokojny, milczący.

W pokoju kredensowym zebrana służba szeptała cicho, również trwożna i pełna obaw.

Zbliżała się północ, gdy do kredensu wszedł stróż nocny, prowadząc posłańca z poczty, Służba otoczyła go kołem. Jacenty bez słowa porwał telegram i pobiegł do sali jadalnej.

– Depesza! – krzyknął Brochwicz.

Drżącą ręką chwycił papier i rozerwał.

Pani Idalia, Lucia, pan Ksawery, Klęcz powstali z miejsc. Księżna siedziała jak przybita do fotelu.

Brochwicz przeczytał jednym tchem:

„Stefcia umarła dziś rano. Pogrzeb we środę. Waldemar niebezpieczny. Przyjeżdżajcie. Maciej”

– Boże miłosierny! – jęknął Brochwicz i telegram wypadł mu z ręki.

W głuchej ciszy niewypowiedzianej grozy nagle rozległ się spazmatyczny krzyk Luci. Przy drzwiach Jacenty załkał głośno i prędko wybiegł do kredensu; wśród zebranej przestraszonej służby zawył jękliwie:

– Jasna panienska umarła!

Płacz ogólny i narzekania rozległy się po jego słowach.

W sali jadalnej pani Idalia cuciała spazmującą Lucie, sama ze łzami w oczach, zgnębiona śmiercią Stefci. Pan Ksawery ocierał oczy, Klęcz zagryzał wargi, przejęty nieszczęściem.

Księżna siedziała bez ruchu, niebywale biała, prawie zielona. Łzy wielkie spływały z jej oczu. Mówią szeptem:

– Stefcia umarła... – umarła?... to dziecko?... ta słodka dziewczyna? czy to może być... Wieczny... odpoczynek... jej duszyczce...

Księżna nie dokończyła. Oparła się o fotel i załkała rzewnie.
Do sali niespodziewanie wszedł Trestka. Wystraszony, powiódł wzrokiem dokoła i rzekł kiwając głową:

– Już wiecie wszystko?...

Po czym usiadł na pierwszym krześle, nie witając się z nikim.

Przerażenie zawisło w sali. Nawet nieme portrety na ścianach zdawały się mroczniejsze.

– Miał pan depeşe? – cicho spytał Brochwicz.

– Tak, od Rity. Otrzymałem przed dziesiątą. Spieszyłem, aż konie omal nie popadały. W drodze spotkałem Jura z Głębowicz. Już i tam wiedzą. Do nich telegrafował pan Maciej. Mają wieść kwiaty. Jur przyjechał ze mną.

Księżna powstała, chwiejąc się na nogach. Brochwicz ją podtrzymał.

– Trzeba jechać... natychmiast – rzekła stanowczo – na ranny pociąg musimy zdążyć.

Energia brzmiała w jej głosie.

Księżna postąpiła naprzód. Zatrzymał ją w miejscu krzyk Luci:

– Nie chcieliście jej!... nie chcieliście Stefci i umarła!... zabiliście ją... Stefa!... moja Stefa!...

Dziewczynka zaniosła się nowym wybuchem płaczu.

Na znak przestraszonej matki Klęcz wziął dziewczynkę na ręce i wyniósł z sali.

Księżna podniosła rękę do czoła.

– Co ona mówi?... Zabiliśmy ją?... My?... Ach, Boże!...

Baronowa wyszła z księżną robić przygotowania do drogi. Nie myślała wstrzymywać jej. Sama również postanowiła jechać.

Teraz dopiero poczuła żal jakiś dławiący, żal za Stefcią: doznała wyrzutów sumienia za swą surowość dla zmarłej.

Brochwicz wezwał Jura.

Olbrzym wszedł do sali, zatrzymał się przy drzwiach, sztywny, wyprostowany, ale bardzo zgnębiony. Brochwicz dojrzał, że miał zapłakane oczy. Szepnął do Trestki:

– Jaką ona zjednała sobie miłość – nawet służby.

– Płakał jak bóbr, gdy się ze mną spotkał – odrzekł Trestka.

Brochwicz zwrócił się do strzelca:

– Dawno dowiedzieliście się o nieszczęściu?

– O dziewiątej, panie hrabio.

– Kto telegrafował?

– Jaśnie pan starszy do marszałka dworu. Każe przywieźć bardzo dużo kwiatów... tylko białych... Pogrzeb we środę.

– Po cóżeś przyjechał?

– Myśleliśmy, że jaśnie państwo jeszcze nie wiedzą i pan marszałek nie jest pewny, jakie wieść kwiaty: cięte czy wazonach?

– I takie, i takie – rzekł Trestka – do ubrania katafalku potrzebne wszelkie.

Brochwicz wstrząsnął się.

– Do ubrania katafalku – powtórzył z goryczą. – Kwiaty z Głębowicz miały dziś być w Warszawie na ślubie – teraz idą na grób... Straszne!

Jur otarł rękawicą oczy. Starał się przybrać służbową postawę, lecz zaciskał pięści i usta, aby nie płakać. Ten olbrzym przywiązał się już do Stefci jak do swej ukochanej pani.

W godzinę potem Brochwicz z Jurem pojechali do Głębowicz, skąd nazajutrz mieli się udać do Ruczajewa, wioząc kwiaty.

Ze Słodkowic wyjechano zaledwo w niedzielę wieczorem, gdyż stan zdrowia księżnej nie pozwalał wcześniej. Na dworcu kolejowym spotkali księżnę Franciszkową Podhorecką z córkami.

Powitano się w milczeniu.

– Jedziesz na pogrzeb? To dobrze. A Franio? – spytała starsza księżna synowej.
– Franio został. Nie nalegałam. W takiej chwili lepiej, jak się Waldemarowi nie będzie narzucał. Zresztą... nie był w Ruczajewie. Zabrałam tylko dziewczynki. Znały ją, lubiły bardzo.

– To dobrze, dobrze. Powinniśmy tam być... wszyscy.

– Ale Rita w depeszy nadmieniła coś niezrozumiałego – rzekła młodsza księżna.

– Ale co?... ale co?

– Napisała tak: „Stefcia umarła – zabita”.

Staruszka szeroko otworzyła oczy.

– Cóż to znaczy? Przecież chorowała... zapalenie mózgu.

– Musiał być jakiś powód choroby, może psychiczny – wmieszał się Trestka.

– Ależ jaki powód?

Księżna Franciszka podniosła brwi.

– Proszę mamy! jednak ta nagła choroba Stefci jest podejrzana: coś musiało zająść.

Księżna przez całą drogę nie mogła się uspokoić. Lucia płakała bez przerwy, młodziutkie księżniczki na próżno chciały ukoić jej żal.

W poniedziałek wieczorem przyjechali do Ruczajewa. Wyszedł do nich pan Rudecki i Brochwicz. Na ganku w otoczeniu służby ruczajewskiej stał zapłakany Jur.

Starsza księżna Podhorecka pierwszy raz w Ruczajewie weszła do domu, jak posąg smutku – wysoka, majestatyczna, cała w czerni ciężkich koronek, wlokących się za nią w poważnych fałdach. Prowadziła księżnę, również czarno ubrana, panna Rita. Za nimi szła pani Idalia z Lucią, księżna Franciszkową i księżniczki. Sznur kończył Trestka i Brochwicz. Pan Rudecki poszedł naprzód.

Gdy mijali salon, kilka osób z okolicy Ruczajewa będących tam usunęło się grzecznie przed wyniosłą postacią księżnej.

– Podhorecka... babka ordynata... przyjechała – rozległy się ciche szepty.

Spoglądano z szacunkiem na idącą wolnym krokiem dostojną matronę, trochę dumną i pełną godności. Stygmat nieszczęścia księżna miała w swej twarzy bladej, gładkiej i w spuszczonej powiekach. Siwe pasma włosów pod czarną koronką, spadającą obficie na ramiona, nadawały jej wyraz królewski niemal. Księżna-babka, najzawzięciej oporna małżeństwu wnuka, z którą on walczył najdłużej, szła teraz patrzeć na jego tragedię, na jego głuchą rozpacz po zgasłym szczęściu. Księżna-babka niosła w swym sercu dramat straszliwy – wnuka.

Na progu umajonej komnaty staruszka zaczęła mrugać oczyma z wrażenia i nadmiaru jasności.

Potoki światła mieniły się na środku pokoju, rozjaśniały ściany, obstawione dokoła smukłymi drzewkami brzoź. Sufit stroiły wieńce z białych kwiatów, spływając festonami jak baldachim. Olbrzymie rośliny, całe drzewa, najpiękniejsze okazy z Głębowicz, przywiezione tu na kilku wozach, ubierały salon ruczajewski, grupując się malowniczo w kątach, osłaniając białe pnie brzoź. Zieleń, białe kwiaty i świece tworzyły przepaścistą wonną otchłań.

Wzniesienie na środku pokoju tonęło w kwiatkach: białych różach, goździkach, liliach. Stopnie otaczały wieńce z konwalii i krzaczastych paproci.

Olbrzymie palmy wachlarzowe, sięgające sufitu, tworzyły nad wzniesieniem ruchome sklepienie. Zdawało się, że to wzgórze anielskie, jeden bukiet świeży, pachnący, przejaśniony blaskiem.

Na stopniach, w głębi, wśród pęków róż klęczał Waldemar.

Oparty o najwyższą kondygnację, wpatrywał się zagasłymi oczyma w rzeźbione rysy śpiącej na wieki. Zastłaniały go szerokie liście palmy.

Za nim, w cieniu brzoź, siedział w fotelu pan Maciej, trochę dalej klęczała pani Rudecka z dziećmi i jeszcze parę osób.

Księżna-babka weszła do tej dziewiczej groty niby sztandar żałobny, wywołując uczucie

trwogi. Lekki szmer jej szat wzmocnił wrażenie jakiejś nieubłaganej potęgi, wkraczającej tu jak ostatni wyrok. Zatrzymała się blisko stopni, podniosła oczy, patrząc z napięciem i pionową bruzdą na czole. Czarne, duże źrenice staruszki zmały się, zwarte silne usta zaczęły drzeć. Nieruchoma, bezmiernie złamana w duszy, po długiej chwili szepnęła dość głośno i żałośnie:

– Jaka śliczna... ona śpi... w ślubnej sukni... w wieńcu... w welonie... Boże!

Łzy wielkie spadły z oczu staruszki.

Cicho, poważnie osunęła na kolana swą żalobną postać, chyląc nisko głowę przeciążoną smutkiem.

Wtem uderzył w obecnych rozzierający krzyk Luci:

– Stefa! Stefa!

Waldemar rzucił się, wyprostował, spojrział na dziewczynkę i zaciskając zęby wsparł czoło na dłoni.

Lucia zemdląła. Wynieśli ją zaraz.

Cisza zaległa pokój. Przez otwarte drzwi werandy, zasłonięte kotarą, wlatywał szum drzew i gdzieś daleko w białych oparach zawodziły derkacze – łąkowe grajki.

XXXI

W czwartek po pogrzebie w Ruczajewie panowała cisza grobowa.

W milczeniu snuły się ponure postacie służby. Cały folwark milczał głucho bez roboty, bez życia. Na ranny pociąg odjechało paru bliżej znajomych doktorów z Warszawy, ale rodzina ordynata została jeszcze.

Uczeni zagraniczni wyruszyli natychmiast po śmierci.

Żałoba po Stefci zapadła kirem na wszystkich. Tylko słowik śpiewał po dawnemu na brzozie pod oknem pustego pokoju zmarłej, dokąd zniesiono kwiaty i pogaszone, zapłakane świece.

Ptaszek nucił treny piękne i smutne, oplakując jasną, wiośnianą duszyczkę dziewczyny, co tak cicho zeszała z ziemi, tyle zostawiając łez. Wtórowały śpiewakowi tęskne gamy pszczoł, szemrał powiewnie rój kolorowych motyli.

Na ocienionej werandzie od strony ogrodu zebrani wszyscy rozmawiali z sobą przyciszonymi głosami.

W głębokim fotelu siedziała staruszka księżna, ogromnie zmieniona przez tę parę ciężkich dni. Oczy miała zapadłe, zaciśnięte usta. Pan Maciej zgarbiony, z twarzą sfałdowaną, już niemal zgrzybiały. Ręce splótł na kolanach i patrzył w ziemię.

Postacie państwa Rudeckich wyrażały tak straszną rozpacz, taką ruinę moralną, że nikt nie mógł patrzeć na nich bez łez. Oboje przygniatali ciężarem swej niedoli. Znajdowała się na werandzie pani Idalia, młoda księżna i Rita. Brochwicz z Trestką i lekarzem księżnej szeptali z sobą na boku.

Tylko Lucia, zupełnie chora, splakana leżała w łóżku, opóźniając wyjazd księżnej i pani Idalii. Czuwały nad nią księżniczki.

Nie było również Waldemara.

Na ławce pod splotami dzikiego wina siedział skulony ksiądz, który chrzczył i chował Stefcię. Staruszek popłakiwał cicho.

Wilhelm Szeliga na otrzymany w Heidelbergu telegram od siostry rzucił semestrowy egzamin i natychmiast pospieszył do Ruczajewa. Trafił na pogrzeb. Teraz milczał ponury, z czerwonymi oczyma, podobny do złamanego drzewka.

Księżna trzymała w ręku paczkę listów anonimowych. Usta staruszki trzęsły się, złamanym głosem mówiła:

– To najstraszniejsze... te listy. Gdybyż umarła z innego powodu... Ale profesorowie twierdzili, że anonimy ją zabiły.

– Głównie to – rzekł stanowczo stary lekarz.

Panna Rita smutnie poruszyła głową.

– I ja to samo mówię. Ona była niesłychanie uczuciową i bardzo wrażliwą. Dla niej takie słowa to nóż w serce, to zabójstwo! Ile ona przeszła rozterki duchowej, zanim zdecydowała się zostać narzeczoną ordynata. Ona chciała poświęcić własne uczucie najdroższe! Ja wiem wszystko, podziwiałam ją zawsze. I taką istotę zabić, do niej pisać podobne oszczerstwa!...

Panna Rita rozplakała się. Trestka dotknął jej ręki.

– Pani droga, spokoju! Oszczędzajmy księżnę i pana Macieja.

Wtem przemówił pan Rudecki:

– Wina spada na mnie, zem jej ustrzec nie zdołał od tych wrogich listów. One ją zabiły.

– Panie! proszę nie zmniejszać winy tych, co je pisali – rzekł Brochwicz. – Ordynat pana ostrzegał, bo on zna ogrom złości ludzkiej. I on nie przeczuwał, że anonimy będą tak zjadliwe. Tym spiskiem kierowało parę osób w ścisłym z sobą porozumieniu. Każdy wie, kto jedynie być może zdolnym do tego. Tu nie ma dwóch zdań. Autor ostatniego anonimu ubliżył nam podpisując się: „Jeden za wszystkich”. To kłamstwo, dobrze obmyślana intryga.

Starsza księżna spuściła powieki, usta zacięły się surowym wyrazem. Cichym głosem przemówiła:

– Barscy?... taką niegodziwość! Wstyd! I to karmazyni! Czy to prawda?

– A jednak fakt – podchwycił Trestka. – Ostatni anonim pisał Barski: jego styl, jego wyrażenia. W innych mniej więcej to samo, tylko pismo podrabiane umiejętnie. Cisnąć mu w twarz nie można: za bezczelny, nawet by się nie zarumienił.

– Ale można by mu nie podać ręki – rzekła surowo księżna.

Lekki dreszcz przeniknął obecnych. Wyrok dumnej pani, magnatki rodowej, wydany na magnata, zrobił wrażenie. Spojrzeli po sobie, jakiś strach przeleciał po twarzach.

– Barskiemu ktoś pomagał – rzekła nieśmiało pani Idalia.

– Własna córka i Lora Cwilecka – dodała ironicznie panna Rita.

– Na nie spada wstyd za splamioną godność kobietą – mówiła księżna podniecona – skompromitowały się same. Lora była zawsze parweniuszką. Ale Barski skompromitował nas wszystkich, tego już się nie darowuje!

– Wyrażnego dowodu nie ma – wycedziła pani Elzonowska.

– Idalio! – zgromił ją pan Maciej.

Księżna mówiła, nie uważając:

– Barski zatarł ślad zmienionym pismem. To dowodzi, że się nas bał, nie Stefcia. Gdyby nie ta fikcyjna zaporą, usunąłby się od niego każdy prawy arystokrata. To wykroczenie poważne, nie zrobiliby tego uczciwy chłop. Ale magnat?... O, wstyd!

– Dlaczego ona nic ordynatowi nie nadmieniła o otrzymywanej korespondencji? On ukróciłby to natychmiast – rzekł Brochwicz.

– Ja ją rozumiem – odpowiedziała panna Rita. – Ona nie chciała skandalu, nie chciała go ranić. Zresztą są dowody – listy, jakie pisała do niego żaląc się, a jednak żaden nie został wysłany. To była bardzo subtelna natura, ale za słabe miała siły.

Staruszek proboszcz pokiwał głową.

– Ja wiem najlepiej, jaka to była zdrojowa dusza, jakie serce – rzekł smutnie. – To dziecko już we krwi nosiło szlachetność.

Pan Maciej rękoma zakrył twarz. Po długim milczeniu zaczął mówić z niezmierną jakąś trwogą:

– To stać się musiało... to przeznaczenie... to moja Nemezys! Moja przeszłość zemściła się straszliwie, ona... Stefania. Uderzyła w najżywniejszą arterię mego serca, dotykając jedynego wnuka. Ja zrujnowałem jej życie, ona zabrała szczęście mego wnuka. O! straszna zemsta! okrutna zemsta!

Wszyscy milczeli. Pani Rudecka płakała, słuchając słów starca oskarżających jej matkę. Łkaniem zdawała się pytać zmarłej:

– Czy to prawda? Ty się zemściłaś... ty nam ją zabrałaś? Ale za cóż kara dosięgła nas, rodziców?... za co?

A pan Maciej mówił dalej po chwilowej ciszy:

– Nieszczęsną jest nasza rodzina, fatum nad nią wisi. Wieczne łyzy! wieczne łyzy! I to dziecko, zabite przez nas – nowa ofiara Michorowskich! Nic nie pomogło, że Waldemar zwalczył wszelkie przeszkody, żeśmy ją pokochali już jak córkę. Nic nie pomogło! Wszystko to tylko początkiem zemsty, jakby obliczone na to, by cios uczynić sroższym. W tym jest całe okrucieństwo odwetu! W dniu, w którym połączyć się mieli, dopełniła się zemsta!

Starzec odetchnął głęboko.

Błade oczy obrócił na klomb kwiatowy przed werandą i poruszał głową, jakby akcentując beżmiernie smutne słowa.

– Oczekiwałem ich ślubu z upragnieniem, chciałem jak najprędzej ujrzeć wnuka szczęśliwym, jakim nigdy ja nie byłem. Wyobrażałem ich sobie zawsze w ślubnych strojach – tę parę tak piękną, stworzoną dla siebie. I zobaczyłem Stefcie w ślubnej sukni... widziałem ją w

wieńcu z pomarańczowych kwiatów głębowickich, które miały ją zdobić przy ołtarzu. Widziałem ją w welonie, dziewiczą, śliczną – ale jak! ale jak!... I jego widziałem wśród tych kwiatów nieprzytomnego prawie. O! straszny obraz! poniosę go z sobą do grobu! Trzeba mieć całą moją przeszłość za sobą, całą niedolę życia, aby na kresie jego ujrzeć podobny obraz. Kara zasłużona, ale okrutna. To już nie kara, lecz piekielna zemsta! A potem... po jej śmierci, jakim cudem ja wówczas nie padłem rażony na miejscu, kiedy w rękach jego ujrzałem broń morderczą? O! Chryste!

Księżna rzuciła się na fotelu.

– Co?... co?... Waldemar chciał?...

– Tak, chciał się zabić, miał w ręku rewolwer... odepchnął mnie, gdym odbierał... był dziki... straszny! Ale mu do nóg padłem, kolana mu całowałem... ja... jego dziad! bo mię rozpacz za duszę targnęła.

Starzec zaszlochał. Księżna zaczęła także płakać.

Na werandę wpłynął złowrogi cień. Brochwicz powstał i wyszedł aż na schody, bo mu krtań ścisnął spazm żalu. Czoło oparł o słup werandy.

Pan Maciej mówił dalej:

– Rita wyrwała mu rewolwer, ale mierzył do siebie... kula chybiła... Boże łaskaw! Rita zabrała mu broń... niech jej Bóg nagrodzi... ja byłem nieprzytomny. To tylko czułem, że nienasycona zemsta i jego chce mi zabrać. Błagałem, zakląłem go na pamięć zmarłej Stefci, na pamięć jego matki. Może duszyczka tej słodkiej dziewczyny dopomogła, bo zdołałem go poruszyć. Obiecał mi, ale co się z nim dzieje, widzicie sami. Najgorsze to, że nie może płakać. Szarpie się wewnątrz. Ach, jak on cierpi! Czy widzieliście, jak on szedł za nią na pogrzebie? Podtrzymywał ją w głowach, róże z wieńców opadały mu na czoło. Ale jego twarz! jego oczy! Czy posąg z kamienia może być twardszy w wyrazie? czy śmierć sama może mieć więcej grozy?...

Pan Maciej umilkł wyczerpany, po czym spytał cicho:

– Kto ją niósł jeszcze oprócz niego?

Młoda księżna odpowiedziała:

– Pan Rudecki, hrabia Brochwicz, Trestka i Wiluś Szeliga.

– Ja widziałem tylko Waldemara. A na cmentarzu zdawał się kamienny, jednak sam zajął, czy grób wyłożony marmurem, jakby ten szczegół miał znaczenie najpierwsze. Dziwna jest jego boleść! Tak olbrzymio cierpi i drobiazgowo zabiega o wszystko, co się jej tyczy... jakby to robił na chłodno. Okropna była chwila, kiedy się z nią tak cicho zęgnął. Rozdarła mi się dusza! A potem zamknięcie grobu... Ach, Boże! Czy to koniec zemsty?... czy koniec?

Księżna Franciszkowa położyła rękę na ramieniu staruszka.

– Proszę o tym nie mówić – szepnęła serdecznie – to straszne, to znanadto boli, to znanadto szarpie, proszę, niech się pan uspokoi.

Pan Maciej miał skupione brwi, palcami tarł oczy.

– Ja te obrazy mam tu... tu... w mózg mi się wryły... nie zapomnę!

Starsza księżna spojrzała po wszystkich.

– Gdzie jest Waldemar? – spytała cicho.

– W swoim pokoju – rzekł lekarz. – Ale pójdę, zobaczę.

Zaległo milczenie. Pan Maciej oddychał zmęczony długą mową. Wtem wrócił lekarz ze zmienionym wyrazem twarzy.

– Nie ma ordynata w pokoju. Szukałem po całym domu. Nie ma nigdzie.

Pan Maciej zerwał się przerażony.

– Na boga! co to znaczy?... gdzie on jest?... może w ogrodzie? Broń schowałem – rzekł cicho, jakby do siebie.

Kilka osób zeszło z werandy do ogrodu, między nimi pan Maciej, oparty na ramieniu Brochwicza. Księżna została z panią Rudecką i księdzem. Modliła się cicho.

Waldemar wchodził na górę cmentarną, oddaloną o wiorstę od dworu, za olszynką ruczajewską. Po drodze spotkał biegnącego Jurka. Chłopak miał rozwichrzoną czuprynę i zapuchnięte oczy. Cały zbryzgany był błotem: widocznie znowu nurzał się w stawie po nenufary dla Stefcy. Przebiegając spojrzał na ordynata spod czerwonych powiek, trochę z ukosa, ale nie zatrzymał się. Cenił on i szanował ból Waldemara, nie mógł mu jednak darować śmierci siostry. Nie mogąc dawniej zrozumieć dokładnie, co to jest arystokracja, teraz był mniemania, że ją odgadł. Jurek w dziecińskiej swej wyobraźni arystokrację miał za siedmiogłowego smoka siedzącego na górze głębowickiej, bo tylko ten zamek znał szczegółowo z opowiadań i fotografii. Zaczął na równi ze swym nauczycielem nienawidzić arystokratów. Z osób będących na pogrzebie znosił jedynie ordynata i Brochwicza, zresztą od wszystkich, nawet od Luci i księżniczek, uciekał jak najdalej.

Teraz minął ordynata bez słowa.

Ten drgnął, ujrawszy go przed sobą. Rysy chłopca przypominały Stefcie, nawet delikatne złoto z załomów jego czupryni było złotem z warkocza zmarłej. Waldemar unikał młodszego rodzeństwa Stefcy, nie mógł na nie patrzeć spokojnie. Przed bramą cmentarną stała dorozka. Waldemar nie zwrócił na nią uwagi. Poszedł prędko uliczką, wysadzoną brzoźami, i skierował się na prawo, gdzie wśród kępy brzoź jasnozielonych bielił się wzgórek pokryty świeżymi kwiatami. Wieńce, girlandy, pęki białych róż, lilii, gwoździków, całe snopy konwalii piętrzyły się, przetykane wstęgami. Na samym przedzie leżał olbrzymi wieniec z palm, róż i lilii, artystycznie uwity, z napisem na szerokiej białej szarfie:

„Od twego Waldemara”.

I na brzoźach wisiały wieńce. Z nich jeden bardzo piękny, naśladujący białe orchidee, pochodził od hrabiny Wizembergowej. Miał krótki napis na błękitnej wstędze:

“Śnij spokojnie”.

Wzgórek kwiatowy otaczały drzewa egzotyczne w wazonach: cyprysy, cedry i wspaniałe mirty oraz parę rozłożystych palm.

Słońce zdobiło kwiaty siatką jaskrawych blasków, sypało iskierki na metalowe wieńce, ślizgało się po szarfach z napisami.

Waldemar utkwiał oczy w biały wzgórek. Szedł prędko. Nagle zatrzymał się. Ujrzał jakąś męską postać klęczącą przy grobie. Ordynat chwilę stał, po czym znowu poszedł naprzód.

Wówczas nieznamy odwrócił głowę i podniósł się.

Był to Narnicki, kuzyn Stefcy.

Zmierzyli się wzrokiem. Michorowski bardzo blady, Narnicki poruszony. Patrzył badawczo na ordynata z odcieniem surowości. Ale w jego oczach i twarzy ujrzał taką przepaść rozpacz, tak bezgraniczny ból, że w jednej chwili uczuł sympatię dla tego magnata, którego jeszcze przed chwilą uważał za tyrana Stefcy.

Wzruszony rzekł z ukłonem:

– Zapewne... pan ordynat? Jestem Narnicki.. jej kuzyn i...

Nie mógł dokończyć z wrażeniem.

Michorowski prędko z jakimś kurczem nerwowym w twarzy podał mu rękę i mijając go podszedł do grobu.

Narnicki, silnie poruszony, zawrócił do bramy, ale potem cofnął się na brzeg cmentarza i oparty o mur, schowany w gąszczach świerkowych, patrzył z daleka na ordynata.

Waldemar, stojąc przy grobie, rozejrzał się dokoła, a widząc, że jest zupełnie sam, ukląkł i zanurzył twarz w kwiatkach. Narnicki prawie nie oddychał: patrzył na zgarbioną postać narzeczonego Stefcy, na jego pochylona nisko głowę, na zgębienie widoczne nawet z ruchu i w duszy czynił sobie gorzkie wyrzuty:

– Ja go posądzałem... ja go robiłem odpowiedzialnym za jej śmierć... a on ją tak bardzo kochał. Jaki zmieniony... Czy to ten sam człowiek?

Narnicki przypomniał sobie fotografie ordynata, w Głębowiczach zdjęmowane, które mu

kiedyś pokazywała Stefcia.

– Czy to ten sam człowiek? – myślał teraz.

I śmierć Stefci wydała mu się jeszcze straszniejszą.

Waldemar klęczał i zapomniał o świecie całym, utonął w tym grobie. Oczyma, pragnieniem duszy i serca przebijał zaporę dzielącą go od niej. Rozdzierał powódź kwiatową i płytę z marmuru, i biały marmur sklepienia grobowego. Siłą rozpaczy wkuwał się w srebro i szkło, w jakim ją złożono, i widział swoją Stefcię taką białą, jasną! I żalił się przed nią w duszy, i wymawiał, że odeszła, i tulił ją do serca, i wyrywał spod tych kwiatów.

Ile on marzeń najdroższych złożył w ten wzgórek pachnący, ile porywów młodości, jaką potęgę, bezmiar uczucia! Życie swe całe miał tam pod kwiatami, cały dogmat swych marzeń z przeszłości, odnaleziony cudem, i całą słodycz niedoścignionych dni. Pozostały mu miliony, tytuł, stanowisko, lecz to, co już teraz cenił najwięcej, jego skarb, zabrano mu, sam go przykrył tą masą róż. Czuł, że Stefcia jest dla niego stracona, że odleciała na skrzydłach anielskich, że już jej nie zobaczy, nie usłyszy jej głosu, chyba w imaginacji. I rozpacz nim targała, nadludzki, wściekły żal, okrutny, rwący. Jego ubóstwiana Stefcia pozostanie tu, a on odjedzie do Głębowicz samotny, z pustką w duszy, z wielką mogiłą w sercu i z przekleństwem na ustach. Z przekleństwem na tych, co ją zabili – na jej katów, na jej morderców! I gdybyż wiedział, czy ona jest szczęśliwą w życiu zaziemskim! Gdybyż miał pewność, że dusza jej w aureoli świetlnej znalazła to wszystko, czym on ją chciał otoczyć, ale w stopniu potężniejszym, boskim! Gdybyż miał pewność, że jak jej ciało on owinął w kwiaty, tak duszę jej tam, w mistycznych sferach, otoczą jasne duchy wieńcem promieni szczęścia, spokoju, bezmiernego uroku! Gdybyż mógł nabyć głębokiej ufności swej babki, która wierzyła, że duszyczka Stefci śpiewa i raduje się u stóp Boga!

A jeśli następstwem śmierci jest zanik zupełny? Jeśli dusza błąka się gdzieś w ciemnościach pozaświatowego bytu, bez ostoi, bez spoczynku? To by było straszne! Taka istota, jak jego słodka Stefcia, miałaby zginąć w otchłaniach nicości? Nie otaczałby ją świetlisty krąg w nagrodę, że tak wcześnie opuściła świat, że wiosnę życia pożegnała tak bezwzględnie. Któż zasłużył więcej na jaśń wieki, jeśli nie taka przezroczysta duszyczka, zmarła z miłością w sercu, w przeddzień upragnionej szczęśliwości ziemskiej. Czyż taka może zniknąć bez śladu jak gołąb zabity? Czyż nie zmieni się od razu w anioła? Czyż jej wiara i czystość dziewicza nie starczą na biel piór, stojących niebieskie zastępy?

Och! ta niezgłębiona potęga śmierci! Ile w niej wątpliwości!? Gdybyż Stefcia mogła zejść do niego z tych bezdennych pomroków niebytu, gdybyż powiedziała, gdzie ją śmierć przeniosła, gdzie duch jej przebywa i czy szczęście obecne przewyższa ziemskie. Gdyby on wiedział, może by rozpacz jego nie miała tych obaw straszliwych. Cóż mu pozostało w życiu bez niej? Chyba to, żeby samobójstwem nie popełnić mordu na żyjącym jeszcze dziadku. Zabrano mu broń, strzeżono go, ale czy jedynym zakończeniem dla niego nie byłoby połączenie się z ukochanym jej duchem, aby miała go przy sobie zawsze, i jeśli jej tam ciemno, aby nie czuła pustki, tęsknoty za życiem na ziemi...

Waldemar z jękiem silniej zacisnął dłonie na skroniach. Żal łamał w nim wszystkie uczucia.

– Gdybyż wiedzieć, gdzie ona jest i jak jej jest?... Cóż znaczy moja nauka? – myślał obłądnie – moja inteligencja, kiedy nie mogę zbadać, czy ona szczęśliwa i czy jej byt jaśniejszy niż na ziemi. Cóż znaczą filozofowie, mistycy, kiedy pojęcie śmierci zamyka dla nich księgę nauki? kiedy, badając wnętrza wszechrzeczy, nie mogą zbadać wszechistnienia zagrobowego? kiedy, znając wszelkie odkrycia, wszelkie gościńce prawdy, nie mogą odnaleźć jednej drogi, jaka prowadzi poza mogiłę? Istnieje taka droga – jest nią religia. Ale trzeba w nią wierzyć bezwzględnie, aby rozpacz nie wprowadziła do serca złośliwego demona ironii. Bo nawet przy wierze budzi się pytanie: dlaczego śmierć wybiera na swe ofiary takie jak Stefcia? dlaczego podcina swą kosą takie kwiaty młode, cudne – takie jasne dusze?

Dlaczego? dlaczego?

Ona ze skarbami w sercu wchodziła w życie i niosłaby mu dary wielkie. Opromieniałyby sobą troskę życia innych, stałaby się dobrodziejstwem, błogosławionym duchem dla wielu. Czy za dobrą, zanadto niepokalaną, za czystą była dla niego, że mu nie pozwolono osiągnąć z nią szczęścia? Więc czemu ją poznał? czemu go pokochała? Ona posiadała zasoby życia i kochała życie niby kwiat rozwinięty w jasności maju, który woń swą i blask oddaje światu i nie chce ginąć.

Czyż nie znalazłaby spokoju w małżeństwie z ukochanym człowiekiem? Ależ on by ją czcił jak bóstwo!

Ogrom bólu i zagadnień mącił mózg Waldemara, rozdzierał w nim krwawiące rany, niweczył całą jego istotę duchową.

Były chwile, że błąkał się w grozie swego nieszczęścia, nie mogąc dokładnie pojąć, jaki cios spadł na niego. Jego żelazny umysł, jego szalona energia i wola stworzyły teraz przepaścistą zawieję burz najróżnorodniej-szych, zawieję gęstej mgły i odnaleźć się nie mogły. I on sam nie potrafił siebie odszukać w gmatwaninie uczuć, zmaconych do dna duszy. Cierpiał jak człowiek miłujący życie, który w wiosenny poranek pełen barw i blasków, pełen śpiewów i szumów rozkosznych, nagle oślepnie i ogłuchnie. Cierpiał czując dotykalnie swój ból, czując, jak mu się sączył w krew, jak włamywał w mózg z siłą zawrotną. Ustami, na których głęboki żal wypisał swe zgłoski, szeptał imię zmarłej, mordując się podwójnie brzemieniem tego słowa:

– Stefcia... Stefcia... jasna moja... moja... gdzie ty?... co z tobą?...

I doznał wizji: ona stanęła przy nim, śliczna, wiotka, i patrzy na niego ciemnym fioletem swych oczu, jej rzęsy mrugają tak ładnie na jasnym owalu twarzy, okolonym jedwabną masą włosów. Zapatrzony w wizję, widział Stefcię jak żywą pod rozkwitłą czeremchą, wołał na nią rozszalałym wyciem serca.

A ona uśmiecha się do niego i mówi z dziecinnym grymasem kalinowych ust:

– Tak mię pan zasypuje kwiatami...

Waldemar zatrząsł się, podniósł głowę. Wizja uleciała. Zobaczył tylko mnóstwo białych kwiatów – sploty, wieńce, wiązanki, morze białe, wonne, ozłocone słońcem.

– Zasypałem cię kwiatami! zasypałem! –jęknął z przejmującą tragedią w głosie.

Załamał namiętnym bólem ręce nad głową.

W oczach po raz pierwszy od czasu swego nieszczęścia poczuł wilgoć, zakłuło go w źrenicach, łkanie zaczęło mu rozrywać piersi.

Upadł na kwiaty, schował twarz w dłoniach i płacz wielki, pierwszy, silny jak lawina, wstrząsnął jego męską postacią. Szarpał nim dziki skowyt niedoli.

Jeśli go teraz słyszała jasna duszyczka Stefci, musiała i sama zapłakać, i spłynąć mu na głowę nieziemskim tchnieniem ukojenia.

W bramę cmentarza wszedł przełękły pan Maciej, prowadzony przez Rudeckiego i Brochwicza, z panną Ritą i Trestką. Byli już niedaleko grobu Stefci, już dojrzeli Waldemara, gdy nagle cicho podsunął się do nich Narnicki. Ręką dał im znak, aby nie szli dalej, i szepnął:

– Zostawcie go samego, zostawcie! On... zapłakał.

Pan Maciej złożył ręce jak do modlitwy. Wszyscy bez szelestu cofnęli się w uliczkę ocienioną bujnymi kędziorami brzoź.

XXXII

W Głębowiczach, w dzień pogrzebu Stefci, miejscowy proboszcz odprawił uroczyste nabożeństwo żałobne i zaprosił całe obywatelstwo okoliczne. Zjazd był wielki. Wszyscy czuli się wstrząśnięci strasznym wypadkiem. Administracja z Głębowicz, ze Słodkowic i folwarków ściśle wypełniła kościół. Urzędnicy fabryczni na czele tłumów robotniczych, służba folwarczna z ekonomami, sztab ogrodników, mnóstwo mniejszej służby, wszyscy dożywotnicy majątkowi oblegali kościół ciemnym, ruchomym wałem. Zastępy straży leśnej z nadleśnymi stały się w komplecie. Czterech młodszych służyło do mszy. Silne wrażenie na obecnych zrobiło wejście do kościoła całej służby zamkowej z marszałkiem dworu, stajennych ze stan-gretami i koniuszym. Wszyscy w żałobie. Cicho, poważnie, z lekkim chrzęstem broni weszły szeregi strzelców zwierzynieckich, niby gwardia zamkowa, przyboczna świta ordynata. Po-ubierani w żałobne uniformy, czarne ze srebrem, z krepą na rękawach, mieli w swych twarzach smutek i żal. Prowadził ich łowczy Urbański. Brakowało tylko olbrzymiego Jura, ale ten pozostał w Ruczajewie.

Cały oddział, idąc wolno, otoczył kołem ustawiony w środku nawy jarzący mnóstwem świateł, zarzucony kwiatami katafalk. Łzy błysnęły w ich oczach. Strzelcy zwierzynieccy pierwsi mieli witać ordynata z żoną na dworcu kolejowym i stamtąd eskortować ich galowy powóz aż do zamku. Więc żal niesłychany ogarnął tych ludzi, żal za zmarłą Stefcią, żal z powodu nieszczęścia, jakie spotkało ukochanego ich pana.

A księżę Franciszek Podhorecki, patrząc ze stali ordynackiej na ponure twarze strzelców, całej służby, starych kamerdynerów i wyższej administracji, myślał z goryczą w duszy:

– I ja miałem kiedyś takie zastępy, tylko nie miałem u nich tego, co posiada ordynat – ich miłości.

Dzwony ma wieży były jakoś jęklivé, z bezmierną tęsknotą, gdy do nawy kościelnej weszła parami szkoła głębowicka z nauczycielem i ochronką z przełożoną.

Dzieci ustawiono po bokach katafalku, pomiędzy szeregami strzelców i straży ogniowej.

Zapłakane oczy dziecięce, mrugające od obfitości światła, patrzyły uparcie w górę pomiędzy palmy i kwiaty, bo im się zdawało, że tam jest ta śliczna i dobra pani, którą dzieci dobrze pamiętały.

Wrażenie w kościele dosięgło szczytu, gdy podczas Ofiarowania orkiestra zamkowa zagrała na chórze żałobnego marsza Chopina.

Głębokie, drażniące potęgą tony rozsypały wśród zebranych mnóstwo kwilącego żałośnie ptactwa smutku. Żal, wzmocniony muzyką, przedarł się do serc obecnych. I płacz runął po kościele, szlochanie zmąciło powagę chwili. Tym, co Stefcię bliżej znali, służbie zamkowej, zgromadzonym dzieciom, łkanie dusiło piersi. Innym łzy spływały po twarzach. Nawet ludziom obcym zapiekło w żrenicach na widok tego szczerzego objawu smutku. Ksiądz starszek drżał przy ołtarzu.

Gdy potem wśród ogólnego wzruszenia proboszcz w krótkich, lecz gorących słowach opowiedział nagły zgon narzeczonej ordynata w dniu, w którym złączyć się mieli – wszystkim zebranych słowa księdza zdały się jawnymi: że Stefcię, niby kwiat biały niepokalany, zerwali Anieli, aby ustroić nim stopy przeczystej Dziewicy – tam w chorałach niebieskich.

A w tym samym momencie w Ruczajewie, na górze, pod brzożami, ordynat, złamany nieszczęściem, zegnał na wieki najdroższe swe ukochanie na ziemi.

XXXIII

Mijały ciężkie, długie miesiące.

W Głębowiczach, w Słodkowcach i w Obronnem było niezwykle głucho. Szczególnie w rezydencji ordynata żałoba wyryła swe piętno. Błękitna chorągiew na baszcie zamkowej, zwinięta, sterczała smutno. Marszałek dworu kazał ją owiazać czarną wstęgą. Zamek wznosił się na górze wielki otoczony jak zawsze mnóstwem cudnych roślin i gustowną mozaiką kwiatów. Lecz nad tym wszystkim panował duch posepny.

Ordynat w żałobie przesiadywał w Głębowiczach samotnie. Obawiano się o niego, że dostanie melancholii, gdyż skupiona powaga i surowość nie opuszczały go teraz. Krótko i stanowczo oparł się wszelkim naleganiom o wyjazd za granicę, nie bywał nigdzie i nikogo prócz najbliższych nie przyjmował u siebie. Czasem odwiedził znękanego dziadka w Słodkowcach lub księżnę w Obronnem. I oni zaglądali do Głębowicz, ale na myśl, ile tu mogło być szczęścia, a ile pozostało smutku, uciekali rozżaleni.

Może najczęściej widywał ordynat u siebie hrabiostwo Trestków. Ona umiała zastosować się do niego powagą, a Trestka stosował wszystko do żony.

Cała służba głębowicka i strzelcy zwierzyńscy przepisana mieli żałobę na pół roku – taką samą, jak przed kilkunastu laty, po śmierci ordynatowej Elżbiety. Świetne liberie, uniformy pochowano. Zamek wyglądał, jakby nań padła nocna pomroka. W administracji wszystkich dóbr nie odbywały się zabawy, nawet po terminie żałoby. Każdy chciał uszanować boleść ordynata; panowie praktykanci chodzili osowiali, patrząc na zwierzchnika ze współczuciem i niebywałą trwogą, bo stał się teraz zamknięty w sobie i zimny. Waldemar przesiadywał często w pracowni sławnego rzeźbiarza, Polaka, którego zaprosił do Głębowicz z Rzymu. Powierzył mu wykonanie pomnika dla Stefci, własnego pomysłu i rysunku. Artysta, dawny znajomy ordynata, starał się zadowolić go, zrozumiał, że praca w Głębowiczach opłaca mu się bardzo sownie. Postanowił wyzyskać swój talent.

Waldemarowi rwała nerwy każda bytność w pracowni, lecz nie oszczędzał się.

Wchodził tam najczęściej w nocy lub w czasie nieobecności rzeźbiarza i z natężeniem patrzył na postępujące dzieło. Wracając, odczuwał taki ogrom tęsknoty i nędzy, jakby jego mózg zmienił się w bryłę marmuru, którą miał przykryć Stefcią.

W Ruczajewie ordynat bywał często, prawie zawsze incognito. Przyjeżdżał dorożką, z ładunkiem kwiatów, prosto na cmentarz. Przebywał na grobie narzeczonej kilka godzin, ponuro zamyślony, wpity oczyma w mogiłę, i odjeżdżał na kolej z żalem na nowo pogłębnym. Jedynym śladem jego bytności pozostawały świeże kwiaty, piętrzące się wśród brzoź, i rozpromieniona dużym datkiem fizjonomia cmentarnego stróża. Do państwa Rudeckich ordynat wstąpił zaledwo parę razy, i to na krótko. Zbyt bolesne wspomnienia łączyły ich. Spotkanie się podwajało ich ból. W Głębowiczach Waldemar odwiedzał kaplicę zamkową, rozpamiętywając z goryczą ostatnią bytność w niej Stefci, rozmowę z nią i jej przestach, gdy nadmienilo zwycięstwie swych pragnień życiowych. Byłoby to u niej przecucie, że kir zaćmi ich szczęście? Czy też zapamiętała własne prorocze słowa, wypowiedziane w korytarzu z obrazem świętej Magdaleny?

I oto spełniło się! Z walki życiowej wyszedł z połamanymi skrzydłami i w kajdanach ciężkiej żałoby – po niej. Zgniotła go siła, jakiej się nie spodziewał i zwalczyć nie mógł.

W rocznicę zgonu Stefci cała rodzina ordynata zjechała na poświęcenie pomnika do Ruczajewa.

Dotychczasową płytę białą marmurową, z wyrytym napisem, umieszczono w kościele ruczajewskim. Na grobie stanął pomnik także z białego marmuru i tak piękny, że mógłby ozdabiać słynne Campo Santo w Genui.

Wysoki, strzelisty, przedstawiał skałę na czworokątnym wzniesieniu. Z lewej strony,

wśród artystycznie rzeźbionych lilii, równoległe ze skałą, ale wyższa, stała smukła postać młodzianki w powiewnej szacie, opływającej ją w malowniczych fałdach. Postać miała wzrost, bujne włosy i klasyczne rysy Stefcy, tak dobrze oddane, że zdawały się być robione z natury. Podobieństwo rysów owiewał wyraz przede wszystkim duchowy. Lewą rękę, wylaniającą się ładnie z szerokiego rękawa, miała spuszczoną, z palców opadał wianek z gałązek cierni, jakby odrzucony. Głowę odwróciła nieco na prawo, oczy były utkwione w skrzydlatego anioła. Zaczepiony stopą o skałę, sfruwał jakby wprost z niebios z rozpostartymi skrzydłami i szatą sfalowaną wirem lotu. Śliczną młodzieńczą twarz ozdabiały bujne loki. I w tym szumiącym zlocie, zgrabnie pochylony, wieńczył trzymaną w obu rękach koronę z lauru głowę wpatrzoną w niego uśmiechniętej dziewczyny. Cała postać anioła zdawała się szumieć, rozwiane pióra chrzęściały, czuło się ich powiew. Postać dziewczyny, dziwnie delikatna i wdzięczna w ruchu, posiadała w sobie tyle niezemskiego ideału, że się czekało, kiedy odezwie stopy od marmuru i jak duch popłynie w błękity.

Pomnik robił wrażenie nadzwyczaj lekkie, jakby wycięty z opłatka.

Niżej, na odłamie skały, widniał gładki szlifowany krzyż i owalna tarcza z nałożonymi wypukło literami.

Pod imieniem i nazwiskiem oraz datą urodzenia i śmierci następował napis:

*W pierwszej wiosnie życia zgasła jak jutrzienka...
Jak biały motyl, wplątany w ciernie.
Pozostawiła po sobie łzy.
I w sercu narzeczonego niezglębioną chmurę.
Bo była jego szczęściem...
Wieńczcie ją, anieli.*

Pomnik otaczał olbrzymi wieniec kwitnących szlamowych róż w wazonach, stopniowo od wyższych do niskopiennych. Te wiły się już na ziemi, oplątując żelazną, artystycznie rzeźbioną kratę, dosyć niską. Na czterech rogach żelazne słupki zakończyły płaskie talerze cyzelowane, z okrągłymi lampami wewnątrz w kształcie kul z rżniętego kryształu, oplecione ukośnie oksydowanym drutem. Na balustradzie wisiały metalowe wieńce zeszłoroczne, już trochę zniszczone, ale przybyło kilka nowych od ordynata i jego rodziny. Dalej poza kratą grupowały się w wazonach wielkie drzewa tui, cyprysów i cedrów, w otoczeniu swojskich brzoź, smukłych, jak przed rokiem ustrojonych w jasnozielone zwoje listków.

Odświeżenie i poświęcenie pomnika odbyło się przed wieczorem i sama natura upiększyła uroczystą chwilę. Czerwcowe słońce, olbrzymią kulą spadając na dół, rozlało swe purpurowe farby jaskrawym oceanem. Zapaliło się niebo, zbałwanione tale czerwieni szły dalej i dalej, niosąc blachy rubinowego złota, dziergając przepyszną frędzlą pasowo-złocistą brzegi ciemnych obłoczków. Drobne chmurki szaroperłowe nasiąkły czerwonym proszkiem, zwisając ciężko, niby gąbki nabrane krwią. Różowe pyły sypały się obficie na ziemię. Skłon nieba nurzał się we krwi, poprzerzynany brzemieniami obłokami. Im więcej w górę, tym silniej panożyło się złoto, spychając rubiny do wspaniałego tronu króla, na ukraszenie jego majestatu. Słońce gorzało, jak palący się balon, na niezmiernych przestrzeniach wieczornych zórz. Rozwielmożnił się gmach zachodu i pędził naprzód świetne rakiety, i rozpinał ogniste namioty na niebie coraz wyżej, dalej i szerzej. I oddychał płomieniem, i ciskał gorący wzrok na biały pomnik Stefcy, i bogato stroił delikatną, z marmuru wycieniowaną twarz jej, i złotą opaskę kładł na bujne loki anioła. Na tle karmazynowych aksamitów, złotolitych opon, rozpiętych na niebie, smukły, wysubtelniony w koronkę biały marmur uwypuklał się z plastyką niesłychaną a piękną, niby mistyczny jakiś kwiat śnieżny o fantastycznym kielichu na łunie pożaru. Cyprysy poczerniały, tuje, cedry przeświecały lekko różowością. Zachód igrał na kryształach lamp zdobiących pomnik, rozpalając wewnątrz tysiące ogników. Brzozy stały się seledynowe, a

prześwielone królewskim rumieńcem były jak trzęsienia, kity z chryzolitów umaczone w karminie, zanurzone w nim. Białe pnie drzew odcinały się jak słupy z alabastru. Świat stał zalany potopem i morzem czerwonym. W końcu i marmur, i pnie brzoź zabarwiły się lekko tym zaraźliwym kolorytem niebios. Postacie dziewicy i anioła, i fantazyjne lilie, i świeże kwiaty, żelazna krata, drzewa, pluszowe trawy otaczające pomnik, wszystko zabarwiło się ślicznym różem i piło róż z chciwością. Pomnik zawisł, zda się, w powietrzu, płynął w górę na drogocennych gobelinach zachodu.

Waldemar oddalony od zebranych osób, również nasiąkł różowością, patrzył na rzeźbę wysoką, skrzydlatą z uczuciem człowieka, który zerwał bandaż z głębokiej rany.

Pomnik sprawił wielkie wrażenie na wszystkich.

Pan Maciej długo patrzył na lekkie postacie anioła i ślicznej dziewczyny, aż parę grubych łez spłynęło mu z oczu. Rzekł ze smutkiem w głosie:

– Pozostała nam jak żywa, ale już tylko w marmurze.

Waldemar usłyszał, wzrokiem zajrzał mówiącemu w głąb duszy.

– Tylko?... – spytał przejmującym szeptem.

Pan Maciej spuścił głowę.

– Szkoda, że ta rzeźba nie jest bliżej nas – zauważyła księżna, wpatrzona w pomnik, ukoronowany zachodem słońca.

Waldemar odrzekł głucho:

– I wśród nas ona będzie jak żywa i w całej postaci.

Spojrzeni na niego nie rozumiejąc.

Waldemar odprowadził w głąb cmentarza starego plebana ruczajewskiego i wręczył mu duże safianowe pudełko. Mieściły się w nim perły ofiarowane Stefcii w Głębowiczach. Oddał mu je Rudecki.

– Proszę to zawiesić jako wotum na ołtarzu w tutejszym kościele – rzekł ściskając rękę księdza.

Staruszek odrzekł serdecznie:

– Dobrze, zawieszę te perły na ołtarzu, przy którym ją zawsze komunikowałem.

Waldemar ze ściśniętym sercem prędko odszedł.

XXXIV

Po powrocie do Głębowicz odbyła się uroczystość założenia fundamentów pod szpital i ochronę imienia Stefanii – w Słodkowcach.

Okolice patrzyła na to z niemym podziwem.

W parę dni potem w zamku głębowickim zawrzał ruch niepowszedni, rozbijano jakąś pakę, po czym kilku służących i olbrzymi Jur nieśli po schodach wielki przedmiot okryty pasową makatą. Ordynat szedł naprzód i otworzył salę portretową.

Zdjęto aksamitną zasłonę z prawej strony od portretu Gabrieli Michorowskiej. Wyjrzała dębowa ściana, co niegdyś tak niemile dotknęła Waldemara swą pustką. Zaczęło się stukanie, huk młotów rozbrzmiał echem po sali.

Wstrząsnęły się portrety.

Antenaci Michorowskich zadrżeli w swych ramach. Zbudzili się! Surową stałą martwych oczu spoglądali na niezwykle widok. Krzątania lokajów, huk młotów stolarskich i sztywna postać młodego ordynata, który wydawał suchym głosem rozkazy, przeraziły portrety. Duży przedmiot, pokryty makatą, zastanawiał je.

Szmer poszedł po sali – szmer cichy a groźny, niby pomruk zbudzonych magnatów w odwiecznym przybytku ich pośmiertnej chwały.

– Przybył do nas ktoś nowy! – szła wieść, podawali ją sobie od ramy do ramy.

– Ale kto?

Pytanie zawisło nad portretami dawnych ordynatów głębowickich, dawnych wojewodów i hetmanów.

A huk rozlegał się ostro, młoty waliły w dębowe ściany potężnie. Po szybach okien biegł lekki brzęk, dźwięczały brązy pajaków.

Nagle ucichło. Głos ordynata zabrzmiał parę razy i duży wąski przedmiot zawisnął na ścianie, dotykając posadzki.

Portrety oczekiwały w skupieniu.

Ordynat ruchem ręki oddalił służbę.

Zabrali narzędzia i wyszli cicho.

Wówczas ordynat przetarł ręką czoło, blady, zmieniony. Rozejrzał się po sali ze zmarszczoną brwią, jakby nakazując coś, jakby wołając: – Patrzcie!

Martwe oczy wszystkich portretów wpijały się w mroczną twarz prawnuka.

Oczekiwaniem czegoś wielkiego dyszała sala, dyszały postacie w ramach.

Ordynat zbliżył się do ściany, gwałtownym ruchem zerwał pasową makatę, odrzucając ją daleko.

Głuchy wybuch, krzyk idący z samego serca wypadł z jego piersi. Z rękoma przy skroniach przyklęknął przed portretem narzeczonej.

Antenaci Michorowskich zadygotali.

Szmer wśród nich wzmógł się:

– Kto to?! Kto to?!

Stefcia na portrecie była w kostiumie damy z czasów Dyrektoriatu, artystycznie odtworzoną, tym bardziej że tylko z fotografii. Malował ją jeden z najsławniejszych mistrzów sztuki malarskiej w kraju. Na tle ciemnych materii Stefcia stała w naturalnej wysokości. Wdzięczny jej ruch miał w sobie wyrazistość i harmonię. Bładoróżowa stylowa suknia posągowo stroiła jej smukłą postać. Na matowej gładkiej tkaninie wytwornie odbijała jedwabna szarfa. Krótki staniczek wycięty, obramowany gazą, lekko odsłaniał śliczne kontury ramion i szyi, ozdobionej perłami. Powódź ciemnozłoty włosów, o połyskach soboli, spływała na kark i plecy, rozsypując się falisto na ramionach. Pęki różowych kamelii ozdabiały gors i włosy z boku głowy. Fantazyjny kapeluszek czarny o dużych rondach i wielkie strusie pióra tworzyły wy-

kwintne tło dla tej patrycjuszowskiej, szlachetnie pięknej twarzy.

Jedną ręką w koronkowej mitynce Stefcia podtrzymywała długą fałę sukni, z drugiej zwieszał się na pół rozłożony wachlarz z czarnych strusich piór. Odsłonięte delikatne palce były czysto arystokratyczne w konturach.

Na czwartym palcu prawej dłoni błyszczał pierścionek z perłą uriańską. Spod miękkich fałd sukni wysuwał się brzeżek różowego pantofelka.

Wyraz twarzy miała zamyślony, dziwnie uroczy. Usta pąsowe, złożone lekko, zdawały się coś szeptać.

Wielkie gwiazdziste oczy, lśniące fioletem, w ciemnej przepysznej oprawie, patrzyły przed siebie marząco, lecz z iskrami wesołości, pełne życia. Zarysowane ładnie brwi. podgięte nieco w górę, i niesłychanie długie rzęsy drgały w swawolnym uśmiechu.

Powaga, zamyślenie i ta jakaś dojrzałość duchowa, wyzierająca z głębin jej oczu, stanowiła zachwycający kontrast z młodą wesołością, widną z każdego ruchu postaci.

Na jasnym czole, okolonym łagodnie lśniącą masą włosów, świeciła inteligencja. Subtelność natury przebijała się w rysach i w kątach drobnych ust. W zagięciu brwi znać bujność temperamentu.

Słodczyńską nęciły śliczne wargi dziewczyny i urok jej spojrzenia pociągał nieprzeparcie. I wiosna śpiewała w niej. Czar jakiś upajający i prostota, i szczerść dziecięca.

A zarazem tyle było w niej szlachetnej dumy, tyle klasycznej pańskości, takie bogactwo uduchowienia w połączeniu z gorącą krwią.

Postać Stefci, wystylizowana genialnie, z wielką siłą i techniką wykonania, była ponadto wybornie odczuta.

Artysta znał Stefcię z Warszawy: szkicował jej portret w zaręczynowej sukni. Interesowała go wykwiwna postać dziewczyny, w tece swej posiadał kilka rysunków jej głowy, zrobionych naprędce. To mu ułatwiało wzorowe odtworzenie dosyć trudnego w charakterze wyrazu i stylu jej wewnętrznej istoty.

Stefcia stała na portrecie wypukło odcieniowana, ze śmiałością linii i niezwykłą swobodą.

Stefcia żyła.

Jej jasna postać, rzucając na salę niby podmuch zorzy porannej, odbijała rażąco od surowej w tonie Gabrieli de Bourbon.

Rozświeciła salę, jak ukwiecona gałąź białej akacji rozświeciła zmurszałe modrzewie.

Przodkowie Michorowskich zdumieli się.

– Kto to?... kto to?... – snuły się szmery.

Martwe oczy portretów patrzyły na cudną postać dziewczyny i na brzeg płótna, blisko szerokiej ramy rzeźbionej z mahoniem z brązowym okuciem.

Tam widniał napis:

„Śp. Stefania Rudecka, narzeczona Waldemara Michorowskiego 12. ordynata Głębowicz”.

Zgasła przedwcześnie, zatruta fanatyzmem pewnych członków jego sfery.

Żyć będzie wśród niej wiecznie.”

Zgroza wiała z tych słów pełnych tragizmu.

Portrety wstrząsnęły się. Dreszcz wstydu za żyjące pokolenia przeleciał po nich.

Znieruchomiały w swej martwocie.

Ordynat wstał, wyprostował się, cofnął i długo patrzył na Stefcię zmatowionym wzrokiem. Po czym zawołał głośno:

– Pozostaniesz wśród nas wiecznie!

Odpowiedziało mu głucho milczenie.

Waldemar usiadł ciężko na kanapce. Bezbrzeżnie smutny wzrok utkwił w różowej Stefci, rozbierając każdy szczegół osobno. Spoglądał i na swą rękę: błyszczały na niej obok siebie razem dwa pierścionki zaręczynowe – uriańska perła Stefci i wielki brylant Michorowskich.

W zamku panowała głucha, tragiczna cisza, jakby ostatnie zamarło w nim szczęście.

KONIEC